

# KITTY SEWELL

## ŁODOWA PUŁAPKA



Nastrojowy  
i głęboko wzruszający  
dramat rodzinny

Świat Książki

**Kitty Sewell**

# **Lodowa pułapka**

## PROLOG

*Wybrzeże Zatoki Coronation,  
Morze Arktyczne, marzec 2006*

Nie wziął skutera śnieżnego, jak doradzali starsi. Podobnie jak innych chłopców, ekscytował go ryk hałaśliwego silnika, ale ostatnio coraz bardziej doceniał wewnętrzny głos własnych myśli. Lubił huk nacierających na siebie tafli kry na morzu, porywy wiatru, szelest *mukluks* w trakcie wędrówki po śniegu. W miarę robienia postępów, wymagających olbrzymiego wysiłku, czuł się coraz pewniej, coraz bardziej panował nad sobą.

Załadował do plecaka parę niezbędnych rzeczy, wystarczających na jednodniową wyprawę, przypiął długą linkę do obroży psa. Husky należał kiedyś do jego sąsiada, ale z czasem, dzięki odrobinie sprytu, chłopiec sprawił, że teraz on był jego panem. Była to potężna suka, futrzana diablica – agresywna w razie prowokacji i nadzwyczaj lojalna wobec właściciela, ale nie lubiąca się łąścić.

Przewiesił strzelbę przez ramię i do zewnętrznej kieszeni kurtki wsunął raketę świetlną. Nie spodziewał się, że użyje jej do obrony, bo był pewien, że husky odpędzi wszelkie niepożądane towarzystwo. Sprawdził swój osprzęt, jak mu to wielokrotnie nakazywano, i ruszył w drogę z osady nad brzeg morza.

Najpierw musiał przedrzeć się przez nabrzeże. Zatrzymał się na chwilę, żeby ocenić dystans, który trzeba będzie pokonać. Gigantyczne ściany lodu były zmiżdżone przez morze. Potężne odłamy ześlizgnęły się na siebie albo złożyły w harmonijkę, niczym kartka papieru. Niektóre lśniące wierzchołki sięgały nieba, inne spadły i rozbiły się na kawałki. Tak sobie wyobrażał pradawny las. Był silnym chłopcem, wysokim i mocno zbudowanym na swój wiek, jednakże gdy wspinał się po ostrym lodzie, wykrzykując słowa zachęty do psa, a niekiedy mrużąc coś niecierpliwie w języku swojego ludu – jego głos zdradzał niedorosłość. Mimo to ciągnęło go na te dzikie, bezkresne przestrzenie. Chciał zostać mężczyzną.

Dysząc z wysiłku, chłopiec i pies dotarli na płaski lód. Mając na sobie

gogle chroniące przed blaskiem, samotny podróżnik przeczesał wzrokiem horyzont. Wielka płaszczyzna była widoczna jak na dłoni, ale skrywała zasadzki, których należało się strzec. Rzucając krótką komendę psu, chłopiec ruszył przed siebie. Po godzinie skręcił na zachód, posuwając się równoległe do odległego teraz brzegu. Idąc szybkim marszem, żeby nie za bardzo przemarznąć, rozglądał się wokół i wypatrywał tropów. Wiedział, że ma małe szanse napotkania lisa. Lisy rzadko wędrują bez celu na takim odludziu. Te sprytne zwierzęta kryją się na ogół za niedźwiedziami polarnymi, by żywić się resztkami upolowanych przez nie fok i szybko się ulatniać w przypadku jakiegoś zagrożenia. Na cienkiej warstwie śniegu widać było nakładające się na siebie odciski łap niedźwiedzia i lisa – pierwsze z nich duże i ciężkie, a drugie – małe i lekkie. Większość śladów pochodziła jednak sprzed paru dni, jeśli nie tygodni. Pełen wdzięku lis jest o wiele ładniejszy żywy niż martwy, a ciemna krew na jego śnieżnobiałym futrze zawsze wywoływała u chłopca zawroty głowy. Toteż powiedział sobie, że celem tej wyprawy nie będzie upolowanie czegoś, ale ćwiczenie w samotności i niezależności.

Zdawał sobie jednak sprawę, że zahartowanie wymaga sporo praktyki. Mężczyźni, by przeżyć, muszą polować. Muszą zabijać.

Marsz w milczeniu sprawił, że stracił poczucie czasu. Dwukrotnie się zatrzymał, siadł w kucki i napił się gorącej, słodkiej herbaty z manierki, podzielił się z psem paroma paskami suszonego mięsa. Pozostawanie bez ruchu zbudziło w nim niepokój. Panował straszny mróz, najlepiej więc było iść. Gdy słońce zniżało się na niebie, ruszył na północ, a następnie na wschód, kierując się do domu. Pies zachowywał się spokojnie, sprawiał wrażenie znudzonego i szedł niekiedy z przymkniętymi oczami. Mimo ochronnych gogli chłopiec też zaczął odczuwać ból oczu. Jemu i psu towarzyszyły tylko własne cienie.

Jednakże coś w końcu dojrzał. Serce zaczęło mu walić w piersi na widok świeżych śladów, ciągnących się na skos od jego ścieżki. To niedźwiedź, który przechodził tędy pół godziny, może nawet kilkanaście minut temu. Ślady były doprawdy wielkie, więc chłopiec z lękiem przeczesał wzrokiem horyzont. Trop znikał w gęstniejącej szarości. Chłopiec poczuł w krzyżu lekkie drżenie. Miejscowy lud miał przyrodzony szacunek do niedźwiedzi polarnych. Jak powiadała starszyzna: „Lis wiecie myśliwego do *Nanuka*, bez względu na to, czy jest to pomyślne spotkanie, czy też nie”. Chłopiec

uśmiechnął się na wspomnienie tego głupawego powiedzenia, ale poczuł się nieswojo. Pożałował, że nie usłuchał mądrej rady i wybrał się na zamarznięte morze pieszo, a nie skuterem śnieżnym. Spojrzał w kierunku brzegu, zastanawiając się nad dzielącym go dystansem. Osadę widać było jak na dłoni. Dym z kominów unosił się w górę niczym ostro zarysowane kolumny. Pół godziny szybkiego marszu, może trochę dłużej. Nie był jednak pewien swojej oceny.

Pies otrząsnął się ze stuporu i podążył za świeżym tropem, ciągnąc za sobą pana, który przywiązał sobie linkę do paska. Chłopiec gwałtownie szarpnął smycz i krzyknął na psa, ale ten nie zważał na jego rozkazy, nigdy nie był zbyt posłuszny. Rozzłoszczony, przyłożył mu po zadzie. Pies niechętnie zwolnił. Z jego gardła zaczął się wydobywać groźny warkot, a sierść na grzbiecie się zjeżyła. Mogła to być reakcja na przerębel dla fok, ale to raczej wątpliwe. Chłopiec domyślał się, że pies wyczuł zapach niedźwiedzia i że zgodnie ze swoją wilczą naturą będzie chciał go zaatakować.

Choć nadal było całkiem jasno, postanowił niezwłocznie ruszyć w kierunku wioski i po krótkich zmaganiach z psem podążył tam najkrótszą drogą. Jednakże wiatr niósł wprost na nich zapach niedźwiedzia i pies, węsząc zawzięcie, nie miał ochoty stracić nadarzającej się okazji. Stale się odwracał, warczał, chwytął w nozdrza charakterystyczną woń, podczas gdy chłopiec ciągnął go w stronę brzegu. Ta szarpanina między nimi trwała przez jakiś czas, aż pies zakręcił się w miejscu i ruszył biegiem w przeciwnym kierunku, omal nie zwalając z nóg swego pana.

Tam, w oddali, znajdował się niedźwiedź. Musiał zauważyć lub wyniuchać ich obecność, więc zawrócił ze swojej drogi. Teraz się zbliżał. Trójkąt złożony z trzech czarnych punktów – oczu i nosa niedźwiedzia – stawał się coraz bardziej wyraźny w szarej poświacie. Te trzy punkty utkwione były w chłopcu i jego psie, niewątpliwie wyczekiwany pożywieniu. Chłopiec stał jak sparaliżowany. Opuściła go cała energia, kolana się pod nim ugięły. Z trudem powstrzymał się, by nie zlać się w spodnie.

Z każdą sekundą niedźwiedź stawał się coraz większy i bardziej widoczny. Podchodził do nich jakimś dziwnym, jakby ociężałym krokiem. Jego ruchy były celowe, ale niejednoznacznie agresywne. Nie były też ostrożne ani rozważne. Po prostu szedł tu wiedziony instynktem.

Zwierzę było wyjątkowo wielkie, ale bardzo przez zimę wychudzone, o czym świadczyły zwisające fałdy żółtego futra.

Chłopiec oprzytomniał, słysząc rozlegający się w ciszy dźwięk: mlaskanie i dyszenie wygłodniałej bestii. Rękami odzianymi w grube rękawice sięgnął do kieszeni, usiłując wyciągnąć stamtąd racę. Drżącymi dłońmi ją załadował, jednocześnie krzycząc na psa, żeby przestał ciągnąć i skakać. Spuściłby go ze smyczy, ale liczył, że szczekanie i warczenie odstraszy niedźwiedzia.

Wystrzelił rakiety całkiem zręcznie. Spadła, jarząc się i sycząc, tuż przy łapach zwierzęcia. Niedźwiedź zatrzymał się na chwilę, obwąchał ją podejrzliwie, a następnie uniósł pysk, kołysząc głową na boki. Doszedłszy do wniosku, że rakietka świetlna nie jest zbyt groźna, znowu ruszył, tym razem szybciej i ze zdecydowanie większą energią.

Chłopiec w szybkim tempie wystrzelił z pół tuzina kolejnych rakiet, jednakże niedźwiedź całkowicie je zlekceważył i szarżował bez chwili wahania. Chłopiec trzymał strzelbę gotową do strzału. Strzelenie do zwierzęcia było ostatecznością. Ranny niedźwiedź wpadłby w szal, a jego ruchy stałyby się jeszcze bardziej nieprzewidywalne.

Trzymając ciężką broń, chłopiec poczuł, że dłonie mu się trzęsą i że zachowuje się jak niezdara. Nie mógł sobie pozwolić na ściągnięcie rękawic, bo natychmiast odmroziłby sobie palce i wtedy nic by nie zdziałał. Już teraz, przestraszonego i drżącego, ogarniało go coraz dotkliwsze zimno. Nie mógł dłużej stać bez ruchu. Niedźwiedź czyhał w odległości jakichś trzydziestu kroków. W tej sytuacji najlepiej było spuścić psa z uwięzi. Z rosnącą paniką odwiązał linkę, a husky natychmiast skoczył ku bestii. Niedźwiedź przystanął, zdezorientowany. Z otwartym pyskiem śledził, jak wściekła futrzana kula biegnie wprost na niego, następnie okrąża go i wbija mu kły w tylną łapę. Niedźwiedź zaczął się wykręcać do tyłu, żeby dopaść psa, ale ten całą mocą szczęk uwiesił się jego łapy. Chłopiec, patrząc na tę scenę, drżał gwałtownie na całym ciele. Ostrzegano go, aby nigdy nie zdradził przed niedźwiedziem swego lęku, jednakże rzeczywistość okazała się inna od opowieści starszych, często przekazywanych z myślą o wywołaniu wrażenia na słuchaczach. Ten ogromny i rozszalały zwierz budził przerażenie; nikt nie mógłby temu zaprzeczyć. Chłopiec ze zdumieniem zauważył, że jego psi współnik nie odczuwa lęku. Choć mały w porównaniu ze swym przeciwnikiem, rzucił się do walki z furią odziedziczoną po przodkach.

Nie wiedząc, co robić, chłopiec wycelował broń w bestię. Pies nie odpuszczał, ale po paru chwilach ich szaleńczego tańca niedźwiedź zdołał wyrwać się z uścisku psich szczęk i ruszył biegiem po lodzie. Husky bez wahania popędził za nim.

Chłopiec wołał na psa, ale widząc, jak znika w dali, odwrócił się i puścił biegiem w stronę brzegu. Nadal trzymał broń, plecak zostawiwszy na lodzie za sobą. Osada znajdowała się dalej, niż podpowiadał wzrok, chłopiec więc pędził przed siebie, czując, jak do przemarzniętych palców u nóg i rąk znowu dociera mu krew, pompowana szybciej wskutek wysiłku. Już teraz wyraźnie widział domy, zwolnił zatem, głęboko oddychając. Jego płuca były do bólu wypełnione lodowatym powietrzem.

Szmery i szumy w jego ciele zagłuszyło ciche stąpanie po śniegu tuż za nim. Niedźwiedź zachodził go od tyłu – szybko, lecz niemal bezgłośnie. Najpierw chłopiec usłyszał, jak pies szczeka ostrzegawczo. Odwrócił się i ujrzał bestię szarżującą wprost na niego. Dopiero później zauważył psa – rannego, ociekającego krwią, ale nadal w pościgu za niedźwiedziem. Jakby czas nie odgrywał żadnej roli, chłopiec stanął bez ruchu i począł się zastanawiać, jak to się stało, że niedźwiedź jednak dopadł psa i tak bardzo go zranił.

I wtedy zwierzę ruszył do ataku. Dosłownie w ostatnim momencie gwałtownie zatrzymał się naprzeciw chłopca i stanął na tylnych łapach. Był w odległości zaledwie pięciu kroków, a jego cień ciemniał na śniegu. Reakcja chłopca była natychmiastowa: wycelował lufę w porośniętą futrem pierś, ale w momencie, gdy oddał strzał, zwierzę opadło na cztery łapy i kula ze świstem przeszła powietrze.

Cios gigantycznej łapy powalił go na lód. Straszliwy ból w klatce piersiowej uniemożliwił mu złapanie oddechu. Chłopiec zdał sobie sprawę, że tylko cud uratuje go od śmierci. Jednym skokiem niedźwiedź znalazł się na nim. I – choć chłopiec nie poczuł bólu – usłyszał, jak jego noga rozrywa się niczym zleżała skóra łośia.

Pies był także śmiertelnie ranny, jednakże jego lojalność wobec pana i nienawiść do niedźwiedzi dały mu siłę, by ponowić atak. Ogluszony szokiem chłopiec obserwował jego szaleńcze wysiłki, żeby odciągnąć niedźwiedzia, i myślał ze smutkiem, jak niekiedy odnosił się do wiernego psa z obojętnością, nie doceniając jego natury.

Niedźwiedź spodziewał się obfitego posiłku. W przeciwieństwie do

zwinnego i wściekłego psa, chłopiec leżał nieruchomo, jakby tylko czekał na śmierć przez pożarcie. Ze złością trzepnął łapą swego prześladowcę. Pies jednak uskoczył od jego pazurów i ciągle gryzł go w tylne łapy, zmuszając do okręcania się wkoło z rosnącą furją. W chwilowej jasności umysłu chłopiec dostrzegł swoją strzelbę nieopodal. Chciał się do niej doczołgać, jednak nie mógł się ruszyć, oddychał z najwyższym trudem.

Gdy wszelkimi siłami starał się nabrać powietrza w płuca, nastąpiła w nim zagadkowa przemiana. Poczuł w piersi ogromne uspokojenie. Zdawał sobie sprawę, że zbliża się koniec, jednak nie czuł żalu. Gdy nie pozwolił sobie na dalsze rozmyślenia i emocje, lęk także się oddalił. Jego ciało rozluźniło się. Z odwagą wyczekując niechybnej śmierci, przekręcił głowę, by zmierzyć się z nieuniknionym.

Z pewnym zdziwieniem dostrzegł zgarbionego, bardzo starego mężczyznę, który wyłonił się zza wzburzonego białoszarego futra. Chłopiec rozpoznał w nim kogoś sprzed wielu, wielu lat. Starzec wolno człapał po śniegu, zbliżając się do niego.

– Dalej, synu – odezwał się. – Chwyć mnie za rękę.

Wyciągnął gruzłowatą dłoń, ale pomimo starań ich obu, ich palce nigdy się nie spotkały.



# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

## Rozdział 1

*Cardiff, rok 2006*

Doktor Dafydd Woodruff z pewną niechęcią spojrział na żonę. Dla niego było za wcześnie na uprawianie seksu. Natomiast Isabel cierpiała na bezsenność i nabrała zwyczaju budzenia go bladym świtem. Trącała go kolanami, ocierała się sutkami o jego plecy, kręcąc się przy tym i wzdychając.

Gdy jednak osiągała swój cel, jak to się stało i tego ranka, często sprawiała wrażenie nieobecnej, pogrążonej w półśnie. On jednak wiedział, że tylko udaje. Zdradzały ją zbyt mocno przymknięte oczy i zmarszczone w skupieniu czoło. Bo dla Isabel stosunek małżeński był ciężką orką. Kiedy ich wspólny rytm osiągał apogeum, wyciągała ręce nad głowę i chwytiała dłońmi metalowe słupki u wezłowia. Łoże zaczynało się trząść, głośno uderzając o ścianę. Z tego wszystkiego znowu poluzowały się śruby w ramie, które Dafydd ciągle zapominał dokręcić. Gdy spróbował spowolnić ruchy, Isabel wydała okrzyk niezadowolenia.

Kiedy jej piersi wyraźnie się zaróżowiły, a uda zacisnęły wokół jego lędźwi, Dafydd ogarnęło niemiłe poczucie wykonywania powinności małżeńskiej. Jak zwykle próbował szczytować razem z żoną, zamykając oczy i licząc w duchu, że jej orgazm doprowadzi go do ejakulacji. Ale, niech to szlag, nic z tego nie wyszło.

– No, dalej, dalej. – Otworzyła oczy, czujna, wpatrując się w niego z udawanym żarem. – Nie myśl, że już z tobą skończyłam.

– Chyba żartujesz? – zapewnił ją i próbował dalej, ale zaciskanie szczęk na nic się nie zdało. Głęboka ambiwalencja, jaką odczuwał do całej tej sprawy, miała natychmiastowe przełożenie na jego organy rozrodcze. Nie dawał rady ciągnąć dalej.

– I to tyle? – odezwała się Isabel z wymuszoną swobodą. – W mój ostatni płodny dzień.

– Kochanie, daj spokój – odparł Dafydd, przewracając się na drugi bok. – To wszystko nie jest ot tak, na zamówienie.

Choć Isabel miała twarz rozgrzaną z wysiłku, podciągnęła prześcieradło

aż po brodę i utkwiała wzrok w suficie. Dafydd ciężko westchnął i obrócił się w jej stronę.

– Słuchaj, Isabel, przepraszam. Może twoje ciało działa zgodnie z kalendarzykiem płodności, ale moje nie.

– No dobrze – odparła. – Ale może będziesz łaskaw objaśnić, co ja źle robię?

– O, Chryste, Isabel, nie zaczynajmy od nowa. Jest piąta nad ranem. – Położył się na wznak i przez świetlik obserwował budzący się świt. Znużonym gestem dotknął jej dłoni. – Śpijmy. Twój płodny dzień jeszcze się nie zaczął.

– Skoro tak twierdzisz. – Odwróciła się do niego plecami i wkrótce jej oddech się wyrównał, stał się głęboki i miarowy. Dafydd starał się wyłączyć świadomość, odegnać od siebie rozpaczliwe poczucie klęski, jednakże kakofonia ptasich głosów dochodząca z ogrodu stawała się coraz bardziej intensywna i natarczywa. Zadrżał i otulił kołdrą wychłodzone ciało.

Ledwie zapadł w drzemkę, zbudził go szelest listów, które wsuwał listonosz przez szczelinę w drzwiach. Klapka odskoczyła, a w chwilę potem przesyłki spadły na kafelki w holu. Dafydd bronił się przed wypędzeniem z zalanej słońcem krainy, nad którą unosiła się czasza lazurowego nieba, jednakże wysiłek na nic się nie zdał. Wyskoczył stamtąd niczym korek spod wody, wynurzając się na powierzchnię realnego świata.

Ponad śpiącą postacią żony zerknął na tarczę budzika. Właśnie minęła siódma. Isabel leżała na wznak, lekko pochrapując, z prześcieradłem naciągniętym na głowę w obronie przed światłem dnia. On też dał nura pod pled, by do niej dołączyć. Była niemal tego samego wzrostu co on, a jej długie nogi ginęły w czeluściach wielkiego łóża. W półmroku popatrzył na ich nagie ciała, należące do tego samego gatunku, a jednak tak od siebie różne i – zgodnie z medycyną – niekompatybilne. Ten związek plemników i jajeczka nie chciał nastąpić, choć oboje próbowali różnych sposobów, praktycznie wszystkiego, co podsuwała współczesna nauka. Rhys Jones, ginekolog i położnik z imponującym dorobkiem w tej dziedzinie, musiał w końcu dać za wygraną. Poklepał ich oboje po plecach, zapewniając, że ciąża nadal może się przytrafić w sposób naturalny, trzeba tylko cierpliwości i czasu. Radził korzystać z termometru i kalendarzyka płodności, ale Dafydd wiedział, że jego szacowny kolega miał na myśli jakiś cholerny cud. W końcu oboje byli już po czterdziestce. Poza tym on sam miał już tego dość.

Ta sprawa odbierała im resztki uczuć. Dafydd już tak rzadko odczuwał coś w rodzaju pożądania, że aż go to przerażało. Próbował przekazać żonie, że coś istotnego przepadło bezpowrotnie, że czuje się za stary na ojcostwo, jednakże Isabel była nieugięta w dążeniu do macierzyństwa.

Wstał z łóżka, narzucił szlafrok i zszedł na dół. W kuchni nastawił czajnik elektryczny i podciągnął żaluzje. Na dworze było ponuro. Typowy słotny poranek w Cardiff. Martwe liście przywarły do mokrych okiennic, na parapecie widać było zielonkawe porosty. Dafydd nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział słońce, choć nadal panowało kalendarzowe lato. Wrzuciwszy porcję ziarnistej kawy do młynka elektrycznego, wsłuchał się w oszalały wizg, zarazem nadstawiając ucha w stronę sypialni. Uważał, że taki hałas potrafi zbudzić nieboszczyka. Jednak z góry nie dochodził żaden odgłos. Wciągnął w płuca drażniący nozdrza aromat, niepowtarzalną mieszankę śródziemnomorskiego baru i porannych obowiązków.

Gdy kawa się parzyła, poszedł do holu, żeby wziąć pocztę. Na podłodze, jak co dzień, ujrzał masę korespondencji. Podniósł listy i począł je rozkładać na komodzie na trzy sterty: do niego, do niej i śmiecie reklamowe. Jej stosik był jak zwykle największy, proporcjonalny do ofert pracy, jakie jej nadsyłało. Jednakże rachunki przychodziły zazwyczaj na jego nazwisko. Wziął swoje listy do kuchni. Z Bristolu nadszedł program konferencji naukowej, na której obiecał wygłosić odczyt, wymagający mnóstwa żmudnej pracy. Przeglądając resztę korespondencji, zatrzymał wzrok na błękitnej kopercie z lichego papieru lotniczego, zaadresowanej dziecięcym charakterem pisma. Spojrzał na nieznany mu znaczek. Kanadyjski. Na pieczętce można było bez trudu odczytać, że list nadano w Moose Creek, na Terytoriach Północno-Zachodnich.

– Moose Creek? – wykrzyknął mimowolnie, wpatrując się w nadruk.

Odwrócił kopertę. Dostrzegł nalepkę w kształcie błękitnego słonika umieszczoną na koniuszku trójkątnej klapki. Może ktoś dokopał się do czegoś, co tam po sobie zostawił, albo jakaś osoba zapragnęła po latach odnowić z nim sentymentalny kontakt. Po tylu latach? Myśl ta wywołała lekki ucisk w dole brzucha. Rozdarł kopertę, podważając ją palcem wskazującym.

*Drogi Panie Doktorze Woodruff, Mam nadzieję, że nie ma Pan nic*

*przeciwko temu, że do Pana – piszę. Myślę, że jestem Pańską córką. Na imię mi Miranda i mam brata bliźniaka, Marka. Od tak dawna pragnęłam Pana odnaleźć, że zamęczałam Mamę na śmierć. Aż wreszcie miły doktor, Anglik, który przyjechał pracować do naszego szpitala, pomógł Mamie odnaleźć Pana nazwisko w spisie lekarzy.*

*Jeśli Pan zapomniał o mojej Mamie (Sheila Hailey), to wyjaśniam, że jest ona tą piękną kobietą, w której Pan się kochał, mieszkając w Moose Creek (to taka dziura, że wcale się nie dziwię, że pan stąd wyjechał, słowo honoru). Teraz, kiedy jestem już wystarczająco dorosła (mam prawie trzynaście lat), Mama wszystko mi opowiedziała. O tym, jak to się stało, że musiał Pan wracać do Anglii i wy oboje nie mogliście się pobrać, i w ogóle. To taka smutna historia. Opisałam ją w wypracowaniu szkolnym, dając jej tytuł „Opowieść miłosna”, i dostałam piątkę. Moja nauczycielka, pani Basiak, była zachwycona.*

*Proszę odpisać lub zatelefonować zaraz po otrzymaniu tego listu.*

*Z miłością*

*Miranda* Na dole kartki znajdował się numer skrytki pocztowej w Moose Creek i numer telefonu.

Na dłuższą chwilę Dafydd zamarł przy zlewie. Przeczytał list po raz drugi i trzeci, nic nie rozumiejąc, aż w końcu poczuł swoje stopy. Chłód ciągnący od podłogi był tak intensywny, że zdrętwiały mu nogi, jakby stał boso na lodzie. Spuścił wzrok i nagle ujrzał odmrożone paluchy, pokryte pęcherzami, szerniałe stopy pokryte umierającą tkanką. I dziewczynę, półnagą, zeszywniałą w śniegu... w cudownym, bezkresnym śniegu. Na krańcu tej oślepiającej bieli dostrzegł wyraźny zarys sylwetki małego lisa, cień swojej świadomości. Stary człowiek, inuicki szaman, dawno temu przepowiedział mu, żeby strzegł się liska w swoim sąsiedztwie. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Wszystko to należało do dziwacznej sprawy z odległej przeszłości, ale z niejasnego powodu poczuł teraz gwałtowny lęk.

– Hej! – Głos Isabel dochodzący z góry poraził go niczym piorun. – Rozkoszny zapach kawy!

– Już idę! – odkrzyknął. – Wsunąwszy list do kieszeni szlafroka, wrócił do porannych obowiązków.

Isabel uśmiechnęła się pojednawczo na widok kubka kawy, ale Dafydd nie zwracał uwagi na jej minę. Zastanawiał się nad listem. Usiłował sobie

przypomnieć rozmaite szczegóły. Sheila Hailey... to obłąkane... niemożliwe.

– Kochanie, słuchaj. Wiem, że byłam... – zaczęła Isabel, ale szybko umilkła. – Co się stało?

Nie zdołał dotrzymać obietnicy, którą złożył sobie w duchu: nie wspominać o liście. Przedmałżeńska przeszłość to niby jego sprawa, ale kiedy dochodziło do konfrontacji z żoną, Dafydd nie umiał niczego przed nią ukryć.

– Dostałem list. Odnoszę wrażenie, że nadawca z kimś mnie pomylił.

– Nie mów! – przekrzywiła głowę. – Ile to może kosztować i po jakim kursie?

Chryste. To wcale nie było śmieszne. Przysiadł na skraju łóżka.

– Weź się w garść. To chore. – Z wahaniem włożył rękę do kieszeni, wyciągnął list i wręczył go żonie. – Zobacz sama i powiedz, co o tym sądzisz.

Isabel spojrzała na niego uważnie i odstawiła kubek na szafkę nocną. Wyciągnęła z koperty zmiętą stroniczkę, rozprostowała ją. Dafydd obserwował, jak szybko przebiega wzrokiem treść, bezgłośnie wymawiając każde słowo. Skończyła. Przez chwilę siedziała w milczeniu, gapiąc się na kartkę. Następnie przeczytała ją ponownie, tym razem na głos. Robiła to ze swadą, przybierając dziewczęcy ton i naśladowując amerykański akcent. Zawsze miała dar mimikry. Jej popis go zirytował. Przyszło mu nawet do głowy, że to Isabel napisała ten list. Jako rodzaj żartu. Albo testu. Jednakże wyraźnie zbladła, usta jej zbieleły. Znienacka rzuciła mu kartkę na kolana.

– Cóż to jest?

– A nie mówiłem?

Przypatrywali się sobie przez dłuższą chwilę.

– Kim jest ta osoba?

Dafydd bezradnie wzruszył ramionami.

– Zostawiłeś ciężarną kochankę w Kanadzie?

Na szyi wystąpiły mu czerwone pręgi. Poczuł je na sobie jak eksplozję gorąca. Isabel też je zauważyła i wwiercała się w nie wzrokiem. Zawsze twierdziła, że znamionują nieczyste sumienie, podczas gdy on utrzymywał, że to objaw stresu. Od razu się zdenerwował.

– O, na miłość boską. Jasne, że nie.

– No to o co chodzi?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, i sam siebie zapytywał w duchu, po

diabła pokazał jej ten list. Było przecież jasne, że Isabel po jego przeczytaniu osłupieje i zacznie go przesłuchiwać. Powinien był podrzeć kartkę na strzępy, wrzucić do kubła na śmieci i przysypać fusami po kawie. I na tym sprawa by się pewnie skończyła. Teraz musi się tłumaczyć.

– Znam to nazwisko. Sheila Hailey była przełożoną pielęgniarek w szpitalu, w którym pracowałem. Mogę cię jednak zapewnić, że nic mnie z nią nie łączyło. – Uczucie pieczenia posuwało się w górę i teraz ogarnęło całą twarz. – Przysięgam ci, że po prostu nie mogę mieć żadnego dziecka w Moose Creek. To absolutnie wykluczone.

Cała ta sprawa była absurdalna.

– I nie zapominajmy – dodał ostrym tonem – że ilość moich plemników, jak mi to często wypominasz – jest minimalna.

– Tak, wiem o tym – przytaknęła Isabel. – Ale tak jest teraz. – Oparła się o wezglowie, pijąc kawę małymi łykami. Gwałtowny sprzeciw męża najwyraźniej jej nie przekonał. Oboje zamilkli.

Dafydd przymknął oczy, przebiegając w myślach tamten rok spędzony w Kanadzie. Czy mogło się tak zdarzyć, że jakaś kobieta przez niego zaszła tam w ciążę, a on kompletnie o tym nie wiedział? Nigdy nie należał do podrywaczy, to nie było w jego stylu. Ale też nie mógł tego całkowicie wykluczyć, bo w tym okresie nie żył w ścisłym celibacie. Jednakże, biorąc pod uwagę jego maniakalną troskę o odpowiednie zabezpieczenie przed niechcianą ciążą, było to mało prawdopodobne. W każdym razie sprawa dotyczyła konkretnej kobiety, Sheili Hailey, a z nią przecież nie spał.

– Może zapiełeś, przeleciałeś tę kobietę i kompletnie o tym zapomniałeś? – odezwała się Isabel.

Rozumiał jej konsternację, ale nie podobał mu się ostry ton głosu.

– Isabel, dobrze mnie znasz. I, jeśli łaska, nigdy nie zajmowałem się przelatywaniem.

– Ależ zajmowałeś się, kochanie. Co się tak bronisz? Przecież jest to zupełnie realna możliwość – powiedziała z uśmiechem.

– Wcale się nie bronię. Do cholery, przecież wszystko o mnie wiesz. Powtarzam ci, to jakaś pomyłka. Albo komuś tam odbiło. Może wskutek gorączki arktycznej? Skąd mogę wiedzieć?

Nie chciał przed nią ukrywać swojej przeszłości – przecież żona zasługiwała na szczerą – ale rzeczywiście, nie wiedziała o nim wszystkiego, a w każdym razie nie znała absolutnie wszystkich szczegółów.

Po latach przyznawania się nawzajem do wszelkich grzeszków, nawet najbardziej żenujących i nieprzyzwoitych, Dafydd zdołał jednak zachować wyłącznie dla siebie swoje doświadczenia arktyczne. Te sprawy w jego życiu były zbyt delikatne i na swój sposób zbyt mu drogie, by się przed nią otwierać i poddawać jej surowemu osądowi.

Radio, zaprogramowane na ósmą rano, nagle rozjazgotało się na całą sypialnię. Isabel wyciągnęła rękę, by je ściszyć, lecz Dafydd powstrzymał ją gestem.

– Posłuchajmy wiadomości.

– Teraz? Mówisz serio? – Spojrzała na niego gniewnie, ale nastawiła radio głośniej. Oboje udawali, że wsłuchują się w codzienny zestaw horrorów i nieszczęść, doniesień o kolejnych samochodach-pułapkach w Iraku, powodziach w Chinach i katastrofie humanitarnej w Sudanie. Po kilku minutach Isabel bez pytania zgasiła radio. – Dafydd. Chyba powinniśmy porozmawiać?

Zajął mu kilka sekund, żeby wrócić do terażniejszości i skierować uwagę na domowe realia. Spojrzał na żonę. Światło z okna padało na jej gęste blond włosy, połyskliwe i zmienne jak promienie słońca na powierzchni wody. Poranna scysja dodatkowo wyostrzyła jej orle rysy. Nos Isabel wydawał mu się bardziej spiczasty, a bystre spojrzenie ciemnych oczu jeszcze bardziej przenikliwe niż co dzień. Była kobietą o rasowym wyglądzie, zwłaszcza w trakcie awantur. Zawsze ubolewała, że jej wysoki wzrost i wyrazista twarz działają na jej niekorzyść. Mężczyźni nigdy ci nie powiedzą, że jesteś wrażliwa. Musisz troszczyć się o siebie, sama walczyć o różne dojścia. Miała rację. Dafydd, myśląc o tym, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Isabel wyglądała srogo, doskonale zdając sobie z tego sprawę.

Zauważyła jego uśmieszek i w zdenerwowaniu zaczęła grzebać w szufladzie szafki nocnej. Wreszcie wyciągnęła stamtąd paczuszkę tytoniu i bibułkę do papierosów. Dafydd obserwował, jak długimi, smukłymi palcami zwija cieniutki papier i nie bez trudu skręca go w kluchowatą rurkę, przeciągając językiem po nagumowanym skraju.

– Jesteś pewna, że masz na to ochotę? – spytał, choć przyznawał w duchu, że w tym okropnym nawyku jest coś pociągającego. – Pamiętaj, rzuciłaś palenie trzy tygodnie temu.

– A kto tak dokładnie liczy? – odgryzła się, zapalając skręta. Zaciągnęła się z wyraźną rozkoszą. – Dafydd, czy to mógł być czyjś dowcip? Może



obłąkany żart któregoś z twoich kolegów z obrzydliwym poczuciem humoru?

Machinalnie pogładził ją po udzie.

– Czy ktoś z naszych znajomych byłby do tego zdolny? Nie, nie sędzę. Nie mam ani przyjaciół, ani wrogów z taką wielką wyobraźnią.

Isabel kaszlnęła, strząsając śmierzący wałek popiołu na urodzinową kartkę, którą jej dał poprzedniego tygodnia.

– A może wyciął ten numer któryś z prostaków stamtąd? Kim jest ta pielęgniara? Ma coś przeciwko tobie? Czy chodzi o jakiś szantaż?

Dafydd potrząsnął głową.

– Nie... nie mogę pojąć, o co tu chodzi i dlaczego. Pamiętaj, minęło czternaście lat.

– Mówmy serio. Dlaczego jakaś kobieta usiłuje skarżyć o ojcostwo mężczyznę mieszkającego w odległości tysięcy kilometrów, a na dodatek lekarza? – Isabel objęła rękami kolana. – Proste badanie krwi wykazałoby, że nie ma racji. Wystarczy przeciętnej inteligencji, żeby zdać sobie z tego sprawę. A ona jest przecież pielęgniarką, tak? I te biedne dzieciaki – bliźnięta – jakaż matka pozwoliłaby swojemu dziecku, żeby na próżno pisało do człowieka, który nie jest jego ojcem?

– Podejrzewam, że to młode dziewczę jest obdarzone niezwykłą fantazją.

– Zerknął na budzik. Nie mógł już dłużej przeciągać rozmowy. Poklepując Isabel na zgodę – po ramieniu, zmusił się do wstania z łóżka. – Kimkolwiek jest ta mała, żal mi jej.

– Zbudź się, Dafydd! – Isabel walnęła pięścią w materac, rozsypując na pościeli popiół strząsany na urodzinową kartkę. – To nie jest dziewczynka z rozbuchaną wyobraźnią. Jej matka najwyraźniej zadała sobie sporo trudu, żeby cię odnaleźć. Myślisz pewnie, że wystarczy zamknąć oczy i – fru-u – masz problem z głową? To takie dla ciebie typowe.

Zniecierpliwiony jej wybuchem złości wstał i zamknął się w kabynie prysznicowej. Puścił na głowę silny strumień. Stojąc pod wodną czaszą starał się nie dopuścić do siebie złych myśli, lecz tym razem poranna terapia nie przyniosła rezultatów. Sheila Hailey. Nagle ujrzał ją wyraźnie, nazbyt wyraźnie. Nadstawił twarz pod kłujące krople, żeby zmyć sprzed oczu ów natrętny obraz.

W przerwie między operacjami Dafydd usiadł na stołku, czekając, aż Jim Wiseman, anestezjolog, przygotowuje do zabiegu kolejnego pacjenta. Zerkając

na zegar ścienny, aż podrygiwał pod wpływem rosnącej irytacji. Wiedział, że w trakcie czekających go obowiązków nie może sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. Wykonał więc kilka głębokich wdechów i począł przebierać palcami w gumowych rękawiczkach, żeby złagodzić napięcie w dłoniach. Po rozstaniach z Isabel w nieprzyjaznym nastroju zawsze zjawiał się w szpitalu spięty. A w minionych tygodniach nierozładowany stres między nimi dawał o sobie znać codziennie. Jej puls biologiczny odzywał się najgłośniejszym błędem świtem, wówczas bywała najbardziej porywcza. Teraz doszedł do tego ten przeklęty list. Jednego był wszakże absolutnie pewien: zarzut ojcostwa jest wręcz absurdalny. Dlaczego więc był nim tak poruszony? Po co w ogóle reagować na ten żalony, pomyłony list, na głupią uwagę rzuconą na oślep przez kogoś, kto mieszka tysiące kilometrów stąd?

– Wszystko gotowe – krzyknął do niego Jim, znieczuliwszy w końcu pacjentkę. Nowa instrumentariuszka, wesola i młoda Jamajka, poruszała olbrzymimi biodrami w rytm muzyki dudniącej w jej uszach. Asystenci czekali, nieodgadnieni w swoich maskach chirurgicznych.

– Do jakiej to muzyki pani tańczy? – Dafydd zagadnął pielęgniarkę, robiąc jednocześnie cięcie na podbrzuszu chorej.

– Nic nie słyszę – odparła ze śmiechem, od którego zakołysał się jej gigantyczny biust. – Pewnie pan, panie Woodrot, nie lubi takiej muzyki.

– Woodruff... I rzeczywiście, pani ruchy wprowadzają niepotrzebne zamieszanie. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu...

Nie rozumiała go.

– Człowieku, dlaczego miałabym mieć coś naprzeciw? Każdy ma prawo do swojego zdania. Nie zamierzam się obrażać. – Parsknęła śmiechem, w dalszym ciągu kołysząc biodrami.

Jej impertynencka odpowiedź natychmiast go rozweseliła. Cholera, miło jest mieć tu do czynienia z nieangielskim stylem bycia, gdy wszyscy naokoło są tacy ponurzy. Przy stole operacyjnym zapadła cisza, a tańcząca instrumentariuszka wykonywała swoje obowiązki z godną pozazdroszczenia wprawą.

– Przekłeta Sheila – wymamrotał Dafydd pod nosem, ucinając zainfekowany wyrostek robaczkowy i wrzucając go do pojemnika.

Jamajka uniosła wzrok.

– Pan coś mówił?

– Nie, nic.

Podawała mu kolejny instrument, na który spojrzał z wahaniem, jakby nie mając pewności, do czego służy. Uświadomił sobie nagle, że to, co go gryzie, to nie list nieznajomej dziewczynki i jej dziwaczne stwierdzenie. Nie, to dotyczy samej Sheili Hailey. Jeśli ta kobieta napuściła na niego własną córkę (jeśli w ogóle ją ma), na kłopoty nie będzie trzeba długo czekać; Isabel ma rację. Ale dlaczego właśnie teraz, kiedy on mieszka w drugiej części globu? Być może, gorycz i nienawiść nie znają granic ani czasu, ani przestrzeni. Po karku i ramionach przebiegł go nagły dreszcz.

– Nic panu nie jest? – chciała się upewnić pielęgniarka. Jim wsunął głowę przez zasłonę. Z tymi maskami ich twarze były nieprzeniknione. Oboje jednak – i anestezjolog i instrumentariuszka, której imienia nawet nie znał – sprawiali wrażenie zatroskanych. Dafydd pochylił się nad pacjentką, zmuszając się do większej koncentracji. Musiał dokładnie sprawdzić jelito cienkie, by przed nałożeniem szwów na otrzewną zbadać, czy nie jest zainfekowany uchyłek Meckela. Zgrabnie mu wszystko poszło, więc blizna pooperacyjna będzie bardzo mała. Pacjentką była dwudziestokilkuletnia dziewczyna z rozkosznie gładkim brzuchem. Na pewno będzie zachwycona.

Ściągnął rękawiczki, zrzucił kitel i ruszył w kierunku pokoju wypoczynkowego. Gdy siedział przy laptopie, pisząc uwagi na temat stanu pacjentki, drzwi uchylły się. Do pomieszczenia wszedł Jim, garbiąc się jak zwykle.

– W porządku? – rzucił w jego stronę, nalewając sobie smolistej kawy z automatu.

Dafydd uniósł wzrok znad komputera.

– Tak... dlaczego pytasz?

– Wszystko w porządku?

Czy jego chwilowa dekoncentracja była tak czytelna dla innych? Jim był jednym z nielicznych kolegów, którzy dobrze go znali. Zdawał sobie sprawę z kłopotów, jakie przeżywali oboje z Isabel. Wiedział o bezskutecznym leczeniu bezpłodności i towarzyszącym temu napięciom.

– Taa, jasne – skłamał Dafydd i obrócił się twarzą do monitora.

– A z Isabel?

– No cóż, nadal nici. Ona nie chce dać za wygraną. Ale w pracy idzie jej świetnie, w każdym razie ma mnóstwo zamówień. Jest po prostu rozrywana. Powinienem być z tego zadowolony. Kto wie – roześmiał się nerwowo – może przejdę na wcześniejszą emeryturę.

– Chyba zwariowałeś. Popatrz na siebie. – Mówiąc to Jim zerknął na swój gigantyczny obwód w pasie.

Dafydd zamknął laptop i zaczął zbierać swoje rzeczy. Przez chwilę kusilo go, by opowiedzieć Jimowi o liście, ale zamiast tego dźgnął go palcem w wystający brzuch, mówiąc: , – Chłopie, wskocz na rower, zamiast tylko o tym gadać.

Właściwie nie miał ochoty wracać do domu. Tego oskarżenia nie sposób odłożyć na bok. Isabel będzie chciała rozmawiać z nim przez cały wieczór. Zasiądą oboje nad listem, żeby wynaleźć w nim jakieś tropy. Będą padały kolejne pytania, on sam nie będzie już mógł niczego dodać. Ruszył korytarzem, wszedł do męskiej toalety i zamknął się w kabinie. Położywszy teczkę na podłodze, usiadł na sedesie. Ktoś zajął sąsiednią ubikację, siknął, odkaszlnął głośno, splunął i spuścił wodę. W szczelinie między ścianką działową a podłogą Dafydd ujrzał parę kapci. Ich posiadacz poczłapał w kierunku drzwi. Co za głupota! Po co tu tkwi? Mógłby raczej posiedzieć w stołówce albo na ławce w parku, albo jeszcze lepiej – w pubie, nad kuflem piwa.

Ukrył twarz w dłoniach. Ze wszystkich miejsc właśnie Moose Creek... Zamknawszy oczy, usiłował wywołać w pamięci obraz tego miasteczka, ale wyobraźnia podsuwała mu jedynie ogromną, pokrytą śniegiem przestrzeń.

Całymi latami starał się nie rozważać, po co tam w ogóle pojechał, i nie rozmyślać o incydencie, wskutek którego porzucił świetnie zapowiadającą się karierę chirurga i uciekł na koniec świata, gdzie nikt o zdrowych zmysłach, a tym bardziej lekarz, nie pojechałby z własnej woli. Jednakże nigdy nie opuściło go dojmujące poczucie katastrofy. Tkwiło w nim nadal, w zakamarkach mózgu. To był jeden z powodów, dla których nigdy nie opowiadał o roku spędzonym na kanadyjskim odludziu.

Naiwnie liczył, że Moose Creek oczyści go z hańby. Był tak zdesperowany, że nie miał zielonego pojęcia, dokąd właściwie jedzie. Jego jedynym celem była ucieczka – najdalej jak tylko można, do najodleglejszego miejsca na Ziemi.

## Rozdział 2

*Moose Creek, rok 1992*

Dafydd tak mocno zacisnął palce na oparciu fotela, że aż zbieleły mu kostki. Odnosił wrażenie, że samolot spada pionowo na ziemię. Po chwili jednak spokojnie wylądował i sunął po płycie lotniska, podskakując niczym płaski kamyk rzucony na powierzchnię stawu. Wreszcie maszyna zakołysała się gwałtownie i powoli wyhamowała na końcu pasa startowego. Zestresowany pasażer odetchnął z ulgą, podziękował opatrności i począł przebierać palcami, żeby przywrócić rękom właściwe krążenie.

Zebrał swoje rzeczy, uśmiechnął się do barczystej stewardesy, która stanowczym gestem skierowała do schodków jego i trójkę pozostałych pasażerów. W jej zachowaniu znać było pośpiech, bo samolot leciał dalej do Resolute, ostatniej miejscowości przed biegunem północnym. Gdy wynurzył się z kabiny, poczuł przed sobą ścianę upału. Powietrze było gęste i nieruchome. W ciągu zaledwie paru sekund oblepił go pot. Słysząc było ciągły szum, najprawdopodobniej maszyny do odstraszania owadów, choć nigdzie w pobliżu nie można ich było dostrzec.

Przed wzniesionym z prefabrykatów terminalem czekały dwie taksówki. Współpasażerowie czym prędzej podążyli w stronę czystszej. Ta, która została, była zdezelowanym i starym chryslerem Aliantem – takie auto Dafydd podziwiał, będąc chłopcem – z paskudnym wgnieceniem na przednim zderzaku. Uniósł brwi, na co kobieta za kierownicą skinęła głową. Chwycił więc dwie walizki i począł je ciągnąć w stronę samochodu.

– Niech mnie kaczka kopnie – zaskrzeczała kobieta z dziwnym, prawie niezrozumiałym akcentem, pomagając mu wtaszczyć walizki do bagażnika.

– Zostaje pan z nami na dłużej, sądząc po pańskim wyglądzie.

– A jakże, na dziesięć miesięcy. „ – W reakcji na jej jowialny uśmiech Dafydd wyszczerzył zęby. Następnie wsunął się na siedzenie usłane psią sierścią.

– To niby... do pracy w leśnictwie? – Kobieta wprawdzie zasiadła za kółkiem, ale odwróciła się do niego twarzą i gapiła się bez cienia zażenowania.

– Nie – odparł stanowczym tonem, widząc, że jest wzięty na spytki. – Mogłaby mnie pani zawieźć do hotelu Klondike?

– Jasne. – Zapaliła silnik i gwałtownie ruszając z parkingu pokrytego żwirem, wzniosła za sobą tuman kurzu.

– W jakim fachu pan pracuje? – Nie zamierzała ustąpić, obrzucając wzrokiem jego nieskazitelny granatowy garnitur. – Ten pański strój od parady za dzień lub dwa będzie wyglądał smętnie – zachichotała.

– A co pani zdaniem powinienem nosić? – odparł z nutą zgryźliwości Dafydd, spoglądając, jak do jego nogawek przyczepiają się psie kłaki.

– To już zależy od tego, co pan robi ~ kobieta zaczęła przepytywanie od nowa. – A na moje oko, na drwała pan nie wygląda. – Rozbawiła ją własna uwaga. I odwróciwszy się twarzą do swego pasażera, w ogóle nie patrząc na szosę, czekała na odpowiedź.

– Jestem lekarzem – poinformował ją szybko.

– Ale numer! – Kwiknęła z radości. – Tak sobie właśnie kombinowałam. – Gwałtownie skręciła, żeby wyminąć – dziurę w jezdni. – Nikt się bardziej z tego nie ucieszy niż ja sama, powiadam panu. – Oderwała tłustą dłoń od kierownicy i serdecznie uściśnęła rękę pasażera. – Nazywam się Martha Kusugaq. Mam czyraka na stopie, boli jak diabli. Jak prowadzę, to aż skręca mnie z bólu. Patrz pan. – Pochyliła się, żeby ściągnąć pantofel i pokazać wypełniony ropą wrzód na podbiciu.

– Rzeczywiście, paskudny – zgodził się Dafydd, wbijając wzrok w krętą i kamienistą drogę. Liczył w duchu, że kierowca uczyni to samo.

– Będzie pan jutro w przychodni? – zapytała, patrząc na niego z nadzieją.

– Tak sędzę. – Oto ma już pierwszego pacjenta!

– Dobra, to do jutra. O, załatwiłam sobie wizytę. – Wsunęła stopę do pantofla. – Ci doktorzy, jakich mamy tutaj, to zasmańcy, niech skonam. Zapyta mnie pan o cokolwiek, a wszystko z miejsca objaśnię. – Spodziewała się pewnie lawiny pytań, ale gdy odpowiedziała jej cisza, zerknęła na niego spod grzywki i zagadnęła z pewną nutą podejrzliwości: – A z jakiego to powodu taki przystojniak zapędził się do naszego leśnego pustkowia?

Nie ma żadnego powodu do zdenerwowania – powiedział sobie w duchu. Nikt tu o nim nic nie wie prócz tego, co sam umieścił w zwięzłym CV. Dyrektor szpitala, doktor Hogg, nawet nie sprawdził jego referencji. A zresztą był pewien, że nawet gdyby ci tutaj dowiedzieli się, dlaczego się zgłosił, nic by ich to nie obchodziło. Młodzi chirurdzy nie pojawiają się w

Moose Creek masami.

Martha tymczasem wpatrywała się w niego z nieskrywaną ciekawością, ciągle czekając na wyjaśnienia.

– Dlaczego pani o to pyta? – odparł żartobliwym tonem, starając się ukryć zmieszanie. – Czy chce pani przez to powiedzieć, że to niewłaściwe miejsce dla takiego miłego faceta jak ja?

– Faceta? – Martha zaśmiała się. Gwałtownie nacisnęła – na hamulec, żeby nie przejechać futerkowego stworzenia, które przebiegało przez jezdnię. – O, to miejsce jest w porządku, w każdym razie dla takich jak ja. My tu nazywamy je zadu... to znaczy dziurą na końcu świata. – Znowu odwróciła się całkiem w jego stronę. – Oni tu wszyscy przyjeżdżają, bo nie mają się gdzie podziać. Znaczą się, te mądrale.

– Kto?

– No, wie pan... doctory.

Dafydd mimowolnie zazgrzytał zębami.

– Daleko jeszcze? – zapytał.

– Widzi pan, my tu mamy swoje sposoby leczenia. Po babci przejęłam parę. – Znowu zerknęła za siebie, śmiejąc się gardłowo. – Założę się, że mogłabym pana nauczyć tego i owego.

Dafydd skapitulował i wybuchnął śmiechem, a jego przewodniczka natychmiast zawtórowała. Przynajmniej poczuł się zauważony jako istota ludzka i poinformowany, że wszyscy doktorzy to zasańcy (gdyby ona się dowiedziała!).

– Czy mam zacząć się martwić? – zagadnął. – Wiecie mnie pani i wiecie.

– Strzeż się, człowieku, taki przystojny chłopak jak ty. Pełno jest bab, które chętnie położyłyby na tobie swoje tłuste łapska. Już ja ci to mówię. Czekaj no... trzydziestka, nie?

– Blisko, ale nie powiem – odparł z uśmiechem.

Zerknął na nią ukradkiem. Pewnie między czterdziestką a pięćdziesiątką. Bez wątpienia należała do rdzennych Indian. Głowa i szyja masywne, osadzone na szerokich ramionach. Szorstkie czarne włosy splecione w warkocz spadający na plecy. Dość mały biust, zwłaszcza w porównaniu z wystającym brzuchem, a na chudych, lecz umięśnionych łydkach coś w rodzaju legginsów. Cera gładka i świeża zarazem, a w oczach figlarne błyski.

Przed nimi ukazało się miasteczko. Sprawiało wrażenie całkowicie

płaskiego, żaden dom nie miał więcej niż dwie kondygnacje. Było ponuro i sucho jak na pustyni. Domostwa otaczał rzadki las iglasty, w dali majaczyły wzgórza lub góry. Nad budynkami powietrze drgało od upału. Minęli motel wzniesiony z byle jak oszalowanych desek. Niskie i krzywe kabiny ciągnęły się wzdłuż drogi. Sąsiadowały z równie chybotliwą budowlą – Kafeterią Colleen. Taksówka jechała teraz główną ulicą. Dafydd przyglądał się jej z mieszaniną ciekawości i odrazy. Zanim tu przyjechał, przestudiował widok miasteczka z lotu ptaka na pocztówce przesłanej mu przez doktora Hogga wraz z opisem jego obowiązków. Obrazek kusił egzotyką: autentyczna osada subarktyczna pokryta lodem i śniegiem. W broszurze przeznaczony dla turystów opisano to miejsce jako leżące *pośród pięknego krajobrazu, otoczone wysokimi górami, grzęzniętymi rzekami, lśniąco jeziorami i niekończącymi się borealnymi lasami, które przemieniają się w tundrę arktyczną*. Tymczasem rzeczywistość składała się z obrzydliwych, pokrytych kurzem, rozwalających się domów, wzniesionych pomiędzy tysiącami kilometrów nędznych lasów. Dafydd uzmysłowił sobie, że jest dopiero koniec lata. Ów biały, nierealny i tajemniczy pejzaż został uwieczniony podczas najcieńszej zimy, gdy temperatura spada poniżej pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Wkrótce to pewnie nastąpi.

Martha nacisnęła z piskiem hamulec i samochód zatrzymał się przed dziwną, pretensjonalną budowlą. Charakteryzowała się ona sztuczną fasadą, jakby przeniesioną z planu westernu. Jej ozdobne ramy okienne i eleganckie balkony były zrobione nie z drewna, lecz z tanich plastikowych wytlóków, teraz spękanych i spłowiałych. Na złotych łańcuchach dyndał szyld: Hotel Klondike.

– Oto jesteśmy – zaanonsowała Martha z odcieniem dumy, jakby to ona była właścicielką hotelu. – Nic lepszego nie znajdziesz w tej okolicy.

Odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w oczy – Słuchaj teraz uważnie, doktoru. Jak będziesz potrzebował taksówki, kiedykolwiek – w dzień lub w nocy, zadzwonisz do mnie, dobra?

– Dzięki, Martho, ale zamierzam wszędzie poruszać się pieszo. To przecież nieduża miejscina. – Wybuchnął śmiechem, wskazując na ulicę przed sobą i za sobą. – Po co mi taksówka?

– Sam zobaczysz – pouczyła go Martha. – Niedługo będziesz postępował jak cała reszta. Nikt się tu nie przechadza. Jest na to albo za gorąco i za dużo kurzu, albo za zimno i za ślisko, albo ze zmęczenia będziesz padał na pysk.



Najbardziej grozi ci to ostatnie. – Jej głos trochę złagodniał, gdy Dafydd wyciągnął dwudziestodolarowy banknot, nie domagając się reszty. – Ty, młody, dbaj tu o siebie. Naprawdę. To miasto to nie dziecinna zabawka.

Przed plastikowym portalem hotelu Klondike kręciło się sporo mężczyzn. Wyglądali na miejscowych Indian. W ostrym słońcu sprawiali wrażenie wysuszonych, skarłatych istot: niscy, przysadziści, ubogo odziani. Niektórzy z nich byli chyba podpici, choć minęła dopiero trzecia po południu.

Gdy Dafydd taszczył swe bagaże w stronę wejścia, jeden z gapiów rzucił się w jego kierunku, próbując wyrwać mu walizkę. Dafydd stawiał mu opór, zdumiony gwałtowną napaścią. Wynikła z tego przepychanka, bo obaj mężczyźni, uczepliwszy się rączki, usiłowali przeciągnąć walizkę w swoją stronę. Reszta Indian podpierających ścianę głośno chichotała. Nikt nie zamierzał interweniować.

– Człowieku, ja wcale nie chcę cię obrabować! – krzyknął rzekomy napastnik i puścił rączkę. Dafydd stracił równowagę i przewrócił się bokiem na drugą walizkę, którą w czasie szamotaniny rzucił na ziemię. – Chciałem tylko pomóc – ciągnął tamten, spoglądając na swą ofiarę leżącą na pokrytym pyłem chodniku. – Tu, na północy, obowiązuje grzeczność wobec przybyszów. – Na jego twarzy ukazał się impertynencki uśmiech. – Czy to się panu podoba, czy nie.

Dafydd podniósł się i zaczął otrzepywać ubranie.

– Mógł mnie pan uprzedzić. – Był pewien, że tamten celowo doprowadził do jego upadku.

– No już dobra – odparł Indianin. – Da pan parę centów?

Przez chwilę Dafydd wpatrywał się w niego nienawistnie. Był zdenerwowany całym zajściem i zastanawiał się, czy tamten nie wziął go za biznesmena w podróży służbowej, który może być łatwą zdobyczą. A może taka animozja do obcych jest tutaj na porządku dziennym.

– Mówi pan serio? – warknął z gniewem. Uparł się, że ostatnie słowo będzie należało do niego.

Gapie roześmieli się. Dafydd wyczuł, że teraz stanęli po jego stronie, dzięki czemu cały incydent przestał być taki groźny. Spojrzawszy za siebie zauważył Marthę Kusugaq, która z założonymi rękami stała obok taksówki. Zdawało mu się, że niemal niezauważalnie skinęła mu głową, jakby chwaląc jego reakcję. To pozwoliło mu odzyskać panowanie nad sobą. Z

podniesionym czołem wszedł do holu hotelowego, ciągnąc za sobą ciężkie walizy.

W hotelowej restauracji zjadł zaskakująco dobry posiłek. Zapiekaną z łosia, specjalność kuchni, z sosem żurawinowym i z ryżem. Firmowe wino było na jego gust nieco za słodkie, ale wypił je do ostatniej kropli, bo miało zbawienny wpływ. Był sam, nie licząc starszej pary przy stoliku w rogu. Tamci biesiadowali przy butelce jakiegoś ciemnobursztynowego alkoholu i dwóch paczkach papierosów, jego i jej, paląc w zawziętej ciszy.

Natomiast w „salonie piwnym” panował tłok. Ze swego miejsca Dafydd miał dobry widok na bar za łukowatym przejściem. Unosiły się stamtąd kłęby dymu i dochodziły strzępy ożywionych rozmów. Byle jak ubrani mężczyźni przepychali się do małych stolików, podczas gdy kelnerki w minispódniczkach biegały w pośpiechu, w jednej ręce niosąc wysoko nad głowami klientów tace pełne kufli z pianistym płynem.

W przejściu zwieńczonym łukiem pojawiła się para. Widząc Dafydda ruszyła w jego kierunku.

– Czy to Dafydd Woodruff? – zapytał mężczyzna.

– Tak, to ja.

W przyćmionym czerwonym świetle mężczyzna zdawał się przystojny, wyprostowany jak struna, choć może nieco zbyt chudy. Miał faliste włosy blond, sięgające prawie do ramion. Nosił obcisłe czarne dżinsy, mocno już przetarte, spięte pasem ze skóry z ozdobną srebrną klamrą. Bardzo atrakcyjna kobieta u jego boku miała burzę rudych włosów i ubrana była w obcisłą minispódniczkę ze skóry. Jej obfity biust mocno odznaczał się pod białą bluzką koszulową. Mimo tego prowokacyjnego stroju miała dość surową minę. Oboje byli mniej więcej jego równoletkami, na oko około trzydziestki.

Nieco zaskoczony spotkaniem, Dafydd usiłował ich jakoś skojarzyć, ściskając wyciągniętą dłoń mężczyzny, ale jego długie włosy i swobodny strój wcale nie ułatwiały tego zadania.

– Ian Brannagan – odezwał się tamten w końcu.

– Oczywiście! – wykrzyknął Dafydd, starając się ukryć zaskoczenie. W swoim przyszłym koledze nie dostrzegł typowych cech przypisywanych lekarzom. – Nie spodziewałem się natknąć... nie liczyłem, że spotkam tu kogoś z pracy przed jutrzejszym dniem.

– Jutro będziesz miał tego po dziurki od nosa – orzekł Jan Brannagan i klepnąwszy go po plecach, przysiadł się do stolika, odsuwając krzeselko dla swej towarzyszki. W odróżnieniu od Brannagana, przyjaznego i otwartego w obejściu, mimo ostrych rysów twarzy, kobieta sprawiała wrażenie nieprzeniknionej, Ian miał kwadratową szczękę, – długi nos i wąskie, blade wargi, ale uśmiechał się od ucha do ucha, ukazując garnitur ładnych zębów. Jednak przy bliższym oglądzie można było dostrzec wyniszczenie, widoczne zarówno w jego twarzy, jak i ubraniu.

Dafydd zwrócił się w stronę kobiety, czekając, aż zostanie jej przedstawiony.

– Jestem Sheila Hailey – odezwała się. Wyciągnęła do Dafydda rękę, uściśnięła jego dłoń stanowczym gestem, ale nie dodała nic więcej.

– Przyjacielu, opatrność tu ciebie zesłała – rzekł Ian Brannagan. – Byliśmy w rozpacz, gdy ten ostatni, monsieur doktor Odent, opuścił nas dwa tygodnie temu. W szpitalu zapanował pieprzony chaos.

– Naprawdę? – Dafydd rozsiadł się na krześle, pragnąc sprawić wrażenie kompletnie zrelaksowanego człowieka. Pieprzony chaos. I to właśnie mnie potrzebują?

Ian Brannagan zapalił papierosa i zerknął na resztki zapiekanki z łośia na talerzu.

– Chyba nie przeszkadza ci moje palenie? – Też rozsiadł się w krześle, obserwując Dafydda z pewnym dystansem, ale nie bez pewnej sympatii. Kobieta siedząca obok również wpatrywała się w niego, tyle że bez cienia entuzjazmu. Trochę się od nich odsunęła, założyła nogę na nogę. Miała zgrabne łydki.

– Ian, od jak dawna tu jesteś? – spytał Dafydd.

– O, mniej więcej od roku. – Indagowany lekko zmarszczył brwi. – Na pewno dwie zimy. Chryste, jak ten czas leci.

– Ale chyba lubisz to miejsce?

– Tak sobie – odpowiedział niezobowiązująco Brannagan i głęboko zaciągnął się papierosem. Uformował się na nim długi słupek popiołu, na który Dafydd się zagapił, Ian dostrzegł to, ale ponieważ na stole nie było popielniczki, strząsnął popiół na resztki zapiekanki. Dafydd mimowolnie wzdrygnął się na ten gest. Lekcja numer jeden – powiedział sobie w duchu – nie oczekujmy tu dobrych manier.

Z części barowej wynurzyła się atrakcyjna ciemnowłosa kelnerka i

podeszła do ich stolika. Zwróciła się do Iana jak do stałego bywalca:

– Czy mogę podać jakiegoś drinka tobie i twojemu koledze?

– Tak, proszę. – Ich oczy spotkały się na chwilę. – Proszę nam dać dwie butelki Extra Old Stock. A dla damy mrożoną herbatę.

– Wiem, co pije „dama” – przerwała mu niegrzecznie kelnerka. Po namyśle dodała: – Pan jest tym nowym lekarzem? – Położyła rękę na biodrze, świdrując go wzrokiem.

– To Brenda – wtrącił Brannagan, kładąc jej dłoń na brzuchu. – W jej towarzystwie miej się na baczności. Ona tu nikogo się nie boi. Prawda, słoneczko?

Sheila Hailey wykrztusiła z siebie stłumiony chichot, podczas gdy obaj mężczyźni obserwowali, jak Brenda odwraca się i odchodzi. Dziewczyna miała dobrze umięśnione nogi, które wynurzały się spod obcisłej czerwonej spódniczki i znikwały w dwukolorowych wymyślnych kowbojkach. Jej długie czarne włosy kołysały się przy każdym stanowczym kroku. Brannagan mruknął jakiś komplement pod jej adresem, a po chwili krzyknął:

– O, Chryste, pijesz piwo, prawda? Przepraszam, że nie zapytałem.

Dafydd roześmiał się, uświadamiając sobie, że nie musi sprawiać dobrego wrażenia. W każdym razie nie w obecności Brannagana. Ten, jak na lekarza, był bardzo specyficznym człowiekiem.

– Czy jesteś jakoś związany? – zapytała Sheila zniecierpliwiona.

– Przepraszam, o co chodzi?

– No, czy jesteś samotny.

– Aha, no tak.

Kowbojki Brendy zaklekotały na drewnianej podłodze. Dziewczyna sprawnie zerwała kapsle z butelek, używając tylko jednej ręki. Obróciła się kokieteryjnie na pięcie i ruszyła w stronę baru, potrząsając pośladkami opiętymi czerwonym materiałem.

– Daj człowiekowi odsapnąć, dobra? – odezwał się Brannagan do Sheili, nacierając na nią łokciem.

– O, Boże, nie jestem tym zainteresowana w najmniejszym stopniu – odpowiedziała, po raz pierwszy się uśmiechając. – Staram się tylko wybadać, jak długo tu zostanie.

Dafydd poczuł, że na szyi wystąpiła mu paląca plama gniewu, ale nie chciał okazać się człowiekiem pozbawionym poczucia humoru.

– A co ci do tego? – spytał swobodnym tonem.

Chociaż siedząca naprzeciwko niego kobieta, z twarzą w kształcie serca, dużymi, przenikliwymi oczami i masą rudych loków, wyglądała niezwykle atrakcyjnie, było w niej zarazem coś zdecydowanie antypatycznego.

– Luzik – rzekła, patrząc mu w oczy z nutą ustępliwości. – Będiesz tu bardzo potrzebny. Oczywiście, jeśli jesteś dobry.

Ian i Sheila wybuchli zgodnym śmiechem, podczas gdy Dafydd spłonął się jak panienka.

– Daj spokój – wtrącił Ian, poklepując go po ramieniu. – Ona miała na myśli twoje umiejętności jako chirurga, a nie chłopa.

Próbując ukryć irytację, Dafydd zwrócił się do Sheili:

– Jesteś związana ze szpitalem, czy raczej... przyjaźnisz się z Ianem?

Oboje wymienili szybkie spojrzenia. Dafydd zauważył, że w tym kontakcie wzrokowym nie było ani ciepła, ani sympatii, ani pasji, lecz coś zupełnie innego. Coś ich jednak łączyło.

– Jestem przełożoną pielęgniarek – oświadczyła Sheila, dając do zrozumienia, kto tu rządzi, Ian zerknął na nią z atencją. Odnosiło się wrażenie, że w pełni docenia jej autorytet.

Pałająca jak komin para przy sąsiednim stoliku ocknęła się i rozpoczęła sprzeczkę. Przez dobre parę minut ich trójka wsłuchiwała się w bezładną kłótnię. Odnosiło się wrażenie, że powodem sporu były prawa tamtych dwojga do pewnej półciężarówki. Sheila uniosła szklankę i wypija resztkę mrożonej herbaty. Dafydd ocenił w myślach jej szyję, smukłą i białą jak porcelana, jeśli nie liczyć paru piegów, prawie niewidocznych w przyćmionym świetle.

Wstała od stolika.

– Zaczynamy punktualnie o 7.45. Bądź na czas. – Albo w celu wzmocnienia tej uwagi, albo złagodzenia tonu, przechodząc obok krzesła Dafyddda położyła mu wiotką rękę na ramieniu. Dotknięcie przez koszulę odczuł jak lodowaty powiew i lekko zadrżał. – Proszę – dodała jakby po dłuższym namyśle. I nie żegnając się z Ianem, odeszła.

Ian tymczasem uśmiechnął się z rezygnacją i wzruszył ramionami.

– Cała Sheila – westchnął.

W tym samym momencie z baru ruszyła w ich stronę grupa potężnie zbudowanych kobiet ubranych w dżinsy, czapki z daszkiem i kraciaste koszule, niczym żeńskie odpowiedniki archetypicznego drwala. Rozsiadły się z hałasem przy pobliskim stole. Na widok zdumionej miny Dafyddda Ian

odchylił do tyłu głowę, śmiejąc się serdecznie.

– Klasa kobitki – oznajmił szeptem. – Tutaj nie można być zbyt wybrednym.

– No to może mi opowiesz, jakie tu prowadzisz życie towarzyskie.

– W sensie kobiet czy ogólnie?

– Ogólnie.

– Jak się którąś zainteresujesz, to zawsze możesz mnie – najpierw o nią zapytać. – Brannagan puścił oko. – Powiem ci, co jest warta.

Dafydd znów poczuł przyływ irytacji. W porządku, był tu zielony ale wcale nie znaczy, że i głupi. Jednocześnie uświadomił sobie, że powinien to wszystko traktować bez obrazy. Pewnie będzie potrzebował sojusznika. Brannagan był, jak i on sam, outsiderem, ale przynajmniej dobrze wiedział, co się tu dzieje.

– Opowiedz mi o Moose Creek.

– Ach, sam się wkrótce dowiesz, nie zajmie ci to dużo czasu. Mieszka tu około czterech tysięcy dusz, z czego mniej więcej połowę stanowią Indianie ze szczepu Dene i Metysi, a poza tym nieco Inuitów, no i biali – największe dziwolągi pod słońcem. Specyficzna mikstura. Wątroby jak ser szwajcarski. A jeśli nie przepadasz za ludźmi, żyje tu mnóstwo niedźwiedzi – odmiany czarnej, grizzly...

– Ile osób zatrudnia obecnie rafineria?

– Chyba około pięciuset.

– A reszta? Z czego żyje?

– Sporo z wyrębu lasów. Drewno transportuje się tylko zimą, spuszcza się je skutymi lodem szlakami wodnymi. No i zaczyna rozwijać się turystyka. Wiesz, taka ekstremalna przygoda – polowanie na grubego zwierza, wyprawy kajakiem przez wodogrzmoty. – Zamyślił się na moment. – Tu możesz kupić wszystko. Nielegalne środki, czegokolwiek zapragniesz. – Zamilkł, obgryzając zadarty paznokieć. – Zastawiać sidła... obstawiać zakazane walki psów... No i można żyć z zasiłku.

– To miejsce nie wygląda na zbyt zamożne.

– A mogłoby takie być. – Brannagan pochylił się nad stołem w przyplywie energii. – Trzy-cztery lata temu planowali tu wybudować główne ujęcie rurociągu. To była wielka sprawa. Jest tu tyle ropy i gazu, że można by cały Bliski Wschód puścić z torbami. No i co?

– Czytałem o tym. To musiał być cios dla miejscowych.

– Chyba żartujesz. Ściągali na północ nieudacznicy wszelkiej maści, spodziewając się Bóg wie czego. Atmosfera gorączki złota. Niektórzy tkwią tu do dziś. Każdy tylko czekał na wór złota, nie wkładając w jego zdobycie żadnego wysiłku. Jak myślisz, dlaczego zbudowano ten idiotyczny lokal? – Brannagan skrzywił się szyderczo, wskazując ręką na salę w pseudorokokowym stylu. Zarazem uniósł dwa palce w kierunku baru. Dochodziła stamtąd ogłuszająca wrzawa. Nad kakofonią dźwięków dominował męski rechot, przerywany od czasu do czasu zbiorowymi okrzykami i kobiecym chichotem. Po kilku minutach oczekiwania ukazała się inna kelnerka z dwiema butelkami piwa.

– A to jest Tillie – rzekł Brannagan i mrugnął.

Tillie była kobietą w bliżej nieokreślonym wieku, gdzieś między dwudziestką a czterdziestką. Bardzo niska, rozciągała się znacząco w szerz. Mimo to była na swój sposób atrakcyjna. Jej błyszczące niebieskie oczy, mały spłaszczony nosek i różowe usteczka sprawiały wrażenie osobnych wysepek na pofalowanym morzu całej twarzy, otoczonej blond kędziorami. Wyglądała jak przeraźliwie gruba i podstarzała Shirley Temple.

– Jak się masz, doktorku – zaćwierkała słodziutkim głosem. – Witaj w Moose Creek. Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

– To byłoby ciepłe, macierzyńskie łono, na którym można by złożyć utrudzoną głowę – westchnął Brannagan po jej odejściu. – Sęk w tym, że ona nie jest zainteresowana tymi sprawami.

Jego aż nazbyt swobodny sposób bycia i całkowity brak manier nagle stał się dla Dafyddda zaraźliwy. Może on sam lekko się wstawił. Wyobraził sobie nieoczekiwanie, jak zrzuca swoje okropne brzemię w miejscu, gdzie nikt go nie zna i gdzie może być tym, kim zechce.

Brannagan uśmiechnął się, jakby czytając mu w myślach.

– Tak więc zostawiłeś coś za sobą. I nikt w ojczyźnie nie czeka na twój powrót?

– Nie – odparł Dafydd lakonicznie. Po chwili dodał: – Dokładnie to nie jest tak. Zanim tu przyjechałem, musiałem umieścić matkę w domu opieki. Ma Parkinsona, w ogóle już nie kontaktuje z rzeczywistością. Nie było to miłe zadanie. Moja jedyna siostra wyszła za mąż za Australijczyka. Nie widzieliśmy się od ponad czterech lat. Chciałem znaleźć pracę w Australii, żeby trochę z nią pobycć, ale wtedy dostałem ofertę stąd.

Brannagan obserwował go spod przymkniętych powiek, przekrzywiając

głowę.

– Taa, do tego piję. Ale dlaczego w ogóle wyjazd?

Znowu to samo. Gdyby tylko mógł zatrzasnąć za sobą drzwi. Gdyby miał możliwość wyboru, do końca życia nie wspomniałby o tej sprawie ani słowem. Musi o niej zapomnieć, jeśli ma tu czemuś służyć i odzyskać spokój ducha.

– Byłem znudzony, zestresowany, pragnąłem zmiany – odparł z nutą fałszywej nonszalancji. – Właśnie zrobiłem specjalizację i nie chciało mi się od razu brać etatu chirurga, co uziemiłoby mnie na następne trzydzieści lat.

– Ach tak? Mimo to dziwny wybór miejsca – ciągnął swoje Brannagan, przypatrując mu się z bliska w kłębach dymu papierosowego. – Widziałem twoje CV. Naprawdę imponujące. Mogłeś wybierać jak w ulęgalkach.

Dafydd ze znużeniem kiwnął głową, bo już wyczerpał listę argumentów.

– A jak się ty wytłumaczysz? – zapytał.

– O, Chryste – westchnął Brannagan, udając bardziej pijanego, niż w istocie był. – Ile masz czasu? – Zerknął – na nieistniejący zegarek na swoim nadgarstku. – Zdaje się, że przenosisz się jutro do swojej przyczepy. Mam przeczucie, że odkąd Odent wyniósł się z niej, nie była sprządana. A facet miał dość zabawne nawyki. Opowiem ci o nich przy okazji. Lepiej więc przygotuj się na wielkie porządki. – Lekko zakołysał się na krześle i dopił resztkę piwa. – Coś ci powiem. Wcale nie musisz się tam wprowadzać tylko dlatego, że Hogg nazywa to coś „przyczepą mieszkalną”. Inkasuje czynsz, bo jest właścicielem tego pudła. – W śmiechu Iana dało się wyczuć drwinę. Trzepnął Dafydda po ramieniu. – Jak ci się nie spodoba, temu o tym powiedz... jasne, chłopie?

– Pewnie. – Dafydd wstał na sztywnych nogach. Miał już dość.

– Nie, człowieku, ja zapłacę.

– Ian położył jedną rękę na portfelu Dafydda, podczas gdy drugą grzebał w kieszeni. – Jesteś nowym kumplem. Szpital stawia.

Dafydd poczuł ból we wszystkich mięśniach i kościach. W głowie mu wirowało, w dołku piekło. Zmiana strefy czasowej, zmiana klimatu i zmęczenie, do tego zbyt wiele słodkiego wina i Extra Old Stock. Nagle zapragnął znaleźć się w pozycji horyzontalnej.

– Sprawny i gotowy od rana, chłopcze. – Brannagan, wstając, potracił kilka krzeseł. – Hogg jest beznadziejnym menedżerem, ale ma fioła na punkcie punktualności. Podobnie jak pani „boss”, co miałem okazję sam



sprawdzić.

Pożegnawszy się z Ianem Brannaganem, Dafydd ruszył w poszukiwaniu schodów, które zaprowadziłyby go do bezpiecznego schronienia. Wyciągnął z walizki szlafrok, podreptał przez korytarz do łazienki i napełnił wannę. Zanurzony po szyję zapadł w drzemkę, z której zbudziło go dotkliwie zimno. Woda wystygła, a hałasy z dołu umilkły, pewnie bar już zamknięto. Nie miał pojęcia, która może być godzina. Wyszedł z wanny, wytarł się podniszczonym żółtym ręcznikiem, narzucił szlafrok i ruszył w stronę swego pokoju. W wąskim korytarzu natknął się na ciemnowłosą kelnerkę.

– Hej, Dafydd – odezwała się, wpatrując się w połę jego szlafroka.

– No, dobranoc! – wykrzyknął.

– Nie masz ochoty na coś... Może przyniosę ci coś mocniejszego do pokoju?

Dafydd wpatrywał się w nią bez tchu. Czy dobrze zrozumiał jej intencję? *Pełno jest bab, które położyłyby na tobie tłuste łapska...* To chyba o tym mówiła ta kuta na cztery nogi kobieta z taksówki. Najwyraźniej nie marnowały czasu.

– Dzięki... Brendo. Na dziś wystarczy, ale tak czy inaczej dziękuję. – Pomyślał z obawą, że sprawia wrażenie naiwniaka. Kelnerka wyglądała seksownie, ale od razu bierze się do rzeczy i to pierwszego wieczoru?

– Jesteś pewien? – Brenda uśmiechnęła się.

– Aha... tak.

– No to w porządku. – Zrobiła sympatyczną minę, dając do zrozumienia, że odmowa jej nie dotknęła. – No to odpoczywaj. – Obróciła się na pięcie. Idąc tuż za nią, Dafydd wpatrywał się jak zaczarowany w jej potężny tyłek kolebiący się przy każdym kroku.

Łóżko aż się trzęsło od gwałtownych ruchów. Dafydd czuł je każdym nerwem, od kręgosłupa do czaszki. Jednocześnie w głowie mu łupało. Odnosił wrażenie, jakby ktoś wściekle uderzał w nią młotkiem. Przebudzony, zerwał się na równe nogi, starając się przeniknąć ciemności wokół. W pokoju prócz niego nie było nikogo, jednakże głuchy huk trwał nadal, z coraz większą mocą i częstotliwością. Nagle ucichł, rozległ się za to przeciągły jęk. Dafydd nadstawił ucha, próbując zlokalizować jego źródło. Jęk przemienił się w stłumioną rozmowę, a w końcu w wybuch śmiechu.

Niech to szlag. Ściana oddzielająca go od kopulującej pary była cienka jak karton, a ich łóżko przylegało do jego pośłania. Po kilku minutach

zachrypnięte głosy umilkły, a ich strudzeni posiadacze najwyraźniej zapadli w sen. Dafydd słyszał nawet oddechy obojga, tak blisko, jakby wszyscy troje znajdowali się w jednym pomieszczeniu. Znowu wstał z łóżka, począł obmacywać ścianę. Stuknął lekko w parę miejsc. Rzeczywiście, płyta gipsowo-kartonowa. Jedno z kochanków mimowolnie rąbnęło w nią pięścią. Niebezpiecznie się zatrzęsała.

– Na miłość boską – odezwał się zaspany męski głos. – Ludzie chcą tu trochę pospać.

– Właśnie – odparł Dafydd opanowanym tonem.

Usiłował umościć się na gruzłowatym materacu. Gołymi pośladkami wyczuł jakieś drobiny. Pomacał ręką, żeby zbadać, co to takiego. Robiły wrażenie okruchów lub grudek zeschniętego błota naniesionych przez kogoś, komu nawet nie chciało się ściągnąć butów. Brudna przyczepa Hogga nie mogła być chyba gorsza, bez względu na to, co jego poprzednik, monsieur doktor Odent, tam wyczyniał. Któryś z sąsiadów zza ściany pierdnął. Dafydd fuknął ze złością i wystawił w jego kierunku pośladki, przyjmując pozycję płodową, jakby w obronie przed kolejną obrazą swojej godności: Na krótko zapadł w sen, ale zniecka obudziły go własne myśli.

Było to dokładnie siedem miesięcy temu. Nawet teraz pamiętał niezliczoną ilość tequili, jaką był zmuszony wypić, przedzielaną potrójnymi porcjami Jacka Danielsa i wieloma kuflami piwa. Jerry i Philip, para imprezowych kolegów w Bristolu, zorganizowała na jego cześć popijawę. Jednym z powodów były jego trzydzieste drugie urodziny, ale główną okazję stanowiły zaliczone egzaminy z pierwszej specjalizacji, co dawało możliwość ubiegania się o dobrą posadę. Nazajutrz zwlókł się z łóżka o piątej rano, wdzięczny losowi, że wziął sobie dzień wolny na poczet rocznego urlopu bezpłatnego z macierzystej kliniki.

O siódmej zadzwonił telefon.

– Woodruff – w słuchawce odezwał się głos Briggsa, adiunkta. – Nie widzę pana na żadnej liście do operacji.

– Ach... nie, wziąłem wolny dzień.

– Mniejsza o to. Chcę pana poprosić o przysługę.

Dafydd nie zdążył jeszcze odłożyć słuchawki, jak ogarnęły go złe przeczucia, podsuwane przez szósty zmysł mózgu skatowanego przez alkohol. Gdyby tylko natychmiast oddzwonił do skurczysyna i odmówił wyświadczenia owej przysługi, przyznał mu się, że nadal jest pijany, podał

jakikolwiek pretekst. Jednakże powlókł się do łazienki, wziął prysznic, połknął kilka pastylek przeciwbólowych, zużył mnóstwo płynu do płukania ust, wypił neskę, wsiadł do samochodu – to też – i pojechał do szpitala. A, do cholery, wielu przed nim tak robiło: skuli się poprzedniego wieczora i nazajutrz szli do roboty. Rezydenci znani byli z picia – formy ucieczki od nieubłagane długich dyżurów, potwornej odpowiedzialności i wielogodzinnej nasiadówki nad podręcznikami przed kolejnym egzaminem.

Od razu udał się na oddział, żeby spotkać się z małym chłopcem imieniem Derek i z jego matką. Dzieciak miał obrzmiałe, zaczerwienione powieki i ledwie oddychał, ale Dafydd nie musiał zabiegać o dobre wrażenie w oczach jego rodzicielki. Sharon Rose była ubogą, nieco ponad dwudziestoletnią samotną matką, miała na sobie sfatygowane dzinsy i tanią kurtkę, a sądząc po jej pożółkłych od tytoniu palcach, marzyła o sztachnięciu się petem. Należała do tych nieszczęsnych kobiet, dla których lekarze są jak wszechwładni bogowie, ponieważ są nieomylnymi istotami w białych kitlach i cieszą się nieskazitelną opinią. Jakże słusznie by zrobił, gdyby jej wtedy uświadomił, że to nieprawda. Mógł wtedy wyznać, że nie jest w stanie operować jej synka. Jednakże Briggs go wręcz zastraszył i wyśmiał jego wątpliwości. Dafydd miał być w pełni przygotowanym chirurgiem-pediatrą, u progu wielkiej kariery. A referencje Briggsa miały stać się niezmiernie istotne w zdobyciu doskonałego stanowiska.

Myjąc ręce przed operacją, czuł, jak rośnie w nim opór wewnętrzny. To było coś innego niż mdłości i lekko zakłócona wizja – raczej przecucie grożącej katastrofy. Był jednak realistą, nie wierzył w gusła i zabobony. Choć zatem instynkt podpowiadał mu, żeby się wycofał, poddawał się rutynie. Naciągnął lateksowe rękawiczki.

Wydawało się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Resekcja była prosta. Dafydd doszedł do wniosku, że jego obawy były bezpodstawne. Przez chwilę ważył w ręce nerkę chłopca. Następnie przyjrzał się jej uważnie i ogarnął go niepokój. Prócz niedużego ogniska zapalnego organ nie wyglądał wcale tak źle, choć na kliszy rentgenowskiej wyraźnie było widać zmiany nowotworowe. Bez wątpienia, guz znajdował się wewnątrz organu, niemniej jednak... Gdy wyciągnął rękę, żeby położyć nerkę w pojemniku podsuniętym przez pielęgniarkę, asystująca rezydentka szepnęła mu coś do ucha. Z paniką w głosie chwyciła go za przegub i gwałtownie, o wiele za gwałtownie wskazała na podświetloną kliszę. Ręka Dafydda z

usuniętym organem zawisła w powietrzu. Serce niemal zamarło mu ze zgrozy, a z twarzy odpłynęła krew.

Coś takiego mogło się zdarzyć i – nieczęsto – ale się zdarzało. Przy całej pieczy i skupieniu rzecz sprowadzała się do nalepki. Nie dość bacznie przyglądał się naklejce na zdjęciu rentgenowskim i teraz dopiero ujrzał, że znajduje się po lewej stronie kliszy. Co oznaczało, że organy wewnętrzne małego pacjenta w istocie leżały na odwrót. To obłąd, temat rysunków satyrycznych o chirurgach, gdyby nie fakt, że życie dziecka było teraz śmiertelnie zagrożone. Dafydd za bardzo skoncentrował się na samej operacji, na ciele małego pacjenta, i nie zadał sobie dość trudu, żeby uważniej wsłuchać się w relację matki i dokładniej zapoznać z historią jego choroby.

Cios, jakiego doznał wskutek katastrofalnej pomyłki, był tak wielki, że omal nie zemdlął. Musiał pozwolić rezydentce, żeby dokończyła operację za niego. Do gardła podchodziła mu żółć, więc wyskoczył do ubikacji, zostawiając zszokowany i spanikowany zespół, który musiał sobie radzić ze skutkami jego postępuku i na gwałt szukać transplantologa w celu wszycia zdrowej nerki.

Do pasma jego klęsk należało również popatrzenie w oczy Sharon Rose i poinformowanie jej, co sfuszerował. Przynajmniej przed tym nie uciekł. Kobieta nie mogła wręcz uwierzyć jego słowom, była zdruzgotana, a on sam słał się ze wstydu i poczucia winy. Po tym wszystkim zapadł w głęboką depresję. Teraz mógł zrozumieć, dlaczego niektórzy lekarze popełniają samobójstwo.

Na czas dochodzenia został w trybie natychmiastowym zawieszony w wykonywaniu obowiązków. Briggs zadzwonił do niego na domowy telefon, zalecając „odpoczynek na łonie natury” i zapewniając, że w trakcie przesłuchań potwierdzi jego kompetencje. Istniały przecież „nadzwyczajne okoliczności”.

– Tak, pieprzona gra w golfa – powiedział Dafydd w mrocznym i nagle obcym mu pokoju, przypominając sobie „nadzwyczajne okoliczności”, które sprawiły, że Briggs zwrócił się doń o fatalną w skutkach przysługę.

W tamtych dniach wydawało mu się, że jego kariera medyczna legła w gruzach. Nie był pewien wyniku komisji, od której zależała jego przyszłość. Dwa miesiące później został oczyszczony z zarzutów. Za winnego błędu w sztuce lekarskiej uznano Briggsa, bo on był głównym specjalistą w szpitalu,

a Derek Rose należał do jego pacjentów. Całą sprawę zatuszowano, nazywając ją „zakłóceniem w działalności systemu”. Dla Dafyddda było to pyrrusowe zwycięstwo. Chłopcu usunięto zrakowaciałą nerkę, ale ta druga, praktycznie zdrowa, funkcjonowała teraz z trudem, była narażona na infekcję. I to było jego dzieło. Gdyby tylko mógł, oddałby Derkowi swoją własną.

*Zbudził go jakiś szum. Gorąca woda syczała w rurach. Oznaczało to, że zbliżał się ranek. Zwlókł się z łóżka i podszedł do okna. Gdy rozsunął ciężkie zasłony, zdumiało go, że na dworze jest jasno jak w dzień. Była jednak dopiero 3.45 w nocy. Zaczął szarpać się z oknem. Zostało skonstruowane w ten sposób, że można je było jedynie uchylić, więc przywarł do szpary, że odetchnąć świeżym powietrzem. Z haczyków luźno zwisała siatka ochronna przeciwko owadom. Wpatrując się w ulicę, zauważył, że cała jest pokryta warstwą pyłu. Wszystko wokół wyglądało jak przysypane szarym pudrem. Nic dziwnego, że Martha Kusugaq wyśmiała jego elegancki garnitur.*

Samotny pies przebiegał środkiem jezdni. Było to chude i pokryte parchami zwierzę, ale dość pewne siebie. Stańło, spojrzało na niego oczami niby koraliki i żwawo ruszyło dalej. Dafydd osłonił oczy przed ostrym światłem i śledził psa, póki jego kościsty zad nie znikł z jego pola widzenia, w kierunku północnym. Gdzieś tam, nad brzegami Morza Arktycznego, leżały miejscowości Inuvik i Tuktoyaktuk, a ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód znajdowało się Yellowknife. A pomiędzy nimi pustka, nie licząc małych osad. Obezwładniony rozpaczą, zaciągnął zakurzone zasłony chroniące przed słońcem i wślizgnął się z powrotem do łóżka, między prześcieradło i poplamioną kołdrę z różowej satyny.

## Rozdział 3

Cardiff, rok 2006

*Drogi Dafyddzie,*

*Cieszę się, że odpowiedziałeś na list Mirandy, choć nie wiem, w jakim celu, w obecnym stadium, pragniesz ją kompletnie rozczarować. No cóż, sądzę, że po tylu latach całkowitego wymazania z pamięci tego, co się stało, i przypomnienia Ci, co tu po sobie zostawiłeś, przeżyłeś niemały szok. Najwyraźniej nie dręczy Cię ciekawość lub poczucie obowiązku, bo od Twego wyjazdu nie odezwałeś się do nas ani słowem.*

*Miałeś prawie trzynaście lat wolności od zobowiązań i trosk, a teraz, obawiam się, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Wychowywanie bliźniąt bez ojca nie jest łatwe – ani finansowo, ani pod każdym innym względem.*

*Wiem, że jesteś żonaty, lecz jestem przekonana, że Twoja żona, jako kobieta, zrozumie, że masz zobowiązania wobec swoich naturalnych dzieci.*

*Masz mój numer. Nie ma sensu dłużej tego odwlekać.*

*Serdecznie pozdrawiam,*

*Sheila Hailey* W zapowiedziach meteorologicznych przestrzegano przed sztormem, gwałtowne poddmuchy wiatru uderzały w tylną ścianę domu. Dafydd siedział przy stole kuchennym i nalawszy sobie kieliszek wina, czekał, aż Isabel przeczyta list do końca. Stała w oknie, przysunęła list do światła, jak to czasami robiła z banknotami, sprawdzając, czy nie są podrobione. Był jednak świadom, że tym razem ten rytuał odprawiała na pokaz. Sposób, w jaki zmrużyła oczy, ściągnęła brwi, aż niemal zetknęły się ze sobą... Czego jej nie pokazał, to dołączonej do listu fotki, przedstawiającej pulchną, ciemnowłosą dziewczynkę obejmującą ramieniem chudego rudzielca, który wyglądał jak członek gangu podwórkowego. Bliźnięta nie były do siebie podobne, a już z pewnością żadne z nich nie było podobne do niego.

– Czytaj, na miłość boską. – Pod stołem jego dłonie nieustannie mięły kopertę, aż zrobiła się z niej kulka. – Co się tam spodziewasz wykryć? Odciski palców?

Spojrzała na niego z furią. Przeczytawszy list, zwróciła go mężowi.

– Odpisałeś im. Po jaką cholere to zrobiłeś? Myślałam, że uzgodniliśmy...

Głośny huk ocalił go od jej gniewu, przynajmniej na jakiś czas. Dafydd pobiegł do jadalni i wyjrzał przez okno na długi, wąski ogródek. Za każdym podmuchem wiatru szopa na narzędzia trzęsła się w posadach. Isabel też podeszła do okna.

– Ta szopa zaraz odfrunie – Dafydd wpatrywał się w wątlą budkę, delektując się w duchu siłami natury, nawet w chwilach, gdy są potencjalnie destrukcyjne.

– Dlaczego działasz za moimi plecami? Myślałam, że postanowiliśmy postępować w tej sprawie razem.

– Jeśli ta szopa rąbnie w oranżerię... Do diabła, popatrz na drzewa. – Dom miał solidną, jeszcze wiktoriańską konstrukcję, ale dwa potężne buki rosły niebezpiecznie blisko. – Mam nadzieję, że nasze ubezpieczenie jest zapłacone.

Isabel chwyciła go za ramię i brutalnie obróciła twarzą do siebie.

– Pieprzyć drzewa. Pieprzyć polisę. Mów o tym. – Uniosła głos, by przekrzyczeć wyjąca wicher, i dźgnęła palcem w list, który znowu znalazł się w jej rękach.

Odkąd odpisał dziewczynce, nie minął jeszcze tydzień. Wyobrażał sobie, że na Terytoriach Północno-Zachodnich poczta działa powoli. Tak kiedyś było. Spojrzał na wściekłą twarz Isabel. Jej oczy, ciemne i intensywne, wwiercały się w niego z gniewem.

– Posłuchaj, myślałem o tym i doszedłem do wniosku, że nie chcę, aby to nade mną wisiało, więc odpisałem, wyjaśniając dziewczynce, że jej matka popełniła jakąś pomyłkę i że to niemożliwe, abym był jej tatą. I życzyłem szczęścia w odnalezieniu prawdziwego ojca. To wszystko.

– Chciałabym zobaczyć, co jej napisałeś.

Nie zrobił sobie kopii listu i teraz uzmysłowił sobie, że byłoby to właściwe.

– Przykro mi. – Objął żonę, przyciągnął ją ku sobie. – Wiem, że jesteśmy w tym razem, ale pozwól mi działać w pojedynkę. Zadzwoń do Andy'ego, a on mi poradzi, żeby napisał i wyjaśnił im, że zaszła pomyłka. Dam sobie z tym radę. Ufasz mi, prawda?

Usiłował sprawiać wrażenie człowieka godnego zaufania, jednakże list

Sheili Hailey był szokująco jednoznaczny. Stanowił prawdziwy test zaufania, jakie pokładała w nim Isabel, więc jej wątpliwości wzbudzały w nim niepokój. Poczuł, jak jej ciało sztywnieje w jego ramionach.

– Nie. – Isabel wyzwoliła się z uścisku. – Zrób to oficjalnie. Każ Andy’emu napisać do tej całej Sheili. – Z kieszonki w bluzce wyciągnęła podniszczony woreczek z tytoniem i skręciła papierosa. – Pamiętam, co mi o niej powiedziałeś i o tym, co między wami zaszło, więc daruj sobie powtarzanie tego samego. Ona jednak postępuje jak osoba całkiem pewna swoich racji. Z pewnością chodzi jej o forszę i jest przekonana, że ją od ciebie wyciągnie.

Isabel miała pewnie rację co do Sheili, ale on sam nie mógł pojąć, że dla pieniędzy gotowa była wyrządzić tyle zła własnym dzieciom. Pomyślał nawet, że może warto by powiadomić jakieś kanadyjskie stowarzyszenie ochrony praw dzieci, prosząc o wszczęcie dochodzenia w tej sprawie. Przecież widać jak na dłoni, że ta kobieta jest nie zrównowazona, musi mieć w głowie nie po kolei. Czy może zatem opiekować się dwojgiem wrażliwych nastolatków bez szkody dla nich? Tak właśnie to odbierał. Dziewczynka wskutek tego zaczęła fantazjować na temat tatusia, za którym tęskni, który przyjdzie jej z pomocą... Bóg jeden wie, cóż to za dziwaczna i dysfunkcyjna rodzina...

Zostawił Isabel przy oknie i poszedł do kuchni po kieliszki z winem. Zaniósł je do oranżerii, oryginalnej budowli, w której sypiali latem przez sześć pierwszych lat małżeństwa. Teraz było to zapuszczone i smętne pomieszczenie pełne przeciągów. Wkrótce stanie się niebezpieczne. Przyszło mu do głowy, że już pewnie nie będzie następnego wspólnego lata.

– Przyjdź tutaj! – krzyknął do Isabel. – Bądźmy częścią żywiołów natury!

Isabel stanęła w progu, spoglądając z lękiem na szklany daszek. Owinięta w starą kołdrę wcisnęła się w róg sofy, trzymając się jak najdalej od męża. Jej szczupła sylwetka wydawała mu się wręcz wychudzona – rzuciła tę odrobinę tłuszczu na biodrach, o co od dawna zabiegała. Miała bladą cerę, a jej wystające kości policzkowe rzucały na twarz głęboki cień. Gęste i długie do ramion włosy ostatnio obcięła, i to dość niekorzystnie, na pazia. Nowa fryzura wcale do niej nie pasowała. Nigdy nie była śliczna, nie miała w sobie słodyczy, ale cechował ją nadzwyczajny seksapil, wdzięk i sposób poruszania się, który sprawiał, że ludzie się za nią oglądali. Pamiętał,



jakie z początku robiła na nim wrażenie.

Gdy patrzył na nią teraz, znowu ogarnęła go frustracja. Nadejście tych wieści z Kanady nastąpiło w szczególnie niefortunnym momencie. Dafydd czekał na odpowiednią chwilę, by jej zakomunikować... ale jak mógł dorzucić jej teraz jeszcze jedno brzemię?

– Wiesz co, Dafydd? Powinieneś zażądać od nich dostarczenia testu DNA. Mam przeczucie, że nie ustąpią, póki ty nie weźmiesz sprawy w swoje ręce. To się może ciągnąć w nieskończoność...

Obszedł sofę i usiadł obok żony, biorąc ją za rękę.

– Masz rację. – Jej dłoń była zimna, zsiniała. Ucałował ją czule. – A więc do dzieła. Zadzwońię do Sheili Hailey, oświadczę, żeby natychmiast przeprowadziła testy DNA i zabronię wszelkich kontaktów ze mną, póki wszystko nie będzie czarno na białym. Jestem pewien, że więcej już o niej nie usłyszę.

– Przykro mi z powodu tych dzieci – westchnęła Isabel, kładąc mu głowę na ramieniu. – Byłbyś takim wspaniałym ojcem. – W jej głosie zabrzmiał żal. Uniosła rękę, przeczesała palcami włosy. – Może brzmi to głupio w moich ustach, ale w pewnym sensie nie byłoby tak źle. Ojcostwo na pół etatu, dzieci odwiedzające cię w wakacje. Myślę, że potrafiłabym sobie z tym poradzić. Może byłoby najlepiej dla nas obojga, gdyby tak się to ułożyło. Przynajmniej byłyby to twoje dzieci.

Dafydd wziął głęboki wdech i zamknął oczy.

– O, chyba nie chodzi o takie rozwiązanie. Ludzie mawiają, że gdy bezdzietna para adoptuje dzieci, napięcie spada i nagle okazuje się, że kobieta zachodzi w ciążę...

– To mit – przerwała mu w pół słowa.

A może teraz nastąpiła właściwa chwila, żeby jej powiedzieć. Tak, dlaczego nie?

– Isabel, jest pewna sprawa, którą chciałbym z tobą przedyskutować...

Nagły podmuch wiatru załomotał szybko, oboje zerwali się na równe nogi. Burza uderzyła w wątłą budowlę z taką siłą, że drewniana konstrukcja zatrzęsła się w posadach, wydając jęk jak dziecko w napadzie bólu. Składzik na końcu ogrodu podskakiwał i trzeszczał, aż wreszcie wichura zerwała go z fundamentów i potoczyła przez trawnik niczym wielką piłkę. Zatrzymał się dopiero na ogrodzeniu.

– Chryste – jęknął Dafydd. – Biegnijmy zamknąć okiennice i drzwi

wejściowe.

– Przywiążę cię do siebie – Isabel szepnęła mu do ucha i chwyciła za rękę, odciągając od okna i popychając w kierunku schodów. Nic tak nie wpływa na wzrost liczby urodzin jak huragan.

Wiatr wiał coraz mocniej, gdy on przedzierał się przez gęsty śnieg, idąc za liskiem. Śnieg był suchy, przypominał puder i głośno skrzypiał pod podeszwami butów. Otaczały go wysokie drzewa, świerki i jodły. Z każdym krokiem zapadał się coraz głębiej, wiatr wciskał mu do oczu zlodowaciałe płatki. Nie wiedział, dokąd idzie, i nagle uprzytomnił sobie, że zgubił trop. Musi uciekać przed siebie. Zawołał do liska w przeświadczeniu, że zwierzątko gdzieś go zaprowadzi. Tam, gdzie jest życie, gdzie on musi dojść.

Nagle poczuł przeszywający ból w nodze. Odrzucił głowę do tyłu i zawył. Echo jego krzyku niesło się wśród drzew. Z dała odpowiedziało mu zawodzenie wilków. Z szaleństwem w oczach zaczął się szarpać, żeby się wyswobodzić, i ujrzał wtedy, że jego stopa jest uwięziona w potrzasku. Zęby z oksydowanej stali wbiły mu się wokół kostki. Z ran ciekła krew, barwiąc na czerwono coraz większą połać śniegu. Nadciągały wilki, tworząc ciasny krąg wśród drzew. Była czarna noc, więc ledwie mógł je dojrzeć, ale ich żółte ślepia groźnie błyskały, obserwując go w ciszy. Uniósł ranną nogę do ust i zaczął gryźć własne ciało, byle tylko wyzwolić się z matni...

Isabel głaaskała go po głowie.

– Obudź się. – Lekko poklepała go po policzku. – Myślę, że śniło ci się coś okropnego. Jesteś zlany potem. Wstanę i zrobię ci herbaty.

– Nie, nie ruszaj się. Nic mi nie jest. To tylko sen.

Była czwarta nad ranem. Wicher dalej szalał na krytym gontem dachu, tuż nad ich głowami. Dafydd nadal czuł w nozdrzach koszmar senny, jak ohydny smród terroru. Z niesłychanym realizmem śnił, że jest zwierzyną łowną, że wpadł w pułapkę. Zadrzał i zerknął na budzik. Wtedy przypomniał sobie o ich wspólnym postanowieniu. Obliczył w myślach różnicę czasu. Niechętnie zwlókł się z łóżka.

– Czy chcesz się temu przysłuchiwać, czy też mam zejść na dół?

Isabel spojrzała na niego zaskoczona. Wskazał na telefon. Stanowczo pokręciła głową.

Nałożył dres i parę grubych skarpet.

– Zaraz wracam – oznajmił i lekko się uśmiechnął.

Przeniósł aparat do pokoju dziennego, rozprostował list od Mirandy. Nadal reagował nań z szokiem. Nawet nie chodziło o to, jakie w nim padały sugestie. Ta kartka pisana dziecinnym charakterem pisma przeorała jego życie i zmusiła do wyciągnięcia na światło dzienne spraw, które tak bardzo pragnął wymazać z pamięci. Odnalazł numer telefonu i począł go wykręcać.

– Halo.

Natychmiast rozpoznał ten głos, choć minęło tyle lat.

– Tu Dafydd Woodruff – stwierdził sztywno. – Sądzę, że musimy porozmawiać. – Rozzłościło go, że wyczuł w swym głosie lekkie drzenie, a język stał się suchy jak wiór.

– W samą porę, Dafydd – odparła Sheila swobodnym tonem, z nutą rozbawienia. – A zatem dostałeś mój list?

– Dlaczego to robisz?

– Robię to, jak to ująłeś, ponieważ od kilku lat Miranda zadrećza mnie pytaniami, kim jest jej tata. I w końcu doszłam do wniosku, że nie będę trzymała jej dłużej w nie– pewności. Markowi nie zależy na tym, ale on też powinien w końcu się dowiedzieć.

Długo skrywane emocje wybuchły w nim z gwałtownością ognia.

– Co za idiotyczny numer wykombinowałaś? – Z trudem nad sobą panował. Nie było zbyt mądrze zaczynać od starcia.

– Dafydd, możesz się rzucać, jak sobie tylko chcesz – odpowiedziała Sheila lodowato. – Nie sprawi to żadnej różnicy. Jesteś ojcem moich bliźniąt i lepiej przyzwyczaj się do tej myśli. Poukładaj to sobie w głowie. Jednakże już teraz powinieneś zacząć płacić swoją część na ich utrzymanie. Dałam ci przecież prawie trzynaście lat forów.

– Nigdy nie tknąłem cię palcem! – wykrzyknął Dafydd, ale zaraz zamilkł, przypominając sobie, co wtedy zrobił.

– Och, Dafydd, daj spokój. Wiem, że byłeś pijany i tak dalej, ale z pewnością nie zapomniałeś. – Przemawiała spokojnie, logicznie. – Najpierw podałeś mi jakieś narkotyki, żeby zaciągnąć mnie do łóżka, a kiedy okazało się, że zaszłam w ciążę i prosiłam, żebyś przynajmniej pomógł mi ją usunąć, nie tylko kategorycznie odmówiłeś, ale jeszcze rzuciłeś się na mnie z pięściami. Twoje szczęście, że nie poszłam wtedy na policję. Jesteś zwykłym chamem pod przykrywką tej oślizgłej brytyjskiej ogłady.

– Chwileczkę. Aborcja... jasne, że odmówiłem, ale ciąża nie miała nic

wspólnego ze mną. O czym ty do cholery mówisz, że podałem ci narkotyki i zaciągnąłem do łóżka? Nic takiego się nie zdarzyło. – Dafydd zamilkł, kompletnie zaskoczony. – Oskarżasz mnie o gwałt?

– A czym to było twoim zdaniem? Przyjacielskim dymaniem? Trudne do udowodnienia, ponieważ stało się to u ciebie, a ja mam już dość plotek na mój temat. Wiesz, jak one się rozchodzą w Moose Creek. – Roześmiała się szyderczo. – O, ludzie tutaj zachłystywaliby się taką nowiną. Tylko sobie wyobraź.

– Przed oczami stanął mu obraz Sheili. Jej niesforne rude włosy, drwiące niebieskie oczy. Postanowił stłumić w sobie gniew, rozmawiać z opanowaniem.

– Nie chcę mieć nic wspólnego ani z tobą, ani z twoimi dziećmi. Jeśli nadal zamierzasz mnie prześladować, żądam dostarczenia wyników testu DNA. – Zamilkł, czekając na jej reakcję, ale w słuchawce zapanowała cisza. – Nie wyobrażam sobie, żebyś mogła zaprotestować.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała ze swobodą. – Zorganizujesz to sam, czy zostawiasz to mnie?

– Och, zastanowię się nad tym, bez obaw. I załatwmy to tak szybko, jak się da.

– Mnie to pasuje. Ale to ty będziesz musiał zapłacić za badania. Jeśli sobie życzysz, pobiorę próbki krwi jutro z samego rana.

Zgodziła się. Dzięki Bogu. I na tym sprawa się zakończy.

– Nie, poczekaj z tym do czasu, aż skontaktuje się z tobą mój prawnik, Andrew McCloud – powiedział Dafydd. – Jutro z nim pomówię. On zaaranżuje test w certyfikowanym laboratorium.

– Z twojego powodu nie zamierzam nigdzie się stąd ruszać – oświadczyła stanowczym tonem. – Zrobię, co do mnie należy, ale próbki krwi zostaną pobrane na miejscu, w szpitalu.

– Myślę, że tak będzie w porządku. Nie ma znaczenia, gdzie i jak pobierzesz krew. To moje DNA jest kluczowe, a nie twoje.

– Dafydd, posłuchaj. Rozumiem, że domagasz się testu DNA. Nie ma sprawy. Pojmuję, że jest niezbędny, ale to ty jesteś ojcem moich dzieci, i wiem, że ty wiesz. Daj spokój, bądź realistą. Dlaczego zawracałabym ci głowę, gdybyś nim nie był? W jakim celu marnowałabym czas?

– Cała nasza rozmowa jest bez sensu.

– Czy chcesz zamienić słowo z Mirandą? Ona marzy, żeby z tobą

porozmawiać.

– Nie... – Zamyślił się. Wówczas usłyszał, jak Sheila woła córkę. A może to dobry pomysł, żeby pogadać z dziewczynką i przynajmniej postawić sprawę jasno? Minęło kilka sekund. Stracił możliwość wyboru.

– Hej, tato! – usłyszał wesoły, pełen ufności głos. – Co tam u ciebie?

– Halo, Mirando. Posłuchaj, obawiam się, że twoja mamusia popełniła wielki błąd. Przykro mi, że musisz przez to wszystko przechodzić... bez żadnego powodu...

– Nie martw się, tato. – Wypowiedziała te słowa z taką czułością i entuzjazmem, że aż poczuł fizyczny ból.

– Ja naprawdę jestem zmartwiony. Nie możesz przyjąć, że twoja mama ma rację. Obawiam się, że będę musiał dowieść, iż nie jestem twoim ojcem. Nie wolno ci brać tego wszystkiego zbyt serio.

– Czy dostałeś fotkę, którą mama ci wysłała? Myślę, że jestem trochę podobna do ciebie – zaczęła Miranda, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego protesty. – Wyprosiliśmy odbitkę twojej fotografii z pisma „Moose Creek News”, z czasów, kiedy przyjechałeś tu pracować, a drugą z przyjęcia u pana Bowlby. Wiem, że to trylion lat temu, ale naprawdę świetnie na nich wyglądasz. Mark ma rude włosy, jak mama, ale ja wyglądam jak ty...

Ktoś wyrwał Mirandzie słuchawkę.

– Dobrze, już się przywitałaś – zakomunikowała Sheila stanowczym tonem.

– Pa, tato! – krzyknęła Miranda do telefonu.

Dafydd rozłączył się i przez kilka minut siedział bez ruchu, pragnąc odzyskać równowagę ducha. Zastanawiał się przy tym intensywnie, co ma powiedzieć Isabel. Oskarżenie Sheili o gwałt, jakiego rzekomo się dopuścił, było groteskowe, absurdalne, niemal komiczne. Tej kobiecie chyba coś się pokręciło. Albo może miała tylu kochanków, że zapomniała, co z którym robiła. Albo zupełnie jej odbiło. Wszystko jednak minie, jak tylko podda się testowi DNA.

Kiedy przyjdą wyniki, pewnie przestanie go nękać. Znajdzie sobie inną ofiarę, jakiegoś nieszczęśnika mieszkającego bliżej.

Wstał z wolna z kanapy. Był wdzięczny losowi, że Isabel nie chciała przysłuchiwać się tej rozmowie. To by ją naprawdę głęboko zraniło. Sheila sprawiała wrażenie osoby tak przekonanej o swych racjach, tak logicznej, że Isabel mogłaby poważnie zwątpić w jego uczciwość, przynajmniej do czasu

otrzymania wyników.

Wspinał się po schodach jak starzec. Poczł się kompletnie wykończony. Wchodząc do sypialni, ujrzał żonę zwiniętą w kłębek na łóżku. Gdy wyciągnął rękę, żeby ją pogłodzić po włosach, uniosła głowę i spojrzała na niego lodowatym wzrokiem. Trzymała w ręce słuchawkę telefoniczną. Skierowała ją w jego stronę.

– Nie dotykaj mnie, dobrze? – wycedziła.

– Co? Isabel, posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj – syknęła. – Słyszałam, co ona ci powiedziała. To raczej oczywiste, prawda? W przeciwnym razie by tego nie robiła. Dlaczego się tak upierasz, że jej nie dymałeś? Przynajmniej przyznaj się choć do tego. Daj mi szansę...

– Ależ ja tego nie zrobiłem! – wykrzyknął w proteście. – Nie miałem stosunku seksualnego z tą pieprzoną babą!

Isabel wpatrywała się w niego z gniewem. . – Jestem pod wrażeniem. Absolutnie nie rznąłeś się z tą kobietą, a jednak spowodowałeś, że zaszła z tobą w ciążę. Ha! Chciałabym wiedzieć, jak wam obojgu się to udało.

– Isabel, na miłość boską. Teraz jesteś...

– Jak jesteś taki zdolny, dlaczego nie możesz zrobić tego samego mnie?

– O, Boże, dość!

– Nie dosyć dla mnie, kochanie. Powinieneś bardziej się starać, skoro bez wątpienia taki jesteś w tym dobry.

– Skończyłem z tymi próbami – wybuchł z furją. – – Nigdy nikogo nie zapłodniłem i wiesz co, Isabel? Mam już powyżej dziurek od nosa tej całej sprawy. Nie chcę żadnych dzieci – ani jej, ani twoich, ani czyichś innych. Słyszysz mnie? Nie zajmowałem się niczym innym, tylko próbami zapłodnienia ciebie i spowodowaniem ciąży, i popatrz na nas. Gdzie jest w tym wszystkim miłość? Starąłem się ci o tym powiedzieć, ale ty...

Nagle zamilkł. Co też wygaduje? Przez chwilę oboje przypatrywali się sobie bez słowa. Zbrzydzonej sobą i swoim nieokrzesanym wybuchem ujrzał na twarzy żony wyraz zdumienia, szoku. Wysłuchała go, wreszcie naprawdę go wysłuchała. Wstała z łóżka, podniosła rękę i z całej siły cisnęła w niego aparatem telefonicznym. O milimetry chybiła i telefon zamiast w jego ramię walnął w ścianę, robiąc dziurę w tynku.

## Rozdział 4

*Moose Creek, rok 1992*

Dafydd przebierał w pęku zużytych i zardzewiałych kluczy, ale okazało się, że nie było takiej potrzeby. Zamek był wylamany, Ktoś go rozwalił za pomocą jakiegoś prymitywnego narzędzia, przypuszczalnie tandetnego śrubokręta. Hogg ostrzegł go o stanie przyczepy, a nawet zaoferował, że pokryje koszty jednego lub dwóch dodatkowych noclegów w hotelu Klondike, zanim nie usunie się skutków włamania.

– Och, chodzi o parę drobiazgow – zauważył ogólnikowo. – Trzeba na nowo podłączyć piecyk, no i szyba w jednym z okien jest potłuczona.

Dafydd postanowił jednak, że nie spędzi w hotelu ani jednej nocy dłużej, znosząc odgłosy kopulującej pary za ścianą i szorując tyłkiem po okruchach błota naniesionego przez jego poprzednika.

– Doktorze Hogg... to znaczy Andrew... Nie zważam na to, co trzeba wymienić. – Jego własna pewność siebie aż go zaskoczyła. – Ale jeśli jesteś zdania, że ta przyczepa nie nadaje się do zamieszkania, poszukam sobie innej, Ian mi mówił, że bez większego trudu znajdę w mieście podobne lokum, bo pustych przyczep jest co niemiara. Gotów jest mi znaleźć taką w ciągu godziny.

Będąc głównym wspólnikiem szpitala i przychodni, z Sheilą Hailey u boku, Hogg zdawał się tu grać pierwsze Skrzypce. Niski, korpulentny mężczyzna po czterdziestce, był jednym z pierwszych lekarzy przybyłych do Moose Creek. Został posiadaczem całego ośrodka z przyczepami mieszkalnymi oraz kilku innych firm, nic zatem dziwnego, że usiłował zarobić na przybyszach. Pomyślmy jeszcze o tym – orzekł w duchu Dafydd i wyciągnął rękę po zardzewiałą komplet kluczy.

Hogg szybko wyjął z portfela kilka banknotów dwudziestodolarowych i wręczył je Dafyddowi.

– Wezwij kogoś do sprzątnia. Jest taka jedna godna polecenia, pani Breummer, mieszka w przyczepie obok wejścia. Ona na pewno zajmie się tym jeszcze dziś wieczorem. Stale potrzebuje gotówki.

Drzwi otworzyły się na oścież, dyndając na zawiasach. Dafydd postawił

walizki na czymś w rodzaju ganku. Przywiozła je Martha, która chyba na niego czyhała, gdy po południu wymeldowywał się z hotelu. Wszedł do środka. Podłogę zalegało rozbite szkło, masa petów, zużyte kondomy, brudne łachy. Szyba w oknie była wybita, a elektryczny piecyk odchylił się od zasmolonej podstawy i opadł na sofę. Na jednej ze ścian widniały czerwone ślady, pewnie zaschnięta krew. Dafydd począł się zastanawiać, czy nie zabito tu kogoś, ale szybka inspekcja sypialni i łazienki wykazała brak zwłok.

„Włamanie”, dobrze powiedziane. Raczej wyglądało to na bandę dzikich lokatorów, którzy urządzili tu niejedną popijawę. Nagle ogarnęła go wściekłość. Jak się tu traktuje człowieka, który przemierzył pół globu, żeby objąć stanowisko, którego nie przyjąłby nikt o zdrowych zmysłach. Ale w istocie była to jego wina. Sam się upierał, żeby dostać klucze. Jakże miał o tej porze zagadnąć nieznaną kobietę, nawet w wielkiej potrzebie gotówki, żeby zrobiła porządek w tym chlewie?

W pierwszym odruchu chciał stąd uciec, ale Martha już odjechała swą rozklekotaną taksówką, a tymczasem zapadał zmrok. A, co do diabła – pomyślał z gniewem – to się da zrobić, a poza tym buda jest w porządku. Przynajmniej na jedną noc. Wciągnął walizki, zamknął za sobą drzwi i wyjął jedyną parę dzinsów. Podwinął rękawy i zabrał się za porządkowanie.

– Matko jedynego Boga! – wykrzyknęła Martha, stając w progu i unosząc ręce ku niebu. – Właśnie sobie przypomniałam, że mój bratanek wspomniał mi, że był tu gdzieś na imprezie. Pomyślałam, że lepiej wrócę i sprawdzę, czy to nie było w tej właśnie przyczepie. – Rozejrzała się wokół, smutno kiwając głową. – Ale bajzel!

– Co oni, na miłość boską, tu wyprawiali? – wybuchł Dafydd. – Nigdy w życiu nie spotkałem czegoś podobnego.

– Dzieciaki urządziły sobie zabawę. – Martha skrzyżowała ręce na swym obfitym brzuchu. – Prawdę mówiąc, widziałam gorsze miejsca. Nie wolno wynajmować przyczepy żadnemu miejscowemu dzieciakowi. A właściwie żadnemu dzieciakowi. To się rozumie samo przez się. – Wzdrygnęła się, by pokazać, że przyczyna i skutek mają ze sobą związek ponad wszelką dyskusję.

Dafydd spojrział na nią w zdumieniu.

– A więc to jest tu normalne, tak? Powszednie sprawy. To chcesz mi zakomunikować?



– Posłuchaj. – Martha oparła ręce na biodrach. – Coś ci powiem. Jak mi dasz parę dolców, to ci pomogę. Mam w bagażniku zestaw do sprzątania. – Wyciągnęła pulchną dłoń, a Dafydd położył na niej kilka dwudziestodolarówek wyciągniętych z kieszeni.

Zabrali się do roboty i wspólnie umieścili piecyk na swoim miejscu, ale przedtem Martha usunęła sadzę i tłusty osad z podłogi. Zgarnęli śmieci i zlali wszystko, co się dało, płynem odkażającym.

Nadeszła też kobiecina z problemami finansowymi, a za nią reszta sąsiadów, wiedzona ciekawością i pewnym poczuciem wspólnoty. Oni także musieli już przedtem radzić sobie z kolesiami, którzy urządzali popijawy w przyczepie. Przynieśli różne środki czystości, jak i termos z kawą oraz trochę nieświeżych bułek z jagodowym nadzieniem. Jakiś młody człowiek przytargał zmatowiałą ze starości taflę plastikową, którą za pomocą taśmy klejącej zamocował w miejsce stłuczonej szyby.

Mimo oznak hojności i przejawów praktycznej pomocy, Dafydd wyczuł u sąsiadów jakiś dystans. Nawet Martha zaprzestała swych żarcików i odzywała się do niego urywanymi zdaniami. Może lekarze są tu w takiej pogardzie, jak mu wyznała.

– Doktorze, jeśli czegoś pan potrzebuje, proszę do mnie zajrzeć – odezwał się chudy mężczyzna w średnim wieku z długimi wąsami i obfitymi bokobrodami. Miał na głowie mocno przybrudzoną czapkę, spod której wystawał siwy warkoczyk. Nogawki spodni spiął sobie jakimiś zapinkami w meksykańskim stylu.

– Proszę, mówcie do mnie po imieniu – zwrócił się Dafydd do zebranych. – I jestem wam bardzo zobowiązany za pomoc. Jeśli mogę coś dla was zrobić w podzięce, dajcie mi znać.

Chudzielec został w przyczepie do końca. Stanąwszy na progu, ujął Dafydda za ramię i przyjrzał mu się uważnie. Miał obrzydliwie kwaśny oddech.

– Nazywam się Ted O'Reilly... mieszkam tuż obok. Pan wspomniał... no, mam pewną sprawę. Ten zabojad... ten gość, co mieszkał tu przed panem, z Montrealu, dawał mi coś na moją nogę. Źle z nią. Ciągle mnie boli. – Skrzywił się, by pokazać, jak bardzo mu dolega.

– Czy chciałby pan, żebym ją obejrzał?

– Nieee, niczego się nie zobaczy. To jest w środku... no... w kości, wie pan?

– Co ten lekarz panu przepisywał?

– Och, to nie było tak. – Mężczyzna zwiesił ramiona. – On uważał, że będzie prościej, jak przyniesie te rzeczy... prosto ze szpitala... Wie pan, skoro mieszkałem z nim drzwi w drzwi.

– Ale jak nazywało się to lekarstwo? Pamięta pan?

– Valium, jakoś tak.

– Ależ to jest silny lek uspokajający. – Dafydd wyczuł, że ta rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku.

– No i dobrze. Był bardzo skuteczny.

Ciekawe – pomyślał Dafydd, zastanawiając się, co doktor Odent mógł dostawać w zamian za „leczenie” tego nieszczęsnego faceta.

– Nie sądzę, żeby valium było odpowiednim lekarstwem na pana nogę.

– Dawałem mu trochę kasy za jego uprzejmość.

– Będzie lepiej, jeśli zgłosi się pan do ambulatorium. Facet aż podskoczył.

– Na zabieg? O nie, ani myślę dać się krajać. Dafydd stłumił śmiech.

– Mam na myśli przychodnię.

– Nie ruszam się zbyt często. Nie lubię chodzić. To przez ten ból, wie pan?

Dafydd pojął, że nie po raz ostatni słyszy podobną prośbę. Jego sąsiad śmierdział alkoholem i niemytym ciałem, a jego brudne ręce lekko drżały. Wyglądał, jakby miał sześćdziesiątkę, a pewnie mu stuknęło dopiero ze czterdzieści lat.

– Podwiozę pana do ambu... do przychodni. Dowolnego dnia rano, a wróci pan taksówką.

– O'Reilly, ja cię podrzucę do domu – krzyknęła Martha zza drzwi.

Facet znowu podskoczył, złapany na gorącym uczynku przez kogoś, kto dobrze wiedział, o co mu chodzi.

– Jasna sprawa. – Zszedł po schodkach. Nie widać było, żeby kulał.

Martha wyjrzała ze swojej kryjówki, strzepując tłustymi palcami kurz z ubrania.

– No to masz dobry przykład osobnika, którego powinieneś się wystrzegać – pouczyła Dafydda. – Szkoda, że mieszka w sąsiedniej przyczepie.

– A ja myślałem, że przyjdiesz dzisiaj rano do szpitala, żeby pokazać tę swoją owrzodzoną stopę. Czekałem na ciebie.

– Taa, no cóż – zaczęła się tłumaczyć. – Niektórzy z nas muszą tyrać na życie. – Trzymała w ręce dwie tenisówki nie do pary, a pod pachą – skrzynkę ze środkami do czyszczenia. Sprawiała wrażenie zadowolonej, jak gdyby spełniła zobowiązanie i w ten sposób uczyniła Dafydd swoim dłużnikiem na bliżej nieokreśloną przyszłość.

– Wezmę te pantofle, jeśli nie masz nic przeciwko temu – oświadczyła, podstawiając mu je do wglądu.

– Och, daj spokój – roześmiał się. – Wrzuć je do torby na śmiecie. One nawet nie są od pary.

– Do torby? Wrzucić do śmietnika? – fuknęła. – Biedny dzieciaku, nawet nie wiesz, gdzie, na Boga, się znalazłeś. – Wsiadła do samochodu i z piskiem opon ruszyła w kierunku nisko zawieszono koła nad horyzontem. Arktycznego słońca.

Nie było ani pościeli, ani koców, więc Dafydd wyciągnął się w ubraniu na brudnym materacu. Pod głowę podłożył sobie czysty ręcznik, który przywiózł z Anglii, i zwinięty w kłębek sweter. Nakrył się szlafrokiem, też nowiutkim, prosto od Marksa i Spencera w Swansea, swoim mieście rodzinnym. To miasto wydało mu się teraz oddalone o lata świetlne od tej cholernej dziury. Zamknąwszy oczy w obronie przed ciągle świecącym słońcem, ujrzał oczami pamięci dział żywności M&S. Zadbani, uprzejmi ludzie w dobrze skrojonych ubraniach kupują świetne, higienicznie opakowane produkty. W sumie obraz zdrowia, szczęścia i zdrowego rozsądku.

Ni to zapłakał, ni to roześmiał się w głos, ale natychmiast się powstrzymał. Tu ściany były też cienkie, a odległość między przyczepami nie większa niż pięć metrów. O'Reilly mógłby usłyszeć jego wariacki wybuch i pomyślałby, że ma do czynienia z kolejnym stukniętym doktorem. Takim, z którego łatwo będzie wyciągnąć jakiś lek psychotropowy i który na koniec sam będzie łykał prochy. Dafydd poczęła nurtować myśl, czy samo to miejsce prowadzi ludzi do marazmu i uzależnień, czy raczej przyciąga różne męty społeczne. Tak czy inaczej, musi starać się zachować resztki zdrowia psychicznego.

Chociaż ciągle usiłował się rozgrzeszyć i odzyskać wiarę w siebie, nie mógł wymazać z zakamarków pamięci dziecinnej buzi Derka Rose'a. Odnosił wrażenie, że stale tam tkwi – nie płaska, okrągła twarz dziecięca,

ale trójkątna i wydłużona, jak mordka lisa, w obramowaniu prostych jak słoma włosów blond, przyciętych w taki sposób, jakby ktoś włożył mu w tym celu garnek na głowę. Jego matka, Sharon Rose, dokładnie w tej chwili tkwi pewnie w mieszkaniu komunalnym w jakimś okropnym blokowisku w Bristolu, zajmując się chorym jedynakiem. Dafydd by wolał, gdyby skierowała sprawę do sądu, domagając się od niego samego i od Briggsa odszkodowania, które dałoby im szansę przeniesienia się do lepszej dzielnicy, może nawet kupna skromnego domku. Ona jednak nie była człowiekiem tego pokroju. Jemu z kolei zabroniono udzielenia jakiegokolwiek pomocy i matce, i dziecku, zaoferowania im jakiejś sumy. Gdyby to zrobił, tym samym przyznałby się do winy.

I nie miało większego znaczenia, że ława przysięgłych uznała go za niewinnego zaniedbania lub zachowania niezgodnego z etyką lekarską i że zawieszenie go w obowiązkach służbowych anulowano. We własnych oczach był niekompetentny i nieodpowiedzialny. Nurtowała go jedna myśl... czy nadal powinien uprawiać medycynę? W jaki inny sposób miałby zarabiać na utrzymanie? I gdzie się zatrudnić? Może w swoich stronach rodzinnych w Walii... jednak nie od razu. Nie, raczej powinien to odłożyć na dużo później. Może nigdy tego nie robi.

Zapadł w płytki sen zaludniony małymi, śmiertelnie poważnymi dziećmi oraz procesją mężczyzn w rodzaju O'Reilly'ego i jego samego. Ci wszyscy ludzie, machając bezładnie rękami, tonęli w morzu niedopałków i zabłoconych adidasów.

– Energiczny i punktualny – rzucił protekcjonalnie Hogg, mijając Dafydda na korytarzu szpitalnym. Stał i chwycił go za rękaw pulchnymi, niemal kobiecymi palcami. Facet mieszkał tu niewątpliwie od wielu lat, ale jego akcent i sposób bycia pozostały typowo brytyjskie, na co Dafydd zareagował uśmiechem.

– Wczoraj nie przedstawiłem pana nikomu... przepraszam. Jutro będę miał więcej czasu.

– Nie ma to jak z marszu – odparł Dafydd lekkim tonem, zadowolony, że mógł się zrewanżować stereotypowym zwrotem.

– Racja, racja – mruknął Hogg, ruszając przodem. – Tu mamy biuro... faks, fotokopiarka, dane pacjentów. – Wskazał palcem na skromne pomieszczenie, w którym siedziały dwie sekretarki, paląc papierosy, ale nie pofatygował się, by przedstawić im nowego lekarza. Następnie niemal w

podskokach popędził w głąb korytarza, traktując Dafyddę jak nowego ucznia, któremu pokazuje się szkołę. – A tu trzymamy leki. – Machnął ręką w kierunku obitych blachą drzwi. – Są pod kluczem. Mieliśmy trochę kłopotów z jednym z pana poprzedników, ale nie wymienię nazwiska. Leki w tych okolicach mają duże wzięcie, i nie chodzi tylko o środki przeciwbólowe. – Zaśmiał się i po raz pierwszy spojrzał Dafyddowi prosto w oczy. – – Chryste. Proszę się nie martwić. Ja zrozumieję, wszyscy zrozumieją gdy z początku potraktuje pan to miejsce jak Dziki Zachód. Młody człowiek, taki jak pan, z bezpiecznej strefy. Proszę mi wierzyć, wiem, jak to jest. Sam do niej należałem. Kiedy tu przybyłem, nie mogłem się nadziwić wielu rzeczom.

– Nie jestem znów takim prawiczkim – zaprotestował Dafydd ze śmiechem. – W istocie rzeczy...

Hogg uniósł rękę, by mu przerwać.

– No, to jesteśmy. – Stał przed kolejnymi drzwiami, zmienił się na twarzy. Jego kobiece cechy jakby bardziej wyszły na jaw. Z uśmiechem igrającym na ustach delikatnie zapukał. Następnie przystawił ucho do drzwi. Dafydd odczytał na plastikowej plakietce: Sheila Hailey – przełożona pielęgniarek.

– Dama, którą pragniemy spotkać, wyszła ze swojego pokoju, ale na pewno natknie się pan na nią. Ona jest tu moją prawą ręką, rozumie pan. – Pochylił się w stronę Dafyddę i wyszeptał: – Powinien ją pan szanować.

– Już ją spotkałem – odparł Dafydd. – Stanowiła część komitetu powitalnego na moją cześć.

– Och, tak? – Hogg był wyraźnie zbity z tropu. – No tak, jasne, to do niej podobne. Jest bardzo dociekliwa. Nic nie ujdzie jej uwagi. – Ponownie chwycił Dafyddę za rękaw i pociągnął go za sobą. – Sheila zna swój fach, nawet lepiej niż ja. Czegokolwiek będzie pan potrzebował, także z magazynu leków, proszę się zwracać wprost do niej.

– Hogg, czy to o mnie mowa? – w drzwiach prowadzących na oddział pojawiła się Sheila. Ruszyła w ich kierunku. – Młody człowiek pewnie odniesie mylne wrażenie.

Podeszła do nich i w reakcji na jej uwagę wszyscy roześmieli się nieszczerze. Hogg, dając Dafyddowi do zrozumienia, do kogo należy, objął ją ramieniem.

– Sheila, spotkałaś już Woodrighta, nasz nowy nabytek.

Jest pierwszej klasy chirurgiem, jak to piszą osoby go polecające, i już okazał się rannym ptaszkiem. – Ścisnął ją w ramionach, wskutek czego biust Sheili wysunął się znacząco do przodu. – Może wypijemy z nim poranną kawę? To będzie pańska pierwsza, prawda?

Dafydd poczuł mdłości, jak mu się to często zdarzało, gdy rozpaczliwie szukał riposty, ale nic stosownego nie przychodziło mu do głowy.

– Nazywam się... Woodruff – wtrącił niewyraźnie, podczas gdy tamtych dwoje wpatrywało się weń jak w zdobycz, ale każde w inny sposób i z innego powodu.

– Tak, świetnie. Poradzi sobie – powiedziała Sheila. Ich oczy spotkały się na moment. W jej sposobie bycia pod przykrywką żartobliwych uwag wyczuwało się autorytet. Miała oczy o niezwykle głębokim, szafirowym kolorze. Bardzo mocno je umalowała, co wcale nie było potrzebne. Reszta twarzy natomiast była nietknięta makijażem. Na nieskazitelnej, mlecznej cerze widniały tu i ówdzie blade piegi. W pełnym świetle dnia jej rude włosy stanowiły nieprzebraną masę jaskrawoczerwonych loków. Tak, zachwycająca, ale Dafydd od razu począł mieć się na baczności, choć nie bardzo umiał sobie odpowiedzieć, dlaczego.

Hogg nie miał żadnych zastrzeżeń. Wpatrywał się w Sheilę z nieukrywaniem podziwem. Miał jednak żonę, imieniem Anita. Jak Dafyddowi napomknęła poprzedniego wieczoru miła pielęgniarka, Janie, „Anita cierpi na wyczerpanie po wirusie, ale Hogg nie wierzy w taką jednostkę chorobową. Uważa to za jakiś wymysł”. Oboje uśmieli się % tego serdecznie. Na razie z osób poznanych w Moose Creek Janie wydała mu się najsympatyczniejsza. Dwadzieścia sześć lat, zamężna za zaharowanym zawodowym myśliwym, z dwojgiem dzieci i trzecim w drodze.

– Hogg ma rację – orzekła Sheila, wyzwalając się z jego uścisku. Zrobiła krok do przodu i kładąc na ramieniu Dafydda szczupłą, pokrytą piegami rękę, stwierdziła: – Już ja się panem zajmę.

Zaledwie tydzień po objęciu stanowiska Dafydd musiał się zmierzyć z pierwszym poważnym problemem. Do szpitala zatelefonował kierownik robót z pobliskiego tartaku, domagając się, żeby jak najszybciej przybył na miejsce lekarz, ale nie poinformował o okoliczności wypadku. Hogg zaproponował, żeby udał się tam Dafydd, w celu zapoznania się z „nieszczęśliwymi przypadkami w sektorze przemysłowym” środowiska

robotniczego, w którym przyjdzie mu pracować. Z niepewnych spojrzeń, jakie rzucał mu szef, Dafydd wydedukował, że spotka się z czymś koszmarnym, i poczuł lęk na myśl, co tam zastanie. Intuicja go nie myliła. Jak potem obliczono, zwłoki mężczyzny składały się ze stu czterdziestu dwóch kawałków.

Czekając w karetce, aż ktoś otworzy bramę i wpuści ich na teren, zastanawiał się, czy zbieranie szczątków ludzkich należy do jego obowiązków. Ich zakres był bardzo ogólnikowy: *praktyka internistyczna, rutynowe zabiegi chirurgiczne, nieco położnictwa, doświadczenie w psychiatrii mile widziane*. Ale rola pracownika zakładu pogrzebowego? Zdawał sobie sprawę, że to wezwanie musiało mieć coś wspólnego ze zwłokami, z rozkawałkowanym ciałem. Może Hogg miał rację, uważając go za człowieka nieczęsto wystawianego na takie próby. Rzeczywiście, nie przywykł do zajmowania się zwłokami, zwłaszcza w strzępach.

Kierownik tartaku powitał go w drzwiach barakowozu. Przeprosił, że zawraca głowę lekarzowi, i odwołał się do jego dogłębnej wiedzy w zakresie anatomii.

– Moi ludzie nie zgadliby, co jest czym – rzekł, odwracając wzrok od dziedzińca za oknem. – Jednak niektórzy z nich pewnie wyciągną pomocną dłoń. – Mrugnął i szybko dodał: – Chyba niezbyt zręcznie mi się powiedziało, co?

Mimowolnie Dafydd uśmiechnął się w reakcji na ten lapsus. W całej tej sytuacji było coś tak surrealistycznego, że nie potrafił reagować z należytą powagą. Nigdy przedtem nie widział czegoś podobnego i nie był pewien, od czego zacząć.

– Przyniosę panu trochę mocnych toreb plastikowych – zaoferował kierownik i szybko ulotnił się na zaplecze. W pobliżu przechadzało się kilku robotników w pomarańczowych kombinezonach ochronnych, wyraźnie czekając na rozwój wydarzeń. – Och... i to – szef wyciągnął stertę żółtych rękawic gumowych. – Pewnie się przydadzą.

– Go się tu właściwie stało? – zagadnął Dafydd smagłego nastolatka, który go nie odstępował. Chłopak niósł duży pomarańczowy worek z plastiku do wrzucania szczątków.

– On pompował oponę w ciągniku, o tam – wyjaśnił chłopak, wskazując na potężny pojazd z kołami o średnicy niemal dwu i pół metra. – I ta opona pękła, dosłownie eksplodowała. – Rozłożył ramiona i wydał z siebie dźwięk

imitujący eksplozję, śliniąc się przy tym obficie.

– Niece – wtrącił starszy mężczyzna. – Dzieciaku, wszystko ci się poplątało. On chciał rozgrzać palnikiem gwint, bo się zapiekł. I to od płomienia wybuchła opona.

Wskutek eksplozji człowieka rozszarpało. Partie ciała, kości, kawałki skalpu z włosami leżały rozrzucone w promieniu pięćdziesięciu metrów. Strzępy czarnej opony pokrywały dziedziniec jak zastygłe cząstki lawy. Większe fragmenty zwłok wały się nieopodal, czerwone i błyszczące w słońcu, jaskrawo odbijające się od tła upstrzonego naoliwionymi śrubami i mutrami. Odłamek czaszki leżał pusty i oblepiony pyłem, niczym skorupa starożytnego naczynia. Dafydd podniósł go i pobieżnie zbadał. Na dnie zauważył resztki mózgu mężczyzny, przypuszczalnie swego rówieśnika. Za ledwie godzinę przedtem ten mózg myślał i odczuwał, liczył na koniec zmiany, powrót do domu, gdzie czeka żona z dziećmi. Dafydd wrzucił owalnie zagłębioną kość do worka, który skwapliwie podsunął mu jego młody towarzysz. Osłabł w upale, a panujący odór przyprawił go niemal o wymioty. Jego rękawice były wysmarowane krwią, pachy lepkie od potu. Krople potu spływały mu także z czoła i zalewały oczy.

Chłopak nie okazywał najmniejszych oznak obrzydzenia. Gapił się z fascynacją na różne organy i kończyny, wrzucane po kolei do worka. Wreszcie postawił wypchany wór na ziemi i pobiegł po następny.

Mężczyźni przysłani do pomocy kręcili się w pobliżu, dziobiąc w piachu czubkami swoich buciorów podbitych stalowymi blaszkami. Nawet dla takich twardzieli zbieranie resztek ich kolegi okazało się zadaniem ponad siły. Kierowca, który przywiózł Dafydda do tartaku, również trzymał się z daleka. Powinien był przystąpić do pomocy, ale na wszelki wypadek zajął się składanymi noszami w karetce, udając, że coś się w nich zacięło.

Kierownik, który poszedł zawiadomić żonę ofiary, wrócił z informacją, że kobieta pojechała już do szpitala i czeka tam, żeby zidentyfikować zwłoki. Najwyraźniej pragnęła zrobić to od razu, bo udała się do Moose Creek już poprzedniego wieczoru. Facet wzruszył ramionami, rozcapierzając grube palce w bezsilnym geście.

– Nie mogę zrobić tego szybciej – odparł z irytacją Dafydd. – Może by się pan pofatygował i mi pomógł?

Kierownik pokręcił głową, a na jego spalonej słońcem twarzy pojawił się grymas strachu. Spojrzał na swoich podwładnych i zapewne w obawie przed



utrata autorytetu z powrotem obrócił się twarzą do Dafydd.

– Ja robię to, co do mnie należy, a pan robi swoje. W ten sposób nikt nikomu nie będzie deptał po piętach – powiedział.

Mrugnął do załogi i wydał z siebie głupawy chichot. Mężczyźni jednak dale) milczeli i wiercili czubkami butów w piachu. Tylko chłopak się zaśmiał. Sięgnął do worka i gołymi rękami wyciągnął z niego stopę.

– Niech pan patrzy – odezwał się, podsuwając zakrwawiony strzęp szefowi przed oczy. – Nie będzie mu pan deptał po piętach. Są tutaj.

Przerażony człowiek zbladł jak ściana i cofnął się, niemal tracąc równowagę na wysypanej żwirem ziemi. Bez słowa odwrócił się i ruszył biegiem do swego baraku. W reakcji na to kilku robotników poczęło śmiać się pod nosem i coś między sobą szeptać. Upokorzenie szefa najwyraźniej przyniosło im pewną ulgę po traumie spowodowanej wypadkiem. Chłopak zerknął na Dafydd, nie kryjąc zadowolenia z siebie. Ten odwzajemnił uśmiech i kiwnął mu głową. Zastanowiło go, czy dzieciak nie jest za młody na pracę w tartaku. Może go stąd wyrzucą za impertynencję.

Zawieźli przerażający ładunek do miasteczka. Kierowca karetki był krępy męczyzną ze środkowej Europy, gędzącym o koszmarnych doświadczeniach w swoim zawodzie. Gadając, stale żuł gumę balonową. Dafydd, chcąc się wyłączyć, gapił się przez szybę na zarośla po obu stronach szosy. Te lasy zajmowały setki kilometrów kwadratowych. Jak łatwo można się w nich zgubić...

– ... była w przepuście pod mostem – wie pan, tym przy trzydziestym kilometrze. Jej zwłoki go zatkały, więc woda zalewała jezdnię, inaczej nigdy by jej nie znaleźli. – Kierowca zrobił dla lepszego efektu pauzę i łypnął na Dafydd. – Morderca nadal jest na wolności, pewnie w naszym mieście, tuż pod nosem. Policja nie znalazła nikogo, kto miałby jakiś motyw. To znaczy, jej mąż miał inną kobietę, ale rozstali się w zgodzie i w ogóle, więc nikt nie miał żadnego powodu, żeby zamordować biedną dziewczynę.

– Okropne – machinalnie skwitował Dafydd, rozmyślając o Bristolu i o tym, jakim był szczęściarzem, że wskutek swojej niekompetencji nie doprowadził do niczyjej śmierci. Musi jeszcze zapowiedzieć Hoggowi, że w żadnym razie nie będzie operować dzieci. Zagryzł usta i obrócił się twarzą do kierowcy.

– Od jak dawna pan tu żyje? – spytał bez specjalnego zainteresowania.

– Och, niech się zastanowię... – Męczyzna zmrużył zmęczone oczy i

przeciagnał ręką po nieogolonym podbródku. – To było gdzieś w osiemdziesiątym czwartym roku. Moja pani...

Dafydd skinął głową. W myślach składał w całość strzępy denata. Jak to zrobić? Rozłożyć je na stole w szpitalnej suterenie, nazywanej górnolotnie oddziałem patologii. Scalić jak jakieś gigantyczne puzzle. Wyprostował się nagle, uświadamiając sobie, że w szpitalu czeka żona, mająca zidentyfikować zwłoki męża. Przekazywanie złych wieści bliskim też nie było jego mocną stroną. A na dodatek kierownik tartaku pominął milczeniem stan, w jakim znajdował się denat. Teraz trzeba będzie przekonać tę biedną kobietę, żeby odstąpiła od swego zamiaru.

– ... a ja musiałem objąć go rękami w pasie i ciągnąć, żeby Brannagan mógł równo odciąć mu stopy. Trzeba było widzieć tę krew sikającą z nich, mimo opasek uciskowych. W żaden sposób nie mogliśmy ściągnąć z niego tej belki. Sposób, w jaki ta cholerna rzecz wbiła się...

Sheila Hailey stała na schodkach przy wejściu służbowym, czekając, aż karetka pojedzie pod próg.

– Powiedziałam tej kobiecie, że nie może obejrzeć tych przeklętych zwłok, a ona swoje – rzekła do Dafydda, patrząc wzrokiem wyzbytym emocji na kierowcę, który dźwigał na plecach pięć worków plastikowych i znosił je do sutereny.

– Porozmawiam z nią – rzucił Dafydd, nieco zaskoczony bezdusznym podejściem Sheili. Choć od ich pierwszego spotkania minęło już kilka dni, nadal nie mógł jej rozgryźć. Była doskonałą pielęgniarką, zdolną do ciężkiej pracy, ale cechował ją chłód, wyczuwalny od pierwszej chwili. Chłód maskowany pozorną skłonnością do flirtu i zapewnieniami o gotowości pomocy. Doszedł do wniosku, że jej wyzbyty – współczucia stosunek do pacjentów jest, być może, wynikiem samodyscypliny. Musiała stać się twarda, bo widziała straszne rzeczy. Największą zagadką było jednak to, z jakiego powodu niezwykle atrakcyjna kobieta, doskonale wykształcona w swoim zawodzie, tkwi w takiej dziurze jak Moose Creek. Być może, podobnie jak on, ma coś na sumieniu... Spróbuje wypytać o nią Iana albo może Janie, jak się lepiej poznają. Bo w żaden sposób nie wyobrażał sobie, że mógłby na tyle zbliżyć się z Sheilą, żeby zagadnąć o to ją samą.

Mijając ją w wąskich drzwiach, zamyślił się na moment, dlaczego tak go to intryguje. Sheila nie zeszła mu z drogi, więc niechcący otarł się ramieniem o jej piersi. Gwałtownie odsunął rękę, jakby wzbraniając się

przed takim kontaktem, i ruszył w głąb korytarza.

– Mówię ci – krzyknęła za nim. – Ona nie chce ustąpić. Wpadła w histerię. Próbowałam zrobić jej zastrzyk, ale...

Dafydd z przerażeniem obrócił się w jej stronę.

– Nie krzycz – syknął. – Ktoś może cię usłyszeć.

Zrazu zaskoczył ją tą uwagą, ale po chwili odparła z uśmiechem:

– My tutaj niespecjalnie zważamy na prywatność.

Dafydd odwrócił się na pięcie i pomaszerował do pokoju, w którym czekała na niego zrozpaczona kobieta.

– Co się dzieje? – zagadnął go Ian Brannagan, gdy wpadli na siebie w korytarzu.

– Jeśli ktoś na gwałt potrzebuje drinka... – wyjąkał Dafydd.

– Rozmawiasz z właściwą osobą – odparł Ian, chwytając kolegę za ramię. – Właśnie szedłem w tym celu do Klondike. Zbieraj manatki i już nas tu nie ma.

Zbiegli ze schodów i szybkim krokiem zeszli z boczem, wzbijając za sobą tumany kurzu. Minęła właśnie szósta po południu, ale słońce paliło niemiłosiernie, aż powietrze drgało. Upał tylko pogarszał sprawę; odór pokawałkowanych zwłok jakby przylgnął do Dafydda. Na piersi nadal czuł razy nieszczęsnej kobiety, która w ataku hysterii okładała go pięściami. Dłonie miał obolałe od trzymania jej za nadgarstki. Odnosił wrażenie, że sam uległ ciężkiemu wypadkowi. Toteż z ulgą dotarł do plastikowej kolumnady i wszedł do ciemnego, wychłodzonego baru.

Usiedli przy małym stoliku, tuż pod klimatyzacją. Jak na barową porę było w miarę wcześnie, więc lokal świecił pustkami. Na ich widok pojawiła się Brenda, niosąc na tacy kufle piwa.

– Nie, kochana. Tym razem Extra Old Stock – odezwał się Ian.

– A ty, złotko, czego sobie życzysz? – spytała Dafydda.

– Szkocką, podwójną z lodem.

Brenda wyraźnie się zasmuciła. Kiedy wróciła z drinkami, szklanka Dafydda była hojnie wypełniona aż po brzegi.

– Słyszałam – rzekła półgłosem i klepnęła go po plecach.

– Już?

– Właśnie przyszło kilku robotników z tartaku – wyjaśniła szeptem.

– Czekał – wzdrygnął się Ian. – Póki nie wypiję paru piw, nie zaczynaj mi opowiadać, jaką to misję wyznaczono ci na początek.

Ledwie Ian jednym łykiem opróżnił pół butelki, znowu pojawiła się Brenda i dyskretnie dotknęła jego ramienia.

– Kolego, telefon do ciebie. Masz natychmiast zgłosić się na izbę przyjęć.

– Cholera. – Wlał do gardła resztkę płynu. – Czy lekarz na dyżurze nie może się przez moment wzmocnić?

Gdy Ian odchodził, Brenda nie ruszyła się od stolika. Z głębokim westchnieniem dobywającym się z tęgiego ciała usiadła i poczęła wzruszać ramionami, głośno przy tym jęcząc. Zajęła miejsce Iana, ale usadowiła się tyłem do Dafydda.

– Doktorku, zrób mi przysługę, dobrze? Wymasuj mi szybciotko plecy.

Dafydd rozejrzył się, ale nieliczni klienci baru nie zwracali na nich najmniejszej uwagi. Położył więc ręce na kształtnych ramionach kelnerki i przystąpił do masażu. Kobieta miała na sobie skąpy czerwony podkoszulek na cienkich ramiączkach. Ciepło jej ciała podziałało zbawiennie na jego dłonie, którymi tuż przedtem musiał wykonywać makabryczne czynności. Toteż z przymkniętymi oczami masował dziewczynę, podczas gdy jej miękkie, czarne włosy delikatnie łaskotały mu przedramiona. Machinalnie zebrał je w dłoni i zagłębił w nich palce. Gdy Brenda cicho jęknęła, otworzył oczy.

– Gotowe – rzekł rażnym głosem, klepiąc ją po plecach. – To pewnie choroba zawodowa, ale jesteś silna jak koń.

Obróciła się i spojrzała mu w oczy. Biorąc ze stolika tacę, na chwilę przystanęła.

– Kończę o siódmej – powiedziała. – Chcesz pojechać ze mną na wycieczkę? Mogłabym cię zawieźć nad Jezioro Jackfish. – Roześmiała się cicho. – To Riwiera Północy. Popływalibyśmy.

– Jasne, czemu nie? – Po takich doświadczeniach z pewnością zasłużył na małą eskapadę. Popływać... to mu na pewno dobrze zrobi.

O dziewiątej wieczorem słońce nadal stało wysoko nad horyzontem. Dafydd unosił się na wznak na ciemnej tafli, a rośliny wodne łaskotały go w łydki. Co chwila pikowały na niego gzy, których ugryzienia były bardzo bolesne. W takich razach niewiele można było zrobić. Na dźwięk bzyczenia nabierał powietrza w płuca i zanurzał się z głową, ale w głębi znajdowało się mnóstwo innych żyjatek. Miał tylko nadzieję, że nie wślizgną się do któregoś z jego otworów lub nie wpiją się w skórę.

Brenda, siedząc na kamienistej plaży w pomarańczowym bikini, rozpalala ogień w starej, zardzewiałej beczce zostawionej tu na barbecue. Ale Riwier – uśmiechnął się Dafydd do siebie. Mimo wszystko był to sympatyczny finał wyczerpującego dnia.

– Możesz już wyjść! – krzyknęła Brenda. – Dym chroni przed owadami.

Dopłynął do brzegu i szybko wyskoczył, trochę zawstydzony swoimi gatkami w biało-niebieskie pasy. Rodzina nieopodal właśnie pakowała swoje rzeczy. Mogli więc zupełnie sami rozkoszować się wieczorem. Brenda zerknęła na niego, gdy starał się wciągnąć koszulę na mokre ciało.

– Nie musisz się ubierać – poradziła. – Jest gorąco, a ja cię nie zaatakuję.  
– Roześmiała się. – Chociaż, nie powiem, jesteś w świetnej formie.

Miała rację. Upał nie zelżał, ale eskadra gzów w obawie przed dymem trzymała się z daleka. Zdjął koszulę i wyciągnął się na kocu przywiezionym przez pielęgniarkę.

– No więc mam ze sobą dwa hamburgery, dwie bułki i dwa ziemniaki, a na omastę tylko keczup – rzekła przepraszającym tonem. – I oczywiście najważniejsze: zimne piwo. – Otworzyła butelkę i podała mu. Dafydd zerknął na jej ramiona, które tak niedawno masował. Tors Brendy był potężny niczym u dokera – szerokie, umięśnione plecy i małe, twarde piersi. Dziewczyną była smukła w talii, za to uda i biodra miała zdecydowanie kobiece, opięte gładką, czekoladową skórą. Siedziała tak blisko, że wyraźnie czuł zapach i ciepło jej ciała. Szybko przekręcił się na brzuch, żeby nie zauważyła jego erekcji, i przyłożył sobie do czoła zimną butelkę. Następnie pociągnął łyk piwa i oparł głowę na kocu, grzejąc w słońcu wychłodzone plecy. Po raz pierwszy od przyjazdu zaczął się uspokajać.

Brenda tymczasem głaskała go po grzbiecie.

– Hej, robi się późno. I twój hamburger zupełnie wystygł.

Dafydd zbudził się gwałtownie, uprzytomniwszy sobie, że drzemał co najmniej przez godzinę. Słońce nadal stało wysoko, jednak było zdecydowanie chłodniej, a w lesie zapanowała cisza. Siadł i przetarł oczy. Z metalowej beczki mocno dymiło, ale powietrze było rozkoszne, a ciemne jezioro z różowymi obłokami odbijającymi się w toni wyglądało teraz pięknie.

– Ale ze mnie nudziarz, że zasnąłem.

– Przyglądałam ci się z przyjemnością – odparła Brenda. – Wyglądałeś uroczo, jak upadły anioł.

Roześmiał się z zażenowaniem. Nad ich głowami zawirował nagły poryw wiatru, smugi dymu powędrowały nad ciemną wodę. Dafydd zadrzał z zimna i sięgnął po koszulę, ale Brenda uklękła przed nim i bez słowa pchnęła go na koc. Gdy leżał na plecach, łagodnie położyła się na nim. Był to gest bardziej opiekuńczy niż seksualny. Jej rozgrzane ciało było niczym ciężki pled. Dafydd objął ją i przez dłuższą chwilę oboje leżeli bez ruchu. Jedną ręką począł gładzić jej włosy, a drugą próbował rozplatać tasiemkę na wysokości jej biodra. Znienacka dół bikini zsunął się i jego ręka wylądowała na gołym pośladku. Brenda uniosła głowę, spojrzała mu w oczy.

– I jeszcze z drugiej strony – powiedziała.

Leżał na kocu wśród subarktycznych lasów, pod śmiałą, spragnioną seksu kobietą, a w promieniu dziesiątków kilometrów ani żywej duszy. Usiłował wyswobodzić członek spod jej brzucha. Nic jednak nie wskazywało, że mieli się przeturlać na jego plecy. Szybko rozwiązał drugą tasiemkę, ściągnął z niej pomarańczowe slipki. Brenda wydała z siebie głuchy jęk, ich usta się spotkały.

Wskutek napięcia towarzyszącego mu w ciągu ostatnich miesięcy ignorował lub puścił w niepamięć swoje potrzeby seksualne, więc teraz potężna erekcja sprawiała mu ból. Podciągnął dziewczynę wyżej, żeby móc ją pieścić, a ona tymczasem mocowała się z jego gatkami. Gdy się tak zmagali, dysząc i śmiejąc się, ich miednice stukały o siebie. Chwyciwszy Brendę za uda, Dafydd umieścił ją okrakiem nad sobą.

– Bierz mnie – domagała się. Miała zaczerwienioną twarz i wielkie, błyszczące oczy. – W porządku... jestem na pigułce.

Przez chwilę przemknęła mu myśl, że i on powinien się zabezpieczyć, ale zanim w pełni zdał sobie z tego sprawę, jego lędźwie jakimś cudem wyzwoliły się z gatek. Odnalazł swój cel i wbił się w Brendę jednym silnym pchnięciem. Kobieta wydała z siebie stłumiony krzyk, a po chwili uśmiechnęła się do niego bezwstydnie, jakby wyraźnie dając do zrozumienia, że przez cały czas o to jej właśnie chodziło. Postawiła stopy płasko na ziemi i wspierając się na nich, zaczęła wykonywać szybkie ruchy frykcyjne.

Jej całkowity brak subtelności podniecił go, ale zarazem pozbawił wszelkich innych emocji. Błyszczące oczy kobiety jakby w ogóle przestały go dostrzegać, zajęte, jak i ich posiadaczka, własną przyjemnością. Dafydd nawet nie potrzebował wykonywać żadnych ruchów. To ona mnie rypie –

pomyślał, zdumiony siłą jej ud. Z obojętnością zerknął na ich genitalia, przypominające tłok poruszający się w cylindrze. Czuł się tak, jak gdyby pompowała go doskonale naoliwiona maszyna. Opośledził zauważył swoje gatki w idiotyczne białe-niebieskie paski (ich także trzeba się będzie pozbyć), a dalej – lekko zmarszczoną toń jeziora i obłoki, które z różowych stały się teraz popielate. Niemniej intensywność jej ruchów wkrótce sprawiła, że był na samej granicy wytrysku. Chwytał ją więc w pasie, chcąc powstrzymać, ale to ona dyktowała warunki i nie zwracała uwagi na jego gest.

– Poczekaj, zastopuj – szepnął, wiedząc, że jest już za późno. Wydał głośny jęk; wytrysk okazał się w większym stopniu bólem niż rozkoszą, po prostu był zbyt gwałtowny. Poczował w brzuchu coś na kształt skrętu jelit. Brenda wreszcie spowolniła ruchy, wyraźnie zawiedziona.

– Przepraszam, od ostatniego razu minęło sporo czasu.

– Wyluzuj – odparła i zsunęła się z niego niedbale. – Za jakąś minutę spróbujemy od nowa.

Za minutę... Chryste! Zdawał sobie sprawę, że mógł ją doprowadzić do orgazmu innym sposobem, jednakże ogarnął go letarg. Czuł się jak naćpany. Objął ją ramieniem i oboje leżeli bez ruchu, chłodząc ciała w lekkiej bryzie wieczornej, przy akompaniamencie pohukiwań przelatującej tuż obok sowy. Mimo duchowego odrętwienia Dafydd miał nadzwyczaj wyostrzone zmysły, jakby samą skórą mógł słyszeć odgłosy lasu, czuć zapach seksu, dymu i sosnowych igieł. Rozległ się głośny plusk, pewnie jakaś wielka ryba wyskoczyła na powierzchnię wody.

Wrócili do pocałunków, ale teraz wydawały się im zbyt intymne. Przecież w ogóle się nie znali. Choć jej oddech stawał się szybszy, Dafydd odsunął się od niej. Tak naprawdę to nie miał ochoty dłużej się z nią kochać, czy raczej uprawiać pełnego seksu. Gdy wsunął jej ręce między uda, wiadomo było, do czego zmierza. W niespełną minutę doprowadził ją do orgazmu.

– Powtórz to – zażądała po krótkiej przerwie. Spełnił jej życzenie, z takim samym szybkim rezultatem. Sprawiała wrażenie umiarkowanie zadowolonej z tych pieszczot, osiągniętych skromnym nakładem pracy w porównaniu z jej poprzednim wysiłkiem.

– Chyba powinniśmy się zbierać – rzekła podnosząc się. – To kraina niedźwiedzi.

Dafydd też wstał, z lękiem oglądając się za siebie. Brenda roześmiała się.  
– A dlaczego, jak myślisz, rozpałiłam ogień? Przeciwno grom?

W milczeniu spakowali się i zebrali resztki pikniku.

Wracali do Moose Creek w gęstniejącym zmroku, minęli tartak, w którym zaledwie kilka godzin przedtem Dafydd zbierał do plastikowych worków szczątki ludzkie. Tym razem miał obok siebie kobietę – żywą, energiczną i w jednym kawałku. Był w całkowicie obcym sobie miejscu i zastanawiało go, co z tego spotkania wyniknie. Może jakieś oczekiwania, przypuszczenia, ale najprawdopodobniej nic z tych rzeczy. Brenda była wyemancypowaną kobietą, spełniającą swoje potrzeby. A poza tym pewnie oceniła, że jest za bardzo spiętym, niezbyt sprawnym kochankiem. Tak czy inaczej, Dafydd nie czuł się na siłach, żeby komukolwiek powierzyć swoje obolałe ja.



## Rozdział 5

*Cardiff, rok 2006*

Nad Cardiff zwisały grube, szare chmury. Dafydd rzucił okiem na niebo, schylił głowę, żeby uchronić się przed mżawką, i pobiegł na parking dla personelu medycznego, na którym jego stary skuter, velocette Venom, stał między rzędami błyszczących jaguarów i BMW. Zazwyczaj odczuwał coś w rodzaju przekornej satysfakcji, gdy zostawiał swój dwuślad pośród tych technicznych erzaców erekcji, ale akurat dzisiaj ten skromny środek transportu wydał mu się smętny, dziecinny i zenujący. Większość dorosłego życia spędził, moknąc na motorach, teraz jednak chętnie by sobie tego oszczędził.

Wcisnął na głowę hełm, zaciągnął zamek błyskawiczny skórzanej kurtki, nałożył wodoodporne pumpy, przymocował teczkę do bagażnika za siedzeniem i rozpoczął operację uruchamiania silnika. Rozrusznik nożny miał tendencję do odskakiwania, a wtedy uderzał w kolano z siłą młotka, wystawiając motocyklistę na ryzyko przedwczesnych zmian artretycznych.

– No, zapal się wreszcie – warknął, widząc, jak Ed Marshall uśmiecha się do niego pobłaźliwie, otwierając drzwiczki swego nowiutkiego saaba i wślizgując na obity skórą fotel.

Na szczęście jednak velocette zaskoczyła i Dafydd odjechał, ciągnąc za sobą smugę niebieskawego dymu.

Był koniec września, dni stawały się krótsze. Zamiast do pustego domu machinalnie skierował się nad morze. Kiedy zaparkował na nabrzeżu w Penarth, mżawka prawie ustała. Esplanada była pusta, jeśli nie liczyć kobiety, która usiłowała wsadzić na tylne siedzenie swego auta mokrego i umorusanego labradora. Pies się zapierał, więc przepychanka trwała w nieskończoność, aż właścicielka ustąpiła, pozwalając mu wskoczyć na siedzenie obok kierowcy. Dźwięki sokowirówki w pobliskim pubie nakładały się na cichy szum fal uderzających o kamyki na brzegu.

Siedząc okrakiem na skuterze, wpatrywał się w ciemniejącą szarość. Dwa samochody z gromadą młodych ludzi zaparkowały tuż obok. Z otwartych okien słyszać było głośny rap przy akompaniamencie

zachrypniętych okrzyków i dziewczęcych chichotów. Dafydd zmierzył towarzystwo wzrokiem, zamyślając się nad tym popisem próżności. Jako nastolatek nie tykał piwa, nie palił marychy i nie obmacywał koleżanek w samochodzie. Pierwszy skuter kupił sobie dopiero w czasie studiów na Akademii Medycznej. Jako syn był ucieleśnieniem marzeń swojej owdowiałej matki: pilny, zdolny, zdyscyplinowany. Dziewictwo stracił w dwudziestym pierwszym roku życia. Od tego czasu usiłował nadrobić straty.

Jedna z dziewcząt w samochodzie poczuła na sobie jego wzrok i odpowiedziała hardym spojrzeniem, w którym można było wyczytać: i co się na mnie tak gapisz? Pokazała mu język, demonstracyjnie nim kręcąc. Przez moment Dafydda zafascynowała jej śmiałość, ale szybko dostrzegł także zuchwalstwo. Dziewczyna jednak uśmiechnęła się i opuszczając szybę zawołała:

– Hej, facet, jesteś całkiem seksowny... jak na swoje lata.

– Jej kumple zarechotali. Dafydd nigdy nie rozumiał nastolatków; byli dla niego jak osobnicy należący do innego gatunku. Czuł się w ich obecności zastraszony. Znowu popatrzył na morze.

Pomyślał o Jimie Wisemanie. Jego żona, odchodząc z holenderskim pilotem, zostawiła go z trójką nastoletnich dzieci. Któregoś wieczoru Dafydd zajrzał do niego. Zastał na fotelach młodzież rozpartą w najdziwniejszych pozach, ryczący telewizor, talerze z resztkami jedzenia we wszelkich możliwych miejscach, nieustannie okupowany telefon. Jim miał przed sobą perspektywy samotnego ojca, jednakże żył myślą o dzieciach. Uwielbiał swoje pokryte trądzikiem, gamoniowate, prostackie latorośle. Dafydd czuł się tam okropnie. Z jednej strony pragnął doświadczyć ojcostwa na własnej skórze, ale z drugiej – obawiał się tego i nie bardzo widział się w tej roli. Tak czy inaczej, ominęło go, a teraz było za późno.

Zszedł z siodełka i zaczął grzebać w teczce. Wyciągnął butelkę z resztką szkockiej, którą podarował mu wdzięczny pacjent. Nie miał ochoty spieszyć się do domu, bo Isabel pojechała służbowo do Glasgow. Jej nowy klient, niejaki Paul Deveraux, potężny inwestor, pił, żeby w charakterze dekoratora wnętrz przeszła do jego firmy na cały etat. Kusił ją przez kilka tygodni nowym hotelem w Glasgow, należącym do ważnej sieci, a Dafydd zachęcał żonę do wyjazdu. W ten sposób bliżej pozna człowieka i może zdecyduje się przehandlować swoją ciężko zapracowaną niezależność zawodową. Na Boga, oboje potrzebowali osobnej przestrzeni, przynajmniej

do czasu otrzymania wyników DNA, potwierdzających jego niewinność. Wskutek demonstracyjnego chłodu Isabel oboje zachowywali się wobec siebie jak obcy ludzie. I nie było tak istotne, czy żona wierzyła zapewnieniom męża w sprawie Sheili Hailey, czy też nie. Liczył się fakt, że wyjątkowo ją zirytowała paczuszka kondomów leżąca na jego szafce nocnej. Zrozumiała, że Dafydd po miesiącach rozmyślań podjął postanowienie. Zapewne doszedł do takiego wniosku, gwałtownie wyrzuciwszy to z siebie w czasie nocnej burzy, ale praktyczne aspekty tej decyzji były dla niej nie do zniesienia.

– Nie będziesz ich potrzebował.

Nie zareagował na tę uwagę, mając nadzieję, że Isabel w gruncie rzeczy wcale tak nie myśli. On także był podminowany. Nie tylko dlatego, że musiał odpierać niekończące się ataki tej wariatki, którą miał kiedyś pecha znać, ale i z tego powodu, że jego własna żona traktowała go jak jakieś paskudztwo, które wypęzło ze ścieku. Isabel nie dawała mu żadnej szansy, by jej opowiedział, jak się czuje w tej sytuacji, a tym bardziej, by zwierzył się z własnych niepokojów. I choć wiele razy przeproszał ją za swoją bezduszość, zbywała jego słowa lodowatym milczeniem, odzywając się tylko w razie konieczności.

Dyskretnie pociągnął łyk z butelki. Świetny trunek. Napił się jeszcze raz i wsunął piersiówkę do kieszeni. Zaczął wypatrywać kanału La Manche, ale nad falami unosiła się gęsta mgła i wybrzeże Devonu było ledwie widoczne. Molo w Penarth, z pewnością zabytkowa pełna gracji budowla, ciągnęło się głęboko w morze. Nie spacerował tu od ośmiu lat – od czasu, kiedy przeniósł się do Cardiff. To już szmat czasu. Przyjął tę pracę, bo doskonale odpowiadała jego kwalifikacjom, lecz także dlatego, że chciał wrócić do krainy dzieciństwa. Jego matka, Delyth, urodziła się i wychowała w Walii, ale kiedy wyszła za mąż za jego ojca, typowego mieszkańca północy, oboje przenieśli się do Newcastle. Dopiero gdy Dafydd wybierał się do Moose Creek w 1992 roku, owdowiała od wielu lat Delyth uparła się, żeby wrócić w swoje rodzinne strony i zamieszkała w domu opieki w Swansea. Tam umarła wkrótce po jego powrocie z Kanady. Gdy Dafydd ożenił się z Isabel, z kolei jej związki z Walią stały się okazją do pozostania w Cardiff. Rodzice żony byli z pochodzenia Włochami i nadal prowadzili sieć lodziarni w wielu miejscowościach na południu Walii. Ubodzy emigranci, którzy w Wielkiej Brytanii znaleźli schronienie przed II wojną światową, dorobili się tu

fortuny.

Dafydd minął od dawna nieczynne kołowroty i ruszył przed siebie drewnianym pokładem mola. Paru wędkarzy w obszernych kurtkach przeciwdeszczowych siedziało bez ruchu przy poręczach, gapiąc się w milczeniu na spławiki, w całkowitej izolacji od świata. Od czego chcieli uciec za pomocą tego zajęcia, trudno było odgadnąć, w każdym razie chyba niczego nie złowili. Przechodząc obok, Dafydd zerknął na puste wiaderka, ale żaden z wędkarzy nawet nie uniósł głowy, najwyraźniej nie mając ochoty na wymianę zdań z obcym.

Po obu stronach mola znajdowały się zadaszone ławki, rodzaj budek zawieszonych nad wodą, gdzie zakochani mogli się osłonić przed wiatrem. Ale dziś nie było ani jednej pary, wieczór nie zachęcał do romantycznych schadzek. Ławki były jednak suche, więc Dafydd przysiadł na jednej z nich i pociągając małymi łykami szkocką, obserwował tankowce prujące spokojną toń. Trwał odpływ. Woda, tworząc leje, szybko cofała się w stronę kanału La Manche, odsłaniając brązowy muł pod molem.

Otulił się szczelniej marynarką i zamyślił nad swoją pracą. Cała ta sprawa z fałszywym zarzutem o ojcostwo przyniosła mu pewną korzyść. Powstrzymała ogólną inercję, ospałość, która coraz bardziej opanowywała jego życie. Odnosił wrażenie, że ogranicza się jedynie do czynności związanych ze swoją specjalizacją. Pilnie pracował, odkładał pieniądze, spłacał kredyt za dom i wyczekiwał emerytury. Skoro tak, to życie należało traktować serio, jak wielką partię golfa. Tyle że większość takich jak on dostawała ataku serca i umierała. Znał to wszystko na pamięć, w ten sposób zmarł jego ojciec. Jednakże jego żalosne bunty przeciw takiemu porządkowi świata, w rodzaju odmowy kupna sobie samochodu lub prowadzenia praktyki prywatnej, nie przynosiły mu szczególnej satysfakcji, nie stawiały w rzędzie herosów. Być może, kiedy już się wyjaśni cała afera z DNA, coś się naprawdę zmieni. Nastąpi jakiś nowy rozdział, zarówno w jego życiu zawodowym, jak i w małżeństwie.

Tymczasem zapadł zmrok, co wcale mu nie przeszkadzało. Obłoki rozwiął wiatr, a w oddali rozbłysły światła miasteczka Weston-Super-Mare. Obiecał sobie kiedyś, że odbędzie rejs starym parowcem na drugą stronę zatoki, ale nigdy do tego nie doszło. Znowu wyjął piersiówkę i opróżnił ją do dna. Poczuł, jak szkocka wsącza się w jego krwiobieg i rozgrzewa od środka. Wstał, wrzucił butelkę do kosza na śmieci i poczłapał do wyjścia z

mola. Wędkarze ani drgnęli.

Pub przy Esplanadzie był nadal otwarty, a on czuł od jakiegoś czasu ucisk w pęcherzu. Równie dobrze może zamówić kufel piwa i torebkę orzeszków ziemnych. W domu nie miał nic do jedzenia. Lodówka była pusta, jeśli nie liczyć należących do Isabel słoiczków z różnymi witaminami i chińskimi preparatami, które rzekomo miały stymulować płodność.

Po dwóch godzinach spędzonych w pubie podszedł do swego skutera, czując się naprawdę pokrzepiony na duchu. Wspaniale było pobyć samemu i mieć czas na przemyślenia. Kiedy ta cholerna afery się rozwikła, zmieni styl życia. Odkurzy swoją starą gitarę, może wyciągnie z zakamarków wędkę, bo dobrze mu zrobi odrobina samotnej medytacji. I wróci do biegania, będzie miał uda jak z żelaza. Wyłączy telewizor i poświęci się lekturom książek, których tyle nakupował, ale nigdy nie znalazł czasu, żeby je...

Zachwiał się trochę, kopiąc rozrusznik, i przez chwilę zastanawiał się, czy mądrze robi, wsiadając na skuter, ale co, do cholery, pewnie jest już dziesiąta, a nawet dziesiąta wieczorem. Był takim nienagannym kierowcą, że nie dostał jeszcze ani jednego punktu karnego.

Hurra, silnik zastartował. Czule poklepał bąk z paliwem. Dobry skuter, kochana stara maszyna. Odjechał z parkingu i skierował się pod górę, wzdłuż klifu ciągnącego się przy plaży. Jechał jednokierunkową szosą prowadzącą do miasta. Przy Westbourne Road nie zauważył znaku podporządkowania i zupełnie pijany, choć superostrożny, nie dostrzegł zielonego volvo, które wjechało w niego na ukos z szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Najpierw gdzieś w oddali dostrzegł światełka. Rozbite na odłamki, rozsypane na całej powierzchni źrenic, niczym drobne krople rtęci. Były w ciągłym ruchu, podskakiwały i spadały, powodując nieznośny ból w gałkach ocznych. Próbował zamknąć oczy, ale zorientował się, że przecież ma spuszczone powieki. Żeby uciec od tortury tego światła, obrócił głowę. Była wielka i ciężka jak ołów. W trakcie tej prostej czynności pulsowała falami bólu.

Stopniowo rozpoznawał pozostałe członki. Ciężkie, zdrętwiałe przydatki do ogromnej głowy były – jak się okazało – jego rękami i nogami. Gdy odrobinę uniósł powieki, zauważył tuż przy swojej twarzy metalowe rurki na zielonym tle. Skądś je kojarzył i wzruszył się ich obecnością. Z powrotem

zapadł w mroczny sen.

Poczuł w nadgarstku przejmujący ból, więc zerknął na rękę. Była pogryziona przez liska. Zwierzątko ciągle siedziało obok, świdrując go zielonymi oczami. Tarzając się z boku na bok, zniecka zawyło. Był to przerażający dźwięk, ostrzeżenie. W chwilę potem lisek odwrócił się do niego zadem i zerwał z nagiej, pokrytej śniegiem ziemi. Dafydd chciał za nim pobiec i krzyknął, żeby poczekał. Z najwyższym trudem ruszył przed siebie, mając nogi niczym kloce drewna. Wskutek wysiłku poczuł mdłości. Doszedł do wniosku, że jak najprędzej musi otworzyć oczy. Znajdował się w jakimś pokoju. Próbował usiąść, ale jego ciało odmówiło współpracy. W głowie waliło mu młotem, więc oparł ją na miękkiej podkładce. W oddali rozległ się przeszywający dźwięk, jak alarm. Jego ręka powędrowała w górę i wymacała przykryte czymś usta. Materiał był twardy i zimny w dotyku, więc go zerwał. Jego czoło sprawiało wrażenie spuchniętej obręczy, odseparowanej od reszty twarzy. Jakby ktoś wsadził mu na głowę kapelusz. Świadomość jednak powoli wracała, aż do całkowitego wybudzenia. Znajdował się w sali szpitalnej, miał zabandażowaną głowę. Opuszkami palców potrafił już wymacać końcówki opatrunku. Tak go to przeraziło, że gwałtownie siadł. Wskutek tego ruchu treść żołądka podeszła mu do gardła, więc począł się bezradnie rozglądać za jakimś naczyniem... Znalazł obok siebie aluminiową nerkę. W trakcie torsji jego głowa zachowywała się jak przejrzały melon, którym ktoś z całej siły walnął o betonowy chodnik.

W pokoju pojawiła się pielęgniarka, łagodnym gestem ułożyła mu głowę na poduszce.

– Panie Woodruff, jest pan w szpitalu, na oddziale intensywnej terapii. Proszę się nie denerwować. Wszystko będzie dobrze, miał pan wypadek na skuterze.

– Kiedy?

– Kilka godzin temu. To tylko wstrząśnienie mózgu i powierzchowne otarcia skóry.

– Co się stało? Czy ktoś inny został ranny?

– Kierowca tego drugiego pojazdu nie odniósł obrażeń, ale to pan jest szczęściarzem. Drobne zadrapania, siniaki, w sumie niewiele. Natomiast pana skuter... no, jest wrakiem.

– O, cholera, straszne! – jęknął Dafydd, czując nasilające się dudnienie w czaszce.

– Właśnie zrobiono panu tomografię komputerową głowy, nie ma wewnętrznych obrażeń. Jest pan tylko trochę skołowany.

– Niczego sobie nie przypominam.

– Nie ma obaw. Pan... przespał to wszystko. Był pan – W pełni świadomy, gdy przywiozła pana karetka. – Zachichotała, ocierając mu twarz wilgotną gazą. – Spowodował pan sporo zamieszania. – Zamilkła na chwilę. – Jednakże w końcu udzielił pan zgody na pobranie sobie krwi.

– Jaką znowu zgodę?

– No, policji.

– Policji? Co ja zrobiłem... ?

– Zaraz przyjdzie tu do pana doktor Abdullah – nie dała mu dokończyć. – Proszę się teraz nie denerwować. Raczej niech pan sobie pogratuluje. Z pana to prawdziwe dziecko szczęścia.

Przestał zastanawiać się nad czymkolwiek i ponownie zapadł w głęboki sen. Ktoś mierzył mu puls, potem słyszał nad sobą głosy ludzi mówiących o nim, powtarzających jego nazwisko, ale był zbyt zmęczony, żeby się nad tym skupić. Niewątpliwie podano mu jakiś lek, bo straszliwy ból głowy stopniowo ustępował. Czuł się tak, jakby cofał się w czasie. Podpisał jakąś książkę, potem pocałował Isabel. Dziwaczna kobieta, która udzielała im ślubu, była ubrana w długą, wzorzystą suknię z falbanami. Wskutek nagłego przeciągu poczęła iść tyłem, aż zniknęła za masywnymi drzwiami z dębu. Isabel zwróciła się do niego: „Czy naprawdę tego chcesz?”. Oczywiście, że chciał, przecież ją kocha. Była ostoją, mógł się jej trzymać w czasie burzy.

Zerknął na płaszcz, jaki miał na sobie. Był podarty, jak nakrycie bezdomnego. Wywracając kieszenie na lewą stronę, skłął się w duchu. Zostawiłeś coś po sobie w Kanadzie. Zateęsknił za jakąś kobietą, po chwili odczuł niepokój, że ją porzucił. Była taka miękka i piękna, i znajdowała się tak daleko, że już pewnie nie trafi do niej z powrotem. Spojrzał na wysoką kobietę obok siebie. Miała na imię Isabel – nie takie, jak tamto dziwne imię. Zacisnął zęby, żeby się nie rozplakać, i obracając się na bok, naciągnął na głowę róg pomiętego prześcieradła. Do drzwi ktoś pukał i pukał. Weszła Sheila i zapytała, czy zrobi jej aborcję, teraz, z miejsca.

Pokręcił głową, bardzo powoli, żeby znowu go nie rozboleła. Aborcja? Tutaj?

„Nie czuję się najlepiej – rzekł, próbując przybrać stanowczy ton. – Może byś pojechała do Yellowknife? Wrócisz jutro lub pojutrze. Nikt się nie

dowie”.

„Och, daj spokój... Tyle zachodu w związku z takim głupstwem? A poza tym mój facet nic nie wie o ciąży. Nabralby podejrzeń, gdybym nagle wyjechała”. Podeszła do niego i przysiadła na łóżku. Nie miała na sobie fartucha, lecz spódniczkę mini z zielonego zamszu, a on, choć starał się nie patrzeć w jej kierunku, kątem oka widział między jej udami ognistorude kędziory włosów łonowych.

„Co rozumiesz pod słowem «nabierze podejrzeń»?” – spytał, zdając sobie sprawę, że w jakimś sensie to go dotyczy.

Milczała przez chwilę.

„Słuchaj, to dziecko – nachylając się nad nim położyła rękę na jego dłoni – to dziecko nie jest jego”.

„Naprawdę?” – Dafydd cofnął dłoń i schował ją pod kocem.

Wyprostowała się, patrząc na niego w zamyśleniu. „Nie znasz go, prawda? Powiem tak: jeśliby wykrył... zrobiłby z każdego faceta, jakiego znam, bitki wołowe. W tym również z ciebie. Z ciebie z całą pewnością. Wiesz, dlaczego, prawda? Pamiętasz, co mi zrobiłeś?”. Dafydd usiłował się nad tym zastanowić. Nie rozumiał, co mu Sheila gadała, ale na pewno nie miał ochoty, żeby jakiś owłosiony dupek latał za nim z siekierą.

„Poproś doktora Odenta – zajęczał, modląc się w duchu, żeby sobie poszła. – On w tej swojej przyczepie robi skrobaki i słyszałem, że bardzo lubi spódniczki. Albo zwróć się do Hogga. Wiesz, jak cię uwielbia... On się tym zajmie”.

„Nie. Zdajesz sobie sprawę, jaką dziurą jest Moose Creek – roześmiała się. – Nie chcę, żeby krążyły o mnie plotki. A poza tym ty i ja mamy wstydlivy sekret”.

Moose Creek? Przecież z całą pewnością był w Cardiff? Dafydd mocno zacisnął powieki, licząc, że Sheila rozplynie się w powietrzu. To nie fair. Jest przecież chory.

„Daj spokój, Dafydd, nie bądź takim świętoszkiem. – Lekko trąciła go w ramię. – Tu, w tej dzicy, stale robi się takie rzeczy. Nie jesteś w jakimś szacownym szpitalu w Wielkiej Brytani”.

„Ależ jestem – upierał się słabym głosem. – To jest szacowny brytyjski szpital”.

Sheila wybuchła śmiechem, odsłaniając zęby spiczaste jak u kota.

Jej drwiący śmiech rozgniewał go. „Sama dobrze wiesz, jakie to



niebezpieczne. Naprawdę możesz wykrwawić się na śmierć. To bezprawne i nieetyczne... „,

„Och, przestań – zasyczała. – Ty i twoja pieprzona etyka... „,

Ktoś dotknął jego ramienia i z tą chwilą sylwetka Sheili poczęła tracić ostrość. Gdy przewracano jego poobijane ciało, w uszach słyszał tylko szum. Chciał znowu zwymiotować. Byłby rozgrzeszony, gdyby mógł się wyrzygać i w ten sposób pozbyć się wszystkiego.

– Panie Woodruff, czy pana coś boli? – zapytał doktor Abdullah, lekko szarpiąc go za ramię. – We śnie płakał pan i jęczał. Trochę obawiamy się o pana stan.

## Rozdział 6

*Moose Creek, rok 1992*

Nim zapukał, zerknął na zegarek: 8.38. Ian Brannagan nie był rannym ptaszkiem, to już dawno spostrzegł. Rozejrzył się wokół. Parterowy domek otaczało zadaszne obejście, jakie znał z fotografii domostw na południu Stanów Zjednoczonych. W zapuszczonym ogrodzie walały się resztki białych sztachet. Dziwnie było mieszkać w lesie, samemu, na takim odludziu.

Te rozważania przerwał mu żółty pies, który machając ogonem pojawił się znikąd. Dafydd uwielbiał psy od dziecka, ale nigdy nie miał swojego.

– Taki z ciebie stróż – odezwał się do niego, spostrzegłszy, że to wyrosnięty szczeniak. Podrapał za uchem przymilnego psiaka, a ten w podzięcie polizał go w gołe kolana.

Przy drzwiach wejściowych stały dwa wiklinowe fotele. Jeden z nich był przykryty skórą. Dafydd pomacał ją, a potem, kucnąwszy, wciągnął w nozdrza jej mocny zapach. Pachniała dziwnie, kombinacją dzikiego zwierzęcia i dymu. Skóra karibu. Znał już tę woń, bo od miejscowej kobiety kupił parę wyszywanych butów, zwanych tu *mukluks*.

Usiadł na fotelu i postanowił poczekać. Pies siadł koło niego, opierając się ciężko na jego udzie. Mimo dość wczesnego ranka słońce paliło, ale pod daszkiem obejścia groźnie bzycały komary. Dafydd był już przez nie pocięty w wielu miejscach. Wszelkie krwiożercze owady zawsze ciągnęły do niego. Pewna dermatolożka powiedziała mu kiedyś, że jest dla nich taki apetyczny z powodu ciemnej karnacji i cienkiej skóry. Potraktował to jako nie całkiem profesjonalną uwagę. Począł się drapać po kostkach, ale w ten sposób tylko zwiększył swoją udrękę.

Nad jego głową przeleciał samolot. Dafydd popatrzył, jak skręca na południe. Choć nie znosił latania, zamarzył, żeby znaleźć się w jego kabinie. Jednakże samolot kierował się ku cywilizacji bez niego, ciągnąc za sobą cienką białą smugę. Liście zaczęły się już kurczyć na brzegach. Jesień na północy nadchodziła szybko.

– Co jest?

Głowa Iana Brannagana wynurzyła się z jednego z okien. Jej posiadacz wyglądał z rana jak starzec.

– Człowieku, jest niedziela. Co tu robisz?

Szczeniak szalał z radości, goniąc na ganku własny ogon.

– Pomyślałem, że może zechcesz pójść na spacer.

– Na spacer?

– No tak, przejść się trochę, zaczerpnąć świeżego powietrza, coś w tym rodzaju.

– Chyba padło ci na umysł.

Ian cofnął się, ale po kilku minutach wyszedł na próg, zapinając pasek u spodni na imponującą srebrną klamrę. Od pasa w górę był nagi. Miał biały i szczupły tors, jednakże od sutka aż do talii biegła po nim ukośnie zygzakowata gruba szrama.

– Mój Boże, co za partanina! – wykrzyknął Dafydd. – Co to było? Transplantacja płuc i serca?

– Nie, zadrapanie.

– Wygląda jak rezultat wizyty u wypychacza zwierząt.

– O, nie. Tacy faceci są tutaj świetnymi fachowcami. Jak – coś upolujesz, poznam cię z jednym takim. To prawdziwy mistrz.

– Nie jestem zwolennikiem zabijania zwierząt, ale gdybym był, co mógłbym tu ustrzelić?

– Do wyboru, do koloru. Owce rasy Dali, górskie karibu, a trochę wyżej w górach – kozy. Łosie, rosomaki, czarne niedźwiedzie, grizzly i wilki – nieco bliżej domu. Pamiętaj jednak, niektóre gatunki są pod ochroną, trzeba postarać się o zezwolenie. Tu to dość proste, w razie czego zwróć się do mnie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Ian sprawiał wrażenie chorego. Był śmiertelnie blady. Na jego skrzywionej twarzy malował się ból.

– Coś ci dolega?

– Nie, w porządku. – Ian westchnął i potarł twarz obiema rękami. – Po prostu kac gigant. Taki, co go spacer nie uleczy.

Wśród drzew powietrze było chłodniejsze i nieruchome. Zarośla zbrązowiały, z wyjątkiem polanek, na których roślinność pozostała intensywnie zielona na tle ciemnego lasu. Już z godzinę posuwali się w prostej linii od domu Iana w głąb dziczy. Dafydd oganiał się od komarów,

natomiast Ian nie zwracał na nie uwagi. Ściągnął podkoszulek, choć owady stale siadały na jego ciele. Na niektórych odcinkach lasu kłębiły się niczym czarne obłoki, dobierając się do oczu i nosa. Wywołały u Dafyddda panikę, zmuszając go do ciągłego bicia się po twarzy. Wyczytał gdzieś, że w sezonie letnim chmary komarów i muszek potrafią doprowadzić i człowieka, i karibu do skrajnego szaleństwa.

Gdy dochodzili do kolejnej polany, ujrzeli jakieś wielkie, brunatne zwierzę. Był to potężny łoś, ryjący kopytami trawę, Ian uniósł rękę do góry, nakazując Dafyddowi milczenie. Pies, imieniem Thorn, natychmiast przywarował u jego stóp, z nosem schowanym między przednimi łapami. Stali bez ruchu, obserwując, jak ten kolos natury zajmuje się swoimi sprawami. W kłębie był dużo wyższy od mężczyzny, a jego rozłożyste poroże miało wszerek co najmniej ze dwa metry. Dafydd ujrział, jak Ian powoli unosi strzelbę.

– Niech cię szlag... – wykrzyknął i podciął mu lufę. – Nierób tego!

Thorn rzucił się z warczeniem do jego nóg, podczas gdy byk uniósł głowę, balansując z gracją ciężkimi łopatami. Przez jakąś sekundę zastygł z rozdętymi nozdrzami, i zaraz potem odwrócił się, by galopem oddalić się w gęstwinę lasu. Wszystko odbyło się jak na zwolnionym filmie, jakby olbrzym ważył tyle, co piórko.

– Nerwus, co? – odezwał się Ian z ironią. – Tak właśnie dochodzi do wypadków.

– Zgoda, ale mówiłem ci, że tego nie lubię.

– Kolego, nie zamierzałem go zastrzelić. Celowałem tylko dla zabawy. W żaden sposób nie zaciągnęlibyśmy takiego cielska do domu.

– Ach, tak? I ja miałem się tego domyślić? – Dafydd podniósł torbę i ruszył w stronę nasłonecznionej polany, ale Ian zawołał:

– Już i tak znacznie się oddaliliśmy. Tu można bardzo łatwo zabłądzić. Wracajmy.

Jak na zawołanie Thorn rzucił się w pogoń za Dafyddem, zabiegł mu drogę i zapędzając go z powrotem, czekał i skakał wokół jego nóg.

Wydarzenie zirykowało Dafyddda, a Ian pogрузzył się w myślach. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Dafydd liczył w duchu, że cały ten epizod nie będzie mu wypomniany. Zdażył już polubić Iana, mimo jego okazjonalnej arogancji i szorstkiego sposobu bycia. Tutaj musiał mieć jakiegoś bliskiego kolegę, Ian, jak na lekarza, był dość dziwny, może nawet lekko stuknięty.

Widać było gołym okiem, że ma problemy. Może za dużo pił, może ćpał. Palił jak smok i często był bardzo spięty. W jego gospodarstwie nie znać było kobiecej ręki.

Dafydd obrócił się do niego twarzą i przerwał milczenie.

– Ian, masz jakąś dziewczynę... albo sympatię?

– Nie, raczej nie.

– Żadnego kobiecego towarzystwa? Odniosłem wrażenie, że jesteś na przyjaznej stopie z kelnerkami z Klondike – dopytywał się. Przypuszczał, że łączy go coś z Brendą...

Ian odparł z wyraźną drwiną:

– Chodzi ci o to, czy się dymam?

– No, dajmy na to. Czy się pieprzysz?

– Bez obaw, to miejsce jest rajem łatwego seksu.

– Nie to miałem na myśli...

Ian energicznie ruszył przed siebie. Dafydd podążył za nim. Przez jakiś czas szli gęsiego. Kruki donośnym krakaniem alarmowały siebie nawzajem, gdy przechodzili pod ich gniazdami. Głosy ptaków zwielokrotniało echo. Dafydd zauważył w duchu, że nie idą konkretną ścieżką – w istocie taka tu nie istniała – ale że Ian wali na przełaj, najwyraźniej znając drogę powrotną.

– Jeśli chcesz sobie użyć – odezwał się nagle, nie odwracając głowy – zanotuj sobie, żeby nie podrywać naszej kumpelki, przełożonej pielęgniarek.

– O, nie ma mowy – odparł Dafydd bez chwili wahania. – Ale w jakim celu to ostrzeżenie?

– Zauważyłeś, jakie ma ostre te swoje śliczne ząbeczki? Mogą wyrządzić wiele szkody męskości.

Dafydd przystanął, zaskoczony tą uwagą.

– Mam to rozumieć dosłownie, czy raczej symbolicznie?

– I tak, i tak.

– Chryste!

– Wystarczy parę dni i będzie w twoją stronę wypinać swoje kształtne półdupki.

– Dafydd wybuchnął śmiechem.

– Coś mi się zdaje, żeś z nich korzystał.

^ I niech mnie szlag, jeśli nie zrobię tego znowu. Czyżby Ian przestrzegał go przed Sheilą, bo traktuje ją jako swoją własność? Jednak jego uwaga dotyczyła jakby nie tego.

– Jest wyłącznie twoja – odpowiedział, dając Ianowi do zrozumienia, że pojął jego intencję. – Ach, nie. Sheila nie działa w ten sposób.

– Co masz na myśli?

– W ogóle mnie nie zrozumiałeś. Ona może sobie robić, co tylko zechce. Mnie nic do tego. Nic między nami nie ma, w każdym razie żadnych zobowiązań. Ostrzegłem cię, bo łatwo dać się złapać na jej haczyk, a cena, jaką przyjdzie za to płacić, jest zawsze wysoka.

– Mam to rozumieć dosłownie, czy raczej symbolicznie?

Ian odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno, ukazując piękne zęby. Zmienacka odmłodził, odzyskał energię, powrócił mu dobry humor. Sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad tym pytaniem.

– I tak, i tak, człowieku. Sam się przekonasz.

Las był nadal gęsty, więc najwyraźniej znajdowali się w znacznej odległości od domu. Dafydd utkwiał wzrok w chudych i długich nogach idącego przed nim Iana. Próbował maszerować w tym samym tempie, ale nie potrafił dotrzymać mu kroku. W dłoni Iana zauważył tłące się papierosa. Po chwili pet wylądował w suchym igliwiu. Czy w ten sposób nie dochodzi do pożaru lasów? Za sobą usłyszał trzask gałązki. Zerknął przez ramię. Po chwili rozległy się odgłosy grzebania w listowiu, łamania gałęzi. Niedźwiedź? Rosomak?

– Ian, zaczekaj! – krzyknął i puścił się biegiem. Z ramienia Iana zwiślała strzelba, co dodawało mu otuchy. W końcu zrównali się ze sobą, choć nadal maszerowali w różnym rytmie.

– A ta twoja blizna? Skąd się wzięła? Chyba nie wskutek bójk?

– Och, blizna. To dawna sprawa. Miałem trzynaście lat. Usiłowałem uratować psa... mojego własnego psa, z pożaru domu. I praktycznie zawisłem na pręcie wystającym z metalowej poręczy.

– O, Boże. To straszne.

– Pies ocalał, z trudem – dodał Ian głuchym głosem. – Moi rodzice nie przeżyli.

– Ian, tak mi przykro.

Thorn rzucił się nagle w krzaki, dopadając tam wyimaginowanego lub prawdziwego wroga. Obaj mężczyźni stanęli jak wryci, nawet Ian sprawiał wrażenie zaniepokojonego. W chwilę później pies wynurzył się z zarośli, dumnie trzymając w pysku zająca. Rzucił go swemu panu pod nogi.

– Dobry piesek – pochwalił go Ian, głaszcząc po łbie porośniętym płową

sierścią. W geście tym widać było, dlaczego nie przepada za ludźmi. Wcześniej w życiu musiał dojść do wniosku, kto jest najlepszym przyjacielem człowieka. Schylił się nad Thornem i zaczął przeglądać jego futro.

– Cholera, masz mnóstwo pcheł! – wykrzyknął.

Dafydd spojrział na martwego zająca. Z sierści dzikiego zwierzęcia wyskakiwały we wszystkich kierunkach setki pcheł, oblegając Thorna. Wszyscy opuszczamy tonący okręt – pomyślał. Wszyscy. Nawet pchły. Tylko Ian tego nie robi...

Dotychczas nie przeprowadził jeszcze żadnej operacji, choć należały one do jego obowiązków. Był za to wdzięczny losowi. Okazało się, że prócz przypadków absolutnej konieczności większość pacjentów wymagających interwencji chirurgicznej transportowano samolotem do Edmonton lub do Saskatoon. I wcale nie dlatego, że szpital nie był do takich zabiegów przystosowany. Przeciwnie, miał salę operacyjną z całkiem dobrym wyposażeniem. Zamysł Hogga polegał jednak na unikaniu poważniejszego ryzyka oraz wszelkiej odpowiedzialności z nim związanej. Szef stosował się do prostej reguły: minimum wkładu w zamian za maksimum zysku. Najwyraźniej zamierzał nieco rozszerzyć zakres dostępnych usług, jednakże w osobie Dafydda napotkał opornego specjalistę. Jaki nieetatowy chirurg odnosiłby się z entuzjazmem do ryzykowania własnej skóry, operując w takiej dziurze, na takim odludziu, na dodatek za skromną pensję?

Wobec tego Dafydd wcielił się w rolę internisty i przyjmował w swoim gabinecie korowód cierpiących pacjentów. Pomieszczenie to wyglądem przypominało raczej celę więzienną. Toteż, ku rozbawieniu pozostałych pracowników szpitala, Dafydd oznajmił, że woli wizyty domowe. Drwiono sobie z tego i uważano, że to jeszcze jeden dowód ekscentryzmu Brytyjczyków. Kto by sobie tym głowę zawracał – komentowano – skoro większość mieszkańców ma samochody, a ci, co ich nie mają, mogą wezwać taksówkę lub karetkę, która dowiezie ich do przychodni. Nie ruszając się ze szpitala, można sobie ułatwić pracę.

– Nie chcemy tu wprowadzać jakichś nowych zwyczajów – ostrzegł Dafydd Hogg. – Pacjenci są już wystarczająco rozpuszczeni.

– Zamierzam odwiedzać tylko nielicznych – tłumaczył się Dafydd. – Mam ochotę sprawdzić, jak tu ludzie żyją, czym się zajmują.

Hogg poklepał go po ramieniu i rzekł:

– Młody człowieku, zrobisz, co uważasz za stosowne. Za dzień lub dwa będziesz zachwycony powrotem do wypróbowanych metod. Zapamiętaj moje słowa.

Kilka tygodni po tej wymianie zdań Dafydd udał się wysłużonym buickiem należącym do szpitala ze swą pierwszą wizytą domową. Była połowa września i choć świeciło słońce, nie dawało już wiele ciepła. Szutrowa droga leniwie wiała się między grupami jodeł i świerków. Jakies dwanaście kilometrów za miastem, zbliżając się do podnóża niewysokiej góry, natychmiast rozpoznał drgający w słońcu krajobraz, uwieczniony na przysłanej mu przez Hoggę pocztówce. Zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Widok zapierał dech w piersi. Jeziora o niespotykanych, nieregularnych kształtach błyszcząły w dole rozległej Doliny Mackenziego. Rzeka o tej samej nazwie majestatycznie płynęła w kierunku Morza Arktycznego. W dali, na północy, rozciągała się jałowa tundra, a na zachodzie wzbijały się w niebo ośnieżone wierzchołki Gór Mackenziego, ciągnące się aż do Alaski. Widzenie na taką odległość zdawało się czymś niewiarygodnym, ale być może, ów dystans był czymś w rodzaju iluzji wzrokowej, rezultatem niezwykle czystego powietrza. Dafydd odniósł wrażenie, że może nawet dostrzec krzywiznę Ziemi, ale to było już zupełną niemożliwością, bo zewsząd otaczał go horyzont. Obrócił się wokół własnej osi i nagle poczuł, że znajduje się w samym środku wszystkiego. Ogarnęła go euforia.

Uniósł głowę i zauważył krążącego nad nim wielkiego ptaka. Z długą szyją i szeroko rozpostartymi skrzydłami wyglądał jak żuraw. Wznosił się coraz wyżej, mając na lotkach jaskraworóżową poświatę. Dafydd śledził go wzrokiem, aż ptak znikł, zdając się lecieć wprost ku słońcu. Kiedy nie zostało po nim śladu, z trudem powrócił do rzeczywistości. Głęboko westchnął, wyraźnie rozczarowany. A jednak w tej skomplikowanej, perwersyjnej wręcz egzystencji na dalekiej północy było coś fascynującego. Może nawet promyk nadziei. Życie idzie naprzód, bez względu na wszystko.

Wrócił do samochodu, wsiadł i dopiero po jakimś czasie wyjął kartkę z opisem trasy, przygotowaną mu przez Sheilę.

„Na słupku z oznaczeniem 20. kilometra skręć w lewo, przejeźdź pięć kilometrów duktem leśnym, na rozwidleniu dróg skręć ścieżką w prawo, chata 3,5 kilometra stamtąd”.



– Nie musisz tego robić, przecież wiesz – radziła mu. – Wyślemy po niego karetkę, po to ją mamy. A zresztą staruszek ma wnuka, który...

– A ja mam na to ochotę – upierał się Dafydd. – Imię Śpiący Niedźwiedź brzmi intrygująco. Aż mnie nosi, żeby odwiedzić to miejsce.

– Jesteś cudownym niebieskookim dzieckiem, prawda? – Przyglądała mu się spod półprzymkniętych powiek. – Zdejmij ten krawat, wyglądasz w nim idiotycznie. Wybierasz się do wyjedzonego przez mole, półżywego miejscowego starucha, a nie do głowy państwa.

Droga była praktycznie nieprzejezdna. Po blisko półgodzinnej jeździe przez dziewiczą naturę Dafydd dotarł wreszcie do niewielkiej polany, pomniejszonej optycznie przez potężne świerki. Stała tam pokryta gontem chata z grubo ciosanych bali. Na podwórzu znajdowało się kilka wraków samochodów w stanie daleko posuniętego rozkładu, a na sznurze do bielizny powiewały podarte łachy.

Właśnie wysiadał z samochodu, gdy znikąd pojawił się stary Indianin, niosąc pod pachą wiązkę chrustu. Miał długie do pasa, rzadkie włosy, przedzielone na dwoje i związane skórzanymi sznurowadłami. Przerzucił je sobie za uszy. Ubranie na pierwszy rzut oka też miał zrobione ze skóry, ale trudno było rozpoznać, z czego dokładnie. Odzież była sztywna i czarna, z wieloma plamami świadczącymi o surowym trybie życia w tej głuszy.

– Czy to pan Śpiący Niedźwiedź?

– Mów do mnie po prostu Niedźwiedź, jak wszyscy. – Mężczyzna wyciągnął do Dafydda brudną rękę owiniętą kawałkiem materiału, który może kiedyś był bandażem.

– Woodruff, jestem lekarzem. – Dafydd potrząsnął dłonią starego i wskazał na chatę. – Pomyślałem, że oszczędzę – panu wyprawy do miasteczka. Możemy wejść, żebym pana zbadał?

– Ta pielęgniarka z włosami jak marchewka wysłała mi słówko o panu. Nie trzeba było się fatygować taki szmat drogi. – Starzec mierzył wzrokiem świeżo uprasowaną koszulę przybysza i jego jedwabny krawat, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że ten człowiek jest zbyt schludny, żeby zajmować się chorobami. – Właściwie to nie ma potrzeby. Czuję się już dużo lepiej.

– Jednakże przyjechałem z daleka, żeby się z panem zobaczyć. Niech mi pan przynajmniej da szansę. Przecież nie zrobię panu krzywdy.

– No to wejdźmy. – Wolną ręką Niedźwiedź wykonał zapraszający gest. – Zaparzę nam kawy.

W chacie panowały ciemności. Dafydd zrobił głęboki wdech na widok wielu par wpatrujących się w niego błyszczących oczu. Szereg pokrytych sierścią warg uniósł się, obnażając żółte kły. Wszystko to odbywało się w śmiertelnej ciszy.

– Spokój, chłopaki – odezwał się Niedźwiedź łagodnym głosem.

Psy rasy husky, sześć lub siedem sztuk, natychmiast usłuchały i położyły się na podłodze.

– Nie zwracaj na nie uwagi – dodał gospodarz ze śmiechem. Dafydd ostrożnie przeszedł przez próg i znalazł się w izbie.

– Jak to jest, że one nie czekały, gdy podjeżdżałem?

– Ha! – wykrzyknął Niedźwiedź z triumfem w głosie, zachwycony, że padło takie pytanie. – Tak je ułożyłem. I to był sukces, nie muszę ci tłumaczyć. Większość tutejszych ludzi uważa, że nie zmusisz husky’ego do milczenia, chyba że mu roztrzaskasz łeb. – Zatarł ręce z wyraźnym zadowoleniem. – Ale gdyby ktoś chciał tu wejść, jak mnie nie ma, miałby nie lada niespodziankę. Bo one o niczym nie ostrzegają, wiesz?

– Wskazał lekarzowi wytarty fotel. Siadając, Dafydd pomyślał, że trzeba było posłuchać rady pielęgniarki z włosami jak marchewka i ubrać się stosowniej. Jego formalny strój był tutaj wyraźnie nie na miejscu.

– A co się dzieje, gdy jakaś osoba przybywa tu z przyjazną misją? – zapytał. – Na przykład listonosz albo ktoś, kto się zgubił w tych okolicach?

– Listonosz? – powtórzył Niedźwiedź zaskoczony. – My tu nie mamy kogoś takiego. – Wsypał dużą ilość neski do dwóch blaszanych kubków. – Jeśli ktoś jest taki głupi, żeby zaglądać do mnie bez zaproszenia, mniejsza o to, czy z przyjaźni, czy dlatego, że zablądził, zapewni moim pieskom dobrą strawę. – Zachichotał złośliwie i zalał kawę wrzątkiem z aluminiowego czajnika. – Po prawdzie to nikt nie przychodzi tu bez powodu. A ten powód może być różny, wcale niedyktowany serdecznością, nie?

Pokuśtykał w kierunku fotela i podał Dafyddowi dymiący kubek czarnej kawy z dolewką czegoś słodkiego i bez wątpienia alkoholowego. – Mam jakiś wrzód na tyłku – dodał wyjaśniająco.

– Zaraz go sobie obejrzymy. – Kawa była gorzka, ale orzeźwiająca. Oczy Dafydda przywykły do ciemności. W jednoizbowej chacie znajdował się ciężki stół z drewna z dwoma krzesłami naprzeciwko siebie i palnik gazowy z butlą przytroczoną pasami do ściany. Popękane lustro wisiało nad ceramiczną miską stojącą na trójnożnym stoliku. Najwyraźniej nie było tu

bieżącej wody. W przeciwległym rogu stało duże łóżko z bogato rzeźbionym wezłowiem. Całość przypominała skansen, który Dafydd zwiedzał w dzieciństwie. Przedstawiał on życie codzienne w średniowieczu.

Gospodarz sprawiał wrażenie archetypicznego wodza indiańskiego – takiego, jacy występują w każdym westernie. Długi orli nos i godna postura. Wąska twarz obciągnięta brązową skórą, cienkie wargi, zakryte powiekami oczy, warkocze. Brakowało jedynie pióropusza i opaski na biodrach. Dafydd obserwował swego pacjenta z przyjemnością i niekłamanym podziwem. Czy wypadało zapytać go o zgodę na zrobienie mu zdjęcia, czy raczej byłoby to nietaktem? Jednakże po namyśle Dafydd doszedł do wniosku, że Śpiący Niedźwiedź nie za bardzo przypomina wyglądem innych Indian napotkanych w miasteczku. Miejscowa ludność była bardziej przysadzista i niższa. Miała wyraźną skłonność do nadwagi i okrągłe twarze.

– I tak pan tu żyje sam? – Starzec miał chyba sporo ponad osiemdziesiąt lat, jednakże nie sprawiał wrażenia obłożnie chorego.

– Jasne – odpowiedział z dumą Niedźwiedź. – I nie wtykaj tu swego nosa, licząc, że coś zmienię. Nie pójdę do żadnego domu opieki, zapewniam.

– No dobrze, zajmijmy się wrzodem na pośladku. W ten sposób będzie pan mógł troszczyć się o samego siebie.

– Mam wnuka, który systematycznie mnie odwiedza. Sprawdza, czy niczego mi nie brakuje.

Niedźwiedź miał trudności ze spuszczeniem spodni, a przekonanie go, żeby się wypiął, opierając o stół, zajęło lekarzowi sporo czasu.

– Jak pan sobie radził... z chodzeniem do toalety? – spytał Dafydd, używając noża do rozcinania katgutów, żeby usunąć kawałek materiału, który przywarł do ropiejącej rany na pośladku starego.

– Nie radziłem – odparł niepewnie tamten.

– Czym się on zajmuje? – ciągnął Dafydd rozmowę, by zamaskować horror na widok okropnego stanu rany. – To znaczy, pana wnuk.

– Tym i owym – Niedźwiedź nie był wylewny. – Hej, niszczysz moje najlepsze portki?

– Człowieku, na miłość boską – wykrzyknął Dafydd, oglądając zainfekowany wrzód. – Jak mogłeś żyć z czymś takim?

– Pół godziny później, po oczyszczeniu rany nałożeniu opatrunku i wstrzyknięciu domięśniowo potężnej dawki antybiotyku, pacjent był bledy i

słaby z wysiłku. Dafydd pomógł mu dojść do łóżka i opatulił go brudnym kocem.

– Nie idę do żadnego wycackanego Szpitala, jeśli to właśnie zamierzasz mi zakomunikować. Zajmie się mną mój wnuk. Niedługo tu wpadnie.

– Będzie pan potrzebował więcej zastrzyków i musimy zrobić kilka badań diagnostycznych – tłumaczył mu Dafydd. – Musi być pan hospitalizowany, przynajmniej na parę dni.

– Nie, człowieku, nie wyrwiesz mnie stąd. – Stary po tej kwestii zapadł w drzemkę, więc Dafydd wyszedł, żeby sprawdzić, co suszy się na sznurku. Znalazł tam jakiś łach przypominający parę długich kalesonów, więc go ściągnął. Gdy wszedł z powrotem do chaty, psy natychmiast wstały i obnażyły kły. Ich pan spał, źle się czując, więc Dafydd nie miał wątpliwości, że za chwilę rzucą mu się do gardła i zagryzą.

– Spokój – mruknął Niedźwiedź z łóżka. Na tę komendę psy natychmiast się położyły, nie spuszczać jednak z intruza jasnych, jakby szklanych oczu.

– Tu ma pan parę sztuk bielizny do przebrania się – Dafydd wcisnął staremu gacie i poprawił mu poduszki. – Przywiozę panu coś z odzieży, jak przyjadę z kolejną wizytą, żeby sprawdzić pański stan zdrowia.

Siedzieli w milczeniu, przerywanym siorbaniem starego, który dopijał kawę.

– Dlaczego tu jesteś? – spytał Niedźwiedź znienacka.

– Żeby pana zbadać, przynieść ulgę.

– Nie... chodzi mi o to, dlaczego w tym miejscu, gdzie nikt nie chce się osiedlić, prócz takich jak ja, co to mają swoje powody.

– No, ja... uciekłem od czegoś – odparł Dafydd, i od razu poczuł się zaskoczony swoim wyznaniem.

– Tak sobie myślałem. – Niedźwiedź wydłubał z nosa czarny smark i strząsnął go na podłogę. – A dokładniej?

– Chłopczyk... nazywał się Derek Rose. Schrząniłem jego operację i teraz będę musiał z tym żyć do końca moich dni. Dlatego tu jestem, żeby zostawić tę sprawę za sobą. – Psy nagle wstały i poczęły krążyć po izbie, ale nie sprawiały wrażenia bardzo groźnych.

– Każdy robi błędy.

– Nie tam, skąd pochodzę.

– Co, panowie wszechświata, czy jak?

– Nie, ale człowiek ma nadzieję, że jest powyżej poziomu takich błędów.

Jeśli jest poniżej, powinien się wycofać z takiej pracy.

– Jasne, w kraju jak z bajki. W prawdziwym życiu coś takiego zdarza się na okrągło. – Wyciągnął rękę i poklepał Dafydd po dłoni. – W końcu sobie wybaczysz. Trzeba pozwolić, żeby sprawy szły swoim trybem. I wtedy z powrotem wskoczysz na konia, który cię zrzucił.

– Tak pan uważa?

– Ja to wiem. – Zamyślił się na dłuższą chwilę, wreszcie się uśmiechnął. – Fortuna kołem się toczy, jak to mówią. I dlatego to robisz, tak? To jest twoja pokuta, leczenie na tym zadupiu?

Dafydd kiwnął głową. Trzeba jeszcze wiele zrobić, żeby zadośćuczynić za tamto. Każdy dzień jego życia zawodowego będzie naznaczony pokutą. Niedźwiedź tymczasem podał mu kubek i wskazał, żeby napełnił go płynem z butelki bez nalepki.

– Czy Śpiący Niedźwiedź to pana prawdziwe imię?

– A gdzie tam – zaśmiał się stary. – Naprawdę to nazywam się... czy raczej nazywałem... Arwyn Jenkins.

– Jenkins? – powtórzył Dafydd, zaskoczony brzmieniem nazwiska. – Pewnie któryś z pana przodków pochodził z Walii.

– Niedźwiedź wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że jego górna szczeka głośno kłapnęła.

– Mój drogi chłopcze, nie doceniasz mojego wieku. – Chichocząc i skręcając się ze śmiechu usiłował jednocześnie wcisnąć szczękę na swoje miejsce. – Kiedy się urodziłem, biały człowiek nawet nie postawił tu stopy. Trzeba ci wiedzieć, że byłem pierwszym Europejczykiem, który przybył do Moose Creek. Wtedy stały tam tylko trzy nędzne budy.

– Europejczykiem? – Dafydd chciał się upewnić, czy dobrze słyszy.

– A jakże. Pochodzę z Walii i tam się wychowałem.

– Pan chyba nie mówi poważnie... Pana twarz... i...

– Większość miejscowych nic o mnie nie wie, prócz tych najstarszych, a ja wcale nie czuję potrzeby, żeby im przypominać o moim pochodzeniu. Dobra? – Spojrzał na Dafydd'a czujnym okiem.

– W porządku. Może pan liczyć, że dochowam sekretu. Ja sam jestem w połowie Walijczykiem.

Śpiący Niedźwiedź wyjawiał, że wskutek pewnych kłopotów w Walii musiał uciec i przybył w te okolice w 1934 roku. Po kilku latach życia w ubóstwie poślubił indiańską kobietę, z którą spłodził dwoje dzieci. Dafydd

wsluchiwał się w tę opowieść z fascynacją, nie mogąc chwilami powstrzymać się od śmiechu. Ten mądry, stary Indianin jak z obrazka, jak z książek przygodowych, okazał się Walijczykiem z miejscowości Pontypridd, i wcale niewykluczone, że kiedyś mieszkał po sąsiedzku z jego dziadkami.

– A w jaki sposób przybrał pan to imię?

– No cóż, kiedy się tu osiedliłem, nie mogłem znieść zimy. Ten okres jeszcze przed tobą, młody człowieku, sam zobaczysz, co mam na myśli. Pamiętaj, że teraz żyje się tu po królewsku, z centralnym ogrzewaniem w domach i z samochodami, które wszędzie cię zawiozą w mgnieniu oka, ale Wtedy chodziło się pieszo i można było sobie odmrozić – tyłek. Straciłem w ten sposób kilka palców u nóg. Nie przywykłem do takiego mrozu, pojmujesz?

Dafydd zerknął na buciory Niedźwiedzia, zastanawiając się, bez ilu palców człowiek może żyć w takim terenie.

– No i tkwiłem w chacie przez całą zimę, dorzucając do ognia. Indianie naśmiewali się ze mnie, ale ponieważ są na ogół życzliwi, przynosili mi żarcie i drewno na opał.

– A pan był w hibernacji?

– Właśnie! – Śpiący Niedźwiedź wykrzyknął z radością. – I w ten sposób przylgnęło do mnie to przezwisko.

Zajął się wciąganiem dziurawych kalesonów, przeciągając nogawki przez juchtowe buty i parszcząc śmiechem na myśl o dawnych wydarzeniach, których już nie zdradził lekarzowi.

– Jednakże w końcu przywykł pan do tutejszych zim?

– Jasna sprawa. Musiałem. Zobaczysz sam, jak to jest, kiedy przeżyjesz swoją pierwszą zimę w tych okolicach. Podczas trzeciej miałem już towarzystwo żony i dziecko było w drodze. Musiałem pokonać niechęć i wyjść na dwór, żeby zapolować. Później, kiedy osada zaczęła się rozrastać, założyłem własny interes: ciąłem w bloki lód na rzece i dostarczałem je do miasteczka parą koni.

Z daleka dobiegł warkot nadjeżdżającego samochodu, co natychmiast wyostrzyło czujność sfory.

– Niech mnie gęś kopnie! – wykrzyknął Niedźwiedź. – To na pewno mój wnuk.

Wyskoczył z łóżka i wybiegł na podwórze, zapominając o bólu. Z

błyszczącej półciężarówce wysiadł niski, krępy mężczyzna w średnim wieku, z długimi czarnymi włosami. Spojrzał podejrzliwie na Dafydda, ale uścisnął mu rękę, gdy Niedźwiedź ich sobie przedstawił.

– Ten tutaj to nowy szaman. Zniszczył mi portki, ale opatrzył ranę pierwsza klasa. – Stary ruszał się żwawo niczym nastolatek. – Przyjechał szmat drogi, żeby się mną zająć.

Wnuk nie odezwał się ani słowem, tylko stał, wpatrując się w Dafydda okrągłymi, czarnymi jak węgiel oczami.

– No cóż, będę się zbierał – rzekł Dafydd. – Przyjadę, żeby zrobić jeszcze parę zastrzyków. W ten sposób wróci pan do zdrowia. – Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

– Nie zapomnij o gaciach dla mnie! – krzyknął Niedźwiedź.

Jadąc wyboistą leśną ścieżką, Dafydd zauważył, że ma pobrudzoną koszulę. Mieszanka krwi i ropy zaplamiała mu gors, pewnie nie do usunięcia, a krawat zwieszał się jak członek bez erekcji. Zdjął rękę z kierownicy i palcami przeczesał włosy. Strasznie już urosły. Ciemne loki wiły się na skroniach; widział je wyraźnie kątem oka. Pierwsze pasma siwizny przypomniały mu, dlaczego jedzie tą pylną dróżką zdezelowanym starym chryslerem, zamiast siedząc na nowiutkim, lśniącym skuterze velocette, pokonywać korki w Bristolu. Przynajmniej nadal pracuje, próbuje spłacić swój moralny dług. Uśmiechnął się do siebie. Stary, mądry Indianin był pierwszą osobą, która dostrzegła bezmiar jego wewnętrznej katastrofy.

Musiał odwiedzić jeszcze jednego pacjenta, tuż na przedmieściu Moose Creek. Wkrótce dostrzegł po lewej stronie szosy ciąg szeregowych domków. Do torby przytroczonej na siedzeniu dla pasażera sięgnął po butelkę z wodą i próbował zwilżonymi palcami uporządkować zwichrzoną fryzurę.

– Chyba przepisze mu pan coś? – domagała się młoda kobieta, podpierając rękami pulchne biodra. Miała bladą cerę, a jej włosy wyglądały jakby wysmarowane olejem. Mąż siedział jak zakłęty przed telewizorem i oglądał mecz baseballowy. Ani razu nawet nie odwrócił się w stronę Dafydda. Okresowe wrzaski mrowia kibiców brzmiały dziwnie w małej, zamkniętej przestrzeni, kontrastując z ponurą atmosferą w domu. Chłopczyk miał mokry, flegmisty kaszel, ale nie gorączkował.

– To zwykłe przeziębienie – zapewnił Dafydd matkę.

– Nie może pan tak odejść i nie zapisać mu lekarstwa – odparła

agresywnym tonem i dosłownie zatarasowała mu przejście swoimi szerokimi biodrami.

– To wszystko przez dym papierosowy – Dafydd nie dał się zastraszyć i ruchem ręki wskazał na pokój. – Oto przyczyna kaszlu.

– Głupoty pan gada – oświadczyła kobieta, nieprzekonana uwagą lekarza. Mężczyzna siedzący na sofie wykonał pół obrotu w ich stronę. Kobieta dźgnęła lekarza palcem w pierś. – On kaszle od małego. Hogg powiedział, że ma spieprzone płuca.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Dafydd, powstrzymując sarkazm. – Proszę mu podawać witaminę C, aspirynę i zapewnić sporo świeżego powietrza, a za parę dni zaziębienie minie. – Ukląkł i pogładził chłopca po sztywnej czuprynie. Tonem autorytetu medycznego zwrócił się do ojca małego pacjenta:

– Niech go pan weźmie na spacer. Dziś jest taki ładny dzień. Trochę słońca dobrze dziecku robi.

Mężczyzna znowu odwrócił nieco głowę, ale nie spuszczał wzroku z ekranu.

– A cóż to ma znaczyć? – zaprotestowała kobieta. – Brent, słyszysz? Ten tu doktor chce, żebyś wziął na dwór dzieciaka z chorymi płucami. Rozumiesz, o co mu chodzi?

Człowiek zwany Brentem nie odpowiadał. Dafydd nie był pewien, czy coś się w nim nie gotuje i nagle nie wybuchnie wściekłością, czy też jego apatia i obojętność są totalne, bez możliwości odmiany. Tak czy inaczej, znalazł się w niezręcznej sytuacji.

– To wszystko, co mogę zrobić dla państwa synka. Uważam, że reszta należy do was.

– Pan nie zrobił dla niego nic! – kobieta splunęła za Dafyddem, który ruszył biegiem do samochodu. – Jest pan chodzącym niebezpieczeństwem dla naszych dzieciaków – krzyczała w głos. – To się nazywa zaniedbanie!

Kilka jej sąsiadek wyszło na ganek, żeby odkryć przyczynę wrzasków. Dafydd poczuł, jak ze zdenerwowania szyja okrywa mu się purpurą. Szybko wsiadł do auta. Chodzące niebezpieczeństwo dla dzieci – ta kobieta powiedziała prawdę. W duchu postanowił skapitulować i nie odwiedzać małych pacjentów w domu. A poza tym jego umiejętności internistyczne były wątpliwe, zwłaszcza w okolicznościach, gdy ludzie spodziewali się od niego cudów – pastylek i eliksirów uzdrawiających w mgnieniu oka.



Najwyraźniej doktor Odent był apteką na kółkach i z rozkoszą czerpał z tego korzyści.

Dafydd uruchomił silnik, ale po chwili wahania począł w teczce szukać receptariusza. Dawka antybiotyków z pewnością nie zaszkodzi temu chłopcu, chociaż niewiele mu pomoże. Jednakże myśl, że musiałby skruszony zapukać do drzwi... Przyszło mu do głowy określenie „biały śmieć” i wypowiedział je na głos. Wstrętny zwrot, ale teraz dokładnie pojął, co on oznacza.

– A więc spełniliśmy nasze obowiązki? – zagadnęła Sheila.

Dafydd zauważył, że nabrała zwyczaju opierania się o drzwi i krzyżowania rąk na podołku, by ten sposób jeszcze bardziej eksponować piersi. Gładkie, białe wzgórki wyłaniały się spod fartucha. Uśmiechała się, zwilżając dolną wargę językiem.

– O co chodzi? – Dafydd nie był w nastroju, żeby odpowiadać na jej zaczepki. Siedział w pokoju lekarskim, usiłując zaprowadzić jaki taki porządek w dokumentacji pacjentów. Odkrył, że w karcie Śpiącego Niedźwiedzia od lat nie dokonano żadnego wpisu.

– O zabawę w doktora.

– Dafydd znieruchomiał, zastanawiając się, jak reagować na coraz częstsze przytyki, podawane w tonie niewybrednych żartów. Odnosił wrażenie, że Sheila tylko czeka, żeby wywołać w nim złość. To dawało jej kopa. Najwyraźniej chciała sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

Na chwilę podniósł wzrok i odwzajemnił uśmiech.

– Tak, bawiłem się w doktora – odezwał się lekkim tonem i wrócił do przeglądania papierów. W głowie zabrzmiała mu uwaga matki sprzed wielu lat: „Chuligani chcą, żebyś poczuł przed nimi strach. Jeśli ich zignorujesz, nie będą mieli satysfakcji i znajdą sobie inną ofiarę”. Powtarzała mu dzień w dzień tę praktyczną – jak się okazało – radę.

Sheila nadal stała w drzwiach. Dafydd zerknął na nią.

– Masz jeszcze coś do mnie? – zapytał.

Nie potrafił stawić czoła jej tupetowi. Wpatrywała się w niego z taką intensywnością, że nie sposób było ją zbyć byle czym.

– Wiesz co? – rzekła, po czym dla większego efektu zrobiła teatralną pauzę, zmuszając go, żeby nie spuszczał z niej wzroku. Wzruszył niecierpliwie ramionami. – Jeśli się nie opamiętasz, zyskasz opinię faceta wypranego z poczucia humoru.

– O jakim poczuciu humoru mówimy?

– Uważaj. Nic ci nie zaszkodzi, jak trochę wyluzujesz, przestaniesz być takim sztywniakiem. My tu pracujemy w zżytej grupie i robimy wszystko po swojemu. Dobrze by było, żebyś spróbował trochę się do nas dopasować.

– Sztywniak – powtórzył karcącym tonem i ponownie zagłębił się w kartach pacjentów. – Tak mnie nazywasz?

Kątem oka zauważył, że Sheila przestała podierać piersi. Jej ręce powędrowały do włosów, odgarniając niesforną grzywkę z czoła. Posunęła się za daleko i dobrze o tym wiedziała.

– Nie bierz tego do siebie – roześmiała się. – Ale dokładnie to mam na myśli, gdy mówię o braku poczucia humoru. My tu wszyscy jesteśmy wspólnotą. Nikt w tym szpitalu nie jest lepszy od pozostałych.

– Ach, tak? – Dafydd znowu uniósł powieki. Wwiercała się w niego wzrokiem, stojąc z półotwartymi ustami. Czekwała na kolejną okazję. – Odnoszę wrażenie, że masz władzę nad innymi – stwierdził. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że ty traktujesz siebie na równi z innymi. Ty tu rządysz.

– Skoro tak uważasz – wycedziła, zbierając się do wyjścia. Dafydd zaśmiał się z ironią. Poczucie humoru... ? Na czyich warunkach?

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – zawołał za nią, wcale nie chcąc zadać tego pytania.

Zwolniła kroku, ale najwyraźniej nie zamierzała udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Dafydd głęboko westchnął. Nie miał najmniejszej ochoty angażować się w jakieś konszachty z Sheilą. Może zbyt siebie cenił, ale intuicyjnie wyczuwał, że z jej strony wszystko zmierza do podboju seksualnego. Prawdę powiedziawszy, po prostu się jej bał.

Sheila niespodziewanie zawróciła do pokoju lekarskiego.

– Słuchaj. Pewnie sobie myślisz, że świat jest wielki, co? Wykombinowałeś sobie, że przyjedziesz tu, żeby się ukryć? Wiem, dlaczego uciekasz. Wykryłam to w jednej chwili, więc nie rznij takiego ważniaka. – Przeszła z nogi na nogę, na jej policzkach ukazały się lekkie rumieńce, oczy zaświeciły z ledwie skrywaną satysfakcją.

Dafydda aż zatkało. Niech to szlag.

– No i co z tego? – Chociaż zaszokowany, starał się pokryć emocje nonszalanckim tonem. Doszedł do wniosku, że w tej sytuacji nie należy się wypierać. – Co zamierzasz zrobić ze swoją wiedzą?

– Nic – odparła z uśmiechem. – Po prostu pozbądź się tej swojej zarozumiałości, tej oślizgłej brytyjskiej pychy.

– Biorąc pod uwagę fakt, skąd przybyłeś, jest to całkowicie nie na miejscu.

Podeszła do niego, a on natychmiast wyczuł, że siedząc znajduje się na przegranej pozycji. Wstał więc, patrząc jej prosto w oczy.

– Zarozumiałość? Pycha? Sheila, zdumiewasz mnie. Uwierz mi, czuję się poniżony tym, co się stało. Moje poczucie pewności siebie sięgnęło już dna, a ty stale w nie walisz.

Nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie, że przyznaje mu rację, więc ciągnął dalej:

– Staram się odgadnąć, co cię właściwie gryzie. Czy to mężczyźni jako tacy, czy Brytyjczycy, czy lekarze, czy nieudacznicy, a może wszyscy, którzy mają od ciebie większe kompetencje? A może po prostu nie lubisz mojej twarzy? Próbuję pracować tu jak najlepiej, wykonywać powierzone mi obowiązki. Nie pojmuję, dlaczego tak cię wkurzam.

Sheila nie ruszyła się z miejsca, ale była wyraźnie zaskoczona szczerością Dafyddda.

– Nie – odezwała się wreszcie. – Wcale mnie nie wkurzasz. Jestem zbyt zajęta, żeby złościć się na przybyłych tu na krótko lekarzy, ludzi, którzy traktują ten szpital jak przystanek na swojej trasie. To jest moje miejsce, po prostu chcę, żeby wszystko funkcjonowało tu tak, jak należy. – Sprawiała wrażenie lekko rozemocjonowanej. Po tej uwadze zakręciła się na pięcie i wyszła.

To jest moje miejsce. Prawda, była grubą rybą w małym stawie. Gdzież indziej mogłaby dysponować taką władzą? To z pewnością był jeden z powodów, dla których ugrzęzła w Moose Creek. Dafydd siadł na krześle i głęboko oddychał. Był śmiertelnie zmęczony.

## Rozdział 7

*Cardiff, rok 2006*

Poranne słońce, mocno świecące zza okna, kontrastowało z jego nastrojem. Dafydd czuł, że utracił nad sobą kontrolę, nie mogąc przypomnieć sobie szczegółów wypadku z poprzedniej nocy. Kraksa, policja drogowa, karetka, jego gwałtowny upór, by nie poddać się badaniu krwi na zawartość alkoholu: nic z tego nie pamiętał.

Patrzył, jak pielęgniarka o wyglądzie uczennicy rozsuwa kotarę wokół jego łóżka. Stała w pewnej odległości, nie kryjąc zyczliwego zainteresowania, podczas gdy wysoki, przystojny mężczyzna o czekoladowej karnacji delikatnie obmacywał mu głowę i odwijał bandaż. Nazywał się Zafar Thakurdas i sypał zarcikami, badając płytką ranę na czaszce pacjenta.

– Czy to za sprawą wałka, doktorze Woodruff?

– Wałka?

– Wrócił pan do domu późną nocą, uwalony, a żona zaczęła się za drzwiami z wałkiem. I bach, dopadła pana.

Młoda pielęgniarka zachichotała, Zafar puścił do niej oko. Dafyddowi nie udzieliła się ta wesołość, więc w proteście tylko zamknął oczy.

– „Mężu, masz za swoje. Bach. Latasz za dziewczynami, to cię urzędzę”.

– Zafar Thakurdas wymachiwał wyimaginowanym wałkiem. – W moim kraju rodzinnym żona zaczęła się na ciebie nocą – i ciach! – wesoły doktor wziął z tacy nóż do katgut i ze świstem przeciął powietrze tuż nad krocem Dafydda. Pielęgniarka bez cienia żenady śmiała się w głos.

– Pan się popisuje – jęknął Dafydd.

W drzwiach ukazało się surowe oblicze. Zafar wziął głęboki wdech i wyprostował się niemal na baczność.

– Pan doktor Payne-Lawson – rzekł, uśmiechając się z szacunkiem. – Właśnie opatruję... ranę doktora Woodruffa.

Dafydd uniósł głowę i zaklął w duchu na widok dyrektora szpitala, człowieka niezbyt popularnego wśród podwładnych. Z nim nigdy nie układało mu się zbyt dobrze. Ciąg fatalnych wypadków losowych

powiększył się teraz o kolejne poniżenie, i to w obecności zwierzchnika, w jego własnym miejscu pracy.

Payne-Lawson zbliżył się do łóżka chorego i zmierzył go wzrokiem.

– Co my tutaj mamy? – w jego oczach pojawił się złośliwy błysk. Dyrektor począł węszyć i na jego twarzy odmalowała się lekka odraza na widok wymiocin na brzegu poduszki. Dafydd zdawał sobie sprawę, że wygląda okropnie. Ma podbite oko, parodniowy zarost i żałobę za paznokciami. W ustach czuł obrzydliwy smak, pewnie cuchnie mu z nich jak z obory.

– Odnoszę wrażenie, że nie jest pan dzisiaj zdolny do pracy? – Payne-Lawson udawał troskliwego zwierzchnika, ale w jego małych oczkach czaiła się złość.

– Rzeczywiście, nie jest – pospieszył z wyjaśnieniem Zafar Thakurdas. – Chory potrzebuje paru dni odpoczynku. Ma wstrząśnienie mózgu.

Payne-Lawson totalnie zignorował młodego rezydenta.

– Rozumiem, że w czasie kraksy był pan pod wpływem alkoholu.

– Niezupełnie – mruknął Dafydd.

– Gada pan głupstwa. Jestem przekonany że nadal nie jest pan trzeźwy. Badanie krwi wykazało, że ma pan bardzo wysoki promil. Policjanci zapowiedzieli, że sąd odbierze panu prawo jazdy co najmniej na rok. Spodziewam się, że ten fakt nie wpłynie niekorzystnie na pana wizyty domowe. No cóż, omówimy tę kwestię w późniejszym czasie.

– Tak, później – odparł Dafydd. – Choć, prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to wszystko musiało pana niepokoić.

– Mylisz się, mój przyjacielu. Do obowiązków dyrektora szpitala należy zwracać uwagę na... mijające się z prawem zachowanie personelu medycznego, który jest pod moją jurysdykcją.

Szwy na głowie Dafydda poczęły tak palić, że chory omal nie wymiotował, choć w żołądku miał tylko nieco herbaty.

– George, w tej chwili jestem tu pacjentem. Miałem wypadek. Mam ranę na cholernej czaszce i całkiem mocne wstrząśnienie mózgu. – Dafydd nabrał tchu w płuca. – Słuchaj więc, „mój przyjacielu”, przestań mnie dręczyć, bo wyrzgam ci się na buty. – Słowa, które wyrzucił z siebie, zdumiały go. Może skutek zastrzyku z morfiny zrobił się taki bojowy. Teraz skulił się w sobie, zdając sobie sprawę, że sam pod sobą wykopał wielką, czarną dziurę... wielkości trumny. Payne-Lawson mógł mu poważnie utrudnić

życie.

– Muszę przyznać, że nie podoba mi się to, co widzę – rzekł Payne-Lawson lodowatym tonem. Cofnął się jednak od łóżka w obawie przed wymiocinami na swoich butach. – Kilka osób skomentowało twoje wyczyny w ciągu paru ostatnich tygodni. Jeśli masz problemy osobiste, proponuję, żebyś wziął urlop. Słyszałem... że żona od ciebie odchodzi.

Dafydd przyjął tę uwagę z szokiem. Lekarze rzadko kiedy plotkowali o sobie, nawet jeśli nie pozostawali w koleżeńskich stosunkach. Zastanawiał się, kto go mógł obsmarować przed Payne-Lawsonem. Tak czy inaczej, ów informator był w błędzie, do cholery, żona go nie rzuciła.

– O ile wiem – a ty być może wiesz lepiej – moja żona jest w podróży służbowej. Czy musimy omawiać moje życie prywatne w obecności osób trzecich?

– Pragnę ci tylko zakomunikować, że ta sprawa rzuca cień na twoje życie zawodowe.

Zafar, choć nieco infantylny, był lekarzem przestrzegającym zasad etyki. Wyraźnie zaniepokojony przebiegiem rozmowy, zwrócił się do zwierzchnika:

– Bardzo proszę, czy mógłby pan odłożyć to na później? Doktor Woodruff przebywa tu pod moją opieką. Widać, że jest coraz bardziej zdenerwowany. To niewskazane. Jego mózg jest w kiepskim stanie.

Payne-Lawson otworzył usta, żeby wytoczyć kolejny argument, ale jego głos zagłuszył gwałtowny płacz niemowlęcia w sąsiedniej sali. Ten krzyk wzbudził miriady innych na oddziale intensywnej terapii. Dafydd poczuł, że sam za chwilę zacznie wrzeszczeć. Dźwięki odbijały się echem i huczały mu w głowie jak miliony dzwonów. Spać... gdyby tylko pozwolono mu zasnąć. Spać, a potem obudzić się z jakiegoś koszmaru. Wrócić do normalnego życia, pogрузić się w zwyczajności i zadowoleniu.

Po południu, dwadzieścia godzin po kraksie, był już na ryle podleczoney, by otrzymać wypis ze szpitala. Margaret, ciepła i macierzyńska pielęgniarka, którą znał ze swojego oddziału, przyniosła mu jego rzeczy. Zaczął się ubierać. Musiał zмагаć się z nogawkami, bo kolana nie chciały zgiąć się we właściwym miejscu. Wydawało mu się, że ma ogromną głowę, w której mózg ciągle puchnie.

– Dzwoniła właśnie pana żona. Powiedziała, że zbliża się do zjazdu z

autostrady M4, więc będzie tu za mniej więcej godzinę. Biedaczka, jechała przez cały dzień. Całą drogę z Glasgow, nieszczęsna.

Dafydd usiłował zapiąć koszulę, ale okazało się, że nadgarstek lewej ręki ma pokaleczony, więc Margaret nachyliła się, by mu pomóc.

– Proszę pamiętać, żeby przez kilka dni się nie nadwierać – powiedziała serdecznym tonem. – Panie doktorze, niech pan zasugeruje swojej uroczej żonie, by wzięła pana na krótkie wakacje, na słońce. Może na Teneryfę albo na którąś z wysp. Tam jest naprawdę wspaniale. Można tam polecieć bezpośrednio z Cardiff, to nic trudnego.

Dafydd spojrzął na nią podejrzliwie.

– Naprawdę... wszyscy o tym wiedzą?

Szare oczy Margaret patrzyły surowo, choć zmarszczki w kącikach świadczyły o tym, że przez pięćdziesiąt lat kobieta często się uśmiechała.

– Doktorze, ludzie lubią plotkować, ale niech pan nie zwraca na nich uwagi. Mogłabym panu opowiedzieć takie historie, że włosy stanęłyby panu dęba. – Podeszła bliżej i kładąc mu ciepłą rękę na dłoni, szepnęła: – Przykro mi, że na jakiś czas odbiorą panu prawo jazdy. Chciałam tylko wspomnieć... mój syn, Llewellyn, ma świetnego forda fiestę. Chłopak ma dwadzieścia sześć lat i od dwóch lat jest na bezrobociu. Dobry z niego kierowca. Solidny. Gdyby pan chciał... nie weźmie od pana zbyt dużo...

Dafydd otrząsnął się z letargu. Na razie nie zastanawiał się nad konsekwencjami kraksy. Co w praktyce oznaczała? Rok, może dłużej, bez dostępu do kierownicy. Jak mógł do tego dopuścić? Może to kara za moralizowanie na temat kierowców na podwójnym gazie. Dzięki Bogu, że nikogo nie zranił, albo jeszcze gorzej.

– Może tak zrobię. Dzięki, Margaret, zwrócę się do ciebie w razie potrzeby.

Leżał nieruchomo na łóżku i czekał. Wakacje w słońcu to nie taki zły pomysł. Zaraz wspomni o nim Isabel. Z pewnością mógłby w ten sposób wykorzystać parę tygodni zwolnienia lekarskiego, a ona wkrótce skończy ten projekt w Glasgow. Idealnie by się złożyło, gdyby przed ich wyjazdem przyszły wyniki testów na ojcostwo.

Gwałtownie ocknął się z rozmyślań, gdy do pokoju wkroczyła Isabel. Wyglądała wspaniale w czarnym skórzanym spodniem i w szpilkach. Od razu było widać, że w ciągu kilku ostatnich tygodni znacznie zeszczupłała, ale było jej z tym do twarzy. Znowu obcięła włosy, bardzo krótko, tym

razem nadzwyczaj stylowo. Choć stuknęła jej czterdziestka z okładem, prezentowała się doskonale, jak z żurnala. Była wysoka i chłopięca. Dafydd poczuł przypływ tkliwości. Przypomniało mu się, co znaczyło być w niej zakochanym, pragnąć jej.

– Mój Boże – odezwał się. – Glasgow ci służy.

– Och, Dafydd. – Szybko podeszła do łóżka i usiadła, przypatrując mu się z troską. – Na miłość boską, co się stało? Chryste, wpadłam w popłoch, gdy Jim zadzwonił. Wsiadłam do samochodu i jechałam, nie zatrzymując się nigdzie po drodze.

– Świetnie wyglądasz – odparł, odwzajemniając jej uścisk. Pomyślał przy tym, że żona obejmuje go po raz pierwszy od wielu tygodni.

– Och, kochanie, popatrz na siebie, twoja twarz... twoja cudowna, przystojna, kochana twarz... – Ujęła ją w dłonie i ucałowała w oba policzki. – Czy coś cię boli?

– W zasadzie nie. Jestem tylko trochę sztywny i poraniony, jakbym brał udział w walce na ringu.

– Jak można ci było zrobić taką krzywdę? – Potrząsnęła głową, patrząc mu głęboko w oczy. – Wiedziałam, że tak się stanie. Zbyttno się narażasz, jeżdżąc tym przeklętym skuterem.

Dafydd wyczuł w jej tonie jakąś sztuczną nutę. Może Isabel uznała w duchu, że źle go traktowała albo niepotrzebnie zwątpiła w jego uczciwość, a teraz przechodzi samą siebie, żeby mu to wynagrodzić. Przesada jednak nie bardzo do niej pasowała, nie była w jej stylu. Isabel była najbardziej sobą, gdy mówiła o wszystkim wprost i otwarcie, bez owijania w bawełnę.

– Isabel, pozwól, że przedstawię ci wszystko tak, jak było. To moja wina. Byłem pijany i stracę prawo jazdy co najmniej na rok.

Isabel opuściła rękę.

– Chyba żartujesz?

– Nie, Przez chwilę milczała, by odezwać się w końcu ostrym tonem:

– Coś ty sobie myślał?

– Takie cholerne rzeczy się zdarzają – odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Odwróciła głowę i wydała z siebie dźwięk przypominający suchy, ironiczny śmiech.

– Nie zapytasz, czy ktoś nie został ranny w wypadku? – przerwał jej.

– No cóż, z pewnością mi to zakomunikujesz. – Przybrała agresywny ton. Łatwo przewidzieć, co miała na myśli.



– Żałujesz, że straciłaś na mnie czas, prawda?

Na jej twarzy ujawniły się prawdziwe emocje.

– Jeśli musisz wiedzieć, było mi to nadzwyczaj nie na rękę.

– Przykro mi, ale Jim zadzwonił do ciebie z własnej inicjatywy. Powinien był najpierw mnie zapytać. Nie komplikowałbym ci życia.

– Prawdę mówiąc, Paul nalegał, żebym przyjechała. Zapewnił, że poradzi sobie beze mnie przez dzień lub dwa.

– Jakie to szlachetne z jego strony – skwitował Dafydd.

– Och, daj spokój. – Isabel dotknęła jego ramienia. – Chciałam przyjechać, żeby zabrać cię do domu i zrobić niezbędne zakupy, ale jutro muszę wracać. Obowiązki wzywają.

– Jasne.

Odwrócili się od siebie. Dafydd dojrzał nagle swoją teczkę stojącą pod szafką. Wyglądała jak po ataku wściekłych psów. Na oko sprawiała wrażenie, jakby to ona najbardziej ucierpiała wskutek kraksy, nie licząc oczywiście jego ukochanego skutera. Gapił się na teczkę z konsternacją, wdzięczny losowi, że było to jedynie etui na jego papiery, a nie na mózg. Powinien czuć się szczęściarzem, ale był w depresji. Potrzebował żony. Wszystko między nimi układało się jednak coraz gorzej. To, co się mu wydarzyło, było wynikiem jego własnej nierozwagi, za którą musi ponieść karę, ale marzyło mu się, że tej kary nie wymierzy mu Isabel. Liczył, że mu wybaczy, oczyści z winy, potraktuje jak człowieka, którym przecież był na co dzień – odpowiedzialną, godną zaufania jednostką, mężczyzną, którego dobrze znała i którego podobno kocha. Jednakże zdawał sobie sprawę, że chodzi nie tylko o ten wypadek, lecz także o Sheilę Hailey i o jej zarzuty, że ponownie zawiódł żonę, że nie umiał być prawdziwym mężem, że nawet jego sperma zawiódła, odbierając jej nadzieję na zostanie prawdziwą kobietą, spełnioną istotą, matką. A teraz nawet odmówił dalszych prób. Nawalił na wszystkich frontach.

## Rozdział 8

*Moose Creek, rok 1992*

Tamten listopad był wyjątkowo srogi. W niektóre noce temperatura wynosiła minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Spadło tyle śniegu, co średnio w ciągu całego roku. Lasy zniknęły pod białą, sztywną jak gips pokrywą. Powietrze było nieruchome i przejrzyste.

Natomiast ulice Moose Creek były brudne. Zwały śniegu i lodu na każdym rogu. były przemieszane z wszelkiego rodzaju odpadkami. Dafydd potknął się na oblodzonej warstwie śmieci, pokrywających w miasteczku niemal każdy chodnik, i skręcił sobie kostkę. Nie był w tym odosobniony. Wskutek tych niebezpiecznych warunków doszło do wielu złamań kończyn i uszkodzeń czaszki. Odnosiło się wrażenie, że nikt z tego powodu nie narzekał. Kiedy w jakiś kolejny poniedziałek zdarzało się, że sprzęgła się dobra wola, środki i siła robocza, nadjeżdżała ciężarówka z transportem piasku, rozrzucanym na chybił trafił po jezdni i chodnikach. Jednakże na ogół mieszkańcy musieli liczyć wyłącznie na siebie.

Dafydd przyjmował pacjentów w ambulatorium, ale po godzinach pracy był skazany na swoją przerażająco zimną przyczepę. Lokum było depresyjne, a na dodatek śmierdziało w nim nie do zniesienia, odkąd jakiś kocur wślizgnął się do środka i przez cały dzień zajmował się spryskiwaniem ubrań, mebli i pościeli. Pani Breummer, nadal w pilnej potrzebie gotówki, starała się pomóc Dafyddowi w usunięciu tego odoru, ale nawet hektolitry płynu dezynfekcyjnego nie mogły temu zaradzić. W miarę zbliżania się pełnej zimy Dafydd spędzał coraz więcej czasu w chacie Iana. Niekiedy gospodarz proponował mu posiłek z puszki albo gość przywoził pizzę na wynos, która docierała na miejsce w stanie całkowitego zamrożenia. Gdyby Ian miał wybór, wolny czas spędziliby w Klondike, a zwłaszcza w części barowej lokalu. Słodka i czarowna Tillie, mimo obezwładniającej tuszy, awansowała do rangi asystentki kierownika, a Dafydd stał się jej najulubieńszym klientem, zasługującym na nadzwyczajną obsługę, Ian nie należał do grona wybrańców, ale korzystał z tego, przebywając w towarzystwie kolegi.

Brenda jak zwykle podchodziła do obowiązków z zawodową rutyną, była sympatyczna i miała cięty język. Ani razu nie zrobiła najmniejszej aluzji do ich zbliżenia nad Jeziorem Jackfish. Choć Dafydd był jej za to wdzięczny, zastanawiał go jej chłód. Czy on aż tak bardzo się nie popisał, czy też dziewczyna ma stałego partnera? A może po prostu trzyma się z dala od stałych związków. Przecież Moose Creek to miejsce, gdzie wszelkie interakcje odbywają się pod czujnym okiem mieszkańców. Bywały chwile, kiedy seksualne pragnienia Dafydda i pamięć otyłych ud dziewczyny poruszających się nad nim rytmicznie w tej magicznej głuszy były tak silne, że marzył, aby chwycić ją za rękę i poprosić, żeby powtórzyli tamto przeżycie (może tym razem pod dachem). Powstrzymywał się jednak, ponieważ to życzenie wydawało mu się zbyt nachalne i za bardzo skomplikowane. A kiedy zorientował się, że Ian niekiedy z nią sypia, pojął, że jego reakcja jest usprawiedliwiona. Seks, we wszelkich możliwych odmianach i w całej swej złożoności, był bez wątpienia ważnym składnikiem arktycznej zimy. Cóż więcej mogli ze sobą robić ludzie uwięzieni w domach?

Kilka razy lądował w motelu z bardzo żywotną komiwojażerką. Anette Balanger była wysoką, tlenioną blondynką po trzydziestce. Dobrze przygotowana do trudów zawodu, zajmowała się sprzedażą mrożonek do hoteli i restauracji w osadach położonych z dala od głównych traktów. Jej donośny śmiech i szalone opowieści o podróżach służbowych do najdalszych zakątków Kanady nieodmiennie go bawiły. Anette wносиła trochę radości do jego samotnej egzystencji, a jej jędrne, białe ciało było doskonałe do położenia się na nim, zwłaszcza po jej naleganiach. Po piątej wizycie w Moose Creek zatelefonowała do niego i oznajmiła, że więcej już tam nie przyjedzie. Jej mąż nie lubił, gdy przez cały czas przebywała poza domem, więc załatwiła sobie inną pracę w swoim rodzinnym mieście, Calgary. W ten sposób Dafydd po raz pierwszy usłyszał o jakimś mężu. Jego kochanka musiała wyczuć, że nie lubi zadawać się z mężatkami. I tyle, jeśli idzie o uczciwość.

Spuchnięta kostka zachęciła go do zupełnie innej rozrywki, Ian podarował mu kiedyś starą parę nart biegówek, a Dafydd zamówił sobie odpowiednie buty z katalogu sprzedaży wysyłkowej. Śmigał odtąd po lasach, korzystając z głębokich wyłobień wyrobionych przez płozy skuterów śnieżnych. Zapoznał się z ciszą i oślepiającą bielą, jakiej nigdy

przedtem nie doświadczył. Było to piękno przeżywane nie tylko jednym ze zmysłów. Zbliżyło go to do czegoś wiecznego, dało posmak nieśmiertelności – długiego, białego snu.

Dni stawały się coraz krótsze, a noce dłuższe. W czasie przerwy na lunch pozostawała już tylko godzina światła dziennego, by cieszyć się samotnością w naturze. Pod koniec listopada nie miało już większego znaczenia, czy bardziej lub mniej forsuje nogę zwichniętą w kostce. Zresztą w temperaturze minus trzydziestu stopni narty się nie ślizgały, a dojmujące zimno, które wprawdzie zmniejszało poczucie bólu, było jednak bardzo niebezpieczne. Zdrętwiała stopa, policzek czy ucho mogły się odmrozić w ciągu paru minut, a przerwa na odsikanie się była ryzykiem, którego mężczyzna nie powinien podejmować. Dafydd nie miał wyboru, musiał przesiadywać w domu: Czasami myślał, że oszaleje wskutek braku zajęć i klaustrofobii. W takich razach bandażował kostkę i kuśtykał po miasteczku, mając na nogach *mukluks*, które dobrze trzymały się oblodzonej powierzchni. Główna ulica była zawsze pełna życia, ale pozostała część miasta sprawiała wrażenie wymarłej. Nikt tam nie poruszał się pieszo, chyba że po zakupy, do baru lub celem wszczęcia burdy.

Pierwszą w praktyce Dafydda ofiarą śmiertelną mrozu była inuicka dziewczyna, która albo została zgwałcona, albo była pijaną, lecz chętną uczestniczką zbiorowego seksu. Incydent ten wydarzył się w półciężarówce na nieużywanym parkingu, i kiedy sprawcy skończyli z dziewczyną, wyrzucili ją z auta, zostawiając na pewną zgubę. Nie oddali jej nawet kurtki puchowej, więc nazajutrz znaleziono ją całkowicie zamrożoną. Trzech młokosów wsadzono do jednoosobowej celi sąsiadującej z posterunkiem policji. Tam czekali na przewiezienie do aresztu śledczego w Yellowknife.

To tragiczne wydarzenie wstrząsnęło Dafyddem. W ciągu czterech miesięcy pobytu w Moose Creek młody lekarz spotkał się z wieloma gwałtownymi zejściami śmiertelnymi, ale ten przypadek był szczególnie dojmujący. Kiedy wniesiono zwłoki do prosektorium, nie znał dokładnych okoliczności śmierci ofiary. Nie ulegało jednak kwestii, że w ciągu ostatnich godzin życia dziewczyna była aktywna seksualnie. Gdy musiał na siłę rozewrzeć jej nogi, sztywne wskutek zamrożenia i *rigor mortis*, żeby pobrać próbki z krocza, traktował tę czynność jak kolejny zadany jej gwałt. Nie mógł tego odłożyć do czasu przybycia doktora Gupty, patologa, który przyjeżdżał do Moose Creek tylko wówczas, gdy zgon mógł sugerować

działanie przestępcze. Dziewczyna była młodziutka, miała nie więcej niż piętnaście-szesnaście lat. Jej skóra miała odcień przezroczystej bieli. Prócz znacznego krwiaka na biodrze wyglądała jak okaz zdrowia. Zdawało się, że zapadła w głęboki sen. Na palcach u nóg widać było resztki czerwonego lakieru, spękanego i zapomnianego od czasu letniego słońca i sandałów. Uśmiech zamrożony na jej twarzy jeszcze bardziej go zdenerwował. Wolałby dostrzec ślady męki, świadczące o próbie ocalenia życia. Ale przecież Ian wspomniał, że śmierć wskutek hipotermii jest bezbolesna, a nawet w pewnym sensie przyjemna, przypomina utonięcie.

Niepokój Dafyddda wynikał po części z niejasnego poczucia pożądania. Dziewczyna była piękna, nie tyle w konwencjonalnym sensie, co w sensie egzotyki, jaką reprezentowała w jego oczach. Czarne jak smoła włosy były szorstkie w dotyku, a kości policzkowe tak wysokie, że niemal dochodziły do dolnych powiek. Przez to oczy wyglądały jak w napadzie konwulsyjnego śmiechu. Wpatrując się w wyprężone, niewielkie rozmiarami ciało, pragnął je pogłaskać. I zarazem czuł do siebie wstręt. Co do cholery się z nim dzieje, jakieś pseudoerotyczne skłonności do zwłok? Objaw szaleństwa, skutki klaustrofobii czy po prostu samotność? Teraz dopiero uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu ciepłego, pełnego energii ciała Anette, choć przecież ich romans trwał tak krótko. Po niej jednak nie miał już kobiety. Przykrył zwłoki dziewczyny prześcieradłem i wezwał strażnika, żeby przewiózł je do kostnicy w suterenie.

Tej samej nocy zatelefonowała do niego Sheila, każąc mu zająć się nieprzytomnym pacjentem, którego właśnie przywieziono. Dafydd dojechał do szpitala o czwartej nad ranem, kiedy noc była najzimniejsza. Mężczyznę znalazła w przydrożnym rowie wypełnionym śniegiem pewna kelnerka, mężatka, która wracała do domu z długiej randki z kochankiem (w jaki sposób Sheila wyciągnęła wszystkie intymne szczegóły od nieszczęsnej kobiety, Dafydd nawet nie próbował ustalić).

Ofiara, Indianin nazwiskiem David Chaquit, powoli wracała do życia, chociaż nadal pozostawała w alkoholowym stuporze. Facet miał szczęście. Był ciepło ubrany i nie leżał na dworze zbyt długo. Dafydd z Sheilą z pewnym trudem wtaszczyli go na nosze na kółkach. W czasie jazdy pacjent śmiał się, ślinił i puszczał oko. Doznał złamania nadgarstka, co dość łatwo było opatrzyć. Jednakże jego lewe ucho miało zbyt długi kontakt z zamrzniętą ziemią. Było spuchnięte i białe, niemal przezroczyste jak lód.

Dafydd nastawił mu rękę, a następnie ściągnął gumowe rękawiczki, szykując się do powrotu do domu. Noc była tak przeraźliwie mroźna, że obawiał się, czy nie wysiadzie mu ogrzewanie w pozostawionym na parkingu chryslerze.

– A co z uchem? – zapytała ostrym tonem Sheila. – Może zajmiemy się tym od razu?

– Odłożę to do jutra.

– Już jest jutro – odparła.

– W takim razie wrócę później.

– Twoja delikatność w odniesieniu do brutalnych elementów tego zawodu jest wzruszająca. – Uśmiechnęła się, lecz w jej oczach widać było obojętność. Intensywnie niebieskie źrenice były jakby mniejsze wskutek braku snu. – Ktoś to jednak musi zrobić... nie pomyślałeś o tym?

Dafydd poczuł na karku palenie.

– Mam szczerzy zamiar to zrobić. Chcę jednak odczekać, aż pan Chaquit wytrzeźwieje. Muszę z nim porozmawiać. To chyba sensowne, prawda? Czy chciałabyś zbudzić się następnego ranka bez ucha? W każdym razie muszę sprawdzić, co da się uratować. Teraz jeszcze nie sposób ustalić.

Natychmiast poczuł na sobie złość za te wyjaśnienia. Nie miał powodu, żeby się tłumaczyć. Sheila nie była jego zwierzchnikiem. Ona tymczasem, z głową przekrzywioną w bok, wpatrywała się w jego szyję. Wtedy sobie przypomniał. Ona zdawała sobie sprawę z jego cierpienia wskutek tamtej operacji, dobrze wiedziała o lękach i poczuciu niepewności. Czytała w jego myślach jak w książce. I chociaż nie robiła aluzji wprost do tamtej sprawy, ta wiedza dawała jej nad nim nieustanną przewagę.

Odwrócił się na pięcie i kuśtykając opuścił salę operacyjną.

– A więc nie ma groźby gangreny, tak?

– Z całą pewnością nie ma – rzucił, nie odwracając się za siebie. Przeklęta baba, mogliby ją zatrudnić w charakterze lekarza. Zawsze do niej należy ostatnie zdanie, bez względu na okoliczności. Dafydd wiedział, że prędzej czy później dojdzie między nimi do otwartego starcia. Jednakże myślał o tym ze wstrętem, bo nie miał cienia wątpliwości, że wówczas ona wyciągnie na jaw jego hańbę. On zareaguje defensywnie. Gniew sprawi, że będzie się płatał i jękał, jak to bywa w takich razach, a nawet zrobi z siebie zupełnego głupka. A ona będzie zachwycona tym, że zdołała go jeszcze bardziej poniżyć i skompromitować jako lekarza. Trzeba przyznać, że

umiała bezbłędnie wyczuć wszelkie ludzkie słabości. I choć większość ją szanowała, a niektórzy może nawet lubili, wszyscy robili to, czego od nich żądała. Nawet Hogg podporządkowywał się jej rozkazom.

– Och, daj spokój! – zawołała za nim. – Załatwmy z tym uchem. W ten sposób szybciej odeślemy faceta do domu. Ludzie jego pokroju nie mają wymagań estetycznych wobec organu słuchu. To jest dla nich po prostu wystający kawałek ciała. ^ Nie odstępowała go aż do stołówki. – Przecież już tu jesteś. Obiecuję, że nie pozwolę nikomu wzywać cię z samego rana. Powiem, że miałeś okropną noc. Wypadek za Wypadkiem...

Dafydd przystanął i spojrzał jej prosto w oczy.

– Cóż za miła oferta. A jednak odpowiem „nie”. – Narzucił puchową kurtkę. – Wyglądasz tak, jakbyś sama potrzebowała kilku godzin snu celem odzyskania urody. Zobaczymy się rano.

– Nie, nie zobaczymy się – odwarknęła. – Za parę godzin kończę dyżur.

– No i dobrze.

Sheila nie była jednak osobą łatwą do rozszyfrowania. Złagodziła ton i znowu kokieteryjnie przekręciła głowę.

– Mogłabym zastosować nieco stymulacji – mruknęła gardłowym głosem.

Dafydd poczuł, że znowu purpurowieje, a Sheila uśmiechnęła się uwodzicielsko, krzyżując ręce na podołku.

– Zrobię to sama, ty będziesz tylko patrzył – szepnęła. Dafydd spojrzał na nią z zażenowaniem.

– Amputację, ty głupku. – Roześmiała się głośno. – Już je robiłam. Hogg często mi na nie pozwala.

Omotłała go, i to rzeczywiście było zabawne. Powinien także się roześmiać, ale nie chciał dawać jej satysfakcji.

– Nie zgadzam się – rzekł i zostawił ją w jej ulubionej pozycji, podpierającą rękami piersi.

Zatrzymał się na parkingu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Ta kobieta niema żadnych skrupułów. „Wystający kawałek ciała... „. Modlił się w duchu, żeby nigdy nie dostać się pod jej opiekę. Bóg jeden wie, co by mu mogła odrąbać. Lepiej być zdrowym i trzeźwym.

Spojrzał na czarne niebo podziurkowane ostrą bielą gwiazd. W czasie arktycznej zimy świt nadchodzi bardzo powoli. Poranek objawia się włączeniem światła elektrycznego w domach i przyczepach mieszkalnych.

Ludzie budzą się, przygotowują do rozpoczęcia kolejnych zajęć. Dzieciom trzeba nałożyć wiele warstw ubrań. Mężowie muszą zeszkrobać lód ze swoich półciężarówek zamkniętych w garażach. Żony w puchówkach i ciepłych botach najpierw odwożą dzieci do szkoły, a potem jadą do pobliskiego supermarketu.

Idea romantycznego związku w Moose Creek nie przyszła mu dotychczas do głowy, ale co by się stało, gdyby się tu zakochał? Na dobrą sprawę nigdy tak naprawdę nie kochał kobiety, a w każdym razie nie bezgranicznie, tego był pewien. Owszem, pożądanie – to się często zdarzało, a nawet pasja. Była Katrina, jego pierwsza. Był nią oszołomiony, i to przez wiele miesięcy, ale uczucie minęło, gdy się okazało, że nie mają ze sobą wiele wspólnego. Drugą kobietą, jaka wzbudziła w nim silniejsze uczucia, była Lesley – koleżanka, która wynajęła mu pokój, gdy mąż od niej odszedł. Byli kochankami przez rok, a potem zostali serdecznymi przyjaciółmi. Lesley była starsza od niego o dwanaście lat, ale nie brakowało jej urody i inteligencji. Poza tym była kobietą praktyczną i nadzwyczaj pomocną. Oddała mu wielką przysługę w trakcie zdawania egzaminów lekarskich. Ich romans już od dawna nie istniał, gdy nastąpiła katastrofa z Derkiem Rose, ale w tych ciężkich chwilach Lesley okazała się jego jedynym sprzymierzeńcem. Tak, na dobrą sprawę ją właśnie kochał, do teraz.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem u Charlesa i Shirley Bowlby odbyło się przyjęcie. Byli to właściciele agencji podróży oraz firmy ubezpieczeniowej oraz posiadacze dużego, wygodnego domu w nowej dzielnicy na skraju miasteczka. Zawiozła go do nich Martha. Po drodze udzielała mu instrukcji.

– Będę na ciebie czekać punktualnie o drugiej w nocy. Wtedy na ogół towarzystwo się zwija. I teraz uważaj: zawiozę cię prosto do domu. Nie próbuj dać się namówić na pójście do jakiejś baby. Raz spędzisz u takiej noc i więcej się od niej nie odczepisz, słyszysz? A już szczególnie trzymaj się z daleka od tej Hailey. Jej facet wyjechał z miasta, ale nie będziesz chyba zaczynał z kobitą potężnego drwala, prawda?

– Masz rację, Martha. – Wskutek jej ryzykownej jazdy – trudno mu było się skupić. Do tego stale się do niego odwracała, szukając w jego minie potwierdzenia swych słów... Przyjedzie po niego o drugiej w nocy, a on już był zmęczony. – Wolałbym, żebyś mnie odebrała około północy. Jestem



pewien, że i tobie przyda się trochę snu. Roześmiała się sarkastycznie.

– Chłopaku, czy sądzisz, że jesteś moim jedynym pasażerem? Tej nocy zamierzam zarobić mnóstwo kasy. Chłopy nie będą dziś prowadziły. – Kiwnęła głową w kierunku kompletnie nieoświetlonej drogi. – Założę się, że wielu ludzi będzie mnie błagało, żebym ich podrzuciła do domu. Jak mogłabym stracić taką okazję i przespać tę noc? A od ciebie nie pobieram podwójnej taryfy. – Prychnęła w proteście na jawną niedorzeczność. – Mam rozwozić każdego z osobna... chyba sobie kpisz.

– Z ciebie to prawdziwa kobieta interesu.

– Jestem sprytna, choć prosta ze mnie baba – przyznała i wysadziła go na końcu długiej alejki. – Tu będę na ciebie czekać.

Dafyddda wpuścił jeden z nastoletnich synów gospodarzy. Wziął od niego palto i poprowadził do drzwi ogromnego salonu pełnego gości. Hogg wyszedł mu naprzeciw z wyciągniętymi ramionami. W zasadzie nie pił wiele, ale tym razem widać było, że ma trochę w czubie.

– Złoty chłopiec! – krzyknął. – Kogo tu jeszcze nie znasz?

– Och, sądzę, że poznałem niemal wszystkich. Nie przejmuj się, w razie czego sam się przedstawię.

– Chłopak pobędzie w naszym towarzystwie – głośno ciągnął Hogg, choć nie bardzo było wiadomo, do kogo się zwracał. – To moja prawa ręka. – Poklepał Dafyddda po plecach i uszczypnął w policzek, a następnie pożegłował w stronę stołu zastawionego zakąskami. Anity, jego żony, rzekomo cierpiącej na przewlekły syndrom choroby wirusowej, nie było nigdzie w pobliżu.

– Salon był obwieszony obrazami olejnymi w krzykliwych barwach, a światło z żyrandola biło po oczach. Zebrało się w nim sześćdziesiąt do siedemdziesięciu notabli: cały skład miejscowej Izby Handlowej, szefowie żandarmerii, urzędnicy państwowi, nieco pracowników szpitala, dwaj kierownicy szkół z co bardziej atrakcyjnymi nauczycielkami oraz żony i mężowie wyżej wymienionych. Ubrani byli w najlepsze ciuchy, jakie zdołali kupić w Edmonton czy w Yellowknife podczas pospiesznych zakupów przedświątecznych. Dość nieoczekiwanie dla Dafyddda epatowali szykiem. Po kilku drinkach składających się z bardzo mocnego ginu z tonikiem, serwowanych przez gospodarza, i jego ogarnął rodzaj bożonarodzeniowego uniesienia. Ciemnobrązowy garnitur, jaki miał na sobie, kontrastował z białą koszulą, do tego miał krawat kupiony we Florencji, gdzie rok przedtem

uczestniczył w konferencji naukowej. Tuż przed aferą z Derkiem Rose. Ujął w palce jedwabisty, połyskliwy materiał i poprawił węzeł, zastanawiając się w duchu, jak by się wtedy czuł, gdyby jakimś cudem przewidział, że rok później znajdzie się na samym skraju cywilizacji.

Rozejrzał się, szukając kogoś, żeby nawiązać rozmowę, Ian stał do niego tyłem, obok bogato ubranej choinki, gawędząc z młodą kobietą, w której Dafydd rozpoznał urzędniczkę miejscowego ratusza. Dziewczyna spoglądała na swego towarzysza z wyraźną kokieterią, głośno się śmiejąc po każdej jego uwadze, Ian tym razem prezentował się bez zarzutu. Jego blond włosy były dość długie, zwijały się w loki na wysokości kołnierzyka. I włosy, i koszula lśniły czystością. Zmienił dzinsy na obcisłe spodnie z czarnej skóry, więc nawet Dafydd mógł dostrzec, co takiego dziewczyna upatruje w jego koledze.

Zauważyła, że się im przygląda, i zaszczębiotała do Iana. On obrócił się na pięcie i zostawił ją, podchodząc do Dafydd.

– Ale z ciebie elegancik – zauważył, macając jego oryginalny krawat.

– Z ciebie również – odparł Dafydd, naśladowując akcent tamtego. – Czy warto było rzucać taką świetną dziewczynę, żeby poderwał ją ktoś inny?

– Zawsze mogę zawrócić. – Ian zapalił papierosa, zaciągnął się i przyjrzał koledze, robiąc przy tym komiczną minę. – No to do roboty. Czas się rozchmurzyć. Na miłość boską, mamy Boże Narodzenie, a ty chodzisz tak, jakbyś miał do tyłka przyczepiony stetoskop. Nie radujesz się scenerią?

Czy rzeczywiście tak wyglądał? Spięty, pozbawiony poczucia humoru sztywniak, reprezentujący wszystkie cechy przypisywane przez Kanadyjczyków mieszkańcom Wysp Brytyjskich? Być może, Sheila prześladowała go nie bez powodu, Ian miał stuprocentową rację: miał przed sobą całe życie na przejmowanie się pacjentami i ich opiniami. Najwyższy czas wyzwolić się z tej przeklętej nerwicy, ze strachu przed popełnieniem błędu.

– Zgadzam się z twoimi uwagami. Spróbuję się bardziej postarać.

Ian zarżał tak głośnym śmiechem, że kilka osób aż odwróciło się w jego stronę.

– Tu nie chodzi o próbowanie, ty pało. Wręcz odwrotnie. Musisz się ostro zabrać do roboty.

Dafydd poczuł przyływ wdzięczności do kolegi, choć w jego ustach te rady nie bardzo miały sens. Życie na pełnym gazie, niezwracanie uwagi na

konsekwencje nie przyniosły Ianowi wiele dobrego, a już na pewno nie wpłynęły korzystnie na stan jego zdrowia.

Dziewczyna otrząsnęła się po dość bezceremonialnym odejściu Iana i podeszła do nich. Była mocno zbudowaną, ciemnowłosą piękną orzechowych oczach i wydatnych, pełnych ekspresji ustach. Z bliska wyglądała dużo młodziej, niż by na to wskazywał jej zbyt mocny makijaż. Chwyła Iana za ramię i przyciągnęła ku sobie.

– Przedstaw mnie swemu koledze – powiedziała.

– To jest Allegra...

Przysunęła się do Dafydd i wszczęła rozmowę. Miała mnóstwo do powiedzenia. Ukończyła zaledwie rok liceum, ale grała rolę seksownej *femme fatale*, w czym pomagała sobie kolejnymi kieliszkami taniego szampana. Trzepała językiem o byle czym, lecz z pewnym wdziękiem. Narzekała na brak fryzjera z prawdziwego zdarzenia, butików z dobrymi ciuchami, obgadała wszystkie niedociągnięcia swego ostatniego chłopaka, Ian gdzieś się oddalił. Nadciągnęła fala spóźnialskich. Ktoś zaczął grać „Cichą noc” na rozstrojonym pianinie. W ręce Dafydd pojawiały się kolejne kieliszki trunku. Zastanawiało go, czy zawieszono spisek przeciwko niemu, żeby kompletnie go wyluzować. Miał się pozbyć przyklejonego do tyłka stetoskopu i zaszaleć w gościnnym domu. Chyba tak właśnie należy się zachowywać w tym mieście. Ludzie zebrali się w salonie, bo albo już dali sobie w szyję gdzie indziej, albo dlatego, że dopiero tu mogli się dobrze zabawić. Gdzież indziej można sobie pozwolić na taki luz? Dafydd relaksował się więc i odstawiał kolejne puste kieliszki. Rozglądając się często, usiłował uwolnić się od Allegrę, która wręcz go nie odstępowała, jak gdyby już zostali kochankami. Z pewnością ochoczo przyjęłaby zaproszenie do jego przyczepy, ale Dafydd był umówiony z Marthą i nie chciał korzystać z jej taksówki z dziewczyną uwieszoną u boku. A zresztą, choć marzył o ciepłym uścisku kobiety, czuł się nieswojo z partnerkami na jedną noc, a Allegra nie była dziewczyną, z którą miałby ochotę regularnie się spotykać. Poza tym była zbyt młoda, a on nie miał kondomów. W skołowanym przez alkohol mózgu odnotował, że powinien praktykować to, co stale powtarzał pacjentom małolatom: jeśli lubisz swobodne życie, noś gumki stale przy sobie.

Pozbył się Allegrę najuprzejmiej, jak potrafił i ruszył w stronę Elaine, młodej nauczycielki, której mąż zginął niedawno w katastrofie samolotu

sportowego. Dafydd robił sekcję zwłok tego wysokiego, przystojnego faceta i był wstrząśnięty skutkami katastrofy. Pilot próbował wylądować awaryjnie w czasie gęstej mgły. Polana, choć rozległa, była dosłownie najeżona pniami ściętych drzew, które rozerwały lekki samolot na strzępy. Ofiara miała w wielu miejscach złamaną szyję i lędźwiową część kręgosłupa.

Elaine siedziała samotnie na krześle przy oknie i wpatrywała się w czarną noc. W okresie żałoby znacznie przytyła. Jej młodzieńcza uroda bezpowrotnie zniknęła. Dafydd pozdrowił ją i stanął obok, nie znajdując w pobliżu żadnego stołka. Wokół panował ogłuszający hałas.

– Dobrze się bawisz? – zapytała bez przekonania ledwie słyszalnym głosem.

Przykląkł koło niej, żeby znaleźć się na wysokości jej głowy.

– Jak tam twoje dziewczynki?

– Ciągłe dopytują, kiedy tatuś wróci. Zagadują mnie o to dzień w dzień. Doprowadzają mnie do szaleństwa. Nie wiem, co im odpowiedzieć.

Dafydd próbował się uśmiechnąć, żeby choć trochę poprawić jej grobowy nastrój.

– Jesteś nauczycielką. Stale rozmawiasz z dziećmi. Moim zdaniem, lepiej im powiedzieć, co się stało. Nawet dzieci muszą się z tym oswoić.

– Kiedy przestanę cierpieć? – jęknęła, patrząc mu prosto w oczy. Na jej twarzy malował się ból. – Gdyby nie dziewczynki, natychmiast dołączyłabym do niego. – Chwyciła go za rękaw i powtórzyła: – ... natychmiast.

Dafydd poczuł nagle, że kręci mu się w głowie. Z trudem utrzymywał równowagę, kolana się pod nim rozjeżdżały. Był zbyt pijany, by rozmawiać z wdową o jej stracie. Przyjęcie wzmogło w nim optymizm, przywróciło entuzjazm do życia, ale teraz nie mógł odejść od Elaine siedzącej w samotności.

– Chciałbym, żebyś odwiedziła mnie w gabinecie – wymamrotał bez większego przekonania. – Rozmowa pomoże.

– Rozmawiamy przecież teraz – odparła chłodnym tonem.

– Dolewka? – nad jego kieliszkiem zamigotała karafka. Gdy się odwrócił, ujrzał obok siebie Sheilę.

– Tak, proszę – przytaknął. – Był przyjacielski wobec całego świata i w tym świątecznym nastroju powitał nawet ją, zwłaszcza teraz, gdy była na tyle przenikliwa, by uwolnić go od rozpaczającej Elaine.

- Dafydd, jest tu ktoś, kogo musisz poznać.
- Wstał, a Sheila chwyciła go za łokieć.
- Przepraszam – rzucił na odchodnym.

Przeszli do innego pokoju, na tyłach domu, gdzie trwała w najlepsze nieco inna zabawa. Światła były przygaszone, dudniła głośna muzyka, a w powietrzu unosiła się woń konopi. Młodszy kontyngent miał nawet większą frajdę od starszego. Sheila wciągnęła go do niewielkiego pomieszczenia, gdzie leżała sterta palt i kurtek.

– Usiądź na chwilę – rzekła i pchnęła go na krzesło zavalone okryciami. Wyciągnęła z torebki małą fiolkę. Dafydd patrzył ze zdumieniem, jak wysypuje na dłoń odrobinę białego proszku i wciąga go w nozdrza za pomocą wąskiej, srebrnej rurki. Podstawiła fiolkę Dafyddowi. Ten pokręcił głową.

- Ty prawiczku. Nie bądź taki zaszokowany – powiedziała ze śmiechem.
- To sprawa wyłącznie między nami. Nikt cię tu nie złapie. Mamy Boże Narodzenie, nie jesteśmy w pracy.

Ponownie odmówił, ale nie mógł opanować uśmiechu. Kto by pomyślał? Nasza rygorystyczna szefowa pielęgniarek zażywająca kokainę w garderobie. No, jeśli ktokolwiek potrzebuje kopa i relaksu, to właśnie ona.

- Gdzie jest ta osoba, którą mam poznać? – zapytał.
- Stoi naprzeciwko ciebie.
- Ciebie już znam.
- O, nie, wcale nie.
- No dobrze – roześmiał się. – Jesteś tak skomplikowana, że trudno mi cię pojąć.

Wciągnęła resztę proszku przez drugie nozdrze i potarła nos. To prawda: wcale jej nie znał, a teraz ujrzał drugą stronę jej osobowości. Nic nie zostało z twardej, bezwzględnej przełożonej pielęgniarek, która wzbudzała lęk i szacunek wśród kolegów po fachu i pacjentów. Gdy patrzył na nią teraz, z trudem wręcz mieściło mu się w głowie, że ciągle starała się go zastraszyć. Była łagodna jak owieczka. Pod wpływem alkoholu i narkotyków sprawiała wrażenie młodej i czulej dziewczyny, wręcz nastolatki. Duże niebieskie oczy miały w sobie coś anielskiego, a masa rudych loków zdawała się ognistą aureolą wokół twarzy. Miała na sobie szmaragdową sukienkę mini, a jej gładkie, umięśnione nogi były obleczone cieniutkimi rajstopami. Patrząc na nie, dostrzegł pod siateczką półprzejrystego nylonu mnóstwo

drobniutkich piegów na udach.

Kiedy zauważyła, że chce wyjść, dała krok do przodu i uwięziła go w rogu, przyciskając do wieszaka na ubrania.

– Czy nie możemy zostać przyjaciółmi? – szepnęła.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu lok z czoła. Ten gest był jednoznacznie intymny, a Dafydd chciał jak najszybciej wymknąć się z dusznego pomieszczenia. Jednakże rzucając się do ucieczki, tylko by odsłonił swoje lęki. Byłby to kolejny punkt dla niej.

– Jasne – odpowiedział. – Czy to oznacza, że przestaniesz ze mnie drwić przy każdej nadarzającej się okazji?

Opuszkami palców przeciągnęła po jego ustach.

– Och, daj spokój, przestań być taki cholernie serio. Czy nie widzisz, że staram się ci pomóc? Jesteś taki dokładny i... – jej dłoń ześlizgnęła się na jego krawat w poszukiwaniu odpowiedniego określenia – delikatny. Jak na to miejsce, zbyt skrupulatny i rozważny. Chociaż, rzecz jasna, wiem, dlaczego tak postępujesz. – Roześmiała się cicho i przyciągnęła go do siebie, trzymając za krawat. – Kochanie, odkryłam całą twoją tajemnicę.

Mimo świątecznego nastroju i licznych drinków Dafydd zeszytniał, jakby dostał pięścią w brzuch. Ujrzał przed sobą tę drugą Sheilę – tę, której lękał się i nie znosił. Zacisnąwszy zęby, nagle poczuł gwałtowną żądzę: chciał ją rzucić na stertę palt, zedrzyć z niej sukienkę, zerwać rajstopy i wbić się w nią z całych sił, żeby wreszcie przepędzić z niej tę ohydłą arogancję, zmusić, żeby błagała go o litość. Podniecony i rozgrzany niepojętym impulsem, bił się z myślami, czy pozwolić sobie na ten czyn (podejrzewał, że łatwo uzyska aprobatę), czy też uciec stąd jak najszybciej. Wziął głęboki wdech, odepchnął jej rękę uwieszoną u krawata i ruszył w stronę drzwi, ale Sheila obróciła się i zastawiła je sobą. Piękna uwodzicielka była najwyraźniej gotowa, by dostać to, czego chciała, choć Bóg jeden tylko wie, o co jej naprawdę chodziło i z jakiego powodu. Dobrze wiedziała, że jej nie chciał (ale... czy na pewno?), więc po co się upierała, narażając się na odrzucenie, skoro miała tylu innych mężczyzn na skinienie ręki? Takich, co zrobią wszystko, żeby ją posiadać...

Dafydd obrócił się i celowo spojrzał jej prosto w oczy, próbując odgadnąć, co się kryje za tym urzekającym i tajemniczym błękitem źrenic. Oznajmiła mu, że chce być z nim w przyjaźni, ale domyślał się, że chodziło jej o coś więcej, a jeśli tak, to czy uważa, że osiągnie swój cel, drąc go na

strzępy? Nie spuszczała z niego wzroku, nie zamierzała przegrać w tej milczącej konfrontacji, ale tłumaczyła ją sobie opacznie.

– No dobrze, pokaż mi – jej oddech był przyspieszony, usta rozchyliły się. – Pokaż, że możesz odwołać się do siły.

Zapanuj nade mną. Mój chłopak wyjechał. Chodź do mnie na noc. Tylko raz.

Z jakąś dziwną przewrotnością odnotował, że udało mu się zdobyć nad nią przewagę. I od razu tego pożałował. – Nic z tego – uśmiechnął się, wzruszając ramionami w geście udawanego usprawiedliwienia. – Nie rajcujesz mnie.

Sheila przez chwilę śledziła go z niedowierzaniem.

– Bo jesteś pieprzonym pedałem, to dlatego – wycodziła i odeszła. Dafydd został, wdychając zapach perfum i mokrej wełny. Niech to szlag! Po co to powiedział? Zemsta wcale nie okazała się słodka. On sam był równie złym człowiekiem, co i ona. W chwilę później, ogarnąwszy się nieco, usłyszał ciche pukanie do drzwi. Ukazał się w nich Hogg, zaglądając w głąb korytarzyka.

– Przepraszam, szukałem Sheili – rzekł nieśmiałym tonem. Nie miał w sobie nic z małego autokraty szpitalnego. – Myślałem, że może jest z tobą.

– Była. Ale nie obawiaj się, jest cała twoja – warknął Dafydd, nie zważając na słowa. – Tylko, Andrew, miej się na baczności, ona jest we wściekłym nastroju. Zrób sobie przysługę i nie zwracaj na nią uwagi. – Odszedł, zostawiając Hogga wpatrującego się z udręką we własne buty.

Dwie godziny później Dafydd był już całkowicie zalany, choć wcale nie zamierzał się upić, przynajmniej nie do tego stopnia. Odnalazł swoje palto i zataczając się, ruszył w poszukiwaniu Marthy. Jednak umówiona godzina jeszcze nie nadeszła. Taksówkarka rozwoziła innych rozbitków do domowych przystani. Dafydd stał więc przy drodze, licząc, że z kimś się zabierze. Choć minęło zaledwie parę minut, był skostniały z zimna. Nie było to takie złe, właściwie przypominało próbę uwiedzenia. Gotów był zaakceptować zapadnięcie się w lodowaty sen, w trans pełen rozkoszy i światła... Na tym właśnie polegało niezrozumiałe dlań niebezpieczeństwo. Poczul, że kręci mu się w głowie, więc zamierzał przysiąść na śniegu, ale odzyskał świadomość, gdy zaczął się trząść jak w febrze. Zaczął więc skakać w miejscu i pocierać twarz dłońmi w rękawicach, gorzko żałując, że nie wziął ze sobą czapki.

W długiej alejce ukazał się jakiś samochód. Zatrzymał się przy nim.

– Właż – rozkazała Sheila przez szczelinę w okienku. – Nie możesz tak stać. Jesteś pijany, a to niebezpieczne. Nie chcę cię mieć na sumieniu, jak zamarzysz tu na śmierć. – Widząc jego wahanie, dodała z gryzącą ironią: – Nie tknę ciebie nawet z pomocą trzymetrowego drąga. Zawiozę cię prosto do domu.

Jechali w milczeniu. Sheila sprawiała wrażenie absolutnie trzeźwej. Dafydd przypomniał sobie, że chyba w ogóle nie tknęła alkoholu, ale kokaina z pewnością na nią podziałała. Była kobietą mającą całkowitą władzę nad sobą, bez względu na okoliczności.

Skręciła na parking z przyczepami i zatrzymała się tuż pod gankiem Dafydda.

– Popatrz! – Wskazała w górę i wyłączyła silnik.

Przez niebo przesuwwały się welony bieli. Po chwili błyskały jak strzały z bicza. Dafydd kilka razy przedtem widział *Aurora borealis*, ale wtedy był nią rozczarowany. W tamtych razach zorza polarna nie wyglądała tak, jak wynikało z jej opisu w książkach, nie była spektaklem świateł o różnych barwach rozbłyskujących na niebie. Sheila odwróciła się i spojrzała na niego, on przez chwilę nie odrywał od niej oczu, a następnie oparł głowę na zagłówek, bez reszty pochłonięty obserwacją nieba. Tańczące welony były niesamowite. Kręciło mu się w głowie, ale w sumie było mu bardzo wygodnie. W samochodzie panowało rozkoszne ciepło, a z magnetofonu rozlegały się dźwięki zespołu Dire Strait, który kojarzył mu się z krajem rodzinnym.

Chciał przeprosić Sheilę za pożałowania godne zachowanie. Czemu nie? Zachował się wobec niej po chamsku, bo chciał ją zranić w odwecie za ciągłe próby ponizania go. Chociaż była trudną facetką, nie utożsamiała przecież wyłącznie zła. Trzeba jej przyznać, że była doskonałą pielęgniarką, gotową do ciężkiej pracy. Po prostu oboje byli kompletnie inni, reprezentowali skrajne przeciwności. Nic dziwnego, że trudno im było o zrozumienie, o odrobinę empatii. Jednak musieli ze sobą pracować jeszcze przez wiele miesięcy...

Gdy rozmyślał, jak by tu podać gałązkę oliwną na zgodę, poczuł na sobie jej rękę. Znieruchomiał. Był zbyt zrelaksowany, żeby ostro zareagować, zbyt zmęczony, by się bronić. Zresztą tęsknił za kontaktem fizycznym z kobietą... byle nie z nią. Po chwili Sheila przedostała się przez kolejne warstwy



ubrania do jego spodni i wprawnie odpięła mu rozporek. Jej dłoń była ciepła i przyjemna na jego chłodnym członku, więc natychmiast poczuł wzwód. Nie przysunęła się do niego, a on na nią nie patrzył. Zamknawszy oczy, pragnął się zatracić w pieszczocie. Była w tym zajęciu bardzo sprawna, wykonując je niczym pielęgniarza przy chorym. Wyciągnął rękę, dotknął jej uda. Cienki nylon był śliski i zimny. Szybkim ruchem skierowała jego dłoń wyżej, jakby domagając się głębszej eksploracji.

Stała mu przed oczami Kerstin. Dziewczyna, z którą przeżył ognisty romans. To ona właśnie doprowadzała go ręką do orgazmu, co było cudownym przeżyciem. Nakrył dłonią rękę Sheili, pragnąc, by przyspieszyła ruchy.

– Może byśmy weszli do przyczepy? – zaproponowała Sheila niskim, gardłowym głosem.

Dafydd usiłował rozważyć tę opcję, ale oczyma wyobraźni ciągle widział Kerstin. Sheila tymczasem usiłowała cofnąć dłoń, ale do tego nie dopuścił. Kilka sekund później spuścił się; orgazm nadszedł falami i był ostry do bólu, mimo przepicia.

Z pomrukiem wściekłości Sheila szarpnęła rękę i wytarła ją o połę jego pałta. Uruchomiła silnik, wrzuciła bieg.

Dafydd westchnął, zamknawszy oczy. Teraz dopiero narozrabiał. Zdał sobie sprawę, że niczym jej nie przebłaga.

– Sheila, przepraszam, nie chciałem...

– Pieprz się sam – rzuciła.

Ledwie wygramolił się z samochodu, gdy odjechała Z rykiem silnika, wpadając w, poślizg na niebezpiecznie oblodzonej jezdni. Dafydd pomacał się po kieszeniach, próbując znaleźć klucz. Zauważył, że ma rozpięty rozporek. Usłyszał jakiś szelest, więc uniósł głowę i dostrzegł, że w nieoświetlonym oknie sąsiedniej przyczepy stoi Ted O'Reilly ze sprośnym uśmiechem na nieogolonej gębie. Sąsiad uniósł w górę kciuki, wykonując kilka obscenicznych ruchów miednicą. Dafydd jęknął i odwrócił się doń plecami, usiłując trafić przeklętym kluczem do dziurki.

## Rozdział 9

Cardiff, rok 2006

*Kochany Tatusiu, Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że tak się do Ciebie zwracam. Mama opowiedziała mi o wszystkim, że zamierzasz być rozsądny i nie chcesz przyspieszać sprawy, póki nie przyjdą wyniki badania krwi. To OK. Rozumiem to wszystko, ale liczę, że sprawi Ci odrobineczkę radości, że masz córkę i syna. Wszystkie moje koleżanki mają tatę, prócz Melisy i Cass, bo ich rodzice się rozwiedli i one straciły kontakt z ojcami, którzy wyjechali z Moose Creek. To smutne, nie uważasz?*

*Zrobiliśmy testy dwa tygodnie temu, to znaczy moja mama oddała krew i Mark też. Ja nie lubię klucia, więc mama doszła do wniosku, że wystarczy, jak się pobierze krew Markowi. Przecież jesteśmy bliźniakami, to fakt.*

*Tak sobie myślę, czy nie przyjechałbyś nas odwiedzić, gdy się okaże, że naprawdę jesteśmy Twoimi dziećmi. Liczę na to z całego serca. Mamy Ci tyle do pokazania, jak na przykład zdjęcia z czasów, kiedy byliśmy mali, i mnóstwo innych rzeczy.*

Z wyrazami miłości Miranda Dafydd przeczytał list dwukrotnie, po czym opuścił go na kolana. Kartka trzepotała w przeciągu spowodowanym przez nieszczelne szybki w oknach. Niech to szlag. Biedne dziecko jest całkowicie i bez reszty przekonane, że odnalazło ojca. Cholerna Sheila. Wspomnienia o jej skandalicznym zachowaniu i patologicznej arogancji wróciły doń z całą mocą. Codziennie przypominał sobie kolejne szczegóły ich starć, które z jej strony nieodmiennie kończyły się atakiem ślepej nienawiści. Ale do czego ta kobieta teraz zmierza? Przecież to nie ma sensu. Jak sobie wyobraża, że postawi na swoim? Bez względu na to, jak głęboko zastanawiał się, roztrząsał, stawiał liczne hipotezy, nie mieściło mu się to w głowie. Jedynym kluczem były jakieś jej urojenia, może szaleństwo, albo całkowita amnezja co do tego, z kim spała. Może to skutek prochów lub alkoholu. On sam przypuszczałnie nigdy nie zdoła rozwiązać tej szarady. Czasami, budząc się w środku nocy, rozważał wszelkie, nawet najbardziej idiotyczne scenariusze, mające wyjaśnić, w jaki sposób Sheila zdobyła jego spermę. To prawda, raz... brandzlowała go. Aż zadrżał z tajonej odrazy. Ale

to wszystko. To się odbyło W samochodzie, w temperaturze poniżej zera. Plemniki – myślał gorączkowo – od razu by zamarły. Czy w jakiś sposób mogła je później umieścić w swojej pochwie? Nie, to równie kretyński pomysł, co zejść w ciążę usiadłszy na sedesie, podtarłszy się cudzym ręcznikiem lub wykąpawszy w basenie. A może cała afera ma bardziej podstępne tło? Wrzuciła jakiś środek do jego drinka? A później go zgwałciła, doprowadzając po wymuszonym stosunku do całkowitej utraty pamięci? Wszystkie te hipotezy odrzucił jako absurdalne i fizycznie niemożliwe. A ponadto, biorąc pod uwagę, że kiedyś usiłowała go zmusić do przeprowadzenia aborcji, dlaczego, do cholery, miałyby tak się starać, żeby zejść w ciążę akurat z nim, mężczyzną, którym pogardzała?

Rzucił list na sofę i poczłapał w stronę łazienki, zastanawiając się nad swoim koszmarnym zaniedbaniem. Oboje z Isabel sprawiedliwie dzielili między siebie obowiązki domowe, ale w ciągu dwóch tygodni od jej wyjazdu nie miał nawet siły, żeby zająć się najprostszymi czynnościami. Po co robić cokolwiek, skoro za chwilę trzeba będzie zaczynać od nowa? Od wielu dni nie zjadł porządnego posiłku, żywiąc się resztkami z zamrażarki, pizzą i sałatkami, które Isabel kupowała w garmażerii obok, z szyldem „Ved Chaudhury i Synowie”, choć w istocie firmą zajmowała się pani Chaudhury z córkami. Sklepiarka była wstrząśnięta relacją Isabel o wypadku męża i pod jej nieobecność chciała posyłać jedną z córek z posiłkami dla Dafydd. Isabel odrzuciła jednak ofertę, ku żalowi słomianego wdowca.

Postanowił wziąć prysznic. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się kąpał. Zdjął szlafrok i wszedł do kabiny, ale choć usiłował odprężyć się pod strumieniem wody, nie mógł odnaleźć spokoju. Miał wrażenie, że jego życie się rozpada, choć przecież nie groziło mu nic strasznego. Może w ciągu minionych lat wiódł taką szarą egzystencję, że te drobne przeszkody na swojej drodze wyolbrzymił, rozdmuchał do gigantycznych rozmiarów. Utrata velocette Venom była dlań wielkim ciosem. Drogi jego sercu skuter ze skorodowanego metalu służył mu od tylu lat. Był nie do zastąpienia, a jego utrata świadczyła o końcu pewnej epoki. Isabel odzyska wiarę w męża, jak tylko nadejdą wyniki DNA, a zakaz prowadzenia pojazdu przez rok minie jak z bicza trząśł. Gorzej będzie z opinią pijanego kierowcy, ta przyłgnie do niego na dużo dłużej.

Wszedł z kabiny, przeciągnął ręką po zaroście. Życie idzie dalej, trzeba pokonać przeszkody. Wziąć się w garść, ubrać i ruszyć do roboty. Cztery dni

rekonwalescencji to aż nadto. Podbite oko przybrało teraz kolor żółtozielony, ale cóż z tego? Kolano pewnie będzie sprawne, a ręka w nadgarstku już prawie nie boli. Jego poczucie godności musi sobie z tym poradzić.

Tydzień pracy zbliżał się ku końcowi. Jakoś zdołał przełknąć gorzką pigułkę i wrócił do szpitala, ignorując złośliwe miny kolegów i współczujące klepnięcia po plecach. Zaczynał się weekend, a Isabel obiecała, że przyjedzie w piątek po południu. Przez cały ranek nerwowo wyczekiwał jej powrotu. Niemal każdego dnia rozmawiali ze sobą przez telefon, więc odniósł wrażenie, że Isabel wstydzi się za swój wybuch, a nawet czuje się skrępowana zaistniałą sytuacją. Padały aluzje do zgody – na gruncie seksualnym, uczuciowym czy po prostu domowym. Nie był pewien, o co jej chodziło i czy rzeczywiście doszła do przekonania, że zasłużył sobie na jej przebaczenie.

W trakcie rozmowy z pacjentką na temat konieczności usunięcia jej pęcherza moczowego odezwał się jego pager.

– Jestem już w domu – westchnęła Isabel, kiedy w końcu udało mu się oddzwonić. – Dzięki Bogu, co za okropna jazda.

– No tak. Posłuchaj, zeszłej nocy miałem dyżur i na dodatek tkwię tu od bladego świtu. Lodówka jest pusta. Może byśmy poszli do restauracji? Chciałbym usłyszeć, jak ci poszło. Pojedźmy nad zatokę, może do „Eduardo”? Co ty na to?

– Świetnie. – Sprawiała wrażenie zadowolonej. – Wpadniesz do domu czy spotkamy się na miejscu?

– No cóż – odparł z wahaniem, uzmysławiając sobie, że zapomniała o jego skasowanym skuterze. – Może od razu tam. W barze. Zamówię stolik na siódmą trzydzieści.

Spotkali się na parkingu. Isabel nadjechała taksówką i zrobiła zdziwiona minę na widok Dafydd'a wysiadającego z furgonetki Jima Wisemana, którego poprosił o podwiezienie. Wyglądała wspaniale w czarnej sukni z miękkiej wełny, ściśle przylegającej do figury. Była niczym spryskana farbą w sprayu. Ramiona otuliła szalem z kaszmiru, też nowym nabytkiem. Ciężka praca i zarwane noce zostawiły ślad w postaci sińców pod oczami, a szkarłatna szminka na ustach nie ujmowała jej lat, jednakże w sumie prezentowała się doskonale. Dafydd poczuł do niej nagły przypływ pożądania, nieznanemu mu od lat, ale pozbawionemu czułości. Pragnął jej jak

kiedyś, dawno temu, zanim seks między nimi stał się obowiązkiem. :

W restauracji panował tłok. To było normalne, lokal stał się miejscem, w którym należy się pokazywać. Oboje odkryli go przed ośmioma miesiącami, kiedy dopiero stawał się modny. Eduardo, lojalny wobec stałych klientów, ruszył na ich powitanie z szeroko rozwartymi ramionami.

– Kochani, mam wasz ulubiony stolik... Isabel! – Złożył pulchne usta w ciup i ucałował ją w oba policzki, a następnie ujął w obie ręce dłoń Dafydd, długo nią potrząsając.

Usiedli przy oknie, z widokiem na postój taksówek wodnych. Na powierzchni zatoki kładł się słaby blask słońca, a skały Penarth były już niemal czarne. Wzdłuż portu jachtowego błyskały światła, molo pod restauracją było pełne przechadzających się par, które uśmiechały się do siebie i popijały drinki. Dafydd usadowił się na krześle i odetchnął z uczuciem ulgi. Wszystko wydawało się takie proste, takie normalne. Rzucił okiem na menu i uniósł brwi. Eduardo najwyraźniej rozkręcił się nad podziw, zwłaszcza biorąc pod uwagę nowy cennik. Pękaty właściciel pospieszył do nich z butelką dobrego wina. Miał doskonałą pamięć.

– To na koszt firmy, przyjaciele – obwieścił. W jego ciepłym, szklistym spojrzeniu znać było smutek. – Nie zagładacie tu zbyt często. Dla was zawsze znajdzie się miejsce, kiedykolwiek się pojawicie.

Zaciekawiona jego atencją para przy sąsiednim stoliku pochyliła się ku sobie, wymieniając szeptem uwagi na ich temat. W blasku świec Isabel wyglądała jak gwiazda filmowa. Po chwili wyjęła podniszczony woreczek i bibułki.

Przystąpiła do skręcania sobie papierosa, rozsypując na obrusie tytoń. Dafydd westchnął i zerknął na sąsiadów. Kobieta przy sąsiednim stoliku zmieniła się na twarzy, zrobiła wściekłą minę. Jej mąż pstryknięciem palcami przywołał kelnera i Eduardo natychmiast znalazł się przy ich stoliku.

– Kelner! To jest sala dla niepalących. – Mężczyzna wskazał palcem na Isabel. – Moja żona ma astmę.

– Rozumiem – mruknął Dafydd pod ich adresem i spojrzał błagalnie na Isabel. – Nie pal... proszę.

Natychmiast opuściła go radość z powodu jej powrotu do domu. Isabel potulnie odłożyła papieros na talerzyk. Pełną parą wróciła do nałogu i lubiła palić, zwłaszcza przy drinku. W części dla palących nie było jednak ani

jednego wolnego stolika. Eduardo stroił współczujące miny i sygnalizował jej z daleka wyrazy sympatii oraz bezsilności wobec pozostałej klienteli. Dafydd te gesty zirytowały. Miał ochotę odwrócić się plecami do natarczywego restauratora, ale ten, na swoim stanowisku przy drzwiach, znajdował się dokładnie w jego polu widzenia. Jakiś owad uparcie krążył nad trzema stokrotkami w wazoniku pośrodku ich stołu. Isabel chciała go przegonić i potrąciła flakon. Woda rozlała się na ukrochmalonym obrusie. Dafydd usiłował zebrać ją swoją serwetką, nucąc pod adresem żony modną piosenkę: „Wystrój ją, to wówczas nigdzie nie będziesz mógł jej wziąć”. Isabel zachichotała zza kieliszka. Uśmiech sprawiał wrażenie szczerej reakcji.

– Stęskniłem się za tobą. – Wziął ją za rękę i wtedy zauważył, że z jej palca zniknęła obrączka. Tam, gdzie znajdowała się przez ostatnie sześć lat, widać było biały pasek skóry. Pogładził to miejsce kciukiem i spojrzał pytająco.

– Zsunęła mi się... Dzisiaj rano, szukając jej, przekopałam cały pokój w hotelu. Musiała gdzieś spaść.

– Freudowska pomyłka, co? Pewnie lepiej dla interesów, kiedy nie nosiłaś jej w Glasgow?

– Wzdrygnęła się, jakby dając tym gestem do zrozumienia, że byłoby lepiej, gdyby nie wypowiedział tych słów. W ciągu ostatnich kilku tygodni była taka kłótniwa, że Dafydd siedział cicho jak mysz w obawie przed jej niespodziewanym wybuchem. Już prawie zapomniał, co go w niej tak pociągało – ta dziwna mieszanka wyrafinowania i przewrotności. Cholerny charakter, lubiła chować urazy, ale traktował to jako oznakę jej włoskiego pochodzenia.

Uniósł kieliszek. Wino było zdradliwie mocne. Isabel stuknęła o blat długimi paznokciami. Rytmiczny dźwięk okazał się tak mocny, że sąsiednia para posłała jej długie spojrzenie. Isabel pokazała im w odwecie niezapalony papierosa. Odwrócili głowy.

Chociaż sala była pełna, wszyscy odzywali się półgłosem, rozlegał się tylko szmer rozmów. Stoliki były ustawione zbyt blisko siebie. Każde słowo dochodziło do uszu postronnych. Dafydd skinął na właściciela, który od razu pojawił się przed nimi.

– Eduardo, a może trochę muzyki? Nie moglibyśmy posłuchać tej składanki przebojów z lat osiemdziesiątych, no wiesz, tej, którą sam zgrałeś?

– Bardzo przepraszam – odparł restaurator nieszczęśliwym tonem. – Nagłośnienie nam właśnie wysiadło. To okropne. – Pobiegnął w głąb sali i wrócił z kolejną butelką. Oboje pili w zbyt szybkim tempie.

– Zamówmy coś wreszcie. Jestem wykończona – odezwała się głośno Isabel.

Eduardo przyjął zamówienie. Po jego odejściu małżonkowie rozsiedli się wygodniej, przyglądając się sobie. Isabel najwyraźniej straciła humor.

– Co się dzieje?

– Dafydd. Myślę, że dziś rano przyszedł ten list. *Cell-link Diagnostics*, zgadza się?

– Och, tak? – Zamilkł, zdając sobie nagle sprawę, że przynajmniej jeden z jego kłopotów zostanie ostatecznie rozwiązany. – Powinnaś była go otworzyć. I wtedy naprawdę mielibyśmy powód do świętowania. – Trochę go zirytowało, że nie wspomniała mu o tym fakcie przez telefon.

Spojrzała na niego uważnie, po czym zakomunikowała:

– Mam go ze sobą, w torebce.

Ta wiadomość wywołała w nim lekki szok. No, nareszcie sprawa się wyjaśni.

– A, co, do cholery. Otwórz ten zasrany list – rzekł, zaskoczony wulgarnością swego słownictwa.

Zawahała się. – Naprawdę chcesz to zrobić teraz?

– Przecież go przyniosłaś. Na co czekać? Otwórz.

Szybko wyciągnęła z torebki kopertę i rozcięła ją nożykiem do chleba. Gdy oczami przebiegała treść powiadomienia, wpatrywał się w nią aż do bólu. Śledząc jej minę, poczuł nagle przeraźliwy chłód w całym ciele, jakby ktoś zlał go kubłem lodowatej wody. Wyrwał jej kartkę z rąk. Oboje świdrowali się wzrokiem.

– Ty oszuście – wyszeptła Isabel. – Ty pierdolony kłamczuchu.

Zabrakło mu tchu w piersi. To nie mogło być prawdą. Gapił się na tekst. Litery skakały mu przed oczami, ale jakoś zdołał odczytać swoje nazwisko obok nazwiska „Mark Hailey”. Minimum 99,99 procent pewności. Dobrze wiedział, co to oznacza: ojcostwo było niepodważalnym faktem.

– Dlaczego załatwiłeś to w ten sposób? – spytała Isabel lodowatym tonem. – Zawsze miałam cię za inteligentnego i wrażliwego człowieka. Dałam ci mnóstwo okazji, żebyś powiedział prawdę. Zapewniłam, że ją zaakceptuję. A więc pieprzyłeś się z kimś wiele lat temu. Gównem by mnie to

obchodziło. Przypadkowa ciąża może się przydarzyć każdemu. Gdybyś mi powiedział, że zapomniałeś o tej sprawie, byłeś pijany, uwiedziony, zgwałcony, gdybyś przyznał się do czegokolwiek. – Jej opanowany ton zmienił się w krzyk, ludzie przy sąsiednich stolikach zamilkli. – Nawet gdybyś wyznał, że szalałeś na punkcie tamtej kobiety i że ciągle ci jej brak, pogodziłabym się z tym, gdybyś zachował się uczciwie. Ale było na odwrót, stale się upierałeś, że nawet jej nie tknąłeś. Za nic nie chciałeś się przyznać. Dlaczego mnie tak obrażasz? Dlaczego?

Dafydd kątem oka dostrzegł restauratora, który niósł im zupę rybną. Zasygnalizował mu, żeby się nie zbliżał. Eduardo nie zrozumiał tego gestu i robił swoje. Para przy sąsiednim stoliku wpatrywała się w nich już teraz bez żenady, podobnie jak kilkoro innych gości. Isabel zapaliła papierosa i zaciągnęła się mocno, wypuszczając dym prosto w stronę wścibskich małżonków. Kobieta zaczęła histerycznie kaszleć, krzywiąc się i machając przed sobą rękami. Eduardo był kompletnie zbity z tropu. Postawił parujące talerze na stole i błyskawicznie wycofał się ze spuszczoną głową, ignorując wezwanie astmatyczki.

– A co z innymi sprawami, o które cię ta baba oskarża? – zasyczała Isabel.

– Proszę – odezwał się błagalnie Dafydd. – Nie możesz przecież...

– No cóż, okłamałeś mnie we wszystkim. Będziesz miał powód do radości, jeżeli nie uda się jej udowodnić gwałtu. – Puściła smużkę dymu w stronę karalucha, który umknął z obrusa. – Na to, jak myślę, jest już za późno.

– Ja w żaden sposób...

– Och, zamknij się. Czym ja sobie zawracam głowę. Wsłuchuję się w te twoje kręactwa od tygodni. Daruj sobie kolejne, bo już ich nie trawię.

Nie było o czym mówić. Miał tak splątane myśli, że nie mógł sklecić żadnej sensownej odpowiedzi. Spojrzał na swoją zupę i zauważył szczypce kraba, unoszące się na powierzchni pośród innych ingrediencji. Normalnie je uwielbiał. Teraz przyrzekł sobie, że do końca życia nie weźmie ich do ust. Trzeba sobie złożyć jakąś przysięgę. Może powinien to być celibat.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – spytała, mierząc go wzrokiem.

– Nie wiem. Masz jakiś pomysł? – odparł, potrząsając głową.

Na nowo zapaliła peta. Przez dłuższą chwilę oboje siedzieli w milczeniu. Dafydd zerknął na żonę. Wskutek gniewu jej rysy stały się ostre, niemal



odrażające. Nadal jednak pragnął ją przytulić, przekonać, żeby do niego wróciła. Z przerażeniem skonstatował, że coraz bardziej się od niego oddala. Wyciągnął rękę, chcąc pogłaskać jej dłoń, ale gwałtownie ją cofnęła.

– Zakwestionujemy ten wynik – odezwał się w przyplywie energii. Plasnął ręką w leżący na stoliku list. – Jutro porozmawiamy o tym z Andym.

– My? – wycedziła z niedowierzaniem. – W tej sprawie jesteś solo, kolego. – Wstała i wrzuciła peta do zupy. Następnie zgarnęła swój zestaw do palenia, wrzuciła go do torebki i zdjęła szal z oparcia krzesła.

Próbował ją zatrzymać, chwytając za nadgarstek.

– Co przez to rozumiesz? Gdzie idziesz?

Wyrwała mu się bez słowa i przecisnęła obok zaintrygowanych tą sceną sąsiadów, potrącając torebką ich stolik i niemal przewracając stojące na nim kieliszki. Krople czerwonego wina polały się na posmarowaną masłem kromkę chleba. Kobieta wyciągnęła inhalator i z paniką poczęła wdychać lek przeciw astmie. Mężczyzna, nie zwracając uwagi na jej stan, wpatrywał się w Dafydd z wyrazem niekłamanego współczucia.

– Hej! Wróć... Isabel! – krzyczał Dafydd za nią. – Nie bądź śmieszna. To wszystko jest bzdura. Przysięgam.

– Och, po prostu... wal się! – rozdarła się na całą restaurację.

Dafydd zamarł na krześle. Powinien za nią pobiec, ale uświadomił sobie, że nie potrafi wykrzesać z siebie fizycznej i emocjonalnej energii, nieodzownej w takiej sytuacji. Żeby to szlag... a niech sobie idzie – pomyślał z gniewem. No tak, wszyscy przysięgli się przeciw niemu. Albo musiał zapaść na coś w rodzaju demencji, amnezji czy innej choroby neurologicznej, albo ktoś wynalazł sposób, by wykraść mu plemniki. Kto, do cholery, mógł to zrobić? Sfałszować test DNA? Przecież to nie mieściło się w głowie.

Zakrył twarz dłońmi, żeby odseparować się od gapiów. Po kilku minutach podszedł do niego Eduardo i łagodnie położył mu dłoń na ramieniu.

– Może zechcesz posiedzieć w moim kantorku. Mam trochę Amaro z mego miasta rodzinnego. Najlepsze na świecie. – Dafydd dał się zaprowadzić do wygodnego fotela w zaciszu ciepłego pokoju. Restaurator wcisnął mu do ręki kieliszek z czarnym płynem.

– Nie przejmuj się. Wezwałem taksówkę dla Isabel. Ona już się uspokoila. Ja stale kłócę się z żoną. Jutro się pogodzicie.



## Rozdział 10

*Moose Creek, rok 1993*

Lewą ręką Dafydd naciskał gładkie, białe podbrzusze, a prawą utkwiał głęboko w pochwie Sheili. Sytuacja była absurdalna. W ciągu trzech miesięcy od feralnego przyjęcia bożonarodzeniowego Sheila praktycznie ignorowała go w pracy, a teraz on dotykał ją w najbardziej intymnym miejscu.

Instynkt mówił mu, żeby kategorycznie jej odmówić, zwłaszcza że domagała się wizyty po godzinach pracy, bez obecności pielęgniarki. Jednakże gdy tamtego ranka podeszła do niego na korytarzu, wręcz go ubłagała. Jej trupia bladość i zaczerwienione oczy niespodziewanie dla niego samego wzbudziły w nim współczucie. Odraza do Sheili natychmiast ustąpiła trosce o jej zdrowie. Jasne, był również ciekaw, co na miły Bóg sprowadza ją właśnie do niego, z żądaniem, aby osobiście ją zbadał. W głębi ducha Dafydd pragnął odkryć w Sheili cień wrażliwości, ujrzeć jej skrywane ja, ale rozsądek nakazywał, żeby stłumić w sobie ten odruch. Chciał jedynie utrzymać ich kontakty zawodowe na przyjacielskiej stopie.

I oto leżała na fotelu ginekologicznym w gabinecie lekarskim, po raz pierwszy faktycznie obnażona. Znajdowała się dosłownie w jego rękach. Może to stanowi okazję, żeby w końcu nawiązać przyjazne kontakty.

– Sheila, jak to się stało, że nie zauważyłaś swego stanu?

– Jak ci mówiłam, miałam dwie absolutnie normalne miesiączki, żadnych objawów – odpowiedziała. – To znaczy, nigdy przedtem nie byłam w ciąży, więc nie sędzę, żeby coś mnie zaalarmowało.

– A zatem co sprawiło, że zaczęłaś podejrzewać?

Spojrzała na niego i typowym dla siebie gestem wywróciła oczami.

– No cóż, w końcu trudno się nie zorientować. Rośnie mi w brzuchu wielka gula.

– To nie jest wielka gula, daleko jej do tego, ale nie ulega wątpliwości, co tu mamy – przytaknął Dafydd stanowczym tonem. – Co najmniej trzymiesięczną ciążę.

– Cholera. – Sheila zakryła twarz jedną ręką, podczas gdy do drugiej

Dafydd wcisnął kilka chusteczek jednorazowych. Cofnął się kilka kroków, ściągnął gumowe rękawiczki i zasunął plastikową kurtynkę wiszącą nad fotelem ginekologicznym. Czekał przy biurku, w głowie mu huczało. Trzy miesiące... musiała zajść w ciążę około Bożego Narodzenia. Była płodna, ale najwyraźniej nie stosowała środków antykoncepcyjnych... Przeszedł go dreszcz na myśl o tym, czy aby nie zmusiła go wtedy do stosunku.

Wyjrzał przez okno. Na dworze było już ciemno. Przyszło mu do głowy, że nie powinien być z nią sam na sam o tak późnej porze, ale w istocie było zaledwie parę minut po siódmej. Zima trwała w najlepsze. Liczył, że pod koniec marca nie będzie już śniegu, ale na razie szalała śnieżycą. Z nieba leciały wielkie płatki, miękko lądując na parapecie.

Sheila guzdrała się z ubieraniem, a kiedy wynurzyła się zza kotary, miała zdenerwowaną minę.

– Usiądź i powiedz, jak mogę ci pomóc – odezwał się Dafydd.

Siadła naprzeciwko. Nie miała na sobie fartucha, lecz zamszową spódniczkę mini w kolorze trawy, całkowicie nieodpowiednią do okazji i pory roku.

– Możesz mi pomóc, Dafydd. Możemy to zrobić zaraz.

Dafydd nie rozumiał.

– Zrobić co?

– Zabieg.

Sheila wpatrywała mu się prosto w oczy.

– Zrobisz to dla mnie, prawda?

Dafydd znieruchomiał. A więc to był powód, dla którego Sheila go sobie wybrała. Przecież wiedziała, że nie robi skrobanek, więc dlaczego tu przyszła? Był zdecydowanie za świadomym wyborem, ale odmawiał wykonywania aborcji. W swojej karierze przeprowadził tylko dwie, gdy był jeszcze stażystą. Nawet nie potrafił sobie wyjaśnić, dlaczego tak ciężko je przeżył. Jeszcze długo potem prześladowały go koszmary senne. Sheila, znając tę jego „słabość”, wielokrotnie usiłowała zmusić go do zabiegów, twierdząc, że w Moose Creek takie rzeczy zdarzają się częściej niż porody.

– Nie robię ich, i koniec. Dobrze o tym wiesz. Ale Hogg i Ian nie mają oporów. Dlaczego nie zwrócisz się z tym do któregoś z nich?

– Nie ma mowy – odwarknęła. – Absolutnie nie chcę ich w to mieszać. Ty jesteś tu tylko na jakiś czas i trzymasz gębę na kłódkę, jak już zdążyłam zauważyć.

– Sheila, nie ma żadnego problemu z załatwieniem zabiegu gdzie indziej. Możesz polecieć do Yellowknife i wrócić jeszcze tego samego dnia. Jeśli chcesz, jutro rano zadzwonię do tamtejszego szpitala.

– Nie, to za blisko. Tam wszystko o nas wiedzą.

– No to polecisz do Edmonton, będzie nawet lepiej.

Sheila kompletnie zignorowała jego sugestie. Miała szklany wzrok, siedziała zatopiona w myślach. Nadal ścisnęła w dłoni jednorazowe chusteczki. Rwała je na kawałki i związała w rulonik palcami drugiej ręki. Chyba w ogóle nie dotarła do niej żadna z jego rad. Nagle spojrzała mu prosto w oczy.

– Naprawdę, chodzi mi tylko o to. Moglibyśmy załatwić to od ręki. Hogg ma dyżur, ale nic się nie dzieje. Na sali operacyjnej nie ma nikogo. Janie jest na oddziale razem z Philem. Nie mam nic przeciwko temu, żeby zrobić to pod znieczuleniem ogólnym. Poświęć mi godzinę swego czasu.

– Sheila, na miłość boską, to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Potrzebujesz odpowiedniej anestezji, a to... – Mimo tylu obiekcji nie potrafił zwerbalizować ani jednej, która by natychmiast odwiodła ją od tego pomysłu. Postanowił zmienić temat. – A jakie jest stanowisko twojego faceta w tej sprawie?

– Nic mu nie powiedziałam. Sprawa polega na tym, że on jest sto procent za prewencją. Nie złapiesz go bez gumki.

Czy ona mu mówi, że dziecko zapewne nie jest jego?

– Pęknięcie kondoma – zaproponował bez przekonania, wiedząc, że coś takiego zdarza się niezmiernie rzadko.

Sheila zamyśliła się nad taką ewentualnością.

– Tak bywa, prawda? – rzekła w końcu.

– A czy nie zastanawiałaś się nad urodzeniem tego dziecka? Ile masz lat? Trzydzieści dwa, jeśli się nie mylę?

– Nie, o tym nie myślałam. – Oparła się na krzesło, omiotła go wzrokiem, pewnie w ogóle nie dostrzegając. Dafydd doszedł do wniosku, że cokolwiek jeszcze powie lub zasugeruje, nie odniesie to skutku. Niczego nie może zaoferować, chyba że Sheila mu zaufa. Coś jednak zaczęło kiełkować jej w głowie, może zastanawia się nad macierzyństwem. Nagle utkwiała w nim ciemnoniebieskie źrenice i odezwała się: – Nie, ja naprawdę chcę z tym skończyć. Proszę, zrób to dla mnie. – Poruszyła się niespokojnie i pokręciła – głową, jakby chciała strząsnąć z siebie pomysł zostania matką. – Chcę

załatwić to dzisiaj wieczorem. Rozumiesz mnie? Skoro się dowiedziałam, co mi jest, nie chcę, żeby to nade mną wisiało. Czuję się z tym strasznie źle. Naprawdę, nie mogę tego znieść. Dafydd, zajmij się tym, proszę. – Przemawiała do niego błagalnym tonem. – Zastrzyk z Valium, pompa ssąca, trochę poskrobiesz i znikam ci z oczu.

Dafydd usiłował zebrać myśli. Musi odmówić, ale nie wolno mu jej zranić. Sheila nadal nachylała się nad nim, a jej pełne, śnieżnobiałe piersi, teraz zdecydowanie większe, wręcz wylewały się z dekoltu czarnego sweterka. Zanim zdołał cokolwiek wykrztusić, roześmiała się, wyciągnęła rękę i stuknęła paznokciami w blat biurka.

– W takim miejscu musimy sobie wyświadczać dziwaczne przysługi. Jesteś mi coś winien, prawda? Zrobiłam ci pewną grzeczność, pamiętasz? I jestem gotowa ją powtórzyć... a jeśli wolisz, to ci zapłacę.

Dafyddowi aż skręciło na te słowa.

– Sheila, nie ponizaj się. Niczego mi nie proponuj. Przecież dobrze wiesz, jaki jestem. Chcę ci pomóc, uwierz mi. Co za problem odczekać kilka dni?

Nagle Sheila wybuchła płaczem. To już do reszty załamało Dafyddowi. Łzy były prawdziwe. Autentyczna rozpacz zawsze głęboko go poruszała, a kobieta siedząca naprzeciwko była najwyraźniej bardziej nieszczęśliwa, niż sądził. Zerwał się z fotela i podbiegł do niej, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Tak mi przykro – wyjąkał.

Spojrzała na niego z pogardą.

– No to, kurwa, bierz się do roboty.

– Przykro mi – powtórzył.

– Przykro ci? I tyle? Jesteś żalonym małym Angolem – lżyła go przez łzy. – Jesteś bezużytecznym idiotą, wiesz?

Dafydd nie cofnął ręki z jej ramienia.

– Sheila, opanuj się – rzekł stanowczo. – Jesteś zdenerwowana, to rozumiem. Doznałaś szoku, ale przecież to nie katastrofa. Ty sama powinnaś najlepiej o tym wiedzieć. Hormony w tobie szaleją. Uspokój się, wspólnie coś wymyślimy.

Strząsnęła jego rękę i zerwała się z krzesła.

– Chyba nie myślisz, że mogę zrobić to sama? Prosiłam cię o zwykłą przysługę. Ale nie, ty jesteś cholernym egoistą, zbyt wielkim, żeby pomóc komuś w potrzebie. Co, do cholery, w ogóle tu robisz? Ukrywasz się, bo nie

możesz znieść własnej niekompetencji? Jeśli nie potrafiłeś usunąć właściwej nerki u dziecka, pewnie nie rozpoznalbyś płodu, póki ktoś nie rzuciłby ci go prosto w twarz. – Roześmiała się chrapliwie i uderzyła go w pierś. Złapał ją za nadgarstek, zbyt mocno.

Później nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, jak doszło między nimi do bójk. Sheila rzuciła się na niego jak dzika kotka, a on, nie zdając sobie sprawy, że kiedykolwiek mógłby się czegoś takiego dopuścić, uderzył ją na odlew w twarz.

Oboje zastygli z rękami splecionymi w groteskowym uścisku. Wpatrywali się w siebie z nienawiścią. Na pozór Sheilę uspokoił wymierzony policzek. Wyglądało na to, że za chwilę zemdleje.

– Będziesz tego żałował do końca życia – odezwała się zimnym tonem, niezbyt energicznie odpychając go od siebie.

– Sheila, ja już gorzko żałuję – odparł. W jego głosie brzmiał popłoch i resztki gniewu. – Absolutnie nie powinienem był tego zrobić. Bardzo cię przepraszam.

– Zapłacisz mi za to.

– Jestem pewien, że tak się stanie. Ale proszę, abyś pamiętała, że to ty zaatakowałaś mnie pierwsza. Tak czy inaczej, dopuściłem się niewybaczalnego czynu.

– A więc zgódź się. Przyjmę aborcję jako formę przeprosin.

– Nie. – Dafydd poprowadził ją do wyjścia. – Gotów jestem jednak zrobić wszystko, aby ci ją ułatwić. – Otworzył przed nią drzwi.

Sheila zatrzasnęła je z taką siłą, że obrazek na korytarzu spadł z gwoźdźca. Dafydd usłyszał huk, potem brzęk sypiącego się szkła, wreszcie oddalające się kroki. Uchylił drzwi, żeby ocenić straty, i drżącymi rękami począł zbierać z podłogi ostre odłamki. Czy ona rzuciła się na niego celowo, była aż taka przebiegła? Trudno dociec, wszystko rozegrało się tak błyskawicznie.

Mróz nie ustępował. Wszyscy narzekali, twierdząc, że to najcięższa zima za ich pamięci. Przyznawali także, że powtarzają to samo co roku, ponieważ każda zima w tym regionie jest straszna. Miasteczko wyglądało okropnie w okopach brudnego śniegu i lodu, twardych niczym beton. Na szczycie każdej ze stert przymarzły śmiecie wszelakiego rodzaju, nawet chodniki były przysypane odpadkami widocznymi spod zlodowaciałej powierzchni.

Wszędzie panowała posępna atmosfera. Ciemności nie ustępowały. Nikt nawet nie zwracał uwagi, że dni stają się nieco dłuższe. O tej porze roku wzrasta depresja, alkoholizm i awantury rodzinne. Ci, którzy byli przybyszami na tej ziemi pełnej skrajności, cierpieli najbardziej.

Dafydd, znając swoje słabe punkty, starał się je pokonywać. Gdy noga skręcona w kostce przestała go boleć, wrócił do biegów na nartach. Na ile tylko pozwalało światło dzienne, wyruszał na coraz dłuższe wyprawy w głąbę. Sprowadził sobie odpowiedni strój, więc teraz kaptur kurtki puchowej zwieszał mu się nad twarzą jak tunel termiczny, ograniczając pole widzenia, ale chroniąc narażone na odmrożenie organy, takie jak nos lub uszy. Magia i spokój osypanych śniegiem drzew działały kojąco na jego napięcia. W lesie nie sposób było dostrzec oznak życia, co było zarazem uspokajające i trochę podejrzane. Jediną widoczną istotą był kruk. Trzepoczący czarnymi jak węgiel skrzydłami ptak powodował osuwanie się lawin suchego śniegu z czubków drzew, a jego przeraźliwe krakanie znienacka zakłócało majestatyczną ciszę.

Dafydd ostrzegano przed niedźwiedziami grizzly. Ten gatunek nie zawsze zapada w zimowy sen. Grizzly czai się na swoją ofiarę w całkowitym milczeniu. W odróżnieniu od innych niedźwiedzi nie boi się ludzi, choć na ogół unika większych skupisk. Tu, na dalekiej północy, Dafydd musiał stale zmagać się ze swoim lękiem przed śmiercią. Wierzył w sens dramatycznego finału, pod warunkiem że będzie szybki. Jego strachy zawsze były rezultatem aktualnego stanu psychiki. W okresach wewnętrznego spokoju nie znosił idei gwałtownego zejścia, ale w ciągu minionego roku śmierć przestała mu się wydawać wielką sprawą. Tak czy inaczej – rozważał – kiedy nadejdzie jego ostatnia godzina, powinna nastąpić we właściwym stylu. Rozszarpanie przez niedźwiedzia lub zamrożenie w rejonie koła polarnego byłoby lepsze od raka prostaty, a już z pewnością od powolnego umierania w domu opieki w Swansea, jak jego matka.

W soboty przypinał narty i biegł na nich do chaty Iana, robiąc skrót przez las i podjeżdżając pod takim kątem, skąd droga była niewidoczna. Z daleka widział dym z komina. Ponieważ zimą rzadko bywało wietrznie, dym unosił się prosto w niebo, niczym kolumna. Dopiero kiedy Dafydd zbliżał się do celu, wyłaniał się domek zakopany po dach w śniegu, w otoczeniu wysokich drzew z białymi czapami. Przypominało mu to elfy i trolle z dzieciństwa



oraz marzenia z lat chłopięcych o umiejętności przetrwania w dzikiej naturze.

Szczeniak, Thorn, teraz już wielkości psa rasy z góry świętego Bernarda, pędził mu naprzeciw w koleinach wyżłobionych przez narty. Wyczuwał Dafydd z odległości półtora kilometra, Ian także był zadowolony z tych odwiedzin. Tak naprawdę to wcale nie był samotnikiem, skoro spędzał noce w barze na pogawędkach z ludźmi, za którymi zresztą wcale nie przepadał. Jednakże głusza, w której mieszkał, świadczyła o jego potrzebie izolacji i przywiązaniu do pustelniczego życia. Dafydd zazdrościł mu przestrzeni i nawet rozglądał się za podobnym domostwem. Teraz jednak, gdy zbliżał się koniec jego kontraktu, nie było sensu szukać innego lokum, lepszego od przebrzydłej przyczepy.

Którejś soboty Thorn nie wybiegł mu naprzeciw, a kiedy Dafydd dotarł do chaty, dostrzegł psa przy samochodzie należącym do Sheili. Sądząc po wczesnej porze, można było przypuszczać, że jego posiadaczka spędziła tam noc. Śmiałek – ocenił w myślach przyjaciela – ryzykuje kontakt ze ślicznymi, ostrymi ząbkami. Czy nie wspominał, że gotów jest się im poddać jeszcze raz? Zastanowiło go, jak tych dwoje potrafi ze sobą współżyć. I z jakiego powodu? Ich wzajemne animozje były czasami aż nazbyt widoczne. Niekiedy jednak odnosiło się wrażenie, że oboje w jakiś zagadkowy sposób byli ze sobą związani. Wyświadczali sobie przysługi, przepaszali nawzajem. Gnębiło go pytanie, czy Sheila nadal sypia z Ianem, skoro tak przejęła się ciążą. I czy Ian sypiałby z nią, gdyby wiedział o jej stanie. A może to on jest ojcem?

Minął zaledwie tydzień, odkąd Sheila zażądała odeń wykonania aborcji. Skrzywił się, trochę z powodu dotkliwego zimna, a trochę z odrazy. Ten incydent zaważył na jego stosunku do Moose Creek, z początku bliskim oczarowania. Tak czy inaczej, od tamtego wydarzenia Hogg ani razu nie poklepał go po plecach, ani nie ponowił propozycji przedłużenia kontraktu, mimo że doktor Odent po swoim długim urlopie postanowił nie wrócić na północ i na razie nie szukano jego zastępcy.

Dafydd przycupnął przy bocznej ścianie domku, zastanawiając się, co dalej robić. Czekala go długa droga powrotna, którą ciężko będzie odbyć bez szklanicy (lub kilku) gorącego grogu, zazwyczaj czekającego nań u Iana. Thorn kulił się z zimna pod samochodem, więc Dafydd pstryknął palcami, żeby go przywołać. Zastanawiało go, czy wypuszczono go na dwór rano,

czy też biedny pies spędził na mrozie całą noc. Może obawiał się Sheili. Psy przecież doskonale wyczuwają ludzi.

Zesztywniał, usłyszawszy skrzypienie otwieranych drzwi, a po chwili niski głos Sheili.

– Będziesz mnie potrzebował.

– Nie. – W głosie Iana czuło się napięcie. – Nie słyszysz, co ci powiedziałem? Jestem bez grosza.

– Mówiłeś to ostatnim razem. Skreślam cię, nie ma sprawy. Nie muszę się tym zajmować. To zbyt skomplikowane – odparła Sheila z wyraźną irytacją.

– Sheila, to jest ryzyko, którego muszę się podjąć. Naprawdę tym razem się postaram.

Dafydd zastygł bez ruchu, żeby Sheila nie zauważyła go, wsiadając do samochodu. Jak zwykle miała na sobie ciuchy całkowicie nieodpowiednie do surowego klimatu. Obcisłe seksowne spodnie, kożuszek do talii, wymyślne kozaczki na wysokim obcasie. Bez szalika, czapki i rękawiczek. Silnik zaskoczył od razu po przekręceniu kluczyka, ale Sheila nie ruszała z miejsca, gapiąc się na swoje kolana. Nagle zakryła twarz dłońmi, zwiesiła ramiona. Sprawiała wrażenie, że płacze. W jej skurczonej postaci było coś rozpaczliwego. Okazuje się, że jest jednak zdolna do ludzkich uczuć. Przechodzi z pewnością głęboki kryzys – albo wskutek niechcianej ciąży, albo z jakiegoś innego powodu. A może targają nią zmienne nastroje, choć na co dzień przywdziewa maskę – rozważał w duchu Dafydd – i nie zdejmuje jej nigdy, nawet w chwilach wielkiego stresu w pracy.

Skulił się na myśl o reakcji Sheili, gdyby odkryła, że jest świadkiem jej rozpaczki. Nie mógł jednak ruszyć się z miejsca, boby się ujawnił. Minęło kilka minut. Wreszcie Sheila otarła łzy wierzchem dłoni. Ruszyła ostrożnie na wstecznym biegu i po śladach kolein w śniegu odjechała w stronę szosy.

O czym oni rozmawiali? Ian miał zostać odsunięty... od czego? Z pewnością nie od przywilejów seksualnych? Na tym chyba mu nie zależało. A może jednak go to obchodzi. Sprawy najwyraźniej wyglądają inaczej, niż na pozór się wydają.

Odczekał kilka minut, a następnie podjechał na nartach pod same drzwi. Thornowi od razu wróciła radość życia. Pies z entuzjazmem rzucił się na Dafydda, który przewrócił się na wznak w śniegu, śmiejąc się przy tym na całe gardło. Jego twarz, częściowo zakryta kapturem, została dokumentnie

wylizana przez bardzo wilgotny język.

– Co tu się działo? – spytał Iana, oswobodziwszy się z wielu warstw ubrania. Usiadł naprzeciw pieca ze szklanką w dłoni. Wielki płowy pies dyszał u jego stóp. – Właśnie zbliżałem się do chaty. Mimowolnie usłyszałem twoją wymianę zdań z Sheilą na ganku.

Ian był wyraźnie niezadowolony, że Dafydd był świadkiem rozmowy. Zmrużył oczy i spojrzał ostro na kolegę.

– Mieszkam w tej głuszy specjalnie po to, by nie być na podsłuchu.

– Chcesz, żebym stąd spieprzał? – szybko spytał Dafydd, próbując ukryć uśmiech.

Twarz Iana rozjaśniła się.

– Nie, nie spieprzaj. Nie mam innego kumpla do picia. – Poklepał Thorna po zadzie. – Ten pies nie umie pić. Nie ma pożytku z jego towarzystwa.

Przez dłuższy czas siedział pogrążony w myślach, paląc papierosa za papierosem. Nagle rozległ się potężny huk. Dafydd spojrzał z przerażeniem na gospodarza.

– To wskutek gorąca – wyjaśnił Ian, patrząc na otwarte drzwiczki piecyka. – Już ostatnia partia tegorocznego śniegu zsuwa się z dachu. – Zapalił kolejnego papierosa, mierząc Dafydda wzrokiem spod strzechy włosów zakrywającej mu czoło. – Nie sądzę, że poprosiła ciebie?

– Sheila? – Dafydd ocknął się z głębokiego zamyślenia. – Jak rozumiem, jest to częsty zwyczaj... po godzinach pracy.

– Tak ci powiedziała?

Nastąpiła krępująca cisza. By pokryć zmieszanie, obaj schylili się jednocześnie, żeby pogłaskać Thorna. Pies leniwie otworzył oko, po czym równie szybko je zamknął. Może Sheila zwróciła się do Iana, żeby on przeprowadził zabieg. Fotel przy kominku nie był właściwym miejscem, aby omawiać kwestie związane z pacjentką, na dodatek koleżanką ich obu. Jednakże alkohol go ośmielił, a poza tym był po prostu ciekaw.

– Nie mogę pojąć, dlaczego tak bardzo się upierała, żeby nie pojechać w tym celu do innego miasta.

– A więc jednak zwróciła się do ciebie.

– Odmówiłem. Jak wiesz, tym się nie zajmuję. Nienawidzę skrobanek.

Ian wzruszył ramionami.

– No cóż, zmieniła zdanie. – Ćmił dalej papierosa, trzymając go w

palcach żółtych od nikotyny. – Zamierza urodzić to dziecko.

– Żartujesz?

– Miała już kilka zabiegów, a poza tym sędzę, że liczy na swego obecnego faceta. To dobra inwestycja. Przystojny, z kupą kasy, nigdy nie był żonaty, nie ma więc bagażu. Osobiście uważam, że byłoby jej lepiej z Hoggiem. On się w niej kocha od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał jej piersi z marmuru, a od tego czasu minęło już sześć lat. Ma forszę i pewnie rzuciłby Anitę, gdyby Sheila się tylko zgodziła.

– Sam się nad tym zastanawiałem. Więc może... Hogg i ona... ?

– Skąd mam to wiedzieć? – zaśmiał się Ian. – On na pewno zbyt często nie je miodu z tego ula. Ona mu się dawkuje, jestem tego pewien. Hogg jest dobry w celu uzyskania jakichś korzyści, ale nie jako seksowny kochanek, prawda?

Dafydd wyciągnął kieliszek, bez słowa prosząc o dolewkę.

– Wiesz, czasami trudno mi zrozumieć to miejsce. Czy nie obowiązują tu żadne standardy moralne? Sheila manipuluje facetami bez chwili wahania. Mój Boże, ona jest naprawdę złą dziewczyną. Pokręconą. Takie typy nie zdarzają się zbyt często. Muszę wyznać, że niekiedy podziwiam jej hucpę. Sam bym chciał być odrobinę taki jak ona. Ale w bardzo małej dawce.

– Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że ona nie jest zła. Raczej dobra, diabolicznie dobra.

– O, nie, jest zła – upierał się Dafydd, coraz bardziej swobodny wskutek gorącej whisky.

– To racja – odparł Ian złośliwie. – Bo chciałbyś skorzystać z jej złego ciała. A ona o tym dobrze wie. Nie martw się, wszyscyśmy przez to przeszli.

– Zero szansy. – Dafydda zastanowiło, czy w uwadze Iana nie ma czasem żdźbła prawdy. – Nie jestem dumny z tego, co ci wyznam, ale kiedy mi zaproponowała, żebyśmy poszli do łóżka, uderzyłem ją. Wręcz trudno mi uwierzyć, że tak się stało, ale ona mnie zaatakowała fizycznie, a ja w jakiś sposób straciłem nad sobą panowanie. Czekam, aż mnie za to aresztują. Sędzę jednak, że się z tego wytłumaczę, bo działałem w obronie własnej.

– Nigdy przedtem tego nie zrobiłeś? – Ian zrobił przejętą minę, ale w jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia. – Nie mogę sobie wyobrazić, jak bijesz kobietę, na dodatek ciężarną. Przecież z ciebie taki słodki kotek.

– Och, na miłość boską... Wcale nie zamierzałem tego zrobić, ale ona o mało nie wydrapała mi oczu.

– Uuuu. – Ian dmuchnął na palce i potrząsnął dłońmi, udając, że się poparzył. – Gorzko tego pożałujesz. – Rozsiadł się na krześle, zapalił kolejnego papierosa. Wyglądał kiepsko, jak się to mu coraz częściej zdarzało. Choć na pierwszy rzut oka miał młodzieńczą twarz, z bliska widać było, że jest pokryta siateczką zmarszczek. Stwarzało to pewien paradoks wizualny. Gdy się śmiał, sprawiał wrażenie rozdokazywanego chłopca, w każdej chwili skorego do figli, ale kiedy pogrążał się w chandrze, ujawniał tendencje autodestrukcyjne, stawał się osamotnionym i głęboko wyalienowanym człowiekiem. Dafydd miał niejedną sposobność bacznie go obserwować, a mimo to nie potrafił sobie odpowiedzieć, kim właściwie Ian jest. Nic nie wiedział o jego przeszłości, o jego losach przed tragiczną śmiercią rodziców w pożarze, skąd się tu wziął i z jakiego powodu, Ian nigdy nie poruszał tego tematu, a zapytany wprost – odmawiał odpowiedzi. Dafydd był właściwie pewien tylko jednego: że Ian jest jedyną osobą w Moose Creek zasługującą na miano jego przyjaciela. Z tego powodu skłonny był przemykać oko na jego złe nastroje i wybuchy impertynencji.

Nie siedzieli zbyt długo, rozkoszując się buzującym ogniem i rytmicznym odgłosem kropel topniejącego śniegu spadających z okapu. Zapadał zmrok, Dafydd musiał zbierać się do wyjścia. W przeciwnym razie przedzierałby się przez las po ciemku.

– Daj szpokój, zoszań – wyseplenił Ian. – Później odwiozę cię szamochodem. – Uniósł nie do końca opróżnioną butelkę whisky i potrząsnął nią radośnie.

– Och, z pewnością – odparł Dafydd ze śmiechem. – Ale będzie jazda!

Ilość i moc wypitych grzańców nie złagodziła jego ataku paniki, gdy w drodze powrotnej natknął się na bizona. Potężny samiec ukryty w kępie drzew tuż za zakrętem powoli mierzył go wzrokiem. Nieopodal skupiło się całe stado, kilkanaście osobników ryjących kopytami zamarznąłą ziemię w poszukiwaniu roślinności. Wskutek niebieskawego światła nadchodzącej nocy połacie śniegu przybrały atramentową barwę. Każdy szczegół otaczającego świata rysował się z przerażającą wyrazistością. Bizon Wyglądał groźnie. Nadchodził z wolna, jakby miał zamiar zaraz zaatakować człowieka skulonego na śniegu koloru indygo. Dafydd już zdążył nasłuchać się historii o stadzie wyjątkowo potężnych bizonów, żyjących wzdłuż doliny opodal miasteczka. Ponoć dziesiątki lat temu ich protoplaści zbiegli z parku pewnego ekscentrycznego hodowcy w Albercie. Opowieść przypominała

nico legendy o potworze z Loch Ness: ludzie ją sobie przekazywali, dodając coraz to nowsze szczegóły o tajemniczym stadzie, ale nikt w istocie nie widział go na własne oczy.

Ciszę rozdarł głośny charkot dobywający się z wilgotnych nozdrzy – hałaśliwe zaczerpnięcie powietrza. Pochylony łeb zwierzęcia zdawał się zapowiadać szarżę. Instykt podpowiedział Dafyddowi, żeby zrzucić biegówki i uciekać, ale był to daremny trud. Gdy tylko odskoczył w bok, poza koleiny, natychmiast zapadł się po pas w śniegu. Usiłując się wydostać z tej pułapki, nie mógł zrobić ani kroku naprzód. Minęło kilka sekund, nim atak paniki minął. Dafydd nabrał odwagi i spojrzął za siebie na spragnionego krwi przeciwnika. Ten stał w miejscu i gryząc gałązkę wpatrywał się obojętnie w samotaninę człowieka. W jego łagodnych, brązowych ślepiach można było dostrzec odrobinę litości. Dafydd przedarł się z powrotem na ścieżkę i w odległości niespełna dwóch metrów od potężnego łba zapiął zostawione narty, a następnie sięgnął po kijki. Biegł w coraz większych ciemnościach, pchany potężną dawką adrenaliny. Poczul się bardzo małą istotą, zupełnie nieprzygotowaną na nagłą śmierć.

Derek Rose umarł. Lesley, jego przyjaciółka i dawna kochanka z Bristolu, zadzwoniła do niego z tą wiadomością późnym popołudniem. Zastała go w szpitalu.

– Czy możesz swobodnie rozmawiać? – spytała z niepokojem.

– Tak, właśnie kończę dyżur. Jak się masz? Wszystko w porządku?

Zakomunikowała mu wieść, nie owijając w bawełnę. Usłyszała o tym od swego kolegi lekarza.

– Słuchaj teraz uważnie – rzekła stanowczym tonem. – To nie miało nic wspólnego z tobą, rozumiesz? Nastąpiły przerzuty do płuc. Dzieciak nie miał szans. Prawdopodobnie nigdy ich nie miał.

Dafydd był wstrząśnięty. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Posłuchaj – prosiła Lesley. – Jego matka sobie poradzi. Ma fajnego faceta, spodziewają się dziecka. Urodzi je w tym samym szpitalu. – Zamilkła, by dać przyjacielowi możliwość zareagowania. – Dafydd, opamiętaj się. Ta kobieta od dawna wiedziała, że Derek był bardzo chory. Zdawała sobie sprawę, że to nieuniknione.

Dafydd ujrzał nadchodzącą z przeciwka Sheilę. Próbował zasygnalizować gestem, żeby nie wchodziła do pokoju, ale na nic się to zdało. Sheila wtargnęła bez wahania i stanęła ze skrzyżowanymi na

piersiach rękami, skrobiąc paznokciami po rękawie i demonstracyjnie spoglądając na zegarek.

– Może nie powinnam była ci tego mówić – wyjąkała Lesley. – Myślałam, że robię właściwie...

– Tak... nie, absolutnie. Naturalnie, że musiałaś mi o tym powiedzieć, Lesley. To miłe z twojej strony, że dałaś mi znak. Ja... ja muszę mieć trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Czy mogę zatelefonować do ciebie później?

Odłożył słuchawkę i wyrzwał przez okno. Świeciło słońce, zapowiadając rychłą wiosnę, ale ziemia jeszcze o tym nie wiedziała. Nadal była zamrożona do głębi, przykryta grubą warstwą śniegu. Zauważył jednak, że tu i ówdzie lód zaczął pękać, a w szczelinach ukazywała się szara maź, która wkrótce się rozpułynie i wsiąknie w grunt. Wiosna należy do życia – nigdzie indziej na świecie nie było to równie prawdziwe, a on był tutaj – bezpieczny i żywy. I gdzie w tym sprawiedliwość?

– Co się stało? – spytała Sheila. – Wyglądasz jak jakiś zaszary duch. Jakaś kobitka z twojej ojczyzny zerwała z tobą?

– Możesz to tak nazwać – odpowiedział, zastanawiając się, czy za tymi lodowatymi niebieskimi oczami kryje się choćby odrobina współczucia. – Ktoś umarł.

Sheila zamilkła. Chociaż w pokoju nadal czuło się atmosferę wrogości, trzeba było przyznać, że nie zamierzała zadrażniać sytuacji.

– Przykro mi – odparła szybko. – Postaraj się odsunąć tę sprawę na dalszy plan. Mamy tu trzy potencjalne zejścia. Przywieziono trzech chłopców wyciągniętych z wody, półżywych, z objawami głębokiej hipotermii. Skradli samochód Bowlby'ego i wjechali nim na Jezioro Jackfish. Resztę możesz sobie dośpiewać.

Tamtej nocy, po kilku godzinach płytkiego snu, przyśniło mu się, że tryka go jakieś zwierzątko. Mokry, zimny nasek ciągle wścibiał mu się w bok. Tak go to przeraziło, że bał się poruszyć. W ciemnościach zwierzę wpatrywało się w niego. Był to lisek ze spiczastą mordką. Dafydd wiedział, że tak naprawdę był to Derek, który przyszedł, żeby zapytać, dlaczego umarł. Dlaczego Dafydd go zabił. Krzyknął i pojawiła się Sheila. Ona także domagała się odpowiedzi, co się z nim dzieje, dlaczego jest takim tchórzem, po co ją wzywał, głośno wołając jej imię. Wcale jej nie pragnął, ale był zły, gotował się z wściekłości, więc posiadał ją na siłę. Chciał ją skrzywdzić, a

ona na to pozwoliła. Wyglądało na to, że tak właśnie lubi. Jej białe ciało połyskiwało w ciemnościach, a trójkąt między udami miał barwę ognia. Próbował wcisnąć się w każdy otwór jej ciała. Kiedy wreszcie stawiała mu opór, zaczął gryźć ją w pierś, w brzuch, we wzgórek łonowy, na którym włosy wiły się jak węże na głowie Meduzy.



## Rozdział 11

Cardiff, rok 2006

– Przeczytaj to – odezwał się Dafydd. Lesley odczytała raport na głos:

*Dafydd Eric Woodruff nie jest wykluczony jako domniemany ojciec. Uzyskany rezultat wskazuje, że prawdopodobieństwo, iż Dafydd E. Woodruff jest ojcem Marka Jeremy'ego Haileya jest dwanaście tysięcy razy większe niż to, że są oni ze sobą niespokrewnieni. Prawdopodobieństwo ojcostwa, biorąc pod uwagę test DNA, wynosi minimum 99%.*

– Trudne do podważenia – orzekła, potrząsając głową.

Siedzieli w oranżerii, uprzątnąwszy z sofy odłamki zbitego szkła. Szybka w końcu wypadła z przerdzewiałej ramki i rozbiła się o kafelki, pozostawiając po sobie ziejącą dziurę, ale na dworze było ciepło, nastąpiła złota jesień. Za dnia słońce świeciło mocno, choć wiatr bywał chłodny. Był to z pewnością ostatni taki weekend przed długą i uciążliwą zimą.

Dafydd wstał, żeby przynieść z lodówki więcej oliwek i kilka kolejnych puszek piwa.

– Powtórz to jeszcze raz – zwróciła się do niego Lesley, otwierając piwo marki Stella.

– Upieram się przy swoim. To nie jest prawda. – Patrząc jej prosto w oczy, wziął głęboki wdech. – Przyznaję, zrobiłem jej raz krzywdę, ale nie uprawiałem z nią seksu. Nie uprawiałem, twierdzą to z całą pewnością. To niemożliwe. Musiałbym mieć... – Mina jego przyjaciółki i dawnej kochanki zdradzała cię wątpliwości.

– Co rozumiesz przez określenie „zrobiłem jej krzywdę”?

– Nie skrzywdziłem... To znaczy ona mnie do tego doprowadziła. Wcale tego nie chciałem.

– Doprowadziła cię do czego? – Lesley z rosnącym napięciem na twarzy nachyliła się na Dafyddem. – W jaki sposób ją skrzywdziłeś?

– O, nie – jęknął Dafydd. – I ty też. Uderzyłem ją raz, w obronie własnej.

– Dafydd, posłuchaj. – Lesley zrobiła nieszczęśliwą minę. – Muszę ci coś wyznać. Kilka dni temu Isabel zatelefonowała do mnie z Londynu.

– Isabel? Naprawdę? W jakiej sprawie? – Obie kobiety nigdy nie zaprzyjaźniły się ze sobą, należały jakby do osobnych gatunków. Lesley była równie chłodna i pragmatyczna, co Isabel wybuchowa i impulsywna.

– Powiedziała mi, że tamta kobieta oskarża cię o podanie jej jakiegoś narkotyku i zgwałcenie.

Dafydd był w szoku.

– Isabel zadzwoniła do ciebie i powiedziała coś takiego?

– No tak. To było dość nieoczekiwane. Zapytała... czy kiedykolwiek użyłeś przemocy, kiedy byliśmy ze sobą... w związku seksualnym. – Lesley, prostolinijna z natury, była wyraźnie zażenowana. Lata spędzone w samotności, ciężka praca i obsesja na punkcie badań naukowych nie ułatwiały jej zrozumienia różnych zawiłości w stosunkach międzyludzkich, a teraz, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, była zbyt oderwana od świata, by zawracać sobie głowę zasadzkami seksu.

– Dafydd wlepił w nią oczy.

– Mówisz poważnie?

– Prawdę powiedziawszy, byłam tym zdumiona. – To, co mówiła, brzmiało zbyt serio. – Zastanawiam się, dlaczego mnie o to zapytała.

Zamyślił się przez chwilę, po czym odparł:

– Może z tego powodu, że zamierza mnie opuścić i szuka pretekstu.

Czy taka jednak była prawdziwa przyczyna tej indagacji? Poczul, że już nie pojmuje własnej żony i tego, co jej chodzi po głowie. Isabel się zmieniła. Dafydd był świadom, że ją zawiódł. Zerwał ich prywatny pakt. Ich celem, wzajemnym podarunkiem ślubnym, miało być założenie rodziny. Wtedy też tego pragnął, to była naturalna konsekwencja ich małżeństwa. Ona wręcz marzyła o dziecku, ale teraz, gdy zamiar się nie powiódł, a on nie był w stanie wykrzesać z siebie nowego zapału, Isabel ochłodziła, zdystansowała się emocjonalnie od niego, a fizycznie była coraz częściej nieobecna. Wreszcie wykorzystwała jego rzekome kłamstwa na temat przeszłości i zrobiła sobie z nich wygodną wymówkę.

Nagle stanęła mu przed oczami postać bogatego, przystojnego i inteligentnego Paula Deveraux, trzydziestoosmioletniego mężczyzny, jej współnika. Wspólnika? Dafydd nie był przecież ślepy. Jak ona teraz wygląda: odmieniona, szczupła, pewna siebie, promienna... Te jej nowe perfumy, opięte stroje, niedostępne spojrzenie, zgubiona obrączka... Mimowolnie wciągnął ze świstem powietrze. Ma romans, o to chodzi. Śpi z

tym oślizgłym typem. Uświadomienie sobie tego faktu stało się dlań jasne jak słońce i nadzwyczaj bolesne, bo wyjaśniało, dlaczego Isabel knuła, żeby zdyskredytować męża w swoich własnych oczach i usprawiedliwić swoje postępowanie. Gdyby było inaczej, dlaczego zaatakowała go tak brutalnie, stawiając pod ścianą za dawny błąd, którego sobie nawet nie przypominał (i który, w jego przekonaniu, nigdy się nie wydarzył)?. No i ten telefon do Lesley, sugerujący jego skłonność do przemocy seksualnej. To był wstrętny czyn, niegodny Isabel. Przecież niemożliwe, aby wyobraziła go sobie jako gwałciciela. Jako mąż był pełnym polotu partnerem, przynajmniej kiedyś tak było. Niekiedy jego fantazje zmierzały do zawładnięcia, podporządkowania sobie i wzięcia kobiety, której pożądał, ale to wszystko. Mężczyźni miewają takie chętki, prawda? Oboje z Isabel niekiedy stosowali takie gry. W pierwszych latach małżeństwa ona często domagała się, żeby zachowywał się w łóżku jak neandertalczyk, a on z ochotą odgrywał taką rolę. Cokolwiek ją brało, podniecało także jego. Czy teraz Isabel przykrawa tamte intymne zabawy do swoich aktualnych celów, czy też rzeczywiście zastanawia się nad... ? Lesley klasnęła w dłonie tuż przy jego twarzy.

– Hej, nadal tu jestem.

– Przepraszam. – Uniósł powieki, nie przestając myśleć, czy powinien podzielić się z nią tymi okropnymi podejrzeniami. Nie miał jednak żadnego dowodu na to, że Isabel nawiązała romans, powinien więc zachowywać się wobec niej lojalnie. – Jaka była twoja reakcja? Co jej powiedziałaś? – zapytał.

– Powinam była odpowiedzieć, że to nie jest jej zakichana sprawa, ale pomyślałam, że to by ci nie pomogło. Zapewniłam ją więc, że zawsze zachowywałeś się po dżentelmeńsku.

Dafydd wybuchnął śmiechem.

– Dżentelmen? Jak seksownie! Myślę, że już nie pamiętasz.

Lesley zachichotała i zrobiła się czerwona jak burak.

– No wiesz, minęło co najmniej piętnaście lat. Czego się spodziewałeś?

Dafydd wziął ją za rękę i spojrzał głęboko w oczy.

– Lesley, znasz mnie dobrze. Nie ma powodu, żebym cię okłamywał, prawda? Czy uwierzysz, jeśli cię zapewnię, że nigdy nie spałem z tą Kanadyjką? Pragnąłbym, żeby choć jedna osoba w świecie ufała memu słowu honoru.

– Och, na miłość boską, nie bądź taki melodramatyczny – Lesley zmusiła

się do śmiechu. – Jak mam to rozumieć, Dafydd? Jestem naukowcem. Wiem, że testy DNA są nieomyślne. Stanowią prawdziwy cud, mnóstwo zmieniły. Popatrz, jak wiele dzięki nim osiągnęliśmy, te przestępstwa, które za ich pomocą możemy rozwikłać...

– ... i ci wszyscy ojcowie, których możemy zmusić do płacenia alimentów – przerwał jej. – Jasne, Lesley, zgadzam się z tobą. – Dafydd, patrząc na dziurę w szklanej ścianie, zauważył komórkę na narzędzia, nadal przewróconą na bok w ogrodzie, połamane gałęzie drzew po tamtej burzy, taczkę pełną ziemi, porzuconą wiele tygodni temu w trakcie prac ogrodniczych. Wszystko to będzie musiało poczekać. On ma wszystkiego dość. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę.

– Les, posłuchaj. Postanowiłem. Jadę tam. Mam urlop, wezmę dodatkowo wolne dni. Polecę do Kanady, żeby wszystko wyjaśnić, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, która została mi w życiu do załatwienia.

Lesley stuknęła się z nim puszką piwa, ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Nie mam zielonego pojęcia. Jeśli te dzieciaki są do mnie podobne, to myślę, że będę musiał je uznać. – Wyciągnął z portfela fotografię Mirandy i Marka, wręczył ją Lesley. – Nie widzę żadnego podobieństwa, a ty?

Zerknęła znad okularów na zdjęcie.

– Przykro mi, Dafydd, ale uważam, że to bez znaczenia.

– Zobaczymy.

– A zatem *bon voyage* – rzekła, najwyraźniej nie mając nic więcej do dodania.

– Pogoda zmieniała się z dnia na dzień. Niezwykły o tej porze roku chłód zmusił Dafydda do poszukania na strychu starego kożucha po ojcu. Zapowiadano śnieg, ale z nieba jeszcze nie sypało, błotniste pola w dolinie miały się dopiero pokryć białym puchem. Na razie zewsząd atakowały ostre igiełki deszczu.

Dafydd zatrzymał się na podzamczu, zszedł z roweru i z trudem ściągnął z siebie nieprzemakalną odzież. Szybkim krokiem wspinał się z rowerem na wzgórze, kierując się w stronę rzymskiego muru, a kiedy w lodowatym deszczu uniósł głowę, ze zdumieniem spostrzegł, że Isabel już tam jest. Nie zauważył jej samochodu ani na poboczu drogi, ani na parkingu, a zresztą nigdzie nie było żywego ducha. To ona wybrała miejsce ich spotkania, dość

zaskakujące, choć oboje dobrze je znali. W jej pojęciu pewnie nawet pub byłby zbyt intymny na tę okazję.

Opierała się o mur, żeby choć trochę uchronić się przed deszczem. Wyglądała jak strażnik na posterunku. Przytulona do starożytnych kamieni, ubrana w jasny, długi płaszcz przewiązany w pasie. Na nogach miała solidne boty ze skóry. Całą jej postawę, łącznie z rzymskim profilem, znamionowała surowość. Krótkie włosy miała mokre i przylepione do skroni. Była nieruchoma niczym posąg, wyglądała jak archaiczna zjawa. Dafydd przystanął i począł się na nią gapić, ale ona patrzyła przed siebie, jakby należąc do odległych czasów. Na jej widok odezwała się w nim dawna czułość. Ogarnęła go z taką mocą, że do oczu napłynęły mu palące łzy. Jednakże gdy Isabel odwróciła się, natychmiast zmroził go jej chłód i dystans. Odstawił rower, wspiął się po skałkach, stanął obok niej.

– To jest moje nowe miejsce w roli kobiety samotnej. – Uśmiechnęła się i otarła palcem kroplę zwisającą z nosa.

– To będzie smutne życie. Zimne i nieprzyjazne.

– Nie tak zimne i nieprzyjazne jak może być twoje.

– Moje jest jedynie rekonesansem. Ja tu wrócę – pod– kreślił. – I ty o tym wiesz. – Zrobił pauzę, zaglądając jej w oczy. – A co z tobą? Czy wrócisz?

– Nie wiem, Dafydd. – Zerwała z muru kawałek porostu, po chwili utkwiała wzrok w swoich paznokciach. Były gładkie i równe. Chyba przestała je ogryzać. – Nie wiem, czy zdołamy naprawić to, co się stało, ale przyznaję, że będę zainteresowana wnioskami, do jakich tam dojdiesz. – Poszukała w kieszeniach rękawiczek, nałożyła je. – Gdybym tylko potrafiła zrozumieć, o co ci chodzi, co ci się kłębi w głowie... Gdybym tylko... – zamilkła, tym razem nie odrywając oczu od czubków swoich butów.

Dafydd także spojrział w dół, na mokrą trawę, zastanawiając się, czy Isabel też pamięta piknik, który zorganizowali sobie tutaj przed trzema laty. Byli świadkami niezwykłego wprost zachodu słońca, cudownego światła. Zjedli kilka czerstwych kanapek kupionych na stacji benzynowej i wypili cały baniak taniego cydru, mocnego jak wino, który wprowadził ich w wisielczy humor. Dafydd pchnął ją potem na szorstki pled, ściągnął z niej szorty i majtki, rozpiął sobie rozporek. Gdy leżeli na waleta, zakrył ich gołe biodra rąbkiem koca. Kiedy krzyczała z rozkoszy, całkiem głośno jak na jej zwyczaje, jakaś amerykańska turystka stojąca po drugiej stronie muru

poczęła gadać jak najęta, nieświadoma ich uciech: „No popatrz, też ci się tutaj podoba? On zmusił swoje wojsko do wzniesienia tego muru, tylko dlatego, żeby się nie rozleniwiło. O, tu jest napisane... Nie wspinaj się, kochanie. Kamienie mogą się osypać i złamiesz sobie nogę”.

– Dlaczego chciałaś się spotkać ze mną akurat tutaj? – spytał Dafydd.

– Zastanawiałam się, czy wycieczka w przeszłość może coś naprawić. – Obróciła się do niego twarzą, bladą i mokrą od deszczu. – Pragnęłam coś odzyskać. Strata wszystkiego jest dla mnie ciężkim przeżyciem.

– Wszystkiego? – wzdrygnął się Dafydd. – Przecież nadal masz mnie, swego męża, mamy wspólny dom.

– Zaufanie odgrywa w życiu kluczową rolę. Nie pomniejszaj tego aspektu. – Po chwili milczenia dodała: – I odkrycie, że ktoś, kogo w naszym wyobrażeniu dobrze znamy, okazuje się zupełnie inną osobą, jest po prostu koszarne.

– Tak, zgoda, to jest koszarne – odparł z naciskiem. Odniosł wrażenie, że nie zrozumiała, co chciał jej przekazać. Ona natomiast znienacka się rozszlochała.

Z miejsca się zjeżył. To wszystko było niemal śmieszne. Zaledwie parę miesięcy temu oboje wierzyli, że ich miłość będzie trwała wiecznie... Konflikt nie do pogodzenia – czy jak tam to nazywają w sądzie – zaatakował ich jak złodziej w ciemnej ulicy.

Isabel płakała. Dafydd nie bardzo mógł zrozumieć, co oznacza jej żal, z jakiego czy z czyjego powodu roni łzy: czy płacze nad nim, nad ich małżeństwem, nad dzieckiem, którego nie udało im się mieć, czy też nad swoją własną obłudą. Objął ją, a ona go nie odepchnęła.

– Liczę, że wrócę i wszystko ci wyjaśnię. – Pocałował ją we włosy, delikatnie kołysząc. – Najpierw jednak muszę sam rozwiązać tę zagadkę.

Nie było sensu czegokolwiek dodawać. Stojąc w objęciach męża, Isabel po dłuższej chwili uniosła głowę i spojrzała mu w oczy a potem przeciągnęła ręką po czerwonej bliźnie na jego czaszce.

– Nie miej już więcej takich wypadków.

– Powinnaś była zostać ze mną. Ogromnie mi ciebie wtedy brakowało. – W jego głosie znać było cień pretensji, może w oczekiwaniu, że Isabel wyrazi skruchę. – Stałaś się nieobecna, więc nie mieliśmy okazji porozmawiać serio.

Isabel nie wyraziła ani żalu, ani chęci przeprosin. Wycierała chusteczką

rozmazany tusz do rzęs, a z jej twarzy zniknął wyraz łagodności. Wyswobodziła się z jego objęć.

– Nie było nic do powiedzenia, a ja byłam wściekła.

– Potrafisz być także nadzwyczaj impertynencka.

– Isabel wybuchła śmiechem.

– Chcesz mnie nazwać suką? – Policzki i nos zsiniały jej od chłodu.

Wsunęła ręce do kieszeni płaszcza, skuliła się w sobie. – Zresztą Paul potrzebował mnie w Londynie. Jest nowy projekt... życie musi toczyć się dalej. On ma dla nas wiele planów.

Jasne! Szmaciarz... Dafydd ogarnęła gorycz. Zdawał sobie sprawę, że mógłby sprowokować awanturę, ale nie miał w sobie tyle sił. Doprowadziłby do jeszcze większego kryzysu między nimi, a nazajutrz wyjeżdżał. Zresztą niech Isabel robi sobie, co chce. Po co się z nią użerać? W jakim celu zatrzymywać? To ona musi zdecydować, on nie będzie rywalizował o jej względy.

– Muszę już iść. Przemarłam do szpiku kości – przerwała milczenie.

Zaczęli schodzić zboczem wzgórza. On prowadził rower, Ona stopniowo się od niego oddalała, aż skręciła na zachód. Pogrążony w myślach Dafydd w pierwszej chwili nie zauważył jej odejścia. Puścił się biegiem, żeby ją dogonić.

– Odprowadzę cię do samochodu.

– Nie... rozstańmy się tutaj. Byłam w domu, wzięłam trochę rzeczy, więc prosto stąd jadę do Londynu. – Przystanęła, pocałowała go w policzek, zawahała się, po czym ucałowała w drugi. – Powodzenia, Dafydd.

– Czy mnie kochasz? – zawołał melodramatycznie, ale Isabel, odwrócona plecami, pewnie już nie usłyszała. Stał i patrzył, jak znika. Wokół wirowały drobne śnieżynki. Wreszcie zaczął padać prawdziwy śnieg.

–

## Rozdział 12

*Moose Creek, rok 1993*

Dafydd przywykł do cotygodniowych wizyt u Śpiącego Niedźwiedzia. Stary jakimś cudem przetrwał zimę i to praktycznie bez niczyjej pomocy. Cieszył się doskonałym zdrowiem, więc odwiedziny Dafyddda polegały głównie na dostarczaniu mu zapasów alkoholu, tytoniu i świeżych gazet. Żywność samotnika pochodziła z jakiegoś tajemniczego źródła i składała się z odrażających ochłapów mięsa i innych resztek zwierzęcych. Odnosiło się wrażenie, że jemu samemu nie szkodzą, ale na wszelki wypadek nie częstował nimi swojego gościa. Odporność starego była naprawdę imponująca.

Jednakże wraz z pierwszymi wiosennymi roztopami pojawiły się problemy. Któregoś razu Dafydd zastał Niedźwiedzia w łóżku, z wysoką gorączką. Był pewien, że biedak zapadł na zapalenie płuc. W jego kraju rodzinnym doświadczeni lekarze nazywają tę chorobę „przyjaciółką staruszków”, bo ludziom w podeszłym wieku oszczędza dalszych mąk i sprawia, że umierają spokojną, bezbolesną śmiercią. Dafydd nie był zwolennikiem przedłużania na siłę życia, ale w jego opinii Śpiący Niedźwiedź wcale nie był jeszcze gotów przenieść się na tamten świat. Był jak kawał starej, wyprawionej skóry. Wymocz ją we wrzątku, natłuść, a będzie jak nowa. Niedźwiedź nie był użyteczny dla nikogo, prócz swoich psów, ale nadal trzeba było rozpalać w piecu, napełniać brzuch i popijać mocną kawę z dodatkiem wody ognistej. Chociaż stary był uparty jak osioł i chciał zostać u siebie, kurując się własnymi, wypróbowanymi sposobami, niekiedy wzmocnionymi dawką doustnych antybiotyków, Dafydd w końcu postawił na swoim.

– Jedziesz ze mną, choćbym miał przywiązać cię za nogi do chryslera i ciągnąć do samego szpitala. – Jeszcze się na tobie odegram, zasrańcu. Wiedziałem, że zamierzasz ze mną zrobić porządek w tym waszym czyściutkim szpitaliku. Po prostu chcesz mnie wykąpać, i tyle. – Im bardziej był zdenerwowany, tym silniej się trząsł. Dafydd podniósł go i wtedy okazało się, że starzec, choć całkiem wysoki, waży tyle, co rulon brystolu.



– Puść mnie, bo jak nie... – zagroził Niedźwiedź, jednakże jego opór słabł. – Nigdy więcej się do ciebie nie odezwę... a przynajmniej przez kilka dobrych lat.

– Słuchaj, starcze. Spędzisz tu sam jeszcze dzień, dwa, i twoje psy pożywią się tobą... a raczej tym, co z ciebie zostanie.

Ostrożnie umieścił Niedźwiedzia na tylnym siedzeniu, okrywając go jego brudną kołdrą i kilkoma własnymi kocami, które na wszelki wypadek woził ze sobą w bagażniku.

Po czterech dniach Niedźwiedź doszedł do siebie. Spacerował po szpitalnych korytarzach, dziarsko przebierał nogami wyzierającymi spod zielonego szlafroka. Był chyba wniebowzięty wygodami w szpitalu. Psy dożywiał jego wnuk, a Dafydd potajemnie dostarczał choremu małe porcje alkoholu, który konserwował go od iluś dziesięcioleci. Bez niego z pewnością dawno by się poddał.

– Młody przyjacielu, słuchaj uważnie. Bacz, żeby ta siostra z włosami koloru marchewki cię nie przyłapała. Za to przegna nas obu.

– Możesz nie wierzyć, jeśli nie chcesz, ale nic mi nie może zrobić. To ja jestem jej zwierchnikiem.

– Niech skonam! – wykrzyknął Niedźwiedź tonem pełnym podziwu. – Wykap mnie w smole i wytarżaj w pierzu!

– Starczy dla dwóch – droczył się Dafydd.

W miarę upływu czasu stary coraz lepiej czuł się w szpitalu i wcale nie zdradzał chęci powrotu do leśnej chatki. Dafydd postanowił, że będzie go trzymał tak długo, póki pacjent całkiem nie wydobrzeje. Ponieważ Niedźwiedź sypiał w wygodnym łóżku z czystą pościelą i dostawał całkiem smaczne jedzenie, a na dodatek miał towarzystwo innych staruszków, zapewne rozkoszował się powrotem do cywilizacji. W każdym razie nie miał już zapadniętych policzków, codziennie się golił, a jego długie włosy myła i zaplatała w warkocz pielęgniarka imieniem Janie.

Dziesiątego dnia Dafydd postanowił go wypróbować.

– Stałeś się mięczakiem, czy co? Nie mogę wprost uwierzyć, że nadal snujesz się tutaj, jakbyś był chory. Nie myślałem, że doczekam tego dnia.

Niedźwiedź, wydawało się, nie chwycił przynęty. Ruchem ręki dał lekarzowi znać, żeby podszedł bliżej.

– Powiem ci, co zamierzam – wymamrotał. – Zbieram siły na wielką, długą podróż. Myślę, że to będzie ostatnia.

– A cóż to za podróż?

– Ruszę na północ, na drugą stronę Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego. Na zachód od Coppermine. – Rozejrzył się w obawie, że ktoś podsłucha jego wynurzenia i pokrzyżuje mu plany.

– To strasznie daleko. Jak zamierzasz tam dotrzeć? – zapytał zaintrygowany Dafydd.

– No, istnieje całe mnóstwo możliwości. – Zamilkł, żeby ukradkiem pociągnąć z kubka podarowanego mu przez Dafydda. – Wiele lat temu dojechałem tam psim zaprzęgiem.

– Ale teraz, rzecz jasna, można tam polecieć. – Zerknął na lekarza z błyskiem w oku.

– Nie wierzę, że jest połączenie lotnicze z Moose Creek do regionu Coppermine. Pewnie najpierw trzeba się dostać do Yellowknife albo do Inuvik, a dopiero potem ruszyć w dalszą drogę.

Niedźwiedź stłumił chichot.

– Tam, gdzie zamiaruję się dostać, nie ma rejsowych lotów.

– Może twój wnuk wynajdzie ci pilota, który doleci bezpośrednio do celu. Ale uważaj, to kosztuje furę pieniędzy.

– Nie, mój wnuk nie lubi mego przyjaciela, którego chcę odwiedzić.

– Przyjaciela?

– No tak. Tak sobie właśnie wykombinowałem. Ty sam wymagasz porady. Mój kumpel to *angaikua*, czyli szaman z plemienia Inuitów. Ale nie z tych ostrych młodziaków, pospolitych samozwańców. Nie, nie. – Niedźwiedź machnął Dafyddowi palcem przed nosem. – To dawny szaman. Prawdziwy.

– Aha, i sądzisz, że potrzebuję jego rady, tak? – roześmiał się Dafydd. – Skąd znasz tego człowieka?

– Wiele lat temu, zanim przyszedłeś na świat, on mieszkał przez jakiś czas w Moose Creek. Przybył tu, bo został wygnany przez własny lud.

– A cóż takiego zrobił?

W reakcji na to pytanie Niedźwiedź momentalnie się postarzał i śmiertelnie spowaźniał. Uśmiech znikł z jego puciołowatej twarzy.

– Poproszono go, żeby uleczył dziecko. Dzieciak był śmiertelnie ranny, więc pewnie i tak by umarł, ale on obciążył się winą za jego śmierć. A potem misjonarze i dupki z samorządu wtrynili nos w nieswoje sprawy i zakazali szamanizmu. Ludzie ich posłuchali, starszyzna postanowiła

wygonić swego szamana. Po wielu latach zapomniano o sprawie, więc pozwolono mu wrócić.

Dafydd wpatrywał się w Niedźwiedzia bez słowa, czując kłujący ból w piersi. Swoją żalobę ukrył przed światem, obawiając się, że sam się z nią wyda. Praktycznie nawet nie znał małego Derka, jednakże los nieszczęsnego dziecka zdawał się być nierozzerwalnie związany z jego własnym losem. Od dnia, kiedy dowiedział się o zgonie malca, trójkątna twarzyczka i pytające oczy coraz częściej pojawiały się w jego snach.

Z trudem stłumił szloch. Kilkakrotnie przełknął ślinę, ale nie potrafił zapanować nad głębokim smutkiem. Ukrywszy twarz w dłoniach, począł głęboko oddychać.

– Tak sobie zamiaruję, że byłoby dobrze, gdybyś się z nim spotkał. – Śpiący Niedźwiedź poklepał skórzastą ręką kolano lekarza. – A ja bym na tym skorzystał, mając towarzystwo.

Odwilż zaczęła się na dobre. Wszędzie ściekała, płynęła, szumiała woda. W regionie spadło tak mało deszczu, że dalej na północy uważano, iż ziemia jest wyschnięta jak pustynia. Jednakże ilość spadłego w ciągu zimy śniegu zamieniała się wskutek topnienia w groźne strumienie, które zalewały piwnice. Drogi przemieniły się w mętne, rwące rzeki, przydrożne rowy były wypełnione po brzegi, grunt stawał się śliskim błockiem. W niektóre noce temperatura nadal spadała poniżej zera. Z powodu przymrozków jezdnie i chodniki pokrywały się cienką warstwą lodu, co prowadziło do wypadków wśród kierowców i pieszych. A mimo to ludzi ogarnął optymizm. Nastolatki mogły nareszcie przebrać się w skąpe stroje i lżejsze obuwie, skutery śnieżne odstawiono do garaży, zastępując je rowerami górskimi, a gospodynie domowe zaczęły planować uprawy w ogródkach warzywnych, choć okres wegetacji był tu jak zwykle bardzo krótki.

Kontrakt Dafyddda ze szpitalem wkrótce się kończył. Hogg był zdania, że odjazd cenionego lekarza byłby ciosem dla miejscowej społeczności. W każdym razie tak twierdził, próbując przekonać Dafyddda do przedłużenia pobytu.

– Wiem, że Sheila i ty macie różne spojrzenia na wiele spraw, ale jestem przekonany, że nieporozumienia z czasem ustąpią – zapewniał. – Chciałbym cię tu zatrudnić na stałe, z doskonałym wynagrodzeniem. Taki młody człowiek jak ty ma przed sobą wielką przyszłość w Moose Creek. Miasto się rozrasta. Cywilizacja obejmie i nas. No, David, to znaczy Dafydd, przemysł

moją propozycję.

Dafydd miękł. Nie wiedział, co go czeka po powrocie, ale musiał brać pod uwagę matkę, coraz ciężej chorą i zrozpaczoną jego nieobecnością. Zdawał sobie sprawę, że powinien dalej szkolić się w chirurgii, a to będzie trudne w Moose Creek, choć niekiedy na ostrym dyżurze musiał sobie radzić z budzącymi trwogę przypadkami, wymagającymi niemałych umiejętności. Prawdziwa cywilizacja jeszcze długo tu nie nadejdzie, jeśli w ogóle można się jej spodziewać. Przede wszystkim jednak Dafydd musi stawić czoło problemom psychologicznym, które zostawił za sobą. Nie może wiecznie uciekać. W ciągu tych niezwykle i trudnych zawodowo dziesięciu miesięcy zdołał wydorosnąć jako człowiek, ale w roli lekarza wciąż sobie nie ufał. Wiedział, że im prędzej wyzwoli się z nocnych koszmarów, tym lepiej dla niego. I choć nie chciał się do tego przyznać, Sheila była głównym powodem jego decyzji o nieprzedłużaniu umowy. Nie wyobrażał sobie harmonijnej współpracy z nią, a szef nie ułatwiał mu tego zadania. Dafydd był pewien, że jej nigdy nie pozwoli odejść.

Odłożył na później kupno biletu powrotnego do Wielkiej Brytanii, pragnąc towarzyszyć Śpiącemu Niedźwiedziowi W jego ostatniej wielkiej wyprawie. Samo jej zorganizowanie zajęło dwa tygodnie. Ponieważ nie miał już do dyspozycji chryslera, wnuk Niedźwiedzia zaoferował im swego starego forda, aby mogli dotrzeć do Yellowknife. Stamtąd mieli udać się prosto na północ, do ziem ponad kołem polarnym. Sądząc, że propozycja Niedźwiedzia wynikała z niedostatku funduszy na podróż, gotów był za nią zapłacić, ale nie o to staremu chodziło. Okazało się, że na koncie w banku zgromadził całkiem sporo oszczędności, ulokowanych na dobrym procencie. Lata polowań i dostaw brył lodu okazały się dlań korzystne finansowo, a do swych zasobów sięgał nadzwyczaj rzadko. Teraz był gotów wydawać na prawo i lewo. Zakupił mnóstwo podarków, narzędzi, ubrań i gadżetów dla swego przyjaciela i jego córki.

Dafydd tymczasem z pasją zwiedzał okolice, rozkoszując się wybuchem wiosny w zimowym pejzażu. Cieszyło go to ogromnie. Uwolniony od konieczności męczących dyżurów i od nudy banalnych przypadków w rodzaju kaszlu, kataru i flegmy, wreszcie ujrzał miasto z nieznanego mu perspektywy. Już nie musiał się obawiać, czy sprawdzi się w zawodzie i czy pacjenci mu zaufają. Zależnie od swego widzimisię był po prostu albo

zwykłym obywatelem chwilowo bez zatrudnienia, albo zagranicznym turystą.

Po wielu miesiącach milczenia gotów był też ponownie nawiązać kontakt z Brendą i zaprosić ją na randkę.

– Żeby ci podziękować za pogodną naturę i poczucie humoru – wyjaśnił.

– Kilka drinków i dobra kolacja na mieście. Co ty na to?

Choć na twarzy Brendy odmalowało się zaskoczenie, nie napomknął ani słowem, dlaczego zwlekał z tą propozycją aż do teraz. Sam nie potrafił sobie na to odpowiedzieć, prócz tego, że nie była typem kobiety, w której mógłby się zakochać, i że kręciło się przy niej zbyt wielu mężczyzn. Co nie znaczy, że mu się nie podobała. Była zabawna, seksowna i gadała jak najęta, robiąc dowcipne uwagi na temat miejscowych. Zaśmiewał się z satysfakcją. Brenda bez wątpienia go widziała, ale w ogóle nie słuchała. Nie miało to znaczenia. Zastanawiał się, dlaczego przez cały ten czas odbierał sobie prawo do jej sympatycznego towarzystwa. Brenda mogła się przecież stać jakże potrzebną mu przyjaciółką, jeśli istniała taka opcja po ich zbliżeniu nad Jeziorem Jackfish.

W trakcie wspólnej kolacji w nowym i szykownym lokalu na sali pojawiła się niespodzianie Sheila, wsparta o ramię potężnego, spalonego słońcem samca z masywną szczęką i gęstymi brwiami. Przysłowiowy drwal był w istocie sprytnym przedsiębiorcą, jak kiedyś doniesiono Dafyddowi, ale wygląd miał dość prostacki. Sheila bez wątpienia była dlań odpowiednią partnerką, bo choć ustępowała mu pod względem gabarytów, nadrabiała kobiecą przebiegłością. Doskonale się prezentowała w krótkiej, luźno zwisającej pomarańczowej sukience i sznurowanych botkach do kolan. Mimochodem Dafydd zerknął na jej brzuch i dostrzegł niebudzący wątpliwości wzgórek.

Stojąc w drzwiach Sheila najpierw zauważyła Brendę. Zmierzywszy ją od stóp do głów, okiem znawcy oceniła rywalkę. Najwyraźniej doszła do wniosku, że jest niegroźna, bo przyglądziwszy rudą grzywę, pociągnęła za sobą kochankę, żeby ich sobie przedstawić.

– Poznaj Dafydda, młodego lekarza, Walijczyka – oznajmiła, nie patrząc w stronę Brendy. – To ten, co nie mógł wytrzymać surowego klimatu i wraca do swojego kraju.

Choć Dafydd nigdy nie zauważył, żeby Sheila piła, teraz dostrzegł w jej oczach jakąś inkoherencję. Ton, z jakim wypowiedziała tę uwagę, był

celowo obraźliwy. Jej towarzysz z zażenowaniem skinął głową w stronę Dafydd, a potem pochylił się nad Brendą.

– Hej, kochanie. Świetnie wyglądasz. Dobrze ci tutaj? – zapytał, całując ją w policzek.

– Jasne, Randy. – Brenda zerknęła na niego z błyskiem w oku. – A może dołączycie do nas?

– Zapadła kłopotliwa cisza. Dafydd utkwiał wzrok w talerzu ze spaghetti, czując, że ma na ustach sos pomidorowy, którym na dodatek poplamiał sobie gors koszuli. Niezręczność sytuacji i pomysł dzielenia stołu z Sheilą wzbudziły w nim natychmiastowy sprzeciw.

– Nie, Brenda. Może nie dzisiaj. – Spojrzał na Randy’ego. – Miło was widzieć, ale mamy randkę. Bawcie się dobrze.

Sheila, schyliwszy się, pociągnęła go za krawat.

– No, no – czyż to nie urocze? Pamiętaj, żebyś przyszedł pożegnać się z nami przed wyjazdem do twego zasranego kraiku. – Brenda i Randy zamilkli, gapiąc się na pozostałą dwójkę. Ta arogancja była kompletnie nie na miejscu. Sheila tymczasem wyprostowała się, chwyciła partnera za ramię i pomaszerowała z nim w głąb sali.

Brenda powiodła za nimi wzrokiem.

– O co tu chodzi? Nie mów, że się jej podłożyłeś.

– Ależ skąd – zaśmiał się sztucznie Dafydd. – Jesteśmy dobrymi kumplami.

– Ona robi wrażenie naćpanej. Niech lepiej się pilnuje – zauważyła Brenda. – Randy to dobra partia, ale prochów nie pochwała. Wiem o tym z pierwszej ręki, i nie tylko to.

Po zapłaceniu rachunku Dafydd przeprosił Brendę i poszedł do toalety. Wychodząc, wpadł na Sheilę czyhającą na niego przy drzwiach.

– A cóż ty robisz z nią? – zapytała, opierając się o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– A dlaczego pytasz? – odparł zaskoczony. Sheila nigdy nie okazywała mu nawet cienia zazdrości i nie sprawiała wrażenia zainteresowanej jego prywatnym życiem.

– No wiesz, liczyłam, że spotkamy się przed twoim wyjazdem. – Zataczała się, nad jej górną wargą błyszczały krople potu. – Ale skoro tak, to chcę, żebyś wiedział, że zamierzam coś przedsięwziąć.

– Co? – spytał z niepokojem.

– Wziąć sprawy w swoje ręce. To tyle, czuj się uprzedzony.

– O czym ty mówisz?

– Panie doktorze, pragnę zasięgnąć porady medycznej. Co się stosuje w takich wypadkach w waszej Małej Brytanii? Roztwór soli podawany w kateterze i w wielkiej, pięćdziesięciomilimetrowej strzykawce. Mogę to sobie sama zaaplikować, prawda? To by rozwiązało problem, nie?

– Och, na miłość boską, Sheila, to obłąkane! – wykrzyknął. – A zresztą wcale ci nie wierzę. Twoja ciąża jest już zbyt zaawansowana. – Dafydd przestraszyło jej zachowanie. Nie mógł się zorientować, czy jest pijana, czy pod działaniem narkotyków, czy może chora. – Sheila, posłuchaj, kiepsko wyglądasz. Pozwól, że zawołam Randy’ego...

– Daj sobie spokój. Dzięki tobie ten związek jest skazany na niebyt. On już mnie wypytuje, co tak zgrubiałam w talii.

– Nie, Sheila, nie dzięki mnie. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Dlaczego zwalasz to na mnie? Proponowałem, że zarekomenduję cię gdzie indziej. Mogłaś to zrobić w jakimkolwiek innym szpitalu.

– Zwalam na ciebie? Chyba żartujesz – odparła. – Po tym, co zrobiłeś...

– Co masz na myśli?

– Mniejsza o to. – Lekko się zachwiała.

W tym momencie do toalety podszedł Randy. Na ich widok zmienił się na twarzy. Staął, zmierzył ich uważnym spojrzeniem i chciał się odezwać, ale w końcu dał za wygraną i zniknął za drzwiami.

– Słuchaj, nie chcę mieć nic wspólnego z tą całą sprawą, już ci mówiłem – wyrzucił z siebie Dafydd. – A poza tym moja umowa ze szpitalem wygasła, koniec, kropka. To jest pożegnanie, Sheila.

– To była twoja pieprzona rada, żebym urodziła. Tyś mi – to wtrynił do głowy. Całą tę lipę z pękniętym kondomem i inne głupoty. I wyobraź sobie, co właśnie wykryłam: wiele lat temu Randy zrobił sobie wasektomię.

Dafydd zamyślił się nad tym zaskakującym wyznaniem. Choroby przenoszone drogą płciową były w tym mieście powszechne, a Randy niemal na pewno używał kondomów, bo raczej nie ufał swojej ukochanej. Nie wiedział, z kim się zadawała, i nie liczył na trwałość ich związku. Sheilę traktował jak panienkę na przychodne. Wykorzystywał ją, podobnie jak ona jego.

Sheila wymachiwała Dafyddowi palcem przed oczami.

– Od chwili, kiedy się tu zjawileś, w tym swoim szykownym garniturku i

z wysoko zadartym nosem, srałeś na mnie. – Oparła głowę o ścianę, odsłaniając długą, białą szyję. Dafyddowi nagle zrobiło się jej żal. Najwyraźniej jej plan, by założyć rodzinę i stać się szanowaną matroną, legł w gruzach. Mimo zewnętrznych pozorów siły Sheila była pokręconą kobietą, której powłoka pękła jak balon, a jej wyobrażenia o lepszym życiu skończyły się fiaskiem.

– Dlaczego jednak skierowałaś ten jad przeciwko mnie?

Spojrzała na niego z nienawiścią, ale wstrzymała się z odpowiedzią.

– Może kogoś ci przypominam? O to chodzi? – zapytał, usiłując odwołać się do jej rozsądku. – Starąłem się być skromny i robić to, co mi zlecano, najlepiej jak potrafię. Dlaczego w twoich oczach zasługuję za to na miano dupka?

– Taaa, skoro już o tym wspomniałeś, to owszem, przypominasz mi kogoś. – Sheila wpatrywała się w niego zamglonym wzrokiem. – On był nadętym, zarozumiałym, protekcyjnym śmieciem. Dokładnie jak ty. Trzymał taaaki dystans, patrzył na wszystko z góry. Nigdy nie byłam dla niego wystarczająco dobra, żebym nie wiadomo jak się starała. Tak jak ty, on myślał, że może...

Dafydd przestał słuchać. Ten potok inwektyw zawierał pewien interesujący element, ale wszystko stało się nagle zbyt męczące. Sheila ciągnęła swoje, a Dafydd zdał sobie sprawę, że cokolwiek jej odpowie, będzie bez znaczenia. Wyłączył się więc i niecierpliwie czekał na pojawienie się Randy’ego, żeby zostawić ją pod jego opieką.

Pod koniec wieczoru Dafydd i Brenda wybrali się na przechadzkę po mieście. Wiał lekki wiatr, w powietrzu unosił się zapach sosen. Po raz pierwszy od wielu tygodni ziemia trochę przeschła. Dafydd pokazał dziewczynie ścieżkę dla biegaczy za ośrodkiem sportowym. Była miękka, wyłożona wiórami drewna. Ostatnio często tam biegał z rana. Doskonały w swym kształcie półksiężyc zwieszał się tuż nad nimi, oświetlając mnóstwo puszek po piwie i innych ulubionych napojach nastolatków.

– Gdyby nie wczesny sezon, wzięłabym cię nad jezioro, żeby trochę popływać – zaśmiała się lekko wstawiona Brenda. – Pamiętasz, prawda?

– A jakże – odparł Dafydd. Ujął jej dłoń i musnął ją wargami.

– Kochanie się pod gołym niebem... nie ma nic lepszego. – Obróciła się do niego twarzą i spojrzała w oczy. Dafydd z miejsca pojął, do czego zmierza. Byłoby lepiej, gdyby obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i



wyprowadził z tego odosobnienia, ale jego wola słabła. Chryste... od ostatniego razu minęło wiele miesięcy Przypomnił sobie jedną z pokrętnych sentencji ojca, mających rzekomy aspekt dydaktyczny: „Pamiętaj, chłopcze, twardey kutas nie ma sumienia”. Nad wyimaginowanym obrazem sztywnego członka z malutkim mózdzkiem, istoty sprytnej i bezbożnej, głowił się przez całe dzieciństwo, a kiedy w młodości szedł z nową dziewczyną po raz pierwszy do łóżka, przestroga ojca natychmiast stawiała mu przed oczami. I nieuchronnie prowadziła do zdystansowania się od szczwanego, samolubnego kutasa.

Jednakże Brenda była dorosłą kobietą – przekonywał się w duchu. Co z jej sumieniem? Dlaczego akurat on z nich dwojga ma uprawiać ascezę? Jakby w odpowiedzi na jego wątpliwości Brenda wsunęła mu rękę pod kurtkę i pogłaskała po tyłku. Objął ją i razem ruszyli ścieżką w kierunku kępy wierzb, z dala od śmieci i światła księżyca.

Data odlotu zbliżała się. Dafydd wyprowadził się z przyczepy i wszystkie swoje rzeczy zostawił na przechowanie u Iana, gdzie miał spędzić ostatni tydzień przed powrotem do Brytanii. Tymczasem przygotowywał się do wyprawy na północ.

Warstwa lodu na szosie zaczęła się roztopiać. Wnuk Niedźwiedzia doszedł do wniosku, że lepiej nie ryzykować jazdy samochodem osobowym. Obaj podróżnicy postanowili więc pojechać ostatnim w sezonie zimowym autokarem. Tego roku odwilż przyszła gwałtownie, co oznaczało, że szosa wkrótce stanie się nieprzejezdna, a Moose Creek zamieni się na pewien czas w wyspę odciętą od świata, skazaną na osobny byt.

W Yellowknife wynajęli awionetkę i dotarli nią do Black River na wybrzeżu Morza Arktycznego. Sama osada była odstręczająca w swej brzydocie, zabudowana nijakimi, subsydiowanymi przez państwo domkami z prefabrykatów. Z lotu ptaka robiła wrażenie garści klocków bezładnie rzuconych na lód przez Boga. Jediną budowlą o jakiejś estetyce był kościół, wzniesiony z pomalowanych na biało drewnianych deszczulek. Wyglądał tak, jakby stał tu od wieków. Natomiast przyroda była bajecznie piękna. Potężne bloki lodu wzdłuż brzegu i poszarpane szczyty lodowców w oddali błyszczały w przezroczystym powietrzu. Rzadka i płaska tundra na lądzie zdawała się ciągnąć bez kresu. W miejscach, gdzie śnieg stopniał, odsłaniały się czarne łąty. Na horyzoncie pyszniły się zaśnieżone góry.

Podczas lądowania zauważyli małą postać biegnącą w stronę pasów. Gdy samolot dotknął ziemi, człowiek ten już na nich czekał. Dwaj starcy powitali się serdecznie, wiele razy klepiąc się po plecach i ściskając sobie ręce. Angutitaq był równie wiekowy, co Niedźwiedź, a może nawet starszy. Skurczył się pod brzemieniem lat, miał kabłąkowate nogi i twarz pokrytą siecią tyłu zmarszczek, że nie sposób było dostrzec jej wyrazu. Kiedy się uśmiechał, fałdy i wypukłości na policzkach rozstępowały się, ukazując dwa ostatnie zęby, poźółkłe ze starości i od tytoniu, i Jego domostwo znajdowało się na skraju osady Krótki dystans dzielący ich od lądowiska przeszli pieszo. W domu czekała na nich córka gospodarza. Dafydda zdumiało, że jest taka młoda, biorąc pod uwagę wiek ojca.

– A co z jego żoną? Gdzie jest? – zapytał szeptem Niedźwiedzia.

– Zmarła w czasie epidemii grypy, kiedy była w ciąży z drugim dzieckiem. Lepiej o tym nie wspominać, bo będzie opowiadał w nieskończoność. Grypa zabrała mu wtedy większość bliskich. To dla niego bardzo bolesne.

Ojciec i córka rozmawiali ze sobą w miejscowym dialekcie. Dafydda zaskoczyło, że Niedźwiedź włączył się do rozmowy. Bez trudu posługiwał się tym tajemniczym narzeczem. Dafydd nie wiedział o tym, że stary zna język inuktitut. Niedźwiedź go poprawił: język Inuitów odłamu Copper nazywa się inuinnaktun.

– Kręciłem się po świecie – dodał, wypinając wątlą pierś. – Nie zawsze tkwiłem w Moose Creek.

Pierwszy wieczór upłynął na paleniu, picciu herbaty i jedzeniu w małej izbie. Znajdowało się tam sporo krzeseł w różnych stadiach rozkładu, kanapa i stolik. Ten ostatni, stojący pośrodku, odgrywał rolę centralnego punktu całej osady. W progu ustawiała się długa kolejka mieszkańców, żeby obejrzyć gości i wziąć udział w pogaduszkach. Część Starszyny siedziała do późnego wieczoru, rozmawiając o ożywieniu i – ze względu na Dafydda – przechodząc z lokalnego narzecza na jakąś archaiczną odmianę angielskiego. Posiłek składający się z miseczki słonych klusek z kawałkami foczego mięsa oraz herbaty podawała córka gospodarza.

Angutitaq wyraźnie radował się przybyciem gości i zaciekawieniem, jakie wzbudzili wśród jego sąsiadów. Pękał z dumy, nie przestając pykać ze starej, mocno zużytej fajki. Choć wyglądał jak kawał skóry suszącej się od wieków na strychu, odznaczał się niebywałą bystrością umysłu i

specyficznym poczuciem humoru. Mówił szybko, posługując się fajką niczym wskaźnikiem i wymachując nią w celu podkreślenia niektórych spostrzeżeń. Każdą uwagę punktował głośnym śmiechem. Dafydd nagle uświadomił sobie, że już od dawna w głębi ducha przeczuwał, w jakim celu Niedźwiedź go tu zaprosił. Przecież nie tylko w roli towarzysza i opiekuna w podróży.

Uyarasuq, córka gospodarza, poruszała się bezgłośnie jak duch w gronie starych mężczyzn i kobiet, dolewając im herbaty do cynowych kubków, dorzucając drewna do piecyka i niekiedy wybuchając głębokim śmiechem w reakcji na którąś z uwag ojca. Dafydd, odciągając Niedźwiedzia na bok, spytał szeptem, ile ta kobieta może mieć lat, ale stary miał słabe wyczucie czasu.

– Gdzie jest jej rodzina? Czy ona nie ma męża?

– Szsz... – odparł Niedźwiedź. – Nie wspominaj o jej mężu. Angutitaq ma o nim bardzo złe mniemanie. Jak zacznie mówić, to nie skończy. On zrobił dziecko innej kobiecie. Teraz siedzi w mamrze, bo w trakcie bójki odciął komuś palce. – Zaśmiał się cicho. – Skurczybyk, wykręcił wszystkim niezły numer. Z jego powodu starszyzna przegłosowała zakaz picia alkoholu w Black River.

– Czy oni są w separacji? Rozwiedli się?

Niedźwiedź spojrzał na niego, nie pojmując pytania.

– Przecież ci powiedziałem, że on jest w więzieniu. A teraz sza...

Angutitaq chciał nauczyć Dafydda imion swoich sąsiadów, ale jego starania wzbudziły wśród starców nieprawdopodobną wesołość. Aż się skręcali ze śmiechu i ciekły im łzy po policzkach, gdy prosili, żeby gość spróbował od nowa. Dafydd nie był pewien, czy śmieją się z niego, czy z jego nieumiejętności. Pewna staruszka, imieniem Kenojuaq, siedząca obok, klepnęła go w udo i starała zainteresować tabliczką zawieszoną na szyi na tasiemce ze skóry.

– Mój numer eskimoski – rzekła śpiewnym akcentem. – Kiedy byłam młoda, rząd nakazał nam je stale nosić, nie pobrudzić i nie zgubić. Powiedziano nam, żebyśmy wyrzekli się swoich imion, bo są zbyt trudne do wymówienia. Ale większość z nas przypomniła je sobie i nadal używała.

– I ciągle musicie nosić te tabliczki? – spytał Dafydd, zdumiony jej opowieścią. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy pozostali też je mają. Jego reakcja wywołała nowy wybuch śmiechu. Tylko córka gospodarza

posmutniała. Nachyliła się nad Dafyddem i szepnęła mu do ucha:

– Ona się do tego nie przyzna, ale jest dumna ze swojej tabliczki, która przetrwała wiele, wiele lat.

Dafydd obrócił się i spojrzał dziewczynie w oczy. Z bliska jej twarz wyglądała jeszcze młodziej, z cerą gładką i, delikatną jak u niemowlęcia.

– Czy mieszkasz w tym domu? – spytał.

– Nie, nie zawsze – uśmiechnęła się. – Mam swój.

Pomyślał, że w tej małej osadzie bez dróg, sklepów, restauracji pewnie najbardziej jej brakuje własnego życia. Nie było tu nic, prócz ogromnych obszarów z pięknymi, lecz skutymi lodem widokami. Wszyscy wydawali się tacy starzy. Chciałby z nią dłużej porozmawiać, ale albo była zajęta, albo nie dawała ku temu okazji. Patrzyła zawsze w innym kierunku, choć kilka razy zauważył, że ukradkiem na niego zerka. Wreszcie, pod koniec długiego wieczoru, usiadła obok.

– Czy lubisz wiejskie jedzenie?

– Lubię większość rzeczy. A z czego składa się wasze?

– Nachyliła się ku niemu i zaczęła ze skupieniem liczyć na palcach.

– No, najpierw karibu, to jest podstawa, albo jako *quaq*, albo w postaci *mipku*, czyli potrawki. Dalej ryba, wędzona, czyli *piffi*. Foka jest smaczna, zwłaszcza płetwy. *Hikhik*. Czasami zdarza się gęś lub kaczka. Tego roku nadlatują wcześniej niż zwykle. Jeśli wypatrzę jutro dzikie ptactwo, to je ustrzelę. – Spojrzała na niego. – Na co masz ochotę?

– Na cokolwiek z tej listy – odparł z uśmiechem – pod warunkiem że jest to miejscowe jedzenie.

– A więc do jutra – odpowiedziała i wróciła do kuchni.

Dafydd spędził męczącą noc, śpiąc w śpiworze na starej, wysiedzianej kanapie. Drugi dzień od świtu do nocy wyglądał tak jak pierwszy. Ludzie przychodzili i odchodzili, jedząc, paląc i bez końca popijając herbatę. Dafydd miał ochotę wyjść i rozejrzeć się po okolicy, ale na tej bezkresnej płaszczyźnie trudno było upatrzeć sobie cel przechadzki. W południe wybrał się nad morze w asyście pięciorga dzieci, jedynych w całej wiosce. Wszystkie chciały z nim rozmawiać o motorach i o filmach. Skute lodem morze chrupotało i dudniło groźnie, jego powierzchnia pękała tu i ówdzie, a dzieciaki tarzały się ze śmiechu, widząc jego udawany strach.

Po powrocie do chaty, zmuszony do bezczynności, stopniowo się odpręzał i rozkoszował samym siedzeniem, leniwie wsłuchując się w

niezrozumiałe rozmowy starszków. Nie przywykł do takiego nieróbstwa. Odpoczynek na steranym fotelu i słodkie leniuchowanie były dla niego czymś zupełnie nowym. Stopniowo zapadał w drzemkę, odnotowując resztkami świadomości, że krzątająca Uyarasuq wprowadza go w trans. Była zaskakująco podobna do zamrożonej dziewczyny, której robił *post mortem*. Okrągła twarz i sztywne czarne włosy, wysokie kości policzkowe i szeroko rozstawione, orientalne oczy.

Wreszcie goście się rozeszli. Głosy dwóch starców zlały się w miły dla ucha rytmiczny pomruk, a dym unoszący się z piecyka wypełnił całą izdebkę. Dafydd odniósł wrażenie, że ogląda sceny z jakiegoś starego filmu, z wyraźnym ziarnem na obrazie. Na dworze panowała taka cisza, że sama stała się rodzajem dźwięku – białym, pustym tonem, trwającym bez końca.

Był do tego stopnia zrelaksowany, że nawet zaczął podejrzewać, czy starszkwowie nie dosypali mu czegoś do herbaty. Albo może zrobiła to ona. Godziny po prostu mijały, co w jego dotychczasowej pracy stanowiło nieosiągalny luksus, a on albo czytał fragmenty książki, którą przywiózł ze sobą, albo przyglądał się spod półprzymkniętych powiek inuickiej kobiecie, próbując odgadnąć, co się kryje za jej egzotycznym, pełnym rezerwy stylem bycia. Robił to ukradkiem, aby ani ona, ani obaj starcy tego nie dostrzegli. Zaczął fantazjować na jej temat. Pomyślał, że chętnie by ją do siebie przytulił za drzwiami kuchni, a ona namiętnie przyłgnęłaby do niego piersiami i przeszyła spojrzeniem swych czarnych oczu. Wyobrażał sobie dalej, że zdjąłby jej spódnicę ze skóry karibu i ściągnął przez głowę grubego sweter, żeby poznać jej kształty. Tymczasem wszystko było ukryte pod warstwami obszernej odzieży. Jednakże odczuł zawód, kiedy na trzeci dzień pojawiła się w kuchni szczupła i drobna, w opiętych na zachodnią modłę dżinsach i w podkoszulku z napisem „Disneyland” na piersi.

– Byłaś w Disneylandzie? – zapytał zaskoczony.

Parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

– Czym się zajmujesz... oprócz opieki nad ojcem? – Wstał i poszedł za nią do małej kuchni, chcąc posłuchać, jak mówi po angielsku.

– Jestem snycerką – odparła, odwracając twarz, by ukryć rumieniec.

– Snycerką? – Dafydd obszedł ją dookoła. – Jakiego rodzaju?

– Rzeźbę w kamieniu. Głównie w steatycie. Jest najłatwiejszy. Czasami używam kości. Wielu naszych się tym zajmuje. Połowa ludzi w tej osadzie żyje ze sprzedaży rzeźb.

– Mógłbym zobaczyć którąś z twoich prac?

Wyminęła go, idąc do zlewu. Podreptał za nią i nachylił się, robiąc śmieszny minę.

– Hej, pogadaj ze mną.

Zaśmiała się, jej policzki spłonęły rumieńcem. W świetle padającym z okna wyglądała jak dziewczynka. Ich oczy spotkały się na moment. Ujrzał w nich taką intensywność, że nagle pomyślał, iż się w niej zakochał. Było to dziecinne i zupełnie irracjonalne uczucie, ale w chwili, gdy je sobie uzmysłowił, aż zadrżał z tajonej radości. Musiał stracić głowę, czuł się odurzony powietrzem, nagłą wolnością, dystansem, jaki dzielił go od ludzi pokroju Sheili czy Hogga. Popatrzył na niewinną buźkę Uyarasuq, pragnąc ująć ją w dłonie i ucałować, ale nie śmiał tego zrobić. Poczł się tak, jakby znowu miał czternaście lat i szalał za Pakistanką, córką sąsiadów. Była dwunastoletnią dziewczynką o nieziemskiej urodzie, z włosami do pasa i oczami czarnymi jak odmęt. Wówczas nie pozwolił sobie nawet na chwilę rozmowy z obiektem swej cielecej miłości, ale w myślach kochał się z nią dzień i noc. Siła tamtego uczucia dawała mu tyle szczęścia, była taka cudowna, że nigdy nie przestawał o niej marzyć.

– Wiem, że pewnie nie wypada mi pytać, ale... ile masz lat? – Ogarnęło go podniecenie i od razu poczuł się grzeszny. Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież miała męża, więc nie jest aż taka młoda. Może wydano ją za mąż, gdy miała kilkanaście lat. Tak czy inaczej, nie była dziewczicą.

– Odpowiem ci – powiedziała – ale nie uważam, że to grzeczne pytanie. W przyszłym tygodniu... w srodę, skończę dwadzieścia sześć lat. – Tym razem spojrzła na niego śmieiej. – Ty jednak będziesz już wtedy gdzie indziej.

No właśnie. Jasne. Już go tu nie będzie. Po co miałyby się wdawać w ten flirt, nawet zupełnie niegroźny? Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że za bardzo polubi się drugą istotę, że stanie się ona zbyt bliska. Ona nie mogła sobie pozwolić na zaangażowanie uczuciowe. W takim miejscu albo człowiek wiąże się z kimś na serio, albo wybrany odjeżdża. Nie ma innego wyjścia.

– Nie skaczę z kwiatka na kwiatek – odezwał się. Chciał, żeby mu zaufała, ale cóż więcej mógłby jej powiedzieć. Lepiej nie zdradzać się z załążkiem uczucia, skoro wiadomo, że to czyste szaleństwo.

Znienacka wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów.

– Są jak futerko młodego zajączka – rzekła z uśmiechem. – Takie delikatne i miękkie... – Owinęła sobie pukiel jego włosów wokół palca. Dafydd chwycił jej rękę i przyciągnął sobie do ust, całując wnętrze dłoni i nadgarstek. Jednocześnie patrzył jej w oczy, obserwując reakcję. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić, bo to nie fair. Ona tymczasem spuściła powieki i cofnęła się o krok.

– Twoje są jak końskie włosie – rzekł.

– Ale mi komplement! – Zamachnęła się na niego ścierką. – Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam konia, chyba że na obrazku czy na filmie. Wiem, że kiedyś, dawno temu robiono materace z końskiego włosia.

– Z twoich byłby cudowny – odparł.

Prychnęła, udając niezadowolenie, ale w jej oczach rozbłyły iskierki. Przeszła do głównej izby i dorzuciła naręcze drewna do piecyka. Pochylając się, wypięła ponętny, okrągły tyłeczek. Miała dość krótkie, ale kształtne nogi. Jej dżinsy wydawały się mu niestosowne, może wskutek romantycznych wyobrażeń i głupich przesądów. Mimo że znajdowali się w niecodziennej scenerii, a ona niewątpliwie wyglądała cudzoziemsko, w głębi ducha była z pewnością nowoczesną kobietą.

Nazajutrz rano stał w oknie, obserwując, jak sąsiad Ćwiartuje fokę. Jasnoczerwona krew na śniegu wyglądała jak plama gniewu.

– Chodź tu – zawołał Angutitaq, klepiąc obok siebie miejsce na kanapie. – Jesteś znużony i niespokojny?

– Nic podobnego. Rozkoszuję się waszą gościnnością.

Niedźwiedź poczłapał do kuchni, gdzie Uyarasuq zmywała naczynia po śniadaniu. Wywiązała się między nimi ożywiona rozmowa, przerywana wybuchami śmiechu. Dafydd wsłuchiwał się w nią zaskoczony. Poczłapał się trochę zazdrosny. A więc ona nie jest taka nieśmiała. Pewnie wskutek niewierności męża nie ma zaufania do młodych mężczyzn. Może przeszkodę stanowi to, że jest tu obcy, a może wcale jej nie obchodzi, że patrzy na nią z takim zapamiętaniem.

Angutitaq obserwował go badawczo.

– Jesteś człowiekiem, który przed wyjazdem stąd musi pokonać ból w sobie.

– Ja? Co masz na myśli?

– Powrócisz do Kanady, gdy mgła w twojej głowie się rozwieje. Ta cisza będzie cię wzywać. Przyjedziesz tu i osiądziesz na dobre.

– Och? – Dafydd nie chciał rozczarować starego, ale nie mógł uwierzyć, że miałyby zatęsknić do tej północnej krainy. Mimo jej olśniewającej urody i reżimu, którego nauczył się przestrzegać, a nawet go polubić, uważał, że jest przypisany swojej ziemi rodzinnej, z jej deszczem i mgłą przez okrągły rok.

Angutitaq kaszlnął, przerywając Dafyddowi ciąg myśli, i machnął w jego stronę cybuchem fajki.

– Wiem o *quattiaq*, duchu dziecka, który cię prześladowuje. Nasz stary przyjaciel opowiedział mi, w jaki sposób *quattiaq* zaczął cię dręczyć.

– Myślę, że to ja – odparł Dafydd cichym głosem. – Ja sam jestem swoim prześladowcą, i to z bardzo konkretnego powodu.

– To także – zgodził się Angutitaq, kiwając powoli głową. – A ludzie... ludzie muszą sobie wynaleźć kogoś, – na kogo zwałą winę. Wtedy taki człowiek musi nieść ich wspólny ból i odjechać od nich jak najdalej.

– To nie było tak – zaprotestował Dafydd. Nie chciał, żeby obarczono odpowiedzialnością innych. – Popełniłem ogromny błąd i muszę z tym żyć. Uciekłem stamtąd, bo nie mogłem patrzeć na to, co zrobiłem. Taki był powód, mówiąc prosto i jasno.

Drzwi od kuchni zamknięto, więc do izby docierały tylko strzępy wesołej rozmowy. Drewno w piecyku trzaskało gniewnie.

– Oczywiście. Znam to z własnego doświadczenia. Jednakże jesteś jak garść mchu nasiąkniętego bólem, który towarzyszy ci w każdym zakątku świata. Jesteś tutaj – Angutitaq wyciągnął ramiona, dając do zrozumienia, że chodzi mu o całą Arktykę – i aż ci ciężko od dźwigania brzemienia, jesteś niczym przeładowany *kamotik*.

To fakt, brzemień winy ciężącej na nim czuł całym sobą. Obaj mężczyźni siedzieli bez słowa, wpatrując się w ogień. Angutitaq nucił coś pod nosem. Znienacka trzepnął Dafydda w kolano cybuchem fajki.

– Widzę *quattiaq*, i on spogląda na mnie jak dobry duch. Przypomina trochę liska z długim pyszczkiem. Ale nie jest zły. – Gospodarz utkwiał wzrok w swoim gościu. – To niewinny duch, a w jego oczach widać wiele mądrości. Jeśli mu pozwolisz, pomoże ci.

– Nie! – wykrztusił Dafydd. – Nie rozumiesz? Jestem odpowiedzialny za...

Starzec szybko uniósł dłoń i przymknął oczy.

– On tutaj jest. Poproszę, żeby się ukazał. Wtedy już nie będziesz się tak bał.



Dafydd pokręcił głową.

– Nie wiem... – przełknął ślinę. Dziecko, którego twarz prześladowała go w snach... W jaki sposób stary wiedział o jego lisich kształtach? Nie podobała mu się ta rozmowa. Przerazała go.

– *Unnirniaqquitit*. – wykrzyknął Angutitaq.

W izbie zrobiło się ciemniej, jakby czas przyspieszył. To wszystko roi mi się w głowie – pomyślał Dafydd. Jestem podenerwowany, napięty...

Wówczas starzec zaczął nucić: – *Alianait, alianait, alianait*... – Była to surowo brzmiąca pieśń, może rodzaj zaklęcia. Nadal miał przymknięte oczy, a sękaty palec złożył na piersi. Dafydd poczuł lęk, zastanawiając się, czy stary czegoś od niego oczekuje. Jednakże w miarę trwania pieśni uspokajał się, a nawet spodobał mu się ten stan. Odgłosy z kuchni ucichły, wokół domu zerwał się lekki wiatr. Nagle w izbie jeszcze bardziej pociemniało, jakby zapadła noc. Dafydd zauważył w duchu, że pieśń przynosi mu ulgę. Nie chciał, by cokolwiek go rozpraszało. Oparł się w fotelu i zamknął oczy w otaczającej go ciemności. Zagadkowa melodia ciągle rozbrzmiewała, przywołując na myśl archaiczny hymn. Głos Angutitaqy był tak głęboki, że ciało Dafydda rezonowało od podeszew stóp, przez nogi, aż do tułowia. Chciał dołączyć do śpiewu, ale był jak pijany. Pojawiła się przed nim twarzyczka Derka, nie blada i zapadnięta, jak podczas choroby i w chwili śmierci, lecz różowa, z tryskającymi życiem oczami. Dafydd uśmiechnął się. Dostrzegł wówczas wewnątrz owalu tej twarzy wydłużony i spiczasty pyszczek lisa, jego łobuzerski grymas. W oczach zwierzątka znać było inteligencję i mądrość, co go wzruszyło, napełniło odwagą i wyzwoliło z mroku.

Gdy zapanował jeszcze głębszy spokój, głos starca zaczął drżeć, jakby siły stopniowo go opuszczały. Zarys postaci Derka rozpląwał się, tracił ostrość, wreszcie znikł. Pieśń oddalała się, słabła... stawała się echem z cichego nieba Arktyki.

Kiedy otworzył oczy, zorientował się, że jest w izbie sam. Zaskoczyło go światło z za okna. Resztki żarzącego się polana w piecyku ciągle świeciły czerwonym blaskiem, lecz w całym domu było cicho. Dafydd odniósł wrażenie, że wszyscy wyszli. On sam miał zeszywniałe członki, ciążyła mu głowa. Wstał i rozprostował się. Ziewnął, aż trzasnęło mu w szczęce. Nagle zachciało mu się strasznie pić, jak gdyby przewędrował pieszko całą pustynię.

Miał opuchnięty język. Ruszył do niedużej łazienki, a ponieważ nie było w niej okna, zapalił zapałkę i przytknął ją do knota *qulliq*, kamiennej, pięknie rzeźbionej lampy w kształcie półksiężyca, wypełnionej foczym tłuszczem. Wypił mnóstwo kubków wody. Umył zęby. W lusterku nad umywalką dostrzegł na swoich policzkach trzydniowy zarost. Miał za długie, niesforne włosy, skręcone w loki. Przyglądając się z bliska swej twarzy, czego nie robił od dawien dawna, wybuchł śmiechem. Wyglądał jak naćpany hippis, ruina człowieka. Tym był w istocie. Ale nawet wydając sobie tak jednoznaczną ocenę, nie potrafił opanować konfliktu wewnętrznego. Pamiętał przecież, jak to było, kiedy miał do siebie szacunek, a patrząc w lustro, widział przystojnego, wręcz urodziwego faceta z głową pełną planów na przyszłość. Od jego rozpadu psychicznego minął rok z okładem. Może rok wystarczy.

Stojąc tak w ubogiej łazience, poczuł nagły przyptyw optymizmu, brzemie przestało mu ciążyć i gdzieś się oddaliło. Garść mchu wyciśnięto jak gąbkę, zatruta woda wyciekła, a on sam doznał duchowego przebudzenia. Był lekki, zwawy, gotów do skoków.

Wysikał się do kubła, rozebrał do naga i stanął na czymś w rodzaju tacy, która służyła za brodzik prysznic. Pod wątłym strumykiem zimnej, zabarwionej tlenkiem miedzi wody poczuł się tak wspaniale, jakby zażywał kąpieli pod wodospadem w górach. Wytarł się i ubrał, wreszcie oskrobał zarost czyjąś tępą brzytwą, aż do krwi zacinając się w szyję.

W kuchni natrafił na Uyarasuq, siedzącą przy stole w kompletnym milczeniu.

– Ojcowie pojechali z wizytą – odezwała się na jego widok. – Wróć późno.

– A ty co tu robisz? – zapytał zaskoczony.

– Daję odpocząć starym kościom – odparła, wyglądając świeżo jak nastolatka.

– Chyba spałem wiele godzin.

– Wspomniałeś, że chcesz zobaczyć moje rzeźby. – Zauważył, że jej biała karnacja pokrywa się rumieńcem. Odwróciła głowę zawstydzona.

– Z przyjemnością. Gdzie one są?

– U mnie. – Wstała i nałożyła kurtkę puchową. Dafydd rozglądał się za swoim okryciem. Przypomnił sobie, że wcisnął je do śpiwora wetkniętego za kanapę. Na dworze było w miarę ciepło, a niebo miało barwę spranego

błękitu. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Uyarasuq wzięła go za rękę i poprowadziła wokół zabudowań do swojego domku tuż nad brzegiem morza. Mieszkała w jednoizbowej komórce, nie większej od przyczepy samochodowej, jaką jego rodzice jeździli na wakacje, kiedy był chłopcem. Powietrze wewnątrz było wilgotne wskutek wyziewów z piecyka na gaz. Na ścianach, od podłogi po sufit, ciągnęły się wąskie, długie półki, na których stały różne rzeczy. Nieduże rzeźby znajdowały się wszędzie: myśliwi z harpunami, wieloryby, niedźwiedzie polarne, foki, różne ptaki. Były piękne.

– Zachwycające! – wykrzyknął Dafydd. – Gdzie je sprzedajesz?

– W galeriach *kablunait* – odparła, mrugając do niego. – No wiesz, białego człowieka.

Jeśli się z niego nabijała, nic sobie z tego nie robił.

– A więc czasami jeździsz na południe? – zapytał.

– Nie. Kilka kilometrów stąd jest stacja badawcza. Oni biorą od nas te prace... dostając swoją dolę, rzecz jasna. – Postawiła na blasze czajnik z wodą, a ich kurtki powiesiła na gwoździu wbitym w drzwi. – Nie jesteś aż taki biały.

– Dlaczego uważałam, że wszyscy Europejczycy mają bardzo jasną skórę? Niemniej znacznie różnisz się ode mnie.

Siedział na stołku, trzymając w rękach jedną z jej rzeźb. Czuł pod palcami chłodną gładkość kamienia. Uyarasuq podeszła, położyła mu rękę na głowie i rozwichrzyła włosy jak dziecku.

– Inny materiał, miękki, może trochę za delikatny.

Spojrzał jej w oczy. Co o nim wiedziała? Może usłyszała fragmenty jego dziwnej rozmowy ze swoim ojcem, szamanem, albo Niedźwiedź wspomniał, dlaczego postanowił go do nich przywieźć. Jednakże w jej wzroku nie wyczytał litości czy pobłażania. Postawił rzeźbę na kolanach i objął Uyarasuq w talii, jakby mierząc jej obwód. Poczuł smukłą kibić zwężającą się od bioder w górę. Nie wzbraniała się. Po chwili opuścił dłonie. – W porządku – mruknęła.

– Przepraszam... nie mogę ulegać impulsom. My, *kablu*... czy jak tam nas nazwałaś, okropnie pchamy się do przodu. Na tym właśnie polega to białe imperialistyczne świństwo...

Roześmiała się i biorąc go za ręce, położyła je z powrotem w talii. Przytknął głowę do jej brzucha. Burczało w nim z głodu. Przystawił ucho, żeby lepiej słyszeć. W tych dźwiękach była jakaś potężna ziemską siłą,

odległy grzmot i błyskawica, erupcja wrzącej lawy, szum bezkresnych lasów, jakby ukryła w sobie mały wszechświat. Zupełnie osobne miejsce – egzotyczne, fascynujące i zakazane. Pragnął się tam znaleźć, w środku niej, wtargnąć ciałem w jej sekretny kosmos.

Czajnik zaczął gwizdać, więc Uyarasuq wymknęła mu się. Dafydd tymczasem rozglądał się z ciekawością. Zauważył skromne umeblowanie. Ta dziewczyna egzystowała chyba głównie na łóżku. Rozłożyła tam książki, papiery, ubrania, szycie, a nawet talerz ze skórkami chleba. Gdy przygotowywała herbatę, wstał, żeby przyjrzeć się z bliska innym rzeźbom. Nie mógł się powstrzymać, żeby ich nie dotknąć. Każda z nich opowiadała o relacji Inuitów ze światem i jego stworzeniami. Wziął do ręki pracę przedstawiającą parę kochanków. Kobieta siedziała okrakiem na mężczyźnie, który również znajdował się w pozycji siedzącej. Oboje wpatrywali się w siebie z szerokim uśmiechem, mocno obejmując się pulchnymi rękami.

Uyarasuq wręczyła mu kubek. Stali w wąskiej przestrzeni między stolikiem i łóżkiem.

– Kiedy wróci twój mąż?

– Nigdy.

Nie wiedział, o co jeszcze zapytać. Może dziewczyna nie lubi takiego wtrącania się w jej sprawy.

– Chcesz mnie, prawda? – odezwała się.

– Tak. – Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. – Chcę. Ale nie myśl...

– W porządku – przerwała mu. – Minęło jednak trzy lata, odkąd byłam z mężczyzną. Pewnie nie wiedziałabym, co należy robić.

– Nie musisz niczego robić. Nie przyszedłem tu z jakimiś konkretnymi planami – odparł, czując się niezręcznie. – Może usiądziemy? – Przycupnęli na skraju łóżka, popijając gorącą herbatę. Po chwili Uyarasuq wstała i zaczęła zbierać rzeczy z narzuty, z pewnym trudem upychając je po kątach. W izbie nie było szafy, więc złożone ubrania powędrowały na półkę. Książki i papiery ustawiła w kupkach na stole. Dafydd poczuł nagle, że ogarnia go stan bliski paniki. To idiotyczne, przecież od dawien dawna nie był prawiczkim. Bardzo jej pragnął, a zarazem sprawiał wrażenie nowicjusza, beznadziejnie niewtajemniczonego w rozkosze sypialni. Czuł jednak rosnące napięcie w lędźwiach. Ten organ nic sobie nie robił z jego wewnętrznej walki z pogwałceniem zaufania i zasad gościnności.

Kiedy Uyarasuq uprzątnęła łóżko, wyjęła mu z rąk kubek i zgasiła światło. Za oknem panował szary zmrok. Dafydd podszedł do dziewczyny. Była od niego sporo niższa, więc żeby ją pocałować, uniósł ją o kilkanaście centymetrów nad podłogę. Roześmiała się, jej nieśmiałość znikła, a oczy rozjarzyły się w mroku izby.

– Rozbierz się – szepnęła.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Bardzo chcę. – Znowu się uśmiechnęła i rozsunęła mu suwak ocieplacza.

Kiedy zdołał zrzucić z siebie wszystko, uzmysłowił sobie, że nie był nagi od wielu miesięcy, jeśli nie liczyć szybkich skoków pod prysznic z wiecznie niedomytym brodzikiem. Wskutek wilgotnego ciepła panującego w izbie poczuł jeszcze większe podniecenie. Gdy pomagał jej się rozebrać, członek w erekcji przeszkadzał mu jak ciężarek z ołowiu. Jej sutki były ciemne, umieszczone wysoko na drobnych piersiach. Ukląkł, by je pocałować; pod wpływem pieczyoty stwardniały niczym kamyki. Pieścił je językiem tak długo, że aż zdrętwiał mu kark. Wtedy rzucił dziewczynę na łóżko.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na widok jej czerwonych jedwabnych fig i zapytał, gdzie, na miłość boską, je kupiła.

– W sprzedaży wysyłkowej, rzecz jasna. – Prychnęła, klepiąc go po nosie. – A czego się spodziewałaś – majtek z kory brzoźowej lub z foczej skóry?

– Tak – droczył się. – Jestem rozczarowany.

– I wiązki mchu zamiast podpasek higienicznych?

– Właśnie. – Z jaką łatwością czytała mu w myślach. Delikatnie ściągnął figi, żeby nie uszkodzić haftów.

– Założyłaś je celowo? Zaplanowałaś to?

– Tak... ale ja zawsze noszę piękną bieliznę, żeby przypominać sobie, że jestem kobietą.

Gdyby te majtki nie były tak wyraziście obecne, pewnie by je skradł, ale ona natychmiast odkryłaby ich brak i pewnie by pomyślała, że chciał zdobyć trofeum. I tak bardzo by się nie myliła. Bycie tu, w łóżku, z piękną i egzotyczną kobietą, było najwspanialszym doświadczeniem całego roku. Chwilą, której nigdy nie zapomni. Wpatrywał się w jej blade ciało, którego szczegóły stopniowo nikały w zapadającym zmroku. Jej mały czarny trójkąt był dokładnie taki, jaki wyobrażał sobie w trakcie erotycznych

fantazji. Zaczął go całować, pocierając nosem o szorstkie włosy łonowe, wciągając w nozdrza jej zapach. Znajdował się w niebezpiecznym momencie, bliski wytrysku, ale powstrzymał się, zmuszając do myślenia o trudnych sprawach. Całowali się długo, leżąc przytuleni do siebie. Uyarasuq roześmiała się nagle, wyrażając tym czystą radość, a on jej zawtórował.

Chciał z nią przez chwilę porozmawiać, usłyszeć jej głos i przyjrzeć się jej uważniej, ale ona wślizgnęła się pod niego. Gdy poczuł, jak ustami pieści jego członek, rozkosz okazała się zbyt obezwładniająca. W ciągu paru sekund erekcja ustąpiła. Choć gorąco pragnął tej kobiety, nie mógł zaufać samokontroli, niezbędnej do wtargnięcia w nią. W ten sposób wszystko za szybko by się skończyło. Odsunął się więc i ułożył ją na plecach, by w tej pozycji sprawić jej rozkosz. Delikatne fałdy ukryte pod czarnym trójkątem były dziewicze, niemal dziecinne. To natychmiast wzbudziło w nim niepokój. Uprzytomnił sobie jednak, że ona go również pragnie i że jest dorosłą kobietą, a nie dziewczynką w wieku prokuratorskim. Wskutek jego pieszczot Uyarasuq wydała z siebie stłumiony krzyk.

– Coś nie tak? – wyszeptał ze strachem.

– Ależ nie, to cudowne. Nie przerywaj. – Miała powody do płaczu, smutku, samotności, frustracji. To była prawdziwa miłość, nawet jeśli trwała zaledwie kilka krótkich godzin. I zostanie okrutnie jej odebrana. Nazajutrz on odjedzie. Nie mógł o tym myśleć. Nagle stało się to strasznie przygnębiające. Stopniowo jednak pożądanie zaczęło brać górę nad refleksjami. Podciągnął się na rękach i leżąc na niej, zaczął zlizywać łzy spływające jej po twarzy.

– Czy mogę? Jesteś zabezpieczona?

– To bezpieczny okres – odparła.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma w pełni bezpiecznej fazy cyklu menstruacyjnego, ale, z drugiej strony, przed czym miałyby się tu chronić? Nie mając żadnego mężczyzny? Niemniej oderwał się od niej, wyskoczył z łóżka i począł obmacywać ubranie w poszukiwaniu portfela, w którym od wielu miesięcy trzymał wymięte opakowania kondomów.

– Nie chcę mówić, że ja nie... – tłumaczył się mętnie, wyciągając nieestetyczną gumkę.

– Świetnie. Wszystko jest świetnie – zapewniła go.

Jej ciasna pochwa sprawiła ból obojgu. Uyarasuq skrzywiła się. Dafydd wyszeptał słowa przeprosin i zaczął się wycofywać, ale ona chwyciła go

obiema rękami za pośladki, by go w sobie zatrzymać. Po chwili poprosiła, żeby śmiało robił swoje. Kiedy doprowadził ją do orgazmu, wreszcie spuścił się sam, i to z taką siłą, że gwiazdy rozbłysły mu w oczach.

Szedł w stronę domku gospodarza. Niebo w końcu stało się czarne, ale noc była jakby podświetlona. Na widok miliardów błyszczących gwiazd stanął jak wryty. Niebywały ogrom i świetlistość wszechświata były dla niego zupełnie nowym przeżyciem. Z dnia na dzień stawało się coraz jaśniej, ustępująca ciemność dawała początek arktycznemu latu. O tej porze na niebie pod inną szerokością geograficzną nie widać gwiazd.

Idąc ścieżką, uśmiechał się do siebie i podśpiewywał pod nosem. Wilgotna para jego oddechu w mroźnym powietrzu była jak potężny dech boga Thora, dający życie burzom, chmurom i gromom. Czuł w sobie siłę i energię, był niczym chłopiec na skraju męskości. Dumny z siebie, spełniony, pełen oczekiwań, gorąckrwisty. Roześmiał się głośno. A niech to, zakochał się po uszy, oszalał z pożądania, był całkiem ogłupiały. Ale zarazem poczuł w sobie ład, rodzaj promieniowania, które rozprzestrzeniało się na wszystkie członki. Nie pozwalał sobie na refleksje. A w każdym razie nie na temat przyszłości. Nie wolno mu zakłócić obecnego stanu.

Nagle odległy huk podobny do dźwięków pękającego kryształu kazał mu stanąć i spojrzeć w górę. Po niebie przebiegła zorza polarna, rozwijając feerię kolorów. Długie ogony czerwieni, żółci i zieleni przelatywały z jednego krańca horyzontu na drugi. Wielobarwne tafle unosiły się i opadały w skomplikowanym tańcu. Był to tak niewiarygodny widok, że Dafydd stał jak zaczarowany, z zachwytem wpatrując się w niebo. Wspominano mu kiedyś o fenomenie tego nieziemskiego dźwięku. Muzyka północnych światła była rzadkim zjawiskiem. Wielu ludzi spędziło w Arktyce całe życie, nigdy nie mając okazji jej posłuchać.

Dafydd pragnął zawrócić i wyciągnąć Uyarasuq z przytulnego łóżka, żeby przeżyła tę upojną chwilę razem z nim. W tej przeogromnej świątyni pod nieboskłonem połączyłaby ich tak, jak żadna inna ceremonia. Wiedział jednak, że ich związek nie ma przyszłości, więc idąc przed siebie, starał się wszystko zapamiętać zmysłami. Przynajmniej ten dzień, ta noc będą mu towarzyszyły wszędzie, gdziekolwiek się znajdzie. Ponieważ stał się jak nowo narodzony, odzyskał pełnię człowieczeństwa.

Śpiący Niedźwiedź był jak na siebie niezwykle milczący.

– Wiesz co, młody człowieku? – odezwał się bez entuzjazmu. – Przelecimy się helikopterem.

– Naprawdę? Jak to załatwiłeś? – odparł Dafydd, biorąc się za płat *nattiaviniit*, mięsa foki urodzonej ostatniej wiosny. Miał wilczy apetyt i spoglądając za plecami starego na Uyarasuq, mrugnął do niej porozumiewawczo. Ona z uśmiechem odkroiła mu następną porcję.

– Ten młody ksiądz... nie anglikański, ale cholerny jezuita – Niedźwiedź udał, że splota na podłogę – zorganizował to w ten sposób, że zabierze nas ze sobą ta grupa ze stacji badawczej.

– To miło z jego strony... no i tamtych – odezwał się Dafydd z pełnymi ustami. – Odwołałeś już naszego pilota?

– Jasne. Zaoszczędzimy w ten sposób trochę dolców – odparł Niedźwiedź, jedząc z wyraźnym trudem. Starte zęby nie dawały sobie rady z wędzonym mięsem foczym, choć Uyarasuq pocięła mu je na małe kawałki. – Oni jadą na koncert do Yellowknife. Wyobrażasz sobie? Tyle forsy wydać na zachcianki. – Wskazał kciukiem na Uyarasuq. – Na pewno się obłowili na sprzedaży jej rzeźb. Pieprzone hieny.

Kobieta położyła mu rękę na ramieniu.

– Mamy się dobrze, dziadku – uspokajała go. – Czy czegoś nam brakuje?

Niedźwiedź spojrzał na nią z taką czułością, jakiej Dafydd nigdy nie dostrzegł w jego oczach. Poklepał ją po ręce, ale się nie odezwał. Tymczasem z łazienki wyszedł Angutitaq, wyglądając gorzej niż zwykle. Odnosiło się wrażenie, że jeszcze bardziej się przygarbił, a koślawe nogi już zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa. Przypuszczalnie obaj pociągnęli sobie z butelki Niedźwiedzia z rzekomym lekarstwem.

Choć Dafydd tryskał humorem, reszta towarzystwa była zdecydowanie przygnębiona. Śniadanie wyglądało jak jakiś mroczny finał. Dwaj starcy zapewne zdawali sobie sprawę, że to ich ostatnie spotkanie. Uyarasuq była smutna z sobie znanych powodów, a Dafydd przeżywał euforię, zarazem obawiając się, że gdy tylko wróci do domu, wpadnie w straszny dół psychiczny. Do domu?

Niedźwiedź miał rację, gdy się upierał, że Dafydd potrzebuje porady, ale pacjent nie wyobrażał sobie, że przybierze ona taką formę i że będzie miała taki dogłębny skutek. Dodatkową sprawą było niepojęte zakochanie się w kobiecie, którą przecież ledwie znał. Nigdy nie przytrafiło mu się coś



podobnego, więc liczył w duchu, że gdy opuści to niezwykle miejsce, ujrzy wszystko z innej perspektywy. Został zaczarowany – w jaki inny sposób mógłby sobie wyjaśnić to, co go tu spotkało?

Pół godziny później powietrze rozdarł ryk nadlatującego helikoptera. Do obcych dźwięków dołączył jazgot psów husky, tworząc dziką kakofonię. Angutitaq poklepał Dafyddą po ramieniu.

– Jeśli nauczysz się żyć w spokoju, lisek wróci do ciebie. Opowie ci o rzeczach, których nikt inny by ci nie zdradził. Rozmawiaj z nim, gdy będziesz w kłopotach.

Podczas gdy dwóch starców półgłosem wymieniało uwagi na dworze, Dafydd w kuchni przyciągnął do siebie Uyarasuq.

– Nie żałuję tego – stwierdziła stanowczym tonem, ale jej duże oczy były podejrzanie błyszczące.

Chwycił ją za szorstkie włosy, odchylił głowę i mocno pocałował w usta. I chociaż usilnie szukał w myślach jakiegoś wyznania, nie potrafił znaleźć żadnego słowa, które mogłoby wyrazić to, co czuł.

## **CZEŚĆ DRUGA**

## Rozdział 13

*Moose Creek, rok 2006*

Właścicielka pensjonatu „Fartowny Poszukiwacz Złota” oznajmiła, że należy się spodziewać nowych opadów śniegu.

– Zbliża się prawdziwa zima. Mamy jakiś wybór? – spytała, przekrzywiając głowę, jakby w oczekiwaniu, że Dafydd wyjaśni jej motyw swego przybycia o tak ciężkiej porze roku. On jednak tylko pokiwał głową, robiąc mądrą minę. Poprosiła go o paszport i zaczęła spisywać niezbędne dane. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego zdjęcie, po czym spojrzała na niego.

– Ależ ja pana pamiętam! – wykrzyknęła wyraźnie ucieszona. – Dafydd Woodruff.

– Przepraszam – odparł, przyglądając się jej rozbawionej twarzy. – Pewnie powinienem przypomnieć sobie panią, ale jakoś nie potrafię.

– Proszę się nie martwić. Biorę to jako najlepszy komplement. – Zaśmiała się, sprawiając wrażenie autentycznie rozradowanej.

– Nie zachowałem się grzecznie, co? – spytał Dafydd z zawstydzoną miną.

– O, nic podobnego. Pracowałam kiedyś w barze hotelu Klondike. Jestem Tillie. Czy to panu coś mówi?

– Dafydd spojrzał na nią uważnie. Oczywiście, doskonale pamiętał Tillie, grubaskę o rysach Shirley Temple. Zawsze witała go tam dobrym słowem i szczerym uśmiechem. Cieszył się, gdy go obsługiwała, bo robiła to z macierzyńskim wręcz ciepłem, gotowa spełnić wszelkie jego życzenia dotyczące drinków i potraw.

– Tillie... nie mogę wprost uwierzyć! – wykrzyknął. – Świetnie wyglądasz.

Za kontuarem z grubego plastiku stała kobieta lekko po czterdziestce, szczupła i zgrabna, z uroczą młodzieńczą twarzą i złotymi loczkami ściągniętymi w dziewczęcy koński ogon.

– Sposób, w jaki tego dokonałaś, powinnaś opatentować. Zostaniesz wtedy najbogatszą kobietą na zachodniej półkuli.

Tillie poczerwieniała z zadowolenia. Była rzeczywiście ładna. Gładka cera, malutki zadarty nosek i usta jak pączek róży, słowem laleczka.

– Możesz mi powiedzieć, żebym się nie wtrącał w cudze sprawy, ale spytam: jak to zrobiłaś?

– Uzdrowił mnie pewien miły lekarz, który pracował tu przez jakiś czas. Ponieważ stale czułam się zmęczona, wykrył, że mam znaczną niedoczynność tarczycy. Zapisał mi pastylki i straciłam na wadze.

– No cóż, szkoda, że to nie ja jestem twórcą tego cudu – stwierdził Dafydd z emfazą. – Straciłem okazję zostania bohaterem. Ale może nie odznaczałem się wtedy zbyt... wyobraźnią?

– Był pan super – odparła Tillie. – A ja z kolei nigdy się nie zjawiłam u pana w gabinecie, nie dałam więc sobie szansy. – Po chwili dodała: – Wiele osób bardzo pana ceniło. Część z nich była zawiedziona, gdy odjechał pan po tak krótkim pobycie. Przywykli do pana... i do pańskiego stylu bycia.

– Ach, tak, do mego stylu bycia. – Dafydd uśmiechnął się. – Skrupulatność aż do absurdu.

– Tillie odwzajemniła uśmiech, ale, sądząc z jej miny, nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

– Pokażę panu pokój. – Wąskimi schodami zaprowadziła go na pierwsze piętro. W ciemnym korytarzu ciągnął się rząd plastikowych drzwi. Wyglądały rozpaczliwie smutno. Jednakże gdy gospodyni otworzyła drzwi do pokoju numer sześć, wewnątrz okazało się jasne i przestronne, z ogromnym łóżem ozdobionym purpurowym baldachimem. Tillie zauważyła, jak Dafydd mu się przygląda.

– To mój najlepszy pokój. – Podeszła do łóżka i pieszczotliwie przeciągnęła ręką po narzucie. – Od czasu do czasu zatrzymują się tu nowożeńcy. Na ogół są bardzo zadowoleni z... materaca.

– Doskonale, Tillie. Bardzo się cieszę, że cię odnalazłem. Podjechałbym z lotniska wprost do hotelu Klondike, ale kierowca nigdy o czymś takim nie słyszał.

– Kilka lat temu lokal doszczętnie spłonął. George'a aresztowano. – Tillie wygładziła nieistniejące załamki na kapie. – Za podpalenie wylądował w pudle. Nie mógł spłacić kredytu za nieruchomość. Bardzo mu współczuliśmy. Taki pech.

Dafydd przyjrzał się tej kobiecie z niewinną twarzą. To cały Moose Creek. Zdążył już zapomnieć o swoistym kodzie, którego przestrzegali na

pozór zwykli mieszkańcy tej osady i który w obliczu niepowodzeń pozwalał im uniknąć wszelkiej odpowiedzialności. Podpalenie było na porządku dziennym, skoro nie można było spłacić kredytu. Człowiek musiał zrobić to, co trzeba. Dafydd poczuł wielką chęć opowiedzenia Tillie, z jakiego powodu się tu znalazł. Zapytać, jaka jest jej opinia na temat kobiety, która zaszła w ciążę, a następnie przez całe lata milczała o urodzeniu dzieci. Może słyszała coś o Sheili i bliźniętach. Instynktownie wyczuł, że zrozumiałaby jego niedorzeczną sytuację i pewnie nawet by mu współczuła. Jednak, z drugiej strony, dlaczego właściwie miałyby stanąć po jego stronie? Jako kobieta patrzyłaby na tę sprawę z kobiecej perspektywy. Zwłaszcza jeśli w grę wchodziła pokrzywdzona, samotna matka, pozostawiona własnemu losowi w walce o byt swoich dzieci. Dał więc sobie spokój z wyznaniem, za to przyszło mu na myśl, że wkrótce przyda mu się to purpurowe łóżko.

– O której podajecie śniadanie? – zapytał.

Miasto zmieniło się i rozrosło. Odkąd zbudowano autostradę, ludzie nadciągali masowo. Większość nie zostawała tu długo, ale wśród tych, którzy liczyli na wydobycie ropy i gazu, gadali o kopalniach diamentów, powiększali szeregi ekoturystów lub ich przeciwników – myśliwych, wędkarzy, różnego rodzaju przedsiębiorców, poszukiwaczy złota i cwaniaków – istniało entuzjastyczne grono pionierów, wypełniających nowo powstałe bary. Dudniącymi głosami roztaczali perspektywy powrotu na południe z kieszeniami wypchanymi forszą, diamentami i złotem. Unosili kufle, z góry gratulując sobie sukcesu.

Wznowiono negocjacje na temat rurociągu, ale niedawne ustawy dotyczące praw miejscowej ludności do tych terenów nie ułatwiały sprawy. Rokowania ślimaczyły się, ponieważ różne ugrupowania etniczne musiały uzgodnić wspólne stanowisko i wobec rządu, i rekinów naftowych. Te wszystkie szczegóły niezbyt interesowały przybyszów, którzy żyli z dnia na dzień, wierząc, że na tych, którzy tu pozostaną, spadnie wkrótce złoty deszcz.

Podczas śniadania Tillie barwnie opowiedziała Dafyddowi o wszystkich nowinach, a on, nawet nie rozpakowawszy walizki, postanowił przejść się po mieście i na własne oczy odnotować zmiany. Na miejscu starych, zaniedbanych domów powstały nowe, równie odstręczające. Nikt tu nie

zważał na estetykę i harmonię, wszystko podporządkowano wyłącznie funkcjonalności. Dafyddowi zabrakło komicznego gigantyzmu hotelu Klondike, który nadawał głównej ulicy koloryt kiczowatego Dzikiego Zachodu. Wzniesiono inny, wielki i drogi hotel. Jego wnętrze miało porażać wspaniałością, ale sam gmach przypominał ogromne pudło na buty.

Pierwszy śnieg spadł i prawie się roztopił, jednak nadal było bardzo zimno. O godzinie 16.45 zapadł już mrok. Ponieważ zaczęto zamykać sklepy, Dafydd przyspieszył kroku, żeby zdążyć do domu towarowego Hudson Bay Company, teraz nazywanego po prostu Bay. Chciał tam kupić kalesony i kurtkę puchową. Był zdumiony obfitością i wyborem towarów w miejscu, gdzie za jego czasów znudzone panie domu zaopatrywały się w niemodne łąszki, natomiast zwykły nabywca niewiele mógł znaleźć dla siebie. Zaszedł też do sklepu alkoholowego, w którym kupił bourbona Southern Comfort.

Po powrocie do hotelu nastawił telewizor, otworzył butelkę i nalał do kubka sporo trunku. Zzuł buty, wyciągnął się na różowej kanapie. Mocny alkohol wywołał natychmiastowy skutek, w głowie mu zaszumiało. W telewizji trafił na sam koniec wiadomości. Podawano wieści o katastrofie samolotowej w Europie, jak gdyby Europa była małym, niedostępnym krajem, równie odległym, co Tybet. Potem nastąpiła niekończąca się seria reklamówek. Gdy Dafydd bez skutku naciskał guziki pilota, rozległo się pukanie do drzwi.

– Telefon, doktorze. Przepraszam, ale trzeba go odebrać w recepcji – zawołała Tillie przez drzwi.

Nałożył buty i schodząc, zastanawiał się z niepokojem, któż do niego dzwoni. Tillie podała mu słuchawkę i dyskretnie zniknęła za drzwiami z napisem „Pomieszczenie prywatne”.

– Tu Dafydd Woodruff.

– Dafydd Woodruff. – Głosu Sheili Hailey nie sposób – było zapomnieć.  
– Mógłbyś mieć na tyle taktu, żeby uprzedzić mnie o swoim przyjeździe.

– Sądziłem, że tego przynajmniej mogłaś się po mnie spodziewać – natychmiastowej wizyty w celu podjęcia obowiązków ojca. Skąd się dowiedziałaś, że ja...

– Owszem, masz obowiązki. – Roześmiała się ironicznie. – Nie musiałeś jednak przyjeżdżać. Napisałam ci o tym w liście.

– No cóż, nie lubię być instruowany. – Dafydd poczuł, jak zalewa go

wściekłość, niczym brudna struga w zapchanej studzience odpływowej. – Jestem więc i chciałbym jak najszybciej zobaczyć się z dziećmi.

– Zaraz, powoli. Uważam, że najpierw powinniśmy się spotkać i porozmawiać.

– Kiedy i gdzie chcesz się mną zobaczyć?

– Nie w miejscu publicznym. A może wpadnę do ciebie? Przynajmniej będziemy mogli swobodnie pogadać.

– Jesteś pewna, że chcesz podjąć takie ryzyko? Po tym, co przeszłaś? – zapytał z sarkazmem. – Pamiętasz, prawda... gwałt, wciśnięcie ci narkotyków. Nie należy o tym zapominać. – Zacisnął szczęki, uprzymiawiając sobie, że z czystej głupoty wkracza na niebezpieczną ścieżkę. Niczego, absolutnie niczego nie załatwi tą metodą.

– Och, skończ z tymi zasranymi uwagami – odparła z gniewem. – Nie boję się ciebie. Tylko tchórze zachowują się tak jak ty. – Zamilkła na chwilę. – Słuchaj – odezwała się pojednawczym tonem. – Porozmawiajmy... sensownie.

– W porządku. A zatem u mnie. Kiedy?

– A może zaraz?

Była nadal bardzo piękna. Szczuplejsza, niż ją zapamiętał. Jej nadzwyczaj wysoko osadzone piersi trochę się obsunęły, ale i tak prezentowały się bez zarzutu. Włosy jakby trochę spłowiały i nie były już ogniste, raczej barwy pomarańczowej. Błyszczące niebieskie oczy zapadły się trochę do środka, górne powieki stały się bardziej widoczne. Przypominały oczy Greta Garbo. Wyraźny brak zmarszczek na twarzy i szyi sugerował operację plastyczną. Może zajął się tym wierny Hogg albo Ian, jeśli któryś z nich nadal tu mieszka i pracuje w szpitalu. Krótko mówiąc, Sheila sprawiała wrażenie trzydziestoparoletniej kobiety, chociaż była prawie jego rówieśnicą.

– Wyglądasz... jak okaz zdrowia – rzekł, wyciągając do niej rękę. W ciągu godziny, jaka minęła od ich rozmowy telefonicznej, wypił jeszcze parę głębszych i postanowił w duchu, że będzie nadzwyczaj serdeczny.

– Ty też nieźle się prezentujesz. – Z lekkim uśmiechem ścisnęła mu rękę.

– Z dojrzałością ci do twarzy. Posiwałe skronie u mężczyzny wyglądają seksownie, no i te bujne włosy... – Śmiało zmierzyła go wzrokiem. – Bardzo szczupły, bez śladu brzucha. Tu się nie widuje facetów w twoim wieku w

takiej formie.

Odsunął dla niej różowy fotel, a sam przysiadł na łóżku.

– Hohoho! – wykrzyknęła, patrząc na łożo. – W jakiś porąbany sposób jest seksowne. Pamiętaj jednak, że masz już dwójkę dzieci na utrzymaniu.

– Wciąż to samo poczucie humoru. – Uśmiechnął się zdawkowo i wskazał na butelkę. Sheila potrząsnęła głową. Wobec tego nalał sobie. – Może od razu przystąpimy do rzeczy – zaproponował. – Chciałbym jak najszybciej zobaczyć się z dziećmi. W istocie chcę to zrobić, zanim omówimy całą resztę.

– Mój adwokat stwierdził, że powinnam dostawać minimum dwa tysiące dolarów miesięcznie.

Dafydd studiował jej napiętą twarz, zastanawiając się, czy chodzi wyłącznie o forszę.

– Wiesz, jestem zaskoczony, że akurat teraz obudziłaś się z tą sprawą. Tyle pieniędzy. Minęło tyle lat. Co cię wstrzymywało przed wystąpieniem o alimenty?

Sheila rozsiadła się na kanapie i założyła nogę na nogę. Miała zgrabne łydki. Nie odpowiedziała od razu, lecz przyglądała mu się z nieukrywanym zainteresowaniem, mierząc wzrokiem jego koszulę, dżinsy, kowbojki.

– Nie chciałam komplikacji – odparła wreszcie. – To przez Mirandę, która zapragnęła się dowiedzieć, kim jest jej tata. Trudno ją za to winić, jak sądzę.

Przytknął kubek do ust.

– Dobry trunek – orzekł, spoglądając na nalepkę butelki. Chciał w ten sposób zyskać na czasie. W środku aż się kulił pod wpływem jej bezwzględного spojrzenia. Musi jednak poruszyć zasadniczą kwestię. Trzeba to zrobić, i tyle. Nabrał tchu, wiedząc, że nie przyjdzie mu to łatwo. – Powiem szczerze: nadal nie potrafię się z tym pogodzić. Nie umiem sobie odpowiedzieć, w jaki sposób naciągnęłaś te wyniki, ale z pewnością istnieje jakieś racjonalne wyjaśnienie. Przecież nie odbyliśmy ze sobą stosunku.

– Nie wierzę! – zachichotała Sheila. – Znowu zaprzeczasz. – Jej rozbawienie brzmiało autentycznie, dodało urody, ostre rysy złagodniały. Spojrzała na Dafydda niemal ze współczuciem. – Na miłość boską, jesteś lekarzem. Gdybyś dobrowolnie nie oddał do badania swojej spermy, w jaki sposób, twoim zdaniem, mogłabym domagać się od ciebie czegokolwiek? Czuję się zaszczyciona, że traktujesz mnie jak czarodziejkę.



Miała niewątpliwie rację. Bez względu na to, co się między nimi wydarzyło, test DNA ponad wszelką wątpliwość dowodził jego ojcostwa.

– Zgoda, to moje nasienie, jak twierdzisz. Ale jak się dostało do twojej pochwy? Oto jest pytanie. Istnieje prawdopodobieństwo, że w trakcie tamtego przyjęcia wsypałaś mi jakiś narkotyk do drinka. – Gdy tylko wygłosił te słowa, poczuł się beznadziejnie głupio. Wypowiedziane na głos, zabrzmiały jak jakaś pożałowania godna skarga.

Sheila uśmiechnęła się, kręcąc głową.

– Sprytnie tak odwracać kota ogonem. To niby ja społam ciebie jakimś narkotykiem i zgwałciłam. Taka drobna kobietka jak ja zaciągnęła wielkiego, spitego faceta do jego łóżka i zmusiła go...

– Wstrzymaj się na moment – przerwał jej Dafydd, ale ona ciągnęła swoje.

– I z jakiego cholernego powodu miałabym to zrobić? Dlaczego ze wszystkich mężczyzn... chciałabym mieć dziecko właśnie z tobą?

Zgoda, to była kwestia, nad którą bezskutecznie się zastanawiał, nie mogąc znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. Sheila tymczasem wyprostowała nogi i zmieniła pozycję. Jej dżinsowa spódniczka opinająca szczupłe uda podsunęła się jeszcze wyżej. Dafydd mimowolnie zerknął w tamtą stronę. Dostrzegł na jej nodze piegi, na tyle ciemne, że prześwitywały przez rajstopy. Przypomniał sobie, że ich ogromna ilość zarazem go fascynowała i odstręczała. Miała nimi pokryte całe ciało. Kiedy to sobie uzmysłowił, począł się z lękiem zastanawiać, skąd o tym wie. Pewnie próbował sobie wyobrazić Sheilę nagą – jej uda, pośladki, plecy – i w myślach ujrzał kobietę piegowatą od stóp do głów, ale dlaczego chciał w swoich fantazjach rozebrać ją do naga?

– Żeby odświeżyć ci pamięć, opowiem ci, jeśli sobie życzysz, moją wersję zdarzeń. – Zamilkła na chwilę, spodziewając się protestu, ale Dafydda zaintrygowało, co za historię sfabrykowała. – Zajechaliśmy pod twoją przyczepę, strasznie kręciło mi się w głowie. Najpierw masturbowałeś mnie w samochodzie i muszę w tym miejscu przyznać, że w jakiś sposób się na to zgodziłam. Następnie zaprosiłeś mnie do siebie na kawę, twierdząc, że „w tym stanie” nie powinnam prowadzić. Pamiętam nawet, że ze trzy razy powtórzyłeś „na polecenie lekarza”. Byłeś wtedy niezłe uwalony. A potem doszłam do przytomności naga, leżąc na brzuchu w twoim łóżku, z poduszką wciśniętą pod biodra, podczas gdy ty brałeś mnie od tyłu. Byłeś naprawdę

podkreśony, miałeś wielkiego, co?... – to oświadczywszy, spojrzała wymownie na jego krocze. – Wielokrotnie prosiłam, żebyś przestał, lecz ty w ogóle mnie nie słuchałeś. W którymś momencie zachciało ci się analnego seksu, ale nie jestem pewna, jak daleko się w tym posunąłeś. Nazajutrz wszystkie dziurki bolały mnie jak diabli. Także gardło miałam zrypane. A takiej migreny, jakiej dostałam, nie pamiętam, odkąd żyję. Coś ty mi, do cholery, podał? Myślałam, że znam się na farmakologii, wiem, że istnieją tabletki gwałtu, ale to coś... Byłam świadoma prawie wszystkiego, coś ze mną wyprawiał, i potem też pamiętałam, ale nie miałam siły, żeby stawić ci opór.

Dafydd gapił się na Sheilę bez słowa. Zrazu zdumiała go nonszalancja, z jaką rozprawiała o gwałcie, jakby opisywała elegancki podwieczorek, potem jednak przeszedł go dreszcz, poczuł przyływ mdłości. Obraz, który stwarzała, był taki realistyczny, a chłodna relacja taka przekonująca, że ktokolwiek by jej wysłuchał, uwierzyłby w prawdziwość jej słów.

– Mój Boże, kobieto! – jęknął. – Błysnęłaś talentem. Twoja wersja zdarzeń, jak to nazwałaś, brzmi nadzwyczaj realistycznie.

– Kiedy sięgam pamięcią do tego incydentu, to sądzę, że ty sam musiałeś być wtedy naćpany. Przypuszczalnie dlatego nic nie pamiętasz. Twoja energia seksualna była nie do zdarcia. Zasuwałaś bez końca. Nie sądzę, bym kiedykolwiek była przez kogoś... tak używana.

– I to ja – twoim zdaniem – byłem wtedy taki naćpany?

– Najbardziej obłąkane jest w tym wszystkim to – ciągnęła Sheila, nie zważając na protesty Dafydda – że choć – nie przepadałam za tobą, pewnie dałabym się zaciągnąć do łóżka, gdybyś mnie grzecznie poprosił. Byłeś uroczym zwierzątkiem, mogłam to zrobić bez żadnych zobowiązań. Ale, chłopcze, ostro przesadziłeś. Aż się wierzyć nie chce, że odmówiłeś mi prawa do aborcji. – Pokręciła głową. – Jak bardzo musisz tego żałować.

Tak, pod tym względem miała rację. Powinien był wtedy zapomnieć o swoich zasadach i teraz nie znalazłby się w takiej absurdalnej sytuacji.

– Jednej rzeczy nie potrafię sobie wytłumaczyć odezwał się, zmieniając ton. – Skoro naprawdę nie chciałaś zostać matką, dlaczego nie dopięłaś swego i nie wyjechałaś, by dokonać aborcji gdzie indziej? Przecież istniała taka możliwość.

Ta uwaga wyraźnie ją zezłościła.

– Trzeba wiele tupetu, żeby pytać o coś takiego. Nic masz pojęcia, przez

co przeszłam. – Z pewną trudnością wstała z kanapy. W pozycji stojącej jakby zabrakło jej sił. Stała przez chwilę z rękami zaciśniętymi w pięści, potem podeszła do okna. Przez potrójne szyby widać było lampy uliczne śródmieścia. Dochodził stamtąd gwar przechodniów, szum przejeżdżających samochodów. Nie odrywając oczu od okna, Sheila odezwała się: – A po cholere o tym rozmawiamy? To nie twoja sprawa.

– Zgoda, ale myślę, że liczyłaś na wyjście za mąż za tego wielkiego chłopa, Randy’ego, jak mu tam. Tyle że zbyt późno dowiedziałaś się, że on kazał sobie zrobić wasektomię.

Wybuchła śmiechem, jakby ta uwaga była całkowicie pozbawiona sensu. Cofnęła się od okna i siadła na brzegu kanapy, przysuwając się do niego dużo bliżej, niż miał na to ochotę.

– Nie masz pojęcia, o czym gadasz.

Dafydd nie ustępował.

– No a adopcja? Skoro, jak twierdzisz, macierzyństwo budziło w tobie wstręt, dlaczego nie zdecydowałaś się na takie wyjście?

Na jej twarzy pojawił się cień emocji. Dafydd zrozumiał, że poczuła się tą uwagą dotknięta. Może naprawdę kocha swoje dzieci, choć sprawiała wrażenie najmniej macierzyńskiej ze wszystkich znanych mu kobiet. To jednak wcale nie takie dziwne. Przecież większość matek kocha swoje latorośle.

– Nie poniżę się do tego, żeby odpowiedzieć na to pytanie – oznajmiła chłodno. – Wróćmy do kwestii utrzymania dzieci.

– Proszę bardzo.

– Chcesz pewnie, żeby miały wszystko, co mogą zaofiarować rodzice, prawda? – spytała, przybierając bardziej przyjacielski ton. Wpatrywała się w niego swoimi wielkimi oczami. – Przecież są to twoje jedyne dzieci... nasze jedyne dzieci.

– Dlaczego uważasz, że nie mam innego potomstwa?

– Och, możesz mi zaufać. Dużo o tobie wiem. Rozmawiałam niejednemu raz z twoją żoną. Była tak miła, że wyjaśniła mi parę spraw... jak i ja jej. Świetnie się nam gadało.

Dafydd zdrętwiał z wrażenia. Takiej nowiny się nie spodziewał. Isabel i Sheila wymieniają się informacjami. Może ten fakt był powodem telefonu Isabel do Lesley. Chociaż jego żona miała prawo rozmawiać, z kim tylko chciała, poczuł się zdradzony. Była więc przekonana, że kłamał od samego

początku, ale sama też nie grała z nim uczciwie. Pozwoliła, żeby Sheila zatrąła jej myśli.

– Jak śmiesz mieszać w to wszystko moją żonę? – spytał zimno. Oparł się na fotelu, by zwiększyć dystans fizyczny od tej kobiety. Pragnął wstać i nalać sobie kolejnego drinka, ale Sheila praktycznie odcięła mu drogę. Czuł jej oddech, świeży i pachnący. Jej białe, równe zęby błyszcząły tuż przed jego oczami, szyja mlecznej barwy była tuż obok. Mógł sobie wyobrazić, że obejmuje tę miękką, gładką szyję i z całej siły ściska. Przyszło mu zniecka do głowy, że gdyby kiedykolwiek miał uprawiać seks z Sheilą, to chciałby sprawić jej ból, zderzyć z twarzy tę cyniczną maskę, nabić sińce na piegowatym ciele. Ta myśl wstrząsnęła nim. Może ona wzbudza w ludziach taką agresję ...

– Posłuchaj. – Musiała coś wyczytać w jego twarzy, bo machnęła w powietrzu ręką, jakby chcąc odgonić jego wrogość. – Nie kłóćmy się. Co to da? Wszystko jest jasne, prawda? Nie zamierzam być nierozsądna. Byłoby miło, gdybyś poznał bliźnięta, a jak tylko załatwi się sprawę alimentów, możesz sobie spokojnie wracać do Walii i zajmować własnym życiem. Jedyne, czego ód ciebie oczekuję, to czeku co miesiąc, wystawionego na odpowiednią sumę... biorąc pod uwagę, że sporo nam wisisz za tyle lat. – Uśmiechnęła się, starając się przybrać ustępliwą minę.

– Na nic nie możesz liczyć, Sheila – stwierdził Dafydd. – Dopiero kiedy zobaczę dzieci, zdecyduję, czy uznam test DNA. Na zdjęciu, które mi przysłałaś, one wcale nie są do mnie podobne.

– Nie bądź śmieszny – odparła.

Wstała i zaczęła nakładać palto rdzawego koloru. Sprawiało wrażenie kosztownego, bynajmniej nie kupionego w miejscowym domu towarowym.

– Mam nowego adwokata... w Inuvik. Nazywa się Michael McCready. Możesz zamienić z nim słowo. Jest naprawdę dobry, a do tego sympatyczny.

– Wręczyła mu jego wizytówkę.

Dafydd odprowadził ją do drzwi.

– Kiedy się z nimi zobaczę?

– Może w sobotę? To mi da trochę czasu, muszę je przygotować. Wpadnij na lunch. – Na odchodnym rzuciła: – – Zrób mi przysługę i nie rozmawiaj o tym z ludźmi ani nie rozpowiadaj, dlaczego się tu zjawileś. Możesz napomknąć Tillie, że szukamy dla ciebie lokum na przyszłość. Proszę o zachowanie dyskrecji nie dlatego, że się tym przejmuję, ale będzie

łatwiej dla wszystkich, jeśli unikniemy plotek. Pomyśl o dzieciach... oszczędź im tego.

Zobaczmy – pomyślał Dafydd, zamykając za Sheilą drzwi. Nie powstrzyma mnie przed przeprowadzeniem małego dochodzenia.

Było już jasno, kiedy do jego drzwi zastukała Tillie. Dafydd zerwał się z fotela całkowicie ubrany. Gdy wskutek wielokrotnego łomotania w końcu się przebudził, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i kim jest. Zmiana strefy czasowej i ogólne wyczerpanie ścięły go z nóg, a resztę dopełniło pół butelki bourbona.

Poczucie nierealności i siebie, i tego miejsca, było obezwładniające. Utrata uporządkowanego trybu życia, rozpad małżeństwa... wszystko powoli wracało do jego świadomości niczym piasek sączący się powoli w klepsydrze. Pusta, zdrętwiała przestrzeń w jego głowie stopniowo wypełniała się przerażeniem. Zatoczył się w stronę drzwi.

– Doktorze! – wołała Tillie z korytarza. – Kończę zajęcia w kuchni. Jeśli pan chce, zrobię szybciotko coś do jedzenia.

– Nie, Tillie, dziękuję. Później coś zjem – odkrzyknął.

Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza.

– Ale wczoraj wieczorem nie wyszedł pan na kolację do restauracji... Może jednak usmażę dwa jajka i zrobię kilka gorących tostów z masłem? Przyniosę je do pokoju.

Gdy Dafydd w końcu otworzył, Tillie spojrzała na niego z zaniepokojoną miną.

– A filiżankę dobrej, mocnej kawy? – zaproponowała.

– No dobrze. Ale tylko kawę. – Dafydd przeciągnął – dłonią po podbródku, ostrym jak papier ścierny. Miał zapuchnięte oczy, jakby przepłakał całą noc.

– Coś dolega? – Tillie zrobiła krok do przodu i położyła mu łapkę na ramieniu.

– Tillie, jesteś bardzo miła. Nie wymagam specjalnej opieki. Jutro rano pojawię się na śniadaniu punktualnie. – Zawahał się i klepiąc jej małą dłoń, dodał: – Kawa jednak będzie dla mnie zbawieniem. I proszę, mów mi po imieniu.

–

## Rozdział 14

*Moose Creek, rok 2006*

Spędził kilka dni w samotności, starając się oswoić z nową sytuacją. Próbował zachować spokój ducha i rozsądek, powtarzając sobie, że nie zdarzyła się przecież katastrofa. Był żywy i nic mu nie dolegało, podobnie jak Isabel, i na razie nie było mowy o rozwodzie. Miał pracę, do której mógł wrócić, chociaż sposób, w jaki ją porzucił, nie rokował pomyślnych układów na przyszłość. Skoro nie miał innego wyjścia i musiał utrzymywać dzieci, to przecież był młody i zdolny do wysiłku przez wiele następnych lat. Takie rzeczy ciągle przydarzają się mężczyznom. Jego problemy były nieznaczące w porównaniu z niedolą innych.

Wiele spacerował, zapuszczając się na bezludzie zwirowanymi drogami, które tu zbudowano z myślą o posiadaczach szeregowych domków. Na wielu kwadratowych działkach wycięto już drzewa pod przyszłą zabudowę. Dafydd nie do końca rozumiał, dlaczego ludzie chcą zamieszkać w takiej izolacji od innych, ale po chwili wyobraził sobie, jak będzie wyglądało takie osiedle ze światłami ulicznymi, rozbrzmiewające hałasem elektrycznych kosiarek lub skuterów śnieżnych i śmiechem dzieciarni. To był dziewiczy teren przeznaczony do zagospodarowania. Patrząc nań z innej perspektywy, niemożliwe okazywało się możliwe, wystarczało tylko właściwe podejście, energia i odpowiedni zestaw narzędzi. Niektórzy gotowi są oddać wszystko za wolność od tłumu, mając bogactwo natury na wyciągnięcie ręki.

Zajrzał do kilku nowych barów. Jako obcy siedzący w kącie, rozmyślał nad różnymi sprawami, jednocześnie przysłuchując się i przyglądając stałym bywalcom. Ludzie z miejscowych szczepów na ogół siadywali w grupie, jako „tubylcy”, ale pochodzili z różnych obszarów, mieli odrębne geny i posługiwali się różnymi językami. Ci, którzy osiedli tu przed laty, rozmawiali w języku inuktitut i slavey, ale było też kilku cudzoziemców – Niemców, Włochów i Amerykanów, a także frankofońskich Kanadyjczyków i ludzi z południa, mówiących po angielsku z charakterystycznym przeciąganiem samogłosek. To było miejsce jedyne w swoim rodzaju, tygiel ras na krańcu świata. Uśmiechnął się na wspomnienie planetarnego baru w

*Wojnach gwiazdnych.* On sam został wysłany poza swój mały, bezpieczny wszechświat, wypędzony do obcej osady, a na dodatek oskarżony o czyn, którego nie popełnił. Nie miał pojęcia, jak długo będzie musiał tu tkwić, jak będzie przebiegało dochodzenie, na ile zdoła do tego przywyknąć. Wszystko wydawało się tu nieznane, chociaż mieszkał tu przed laty, pracował i zaznał smaku wygnania.

W czwartek późnym popołudniem, gdy siedział w barze „Złoty Samorodek”, sącząc lodowaty koktajl Labatts Blue, podszedł do niego starszy mężczyzna. Był tubylcem ze znaczną nadwagą i ponurą miną.

– ... dobry – wymamrotał, dotykając daszka czapki. – Pewnie pan mnie nie pamięta.

– Nie – przyznał Dafydd. – Nie przypominam sobie.

– Kumplował się pan z moim dziadkiem, lata temu. Raz umieścił go pan w szpitalu i myślę, że w ten sposób uratował mu pan życie.

Dafydd uśmiechnął się.

– Pan jest wnukiem Śpiącego Niedźwiedzia. – Wyciągnął rękę, którą tamten uścisnął z ociąganiem. – Czy mogę zapytać... ?

– Zmarł pięć lat temu. Zaraz po dziewięćdziesiątych dziewiątych urodzinach.

– Mój Boże, dziewięćdziesiąt dziewięć lat... Przysiadzie się pan? Postawię panu piwo.

– Nie, za piwo dziękuję. – Mężczyzna w końcu siadł. – Dziadek ostro popijał, ale powiadam panu, nie robi to dobrze ludowi... ludowi Dene.

– Żadnemu narodowi – dodał Dafydd. – To ulubiona trucizna całego świata.

– A dla nas szczególnie niebezpieczna. Nasz organizm jej nie toleruje, bo nie mamy odpowiednich genów. Jak pan myśli, z jakiego powodu dopuściliśmy, żeby biały człowiek ograbił nas z naszych ziem?

Jawna wrogość wobec przodków Dafydda zabrzmiała nadzwyczaj ostro, choć on sam w zasadzie zgadzał się z tą opinią. Biali obrabowali miejscowych i splądrowali wszystko, co się dało.

– Proszę mi opowiedzieć o Niedźwiedziu – poprosił. – Wiem, że nie mógłby dłużej żyć, ale dziewięćdziesiąt dziewięć lat to imponujący wiek.

– Zgoda – odparł tamten, zwlekając z odpowiedzią. – Z niego był twardziel. Którejś nocy po prostu się nie obudził. Psy nie pozwalały nikomu zbliżyć się do jego chaty. Musiałem zastrzelić przekłete bestie, bo inaczej

nie moglibyśmy starego pochować.

– A więc do końca życia mieszkał w swojej chatce, tak jak sobie tego życzył?

– Tak.

– Zdumiewające.

Zamilkli. Wnuk Niedźwiedzia siedział z niewyraźną miną. Dafydd korciło, żeby zapytać, w jakim celu do niego podszedł. Ten człowiek nigdy nie odnosił się do niego z serdecznością, nie okazał wdzięczności za opiekę nad jego dziadkiem.

– Chciałem tylko powiedzieć... – odezwał się w końcu. Rozejrzał się, jakby chciał wstać od stolika. – Stary trzymał pana listy. Chował je jak jakiś skarb. Kazał mi do pana napisać na pewien temat, ciągle mnie o to męczył, ale ja nigdy nie spełniłem jego prośby. Jemu oczy odmówiły posłuszeństwa, a zresztą nigdy nie radził sobie z pisaniem. Myślę, że go tego nie nauczyli.

Zrobił pauzę. Dafydd nadal się zastanawiał, co właściwie wnuk Niedźwiedzia chce mu zakomunikować.

– Czy pan wie, o co mu chodziło?

– Nie wiem. Trochę gryzie mnie sumienie, że nigdy się tym nie zająłem. Ale mówię o tym teraz.

Sprawił wrażenie człowieka, któremu kamień spadł z serca. Wstał i mruknął pod nosem słowo pożegnania.

– Jak panu na imię? – zawołał za nim Dafydd.

– Joseph – odkrzyknął, nie odwracając głowy.

Dafydd obserwował, jak wychodzi z baru, nie patrząc na nikogo. Jego postawa wystarczyła za słowa. Takich wojujących Indian jak on było wielu. Czytał o nich tego ranka w „Moose Creek News”. Prowadzili kampanię na rzecz prohibicji. Ale pozostałe dziewięćdziesiąt procent mieszkańców traktowało ją jak rodzaj obłąkanego żartu. Rzeczywiście, jej inicjatorzy nie mieli żadnych szans. Dafydd poczuł nagły przypływ sympatii do tego ponurego człowieka. Na jego oczach za sprawą białych legła w gruzach cała miejscowa kultura. No i dodać do tego instynkt samozniszczenia oraz skłonności genetyczne, które sprawiły, że tysiące jego pobratymców, kobiet i mężczyzn, zapijały się na śmierć, zapadały w apatię i stupor. A teraz jeszcze narkotyki. Jeśli nie było pod ręką marihuany i kokainy, wystarczył klej i opary benzyny, zawsze dostępne dla młodzieży, która jedną nogą była na szybkiej ścieżce do krainy pustki, gier wideo i telewizji, a drugą tkwiła w



innej krainie, niezmierzonej i pięknej, pełnej niewiarygodnych bogactw. Tyle że młodzi stracili dar jej kultywowania i respektowania praw naturalnych.

Wracając do domu mroźnymi ulicami, rozjarzonymi wesołym, żółtym światłem latarni, rozmyślał o Śpiącym Niedźwiedziu. Arwyn... Jones albo Jenkins. A więc stary przechera próbował do niego napisać. Dafydd był wdzięczny losowi za tę wieść, choć dotarła do niego po latach. Jego listy doszły do starego i sprawiły mu trochę przyjemności. Przypomniał sobie ich wspólną wyprawę. Podróż, którą Niedźwiedź nazwał swoją ostatnią pielgrzymką i która również dla Dafydda przemieniła się w rodzaj peregrynacji. Chociaż to doświadczenie wiele dla niego znaczyło, po powrocie przeżywał głęboki smutek. Do kobiety z oczami jak węgielki i włosami jak koński ogon wysłał kilka listów, nad którymi długo się biedził. Nigdy jednak nie otrzymał odpowiedzi. W głębi ducha rozumiał, dlaczego tak się stało. Życie toczy się dalej, a karmienie się wspomnieniami i złudzeniami nie prowadzi do niczego dobrego dla kogoś, kto musi radzić sobie dzień w dzień w tak ekstremalnych warunkach. Wymiana korespondencji tylko by jej zaszkodziła. To był jej kraj i jej życie, które tam sobie wybrała. Jednakże nostalgia towarzysząca mu po odjeździe była wielka. Dafydd niekiedy sądził, że jego uczucie do tej dziewczyny było płytkie i chwilowe, jednak tęsknota za nią trwała przez długie miesiące. Wreszcie, stopniowo, ból zaczął ustępować, a ona sama przekształciła się w postać z jego fantazji – kogoś, kogo za pomocą czarów przywoływał w pamięci. Ich krótka namiętność stała się tematem, który powracał w marzeniach.

Kiedy dotarł do pensjonatu, zatrzymał się na progu i spojrzał na szyld nad drzwiami wejściowymi: „Fartowny Poszukiwacz Złota”. Głośno się roześmiał, potrząsając głową.

– Wiesz, to na pewno nie chodzi o mnie – oświadczył Tillie, która natychmiast otworzyła mu drzwi, najwyraźniej na niego czekając. – Gospodyni nie zrozumiała aluzji i spojrzała zdziwiona. – Ale twój pensjonat jest doskonały, prawdziwa przystań dla zagubionych dusz – dodał szybko.

– Pościeliłam ci łóżko – powiedziała z typową dla siebie troskliwością. – Czy coś ci podać? Jadłeś kolację?

– Nic mi nie trzeba. Dziękuję, Tillie. Do zobaczenia jutro rano – odparł. Gdy wchodził na górę, przysłała mu do głowy nagła myśl. Stanął, spojrzał w

dół.

– Zastanawiałem się właśnie... Co się stało z twoją dawną koleżanką, Brenda? Byłyście dobrymi przyjaciółkami... Czy nadal tu mieszka?

Słodka twarz Tillie natychmiast spochmurniała.

– Tak, ona też cię lubiła – odparła z nutą gorzkości. – Nie, mniej więcej w tym czasie, kiedy wyjechałeś, zaszła w ciążę i postanowiła przenieść się do bardziej cywilizowanego miejsca. Pojechała do swojej siostry w Nowym Meksyku i tam wyszła za męża za jakiegoś nafcjarza. To dziany facet, a z tego, co mi pisze, są ze sobą szczęśliwi. Trójka dzieci, włączając jej własne... Brenda zawsze marzyła o rodzinie, naprawdę, chociaż czasami trudno to było odgadnąć, biorąc pod uwagę jej prowadzenie się. Teraz została szanowaną matroną. Przykro mi, Dafydd.

– Ależ nie! – wykrzyknął zażenowany. – Tylko tak o nią pytam. Jestem żonaty. I dobrze mi z tym.

– Och – jęknęła Tillie, również zawstydzona i wyraźnie rozczarowana.

Szpital wyglądał tak samo. Nie remontowano go od lat. Nawet nie pociągnięto farbą ponurych brył z szarego betonu. Dafydd udał się tam nazajutrz wczesnym rankiem, wiedziony ciekawością, ale miał także na myśli pewien konkretny cel.

Dowiedział się, że i Hogg, i Ian wciąż tam pracują, przybyło też trzech nowych lekarzy by podolać opiece nad stale rosnącą liczbą mieszkańców. Jednym z nich był emerytowany chirurg wojskowy, doktor Lezzard, który wykonywał najbardziej skomplikowane operacje po wypiciu całego litra whisky. Wszystkiego dowiedział się Dafydd od Tillie, kopalni wszelkich miejscowych plotek.

Miał nadzieję tuż po przyjeździe natknąć się w jednym z licznych barów na Iana, ale ten, wbrew swej naturze, najwyraźniej omijał wodopoje. Dafydd z pewnym napięciem wyczekiwał spotkania z nim. Jak po czternastu latach wygląda jego rówieśnik? Czy zmiany, jakie w nim nastąpiły, powiedzą mu też coś o nim samym?

Na korytarzu zatrzymała go młoda pielęgniarka, pytając, w czym może mu pomóc. To nie była pora odwiedzin i obcy nie powinni się tu kręcić.

– Szukam doktora Hogg'a lub doktora Brannagana.

– Czy pan jest ich pacjentem?

– Ach, nie. Dawnym kolegą.

– Doktor Brannagan jest na zwolnieniu. A doktor Hogg uczestniczy w naradzie, która wkrótce powinna się skończyć. Proszę usiąść w poczekalni obok recepcji, a ja mu powiem, że pan przyszedł... Pan?

– Doktor Woodruff. Dafydd Woodruff. – Pielęgniarka obróciła się na pięcie, ale Dafydd zawołał za nią: – Przepraszam, czy Janie Kopka nadal tu pracuje? – Dziewczyna obejrzała się z ciekawością.

– Jasne. To moja mama. – Zmierzyła go wzrokiem.

– Proszę jej przekazać pozdrowienia. Spróbuję później ją złapać.

Usiadł w poczekalni, przemalowanej teraz na jaskrawożółty kolor, ale plastikowe krzesła dla pacjentów pozostały te same. Gdy z nudów przeglądał pisma dla myśliwych i wędkarzy, pojawiła się Sheila.

– Co tu robisz?

– O co ci chodzi, Sheila? – odparł szyderczym tonem. – Jestem wolnym człowiekiem. Mogę zaglądać tam, gdzie mi się żywnie podoba.

Wydawało mu się, że w jej oczach widać coś więcej niż irytację. Sheila sprawiała wrażenie zdenerwowanej i starała się pokryć niepokój autorytetem przełożonej pielęgniarek. Z pewnością rozgniewało ją, że go tu spotkała.

– Czyżbyś się obawiała, że podzielę się z Hoggiem wieścią o moim świeżo wykrytym ojcostwie?

– Tylko spróbuj! – warknęła. – Słuchaj, to niczyja sprawa. Hogg i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Znamy się od wielu lat i nie życzę sobie, aby on się o tym dowiedział.

Przestąpiła z nogi na nogę, z rękami jak zwykle złożonymi na piersiach. W uniformie pielęgniarki wyglądała starzej, ale przez to bardziej pozowała na twardziela. Włosy miała splecione w ciasny warkocz. Nadal jednak była seksowna, w stylu bezwzględnej *dominatrix*. Dafydd lekko uśmiechnął się na myśl, że pewnie nie chciałyby mu się pokazywać w takim stanie nerwów.

– Jak więc zamierzasz Hoggowi wyjaśnić, po co przyjechałeś do Moose Creek? – spytała.

– Może poproszę go o zatrudnienie. – Poczul satysfakcję, że ma okazję jej dokuczyć. – Usłyszałem, że Ian jest na zwolnieniu lekarskim. Chyba na jakiś czas go zastąpię, aż mu się polepszy. A propos, co mu dolega?

– Na twoim miejscu nie zajmowałabym się nim – odparła Sheila ostrym tonem. – W każdym razie nie będzie go tu przez parę tygodni. – Na chwilę przymknęła oczy. Dafydd dostrzegł, że zaciska szczęki. – Wybij sobie z głowy szukanie tu pracy. Kategorycznie się temu sprzeciwię. A zresztą

byłoby to wbrew prawu. Nie zawaham się powiadomić władz imigracyjnych, jeśli...

Dafydd uniósł brwi, dając jej do zrozumienia, że zbliża się do nich szef.

– No, no, co za niespodzianka – zachichotał Hogg, ściskając Dafyddowi rękę. – Tego właśnie nam trzeba, co, Sheila? Nie masz pojęcia, jak chętnie zatrudniłbym cię, dosłownie z miejsca... Przyjechałeś tu na wakacje? Dafydd zerknął na Sheilę.

– Tak, odwiedzić stare kąty.

– Doskonale, doskonale. – Nic się nie zmienił, choć pewnie dobiegał już sześćdziesiątki. Miał nadal bujną czuprynę i ani śladu siwizny... albo może farbował włosy. Sposób, w jaki patrzył na Sheilę, nie pozostawiał złudzeń, że jest ciągle pod jej urokiem. Przez chwilę cała trójka wymieniała uwagi na temat zmian w miasteczku. Hogg jednak już przebierał nogami. Jego energia była jak zwykle niespożyta.

– Słuchaj, stary, wpadnij do kafeterii około pierwszej i przekąś coś z nami. Wszyscy chcemy się dowiedzieć, jak nasi młodzi koledzy poszerzyli horyzonty i dali się poznać światu. – Przystanął i spojrzał na Dafydda. – Zakładam, że nadal działasz w medycynie?

– Jestem chirurgiem w Cardiff.

– Dobra robota, dobra robota – orzekł z nutą szacunku. – I dobre miejsce, dobre miejsce. Cardiff. Odbywałem tam kiedyś praktykę – w szpitalu Heatha. Kto by pomyślał?

Zanim Hogg zdołał się oddalić, Dafydd skorzystał z okazji i zadał pytanie, które stanowiło powód jego wizyty.

– Doktorze Hogg... to jest Andrew. Jestem ciekaw, czy pamiętasz lokatora, któremu wynajmowałeś kiedyś swoją przyczepę. Nazywał się Ted O'Reilly. Czy przypadkiem nie wiesz, gdzie mógłbym go znaleźć? Zdaję sobie sprawę, że to dawne czasy...

– O'Reilly? Jasne, że wiem, gdzie teraz jest. Tutaj.

– Aha... czyli gdzie?

– Tu, w szpitalu. Amputowaliśmy mu nogę wskutek powikłań cukrzycy... Ostrzegałem go, że tym się to skończy, jeśli o siebie nie zadba.

– Dlaczego chcesz się z nim zobaczyć? – zagadnęła Sheila z niepokojem w głosie. – To twój dobry znajomy?

– Tak. W której sali leży?

– Jeśli jest ci winien pieniądze lub coś w tym rodzaju, możesz o tym

zapomnieć – wtrąciła Sheila jadowitym tonem, wpatrując się w Hogga.

– Chcę się z nim przywitać – upierał się Dafydd.

– . Nie możesz odwiedzić go teraz. To nie jest pora wizyt – zakomunikowała Sheila.

Hogg spojrział na nią z niekłamanym podziwem.

– Sam widzisz, kto pilnuje porządku w szpitalu, prawda? – rzekł do Dafydd, wzruszając ramionami i unosząc ku niebu swoje pulchne dłonie. – Co ja bym bez niej zrobił przez te wszystkie lata!

Przeprosił ich i pomknął przed siebie.

– On nic się nie zmienił – powiedział Dafydd do Sheili, która nadal stała nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersiach, śledząc jego kolejny ruch. – Zawsze utrzymywał, że nad wszystkim sprawuje kontrolę, ale to tylko na pokaz, prawda? Z was dwojga to ty jesteś bossem?

– Słuchaj – wycedziła Sheila, podchodząc do Dafydd. – Trzymaj się z dala od mojej firmy. Nie masz tu nic do roboty. I nie pokazuj się w kafeterii. Mówię ci... – Groźba w jej głosie zabrzmiała realnie. Dafydd to zdziwiło. Przecież Sheila nie miała żadnego powodu, by zawracać sobie nim głowę i śledzić, dokąd chodzi i po co. Nigdy przedtem nie przejmowała się, co ludzie o niej pomyślą. Z pewnością musiała brać pod uwagę, że Dafydd zjawi się w Moose Creek, kiedy się dowie, że jest ojcem jej dzieci. Było jednak oczywiste, że jego obecność w mieście była jej zdecydowanie nie na rękę.

– A więc do zobaczenia w sobotę – rzuciła. – Ale nie wcześniej. – Odwróciła się i odeszła.

Pół godziny później Dafydd zadzwonił ze szpitala do Tillie i poprosił o numer telefonu Janie. Ta, słysząc jego głos, nie ukrywała radości.

– Patricia powiedziała mi, że w szpitalu pojawił się fantastyczny doktor, który o mnie wypytywał. Zapomniała jego nazwiska, a może tylko udawała. Nie mogłam odgadnąć, o kogo chodzi.

Dafydd roześmiał się.

– Czy ten fantastyczny gość może cię któregoś razu zaprosić na drinka, czy też znajdzie się z tego powodu w śmiertelnym niebezpieczeństwie ze strony innego samca?

– Nic podobnego. Eddie wpadnie w zachwyt, kiedy pozbędzie się mnie któregoś wieczoru, bo wtedy będzie mógł ćwiczyć przed telewizorem uderzenia kijem golfowym. Odpowiada ci piątek wieczorem? Kawiarnia

„Pod Rozłupaną Skałą”, o ósmej? Będziemy tam gośćmi starszymi o jakieś dwadzieścia lat od pozostałej klienteli, ale kto by się tym przejmował, prawda?

– Świetnie. – Zapisał na skrawku papieru nazwę lokalu. – Janie, nie masz przypadkiem numeru telefonu Iana? Sheila twierdzi, że wyjechał z miasta. Czy to prawda?

Przez kilka sekund Janie nie odpowiadała.

– Jest w swojej chatce. Odwiedziłam go w zeszłym tygodniu, żeby sprawdzić, co się z nim dzieje. Dafydd, z nim jest źle. Jak go ujrzysz, będziesz w szoku. – Podała mu numer Iana.

– I jeszcze jedno... – ciągnął Dafydd.

– Strzelaj.

– Kiedy mogę odwiedzić twego pacjenta?

– Witam. Pewnie pan mnie sobie nie przypomina – zwrócił się Dafydd do wychudzonego mężczyzny, leżącego na łóżku w pasiastej piżamie. Poznał go jedynie po sumiastych wąsach, bokobrodach i długich, przetłuszczonych włosach, teraz już całkiem siwych.

– A niech mnie – odezwał się O'Reilly, otwierając oczy. – Mówiłem panu, że z moją nogą nietęgo, ale mi pan nie wierzył. – Jego usta wyglądały jak okrągła dziura. Bezkrwiste wargi i dziąsła bez jednego zęba odsłaniały ziejący czarny krater.

Dafydd zerknął na siną i chudą nogę, która raptownie kończyła się kikutem.

– No cóż, mój błąd. Pamięć jednak pana nie zawodzi.

– O, panna Hailey była tu niedawno i przypomniała mi o panu. Wie pan, lekarze w tym mieście zachowują się jak politycy w burdelu: wpadają i wypadają. Nie potrafię ich spamiętać, ale pana to sobie dobrze przypominam. – Mrugnął z obleśną miną, a jego pomarszczona twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

A zatem przekłeta Sheila dorwała O'Reilly'ego, zanim on sam zdążył go odwiedzić, ale czy wiedziała, dlaczego chciał z nim porozmawiać? Tego nie mogła przecież odgadnąć. Rozejrzał się wokół i dostrzegł, że dwóch pozostałych pacjentów przygląda mu się z zaciekawieniem.

– Proszę posłuchać. – Dafydd pochylił się nad chorym. – Za chwilę dam panu spokój. Chciałem zadać tylko jedno pytanie. Liczę na pańską dobrą pamięć – podkreślił, mając nadzieję, że ten komplement rozwiąże

O'Reilly'emu język. – Zdaję sobie sprawę, że to zdarzyło się cholernie dawno temu, ale pamięta pan może, jak którejś nocy przyjechałem do siebie z panną Hailey? Byliśmy na przyjęciu bożonarodzeniowym... Pan stał w oknie swojej przyczepy i widział, jak się... obściskiwaliśmy – Skąd ta podróż w przeszłość? – zadrwił głośno O'Reilly. – Panna Hailey zadała mi dokładnie takie samo pytanie. Stwierdziła, że chce zapomnieć o tym wydarzeniu i ostro mnie poinstruowała, żebym nie kłapał dziobem. Przykro mi, chłopie.

Z rozpaczy i frustracji Dafydd omal nie spadł z krzesła, choć przecież od początku zdawał sobie sprawę, jak bezsensowny był jego plan. Minęło przecież czternaście lat. Był niemal pewien, że O'Reilly niczego nie pamięta, zwłaszcza z mózgiem uszkodzonym wskutek ciągłego chłania, ale to była jedyna szansa. – Nie sądziłem, że należy pan do tego typu mężczyzn, którzy przyjmują rozkazy od kobiet.

O'Reilly wzruszył ramionami.

Dafydd znów się nad nim nachylił, patrząc mu prosto w oczy.

– Co ona zaproponowała w zamian za trzymanie języka za zębami? Dam więcej.

Było to niewłaściwe posunięcie. O'Reilly zrobił groźną miną i zerknął na dwóch pozostałych pacjentów.

– Co za pierdoły mi pan wstawiasz? Niech pan słucha... ona mnie zapytała, czy widziałem, jak wchodziła do pańskiej przyczepy. Tak, do cholery, widziałem. No i po co takie halo? Wszyscy lekarze, którzy tam przemieszkiwali, robili to samo.

Dafydd świdrował go wzrokiem.

– Z Shei... z panną Hailey?

– Czy ja to powiedziałem? – Obrzucił Dafydda lodowatym spojrzeniem. – Właśnie dlatego pamiętam tamtą sprawę. Byłem bardzo zdziwiony, widząc ją tam. Pomyślałem sobie, że ona jest za dobra na ten pierdolony, zapchlony materac w tej zafajdanej przyczepie. Pan na nią popatrzy, do cholery!

Dafydd chwycił go za ramię.

– To, co pan widział tamtej nocy, nie było niczym szczególnym, i tu się z panem zgodzę, ale odbyło się to w samochodzie, prawda? Niech pan sobie przypomni i będzie ze mną szczery, człowieku. Ona nie weszła do przyczepy, prawda?

O'Reilly wyrwał rękę.

– A pewnie, że weszła. Widziałem was dwoje jak na dłoni, wchodziliście tam razem tak przyklejeni do siebie, jakbyście nie mogli się doczekać, kiedy zedrzecie z siebie ubrania. – O'Reilly nie krył złości. – O co tu, kurwa, chodzi? A może spotkacie się oboje i sami uzgodnicie, co zaszło. Pomyśl pan o frajdzie, jaką pan wtedy miał. – Zaśmiał się szyderczo. – A mnie do tego nie mieszajcie. Mam swoje kłopoty, na wypadek gdyby pan nie zauważył.

Dafydd roztrząsał w duchu, ile miałby staremu zaproponować, ale doszedł do wniosku, że niczego tym nie wskóra. Wybierając między nim i Sheilą, wraz z jej darem perswazji i pieniędzmi (oraz pastylkami?), z góry wiadomo, komu okaże lojalność.

– Panie O'Reilly, wiele od tego zależy. Mogą pana wezwać do sądu w charakterze świadka – próbował go przekonywać, ale ta groźba nie zrobiła na starym najmniejszego wrażenia. A nawet jeśliby doszło do rozprawy, O'Reilly był znakomitym łgarzem.

– Nie waż się tu wracać i prześladować mnie, słyszysz? – krzyknął, gdy Dafydd chyłkiem umykał z sali.

Zamiast telefonować, Dafydd postanowił pojechać do chaty na uboczu. Przeczuwał, że Ian próbowałby go zniechęcić do odwiedzin, a teraz doszedł do wniosku, że musi na własne oczy zobaczyć, co się dzieje z dawnym druhem. Odnosił wrażenie, że istnieje jakaś zmowa milczenia na temat stanu jego zdrowia. Nikt nie chciał o tym mówić. Dafydd zamówił więc taksówkę i kazał kierowcy przyjechać za godzinę.

Chata znajdowała się w okropnym stanie. Ganek się rozpadł, w dachu brakowało wielu gontów. Kiedy wchodził po zmurszałych schodkach, rozległo się ciche warczenie. Nasiliło się, gdy zastukał do drzwi. Po chwili Ian otworzył. Pierwszą rzeczą, jaką Dafydd zauważył w jego twarzy, były oczy. Białka przybrały barwę brudnej żółci, powieki były okolone czerwoną obwódką. Skóra wokół oczu była luźna i pomarszczona, z grudkami tłuszczu, jak u kogoś, kto od dawien dawna ma niebotyczny poziom cholesterolu. Twarz była ściągnięta, policzki zapadnięte, a długie włosy, niegdyś koloru siana, przybrały kolor słomy, Ian wyglądał jak jaskiniowiec, tkwiący od lat w ciemnej pieczarze. Czuć było od niego odór zgnilizny. Obaj wpatrywali się w siebie bez słowa.

– Niech mnie szlag... to ty?



– Tak, to ja – odparł Dafydd i wyciągnął rękę. Ian z trudem odwzajemnił uścisk, ale przez dłuższą chwilę nie puszczał dłoni kolegi. – Wchodź, na miłość boską. – Warczenie raptownie umilkło i bardzo stary pies z trudem zwłóknął się z posłania, powłóczęc tylnymi łapami zaatakowanymi przez artretyzm.

– Gzy to Thorn, czy raczej któryś z jego potomków?

– Jestem zaskoczony, że musisz o to pytać... przecież on nie toleruje obcych. – Stare psisko machało jak szalone wyłysiałym ogonem i lizało rękę przybysza. Dafydd poczuł skurcz w gardle, głaszcząc wychudzony łeb. – A niech mnie. On mnie poznał.

– Tak jak ja, człowieku. – Ian roześmiał się i klepnął kolegę po ramieniu. – Rozgość się i wypij drinka.

Izba była zapuszczona. Mieszkał tu ktoś, komu prze<sup>^</sup> stało zależeć na czymkolwiek, Ian rozlał szkocką do dwóch szklanek i jedną z nich wręczył Dafyddowi. Usiedli przy stole kuchennym zastawionym tekturowymi talerzami z resztkami jedzenia i pustymi puszkami po psiej karmie. Widząc spojrzenie gościa studiującego resztki, Ian wstał i przyniósł torbę na śmieci. Zgarnął wszystko z blatu, odstawił worek do kąta. Thorn natychmiast tam podszedł, skrobiąc plastik łapą.

– Pewnie jest głodny? – dopytywał się Dafydd.

Ian zapalił papierosa i począł się w niego wpatrywać przez kłęby dymu.

– Co do diabła porabiasz w tych stronach? – zagadnął, akcentując każde słowo. Był przeraźliwie chudy, natomiast jego wzdęty brzuch wystawał jak piłka spod zapadniętej klatki piersiowej.

– A więc nie znasz powodu?

Ian przez dłuższą chwilę milczał, spoglądając na niego z miną wyzbytą emocji. Zerknął w bok, jakby rozkojarzony. Wreszcie uśmiechnął się.

– Przybyłeś, żeby skraść mi moje stanowisko... nareszcie. Czekałeś tylko na odpowiedni moment, żeby mnie dobić.

Dafydd roześmiał się.

– Istotnie, Hogg zasugerował mi coś w tym rodzaju.

– Nie, ale powiedz szczerze. Co cię tu sprowadza?

Dafydd jeszcze nie postanowił, czy ma się mu zwierzyć, ale ktoś w końcu musiał stać się jego powiernikiem w tej sprawie, a Ian był bez wątplenia najwłaściwszą osobą. Znał Sheilę, i to na wylot.

– Powiem ci, jak mi opowiesz, co, do cholery, dzieje się z tobą.

Wyglądasz jak ciężko chory człowiek, nie chodzisz do pracy...

– Nic w tym nadzwyczajnego. Za dużo piję... i moja wątroba niekiedy protestuje. Jestem obecnie na urlopie, bez względu na to, co się o tym mówi. Mam jeszcze trzy tygodnie wolnego.

– Czy naprawdę musisz to robić? – spytał Dafydd, wskazując na szklankę. I natychmiast tego pożałował. To nie była jego sprawa, a Ian słusznie zignorował pytanie. Thorn tym czasem dorwał się do torby ze śmieciami i wywlókł jej zawartość na podłogę, Wyżerając jadalne resztki.

– Nie masz gdzieś puszki z karmą? – zapytał Dafydd, uważając, że jego obowiązkiem jest zadbać o psa.

Ian wstał i począł szukać w szafkach.

– Akurat nie mam – odparł lekko zirytowanym tonem Zapasy są na wykończeniu.

– Powiem ci coś. Zrobię ci jutro zakupy, bo widzę, że nie czujesz się najlepiej, powiesz tylko, czego ci trzeba, jestem tu panem swojego czasu.

– Dzięki, kolego. Będę bardzo zobowiązany. – Ian opadł z ulgą na krzesło, sprawiając wrażenie wyczerpanego wysiłkiem. – Ostatnio trzymam się z dala od miasta. Nie mogę znieść, jak się zmienia.

– A jak się zmienia, twoim zdaniem?

– Wszędzie mnóstwo dupków. Przyjechałem tu, bo chciałem uwolnić się od ludzi. A teraz pragnę się uwolnić od niekończącego się strumienia durniów. – Uniósł w górę rękę. – Widziałeś ich w barach? A same bary?

– Taa. – Dafydd pokręcił w dłoni szklankę z whisky. Thorn podszedł i położył mu pysk na kolanach, patrząc w oczy ze smutną mądrością.

– No dobra – ciągnął Ian. – Po kiego diabła przyjechałeś do Moose Creek? To nie jest miejscowość wakacyjna.

– Dlaczego nie? Mnóstwo turystów się tu kręci.

– Ale nie ludzi twojego pokroju.

– Dobrze, powiem ci: Sheila twierdzi, że jestem ojcem jej bliźniąt. – Zamilkł, obserwując reakcję Iana. – Z początku myślałem, że to dowcip, albo że padło jej na mózg, ale kiedy nie ustępowała, przeprowadziliśmy testy DNA. I te testy potwierdziły jej zarzut. Przecież nie sposób im zaprzeczyć, prawda?

– Jasna cholera. – Ian gwizdnął i potrząsając głową gapił się na Dafydda z oszołomieniem. Następnie odchylił się i zarżał głośnym śmiechem, jak za dawnych czasów. – Wiedziałem. Wiedziałem, że byłeś na nią napalony,

choć chiałeś to ukryć... A więc przespałeś się z Sheilą. – Śmiał się jeszcze przez chwilę, ale raptownie przybrał poważną minę. – Czego ona chce?

– Tego co zwykle. Pieniędzy...

– Chryste. – Ian przeczesał palcami splątane włosy. – Co zamierzasz zrobić z tymi dziećmi?

– Nie wiem. – Jaki był sens wyjaśniać Ianowi, że jego zdaniem cięża Sheili była skutkiem jakiegoś podstępnego działania, wykradzenia jego spermy? To by tylko doprowadziło go do kolejnego wybuchu śmiechu, choć wzbudzenie w nim wesołości było samo w sobie warte wysiłku. Poruszyło go, że w Ianie drzemała jeszcze iskierka dawnego wdzięku. Brzydota, dominująca teraz w jego wyglądzie, – podziałała na Dafyddę depresyjnie, rozkład ciała i duszy wywołał w nim głęboką melancholię. Gdy się patrzyło na Iana, życie zdawało się krótką chwilą.

Gospodarz wstał i ze słowami przeprosin udał się do łazienki. Minęło dobre dziesięć minut w kompletnej ciszy, nie licząc ziajania Thorna. Dafydd już chciał do niego krzyknąć, kiedy usłyszał szum wody spuszczonej w klozecie. Po chwili Ian wytoczył się z twarzą białą jak ściana.

Ciężko siadł na fotelu i dolał sobie nieco trunku.

– To zabawne – mruknął. – Prawie wierzyłem, że to moje dzieci. Krążyło na ten temat mnóstwo plotek. Jej ówczesny facet wyrzucił ją na pysk. On był pewien, że nie jest ojcem, a ona zawsze kategorycznie odmawiała wyjawienia, kto nim był. Ostatnio zacząłem podejrzewać, że sprawcą jest Hogg. Odkąd rzuciła go Aneta, bezustannie snuje się za Sheilą, jak pies, który czuje zapach rui... Dla dzieciaków robi wszystko. Sprawia wrażenie, jakby nic go nie obchodziły plotki pod jego adresem. No, ale on od zawsze był w niej zakochany.

– Ja ze swojej strony zajmuję się tą sprawą krok po kroku. Jutro się z nimi spotykam.

– Ładna dziewczynka, no cóż... wiesz, normalna impertynencka nastolatka. Chłopiec jest zamknięty w sobie. Niewiele da się z niego wyciągnąć. Wyczuwam, że jest nadzwyczaj inteligentny. Dziwnie wygląda, twarz jak u zjawy. – Ian popatrzył na niego z autentycznym współczuciem. – Tępiej, że ty nim jesteś niż ja.

– Pisałem do ciebie, jak wiesz, parę razy. Dlaczego nigdy nie odpowiedziałeś? – spytał Dafydd. Było mu przykro, że Ian nie potraktował

go jak dobrego kolegi, z którym warto podtrzymać kontakt. Widząc go jednak w takim stanie, łatwo było odgadnąć, dlaczego nie przejawiał żadnej inicjatywy. Poza tym zawsze żył z dnia na dzień, a kiedy w grę wchodził inni ludzie, to pewnie przestrzegał porzekadła „Co z oczu, to z serca”.

– Dźwięk klaksonu wybawił Iana od odpowiedzi na to oczywiste pytanie. Thorn z przyzwyczajenia zaszczekał, ale robił wrażenie znudzonego.

– Podjechała taksówka.

– Weź mój samochód. Nie jest mi potrzebny przez dobre parę tygodni. W ten sposób będziesz mógł dowozić mi zakupy.

– Naprawdę tak myślisz? – Rzeczywiście, samochód się przyda. Będzie mógł wziąć dzieci na przejażdżkę. A może nawet sam wyprawić się gdzieś na dzień czy dwa... zobaczyć naturę w stanie dzikim.

Zapłacił taksówkarzowi za kurs i odjechał do miasta samochodem Iana, obiecując wrócić nazajutrz z zapasami jedzenia, trunków i papierosów.

## Rozdział 15

*Moose Creek, rok 2006*

– To jest Miranda... a to Mark. – Sheila pchnęła chłopca do tyłu, podczas gdy dziewczynka wspięła się palce, by cmoknąć Dafydd w policzek.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Dafydd oswajał się z myślą, że jest ojcem tych dzieci. Zarazem wydawało się mu to niemożliwe i wątpił, czy kiedykolwiek odkryje, w jaki sposób to się stało. Nie czuł do nich nic, jeśli nie liczyć współczucia i troski, więc nie przewidział, jak na jego psychice odbije się spotkanie z nimi. Bezpośredni kontakt wywołał w nim szok i głębokie poruszenie. Serce biło mu jak szalone, w całym ciele czuł nieznośne gorąco. Oczy mu się zaszklily. Jednocześnie był na siebie wściekły, że tak się rozkrochmalił w obecności Sheili.

Miranda była pogodną, nieco zbyt pulchną dziewczynką na progu dojrzewania. Być może jednak wsunęła sobie do stanika zwinięte w kłębek skarpetki, jak to robiła w jej wieku jego siostra. Dafydd przyglądał się jej twarzy, by rozpoznać w niej swoje geny. I rzeczywiście, miała jak on – ciemne, kręjące się włosy. Podobnie jak on miała też wydatne wargi z kącikami uniesionymi w górę. Jej szeroko rozstawione oczy były ciemnobrązowe, a czoło wysokie. Być może, jej usta z trochę krzywym uśmiechem, odsłaniającym mnóstwo zębów, przypominają usta jego siostry. Ale nie był tego pewien...

Chłopiec tak bardzo różnił się wyglądem od Mirandy, że wręcz trudno było go wziąć za jej brata bliźniaka. Nic w jego rysach nie sugerowało Dafyddowi, że należy do klanu Woodruffów, natomiast był niesłychanie podobny do Sheili. Rzucał się w oczy z powodu masy niesfornych rudych włosów, sięgających pleców i związanych w grubą kitkę. Miał pociągłą, bardzo bladą twarz, był barczysty i dość wysoki jak na swój wiek. Sprawiał wrażenie piętnasto-, a nie trzynastolatka. Podobnie jak matka, miał mnóstwo piegów, natomiast jego bladoszare oczy w kształcie migdałów różniły się barwą i kształtem od szafirowych oczu matki. Chłopak nie spoglądał na nic w szczególności, a już zwłaszcza nie na Dafydd. Stał skrępowany, odmawiając wszelkiej formy przywitania.

– Mark, nie bądź idiotą – ofuknęła go Sheila, – Chociaż udawaj, że masz trochę obycia. Doktor Woodruff jest twoim ojcem, przebył długą drogę, żeby się z tobą spotkać.

– Chwileczkę, Sheila – wtrącił Dafydd. – Z jakiego powodu Mark miałby się cieszyć? Nigdy się nie domagał, żebym tu przyjechał i wcale mu się nie dziwię, że traktuje to wszystko jak wrzód... na siedzeniu.

Miranda zachichotała, szybko zakrywając sobie usta. Dafydd też się uśmiechnął i wyciągnął do niej rękę. Oboje uścisnęli sobie dłonie; dziewczynka w przesadny sposób potrząsała jego prawicą. Dużą dozą humoru starała się nadrobić obojętność brata. Dafydd następnie wyciągnął rękę do Marka, który, zaskoczony tym gestem, podał mu na ułamek sekundy spoconą i miękką dłoń.

W porównaniu z typowymi domami w mieście, ten był okazalszy od innych, wygodny i urządzony ze smakiem. Sheila wyglądała znakomicie w żółtych obcisłych dzinsach i w swetrze tego samego koloru. Przez chwilę Dafydd ujrzał oczami wyobraźni doskonałą rodzinę. On sam w roli męża, z atrakcyjną żoną i dwojgiem sympatycznych dzieci, w ich stylowej, nowoczesnej siedzibie. Odpowiednia scenografia do reklamówki płatków śniadaniowych, w której bierze udział zdrowe, szczęśliwe stadło z dwójką potomstwa.

Gdy przechodzili do saloniku, Miranda złapała go za rękę.

– Chodź ze mną do mojego pokoju. Chcę ci pokazać różne rzeczy. – Pozwolił się zaciągnąć, myśląc z wdzięcznością o naturalnym goście dziewczynki. Oboje spędzili dobre dwadzieścia minut, oglądając plakaty, zabawki z dzieciństwa, kolekcję płyt i albumy ze zdjęciami bliźniąt w wieku niemowlęcym. Miranda zapytała, czy chciałby wziąć kilka fotografii, a on chętnie się zgodził i włożył je do portfela. Usłyszeli z dołu głos Sheili wołającej ich na lunch. Zrobiła pieczeń wołową.

– Chyba to danie jecie w Anglii, prawda? – zauważyła z lekką ironią, gdy siadali do stołu.

– Owszem, dla niektórych jest ono typowe. Ja sam nie jadam wiele mięsa, biorąc pod uwagę chorobę wściekłych krów, zarazę pyska i racic...

Miranda zakryła twarz rękami i chichotała bez końca.

– Pysk i racice, szalona krowa... ?

– No tak. Kilka lat temu... to choroby, które atakują...

Niespodziewanie odezwał się chłopiec.

– Jestem weganinem. Nie mogę znieść idei karmienia się zgniłym mięsem zabitych zwierząt. Nie piję również płynu odciganego z ich wymion, ani żadnych jego przetworów.

– O, na miłość boską – warknęła Sheila. – Tylko nie teraz.

– Jak zatem dostarczasz organizmowi białka? – spytał Dafydd, powstrzymując uśmiech.

– Jem fasolę, tofu, orzechy i nasiona – oznajmił Mark, przed wszystkimi nakładając sobie ziemniaki i jarzyny. – Ale – głównie kanapki z masłem orzechowym. Chleb i orzeszki ziemne zawierają mnóstwo białka.

– Wydaje mi się, że orzeszki ziemne to jarzyna, a nie orzechy – rzekł Dafydd.

Chłopak po raz pierwszy spojrział mu w oczy.

– Zgoda. Jednak razem dobrze działają.

Dafydd przyjrzał się barczystemu nastolatkowi. Dzieciak był nie tylko niepokojąco bystry, ale na dodatek wyglądał dziwnie – było w nim zarazem coś złowrogiego i kruchego. Chuda twarz, niemal śmiertelna bladość i chłodne spojrzenie. Z drugiej strony, pod tą powłoką ukrywał się pewnie bardzo wrażliwy chłopiec, dorastający pod dyktando dwóch silnych i dominujących kobiet. Dafydd nie odnotował żadnej wymiany słów bądź gestów między bratem i siostrą, więc zastanowiło go, na czym opiera się ich związek. Trudno było o bardziej różniące się od siebie rodzeństwo – i wyglądem, i cechami osobowości.

Okazało się, że lunch przebiegł w dość sympatycznym nastroju. Miranda dokładała starań, żeby panowała miła atmosfera. Zadawała inteligentne pytania, wybuchała zaraźliwym śmiechem. Nawet Sheila robiła dobrą minę do złej gry. Dafydd parę razy zerknął na nią uważnie. Matka moich dzieci. Przez chwilę rozważał tę myśl, odsuwając od siebie jej obraz jako mściwej, niebezpiecznej i podstępnej pozeraczki męskich serc. Rozsądna matka zarabiająca na życie, dobra gospodyni, efektowna kobieta, silna osobowość dająca dobry przykład dzieciom, wszystko to prawda, póki nie przyjrzeć się jej dokładniej, nie sprawdzić kątów... zakamarków.

– A co teraz? – zapytał, gdy dzieci wyszły z pokoju.

– Teraz... ustalimy wysokość alimentów i możesz się zacząć pakować. Spotkajmy się u mnie w piątek. Dzieci będą w szkole, a ja mam wolny dzień.

– Zgoda. Ale mnie chodzi o to, w jaki sposób mam spędzać czas z nimi.

– Powędrował wzrokiem w stronę – kuchni, skąd dochodził sześćk talerzy i odgłosy rozmowy prowadzonej ściszonými głosami. – Chciałbym się z nimi spotykać. Być może z osobna.

– A dlaczego tak ci na tym zależy? – spytała. – Dla nich nie będzie zbyt dobrze, jeśli się do ciebie przyzwyczają, a potem znikniesz z ich życia. Przyznam, że nie bardzo rozumiem, w czym miałyby to pomóc tobie.

– Sheila, nie zgadzam się. Albo jestem ich ojcem, albo nie jestem. Zapomniałaś pewnie, o czym sama mi powiedziałaś, prawda? Zrobiłaś to tylko dlatego, że Miranda chciała poznać swego ojca.

– No dobrze – wycodziła przez zęby, spoglądając w stronę kuchni. – Spodziewam się jednak, że zachowasz dyskrecję. Surowo je pouczyłam, żeby nikomu nic nie mówiły. Inna rzecz, że Miranda nie potrafi dochować tajemnicy, chyba że groziłoby to jej śmiercią. Spróbuj więc zaplanować coś takiego, co nie będzie się odbywało na oczach mnóstwa ludzi.

Dafydd ściszył głos.

– O co ci właściwie chodzi? Dlaczego to takie ważne? Nadaję się na ojca jak każdy inny. Myślę, że dla dzieci byłoby lepiej, gdyby mogły na ten temat swobodnie rozmawiać. W oczach ogółu dużo lepiej mieć ojca, niż nie mieć go wcale.

– A to już moja sprawa – odwarknęła. – Nie wymagam od ciebie żadnej opinii na ten temat.

Wpatrywali się w siebie z gniewem, póki nie nadeszły bliźnięta, niosąc z kuchni wazę z sałatką owocową i lody. Mark zerknął podejrzliwie najpierw na matkę, następnie na Dafydda, a potem znów na matkę. Jego jasne, przejrzyste oczy docierały w głąb drugiego człowieka.

‘.. – Czy musisz już iść? – zapytała Miranda, gdy skończyli posiłek, a Sheila ukazała się w jadalni z kurtką puchową Dafydda w ręce.

i – Na to wygląda – odparł. Miranda była dziewczynką, która pewnie nie będzie miała trudności z przeciwstawieniem się matce. Niewątpliwie, odziedziczyła po niej szybkość myślenia, śmiałość i wygadanie. Dafydd liczył w duchu, że skoro rzeczywiście jest jego córką, ujawni też kilka jego cech – zasadniczą prostolinijność, hojność, łagodność charakteru.

Nadszedł czas pożegnania. Chłopak chrypliwym głosem rzucił tylko „do zo”, natomiast Miranda go uściskała. Oto dziecko, które doszło do wniosku, że odkryło górę złota: odnalazło ojca, za którym tęskniło. W jej oczach musiał być ideałem. Była to trudna rola do odegrania.



Dafydd odwiedzał Iana każdego ranka. Przywoził mu prasę, jedzenie i – bardzo niechętnie – whisky, jego ulubioną truciznę, Ian przejawiał słabą chęć odtrucia organizmu, co w jego przypadku sprowadzało się do wypicia jednej butelki szkockiej dziennie zamiast dwóch. Dafydd chciał go zagadnąć o uzależnienie, ale postanowił odłożyć to na potem, kiedy obaj rozwiążą dawną więź. Ian zamknął się w swoim świecie i nie chciał ujawniać prawdziwych emocji, a do tego najwyraźniej nie miał żadnej bratniej duszy. Dafydd nie widział się z dziećmi przez cały tydzień. Telefonował do Sheili codziennie, próbując wpłynąć na nią, aby zmieniła zdanie i nie utrudniała mu spotkań z nimi. Ona jednak upierała się przy swoim i kazała mu czekać aż do piątku, przypominając, by porozmawiał z jej prawnikiem i załatwił w banku stałe zlecenie na alimenty. Dafydd nie uległ jej presji. Sheila, w jego mniemaniu, liczyła, że jeśli odseparuje go od dzieci, wymusi na nim szybsze załatwienie zobowiązań finansowych, ale jej rozumowanie nie odnosiło skutku. Dafydd uważał, że nie musi się z tym spieszyć. Im częściej upierała się przy swoim, tym bardziej zwlekał, zastanawiając się w duchu, czym się to skończy.

Od jego przyjazdu minęły prawie dwa tygodnie. Zatelefonował więc do Cardiff i zapowiedział w kadrach, że wyśle prośbę o dłuższy bezpłatny urlop. Chociaż administracja szpitala nie była tym zachwycona, to jednak zdarzały się takie precedensy. Inni lekarze robili podobnie, niektórzy nawet całkiem często. Dafydd powoływał się na względy osobiste. A co, do cholery, czy tak właśnie nie było? Przed jego odjazdem do Kanady w szpitalu krążyły najróżniejsze plotki – w związku z jego wypadkiem po pijanemu, ze starciem z Payne-Lawsonem, z kłopotami małżeńskimi... Wszystkie te fakty dały pożywkę dla opowieści mrozących krew w żyłach. Dafydd odjeżdżał z ulgą, licząc, że z czasem te historie pójdą w zapomnienie. Zostawił Isabel, żeby w końcu podjąć jakąś decyzję. Na tak lub na nie.

Kiedy nadszedł piątek, Opuścił Iana wcześniej niż zwykle, bo nie chciał spóźnić się na spotkanie z Sheilą u niej w domu.

Zaczął padać gęsty śnieg. Z białego jak atlasowa pierzyna nieba spadały śnieżynki wielkości przepiórczych jaj. Powoli wirowały w powietrzu, ale było ich tak wiele, że gdy Dafydd wysiadł z samochodu i dotarł do drzwi wejściowych, był nimi przysypany. Kiedy Sheila otworzyła, zdjął na progu

kurtkę i energicznie ją strzepnął.

– Dlaczego twierdziłaś, że Ian wyjechał z miasta? – zapytał ją z miejsca.

– Nie chciałam, żebyś znowu się z nim zbratał. To beznadziejny przypadek. Nie odpuściłeś jednak, co? Doszły mnie słuchy, że ciągle u niego przesiadujesz. Rób, co chcesz, tylko nie ciągnij tam dzieci.

– Nie mam najmniejszego zamiaru. A poza tym co cię obchodzi, jak spędzam wolny czas?

– Z pewnością nie uszło twojej uwagi, że Ian jest koszmarnym alkoholikiem. To przegrany facet... i smętny skurwiel – dodała z lodowatą pogardą, którą zmroziła Dafydd.

– Sheila, alkoholizm jest chorobą. Skoro jesteś pielęgniarką, z pewnością o tym wiesz.

– Akurat, chorobą – wycedziła.

Stali w holu. Sheila swoim zwyczajem skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o framugę.

– Czy zadzwoniłeś do McCready’ego?

– Nie, natomiast mój adwokat jest z nim w kontakcie.

Popatrzyła na niego przeciągle, ale nie odezwała się ani słowem. Wyglądała inaczej niż zwykle. Loki, zazwyczaj ułożone w nieskazitelną fryzurę, były w nieładzie, twarz bez makijażu, jedynie na ustach ślad błyszczycy, wskutek czego jej wargi były jakby mokre i śliskie. Miała na sobie przetarte džinsy z dwiema dziurami na lewym udzie i ciasny, sprany podkoszulek, spod którego wyzierał biały koronkowy stanik. Jak na nią, był to dziwaczny strój – domowy, wręcz niedbały, ale nawet w nim prezentowała się seksownie. Dafydd zastanowiło, co miała na myśli, ubierając się w ten sposób, jaki manewr psychologiczny zastosowała tym razem. Spostrzegł, że jest wewnątrznie rozdarta. Mimo pozorów uwodzicielstwa widać było, że jest zła i sfrustrowana. Wyraźnie wstrzymywała się z wybuchem, chociaż rzadko cechowała ją autodyscyplina. Wreszcie odezwała się.

– Nie chcesz wracać do siebie? – spytała rzeczowym tonem. – Trudno mi pojąć, w jakim celu zwlekasz. Myślę, że powinniśmy przystać na sumę, jaką zasugerował McCready. – Śmiało obejrzała go od stóp do głów, zatrzymując wzrok na wysokości klamry od paska.

Miał wielką ochotę wyjść. Na jej terytorium, sam na sam, czuł się zagrożony. Nie zapomniał, do czego potrafi być zdolna. Była wcieleniem

diablicy. Na pierwszy rzut oka urocza, intrygująca, a nawet ekscytująca – aż do czasu, gdy wybuchnie gniewem i jadem, albo i czymś gorszym, kompletnie niszcząc drugiego człowieka. Trzeba było jednak uporać się z tymi spotkaniami.

– Daj, powieszę twoje okrycie – rzekła, wyciągając rękę po kurtkę puchową, ale nie robiąc kroku w jego kierunku. W chwilę potem, świdrując wzrokiem jego krocze, zupełnie zburzyła wrażenie szacownej gospodyni domu. Dafydd poczuł, jak jego kark ogarnia płomień. Przeklął się w duchu za tę idiotyczną reakcję.

– Życzysz sobie kawy czy czegoś mocniejszego? – spytała zalotnie.

– Kawy – odparł chłodnym głosem, jakby na przekór pieczeniu w karku.

– Rozgość się – dodała, popychając go w kierunku salonu i wciskając mu do ręki numer „Moose Creek News”.

Salon sprawiał wrażenie dziwnie sterylne pomieszczenia, pozbawionego wszelkich rzeczy o charakterze osobistym, nawet gier czy zabawek dzieci. Dafydd usiadł, usiłując skupić się na artykule poświęconym problemom narkomanii w mieście. Zastanawiał się w duchu, czy dzieci, jego dzieci w jakiś sposób zostały wystawione na podobne niebezpieczeństwo. Po chwili usłyszał, że ktoś odmyka drzwi wejściowe. Podeszedł do okna. Instynktownie zrobił krok do tyłu, widząc, jak Sheila, w kurtce narzuconej na głowę, otwiera bagażnik samochodu Iana. Ze swego miejsca nie mógł dostrzec, co tam robi, ale szybko cofnął się i z bijącym sercem przysiadł z powrotem na kanapie. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że podrzuca tam bombę, jednak natychmiast się zreflektował. Po co miałyby go sprzątnąć, skoro może od niego wyciągnąć kupę pieniędzy? Nie warto zabijać kury znoszącej złote jaja. Czy weszła tam w poszukiwaniu czegoś? To byłoby dziwne.

Po minucie wróciła do pokoju z dwoma kubkami i usiadła naprzeciwko. Przypatrywała mu się z uwagą. W świetle odbitym od śniegu na dworze zauważył w jej twarzy zmęczenie. Na jej bladej cerze wyraźnie odcinały się głębokie cienie pod oczami. Może jego obecność w Moose Creek jest dla niej bardziej stresująca, niż sobie wyobrażał.

Przez chwilę piła w milczeniu, po czym z głębokim westchnieniem przystąpiła do wyliczania swoich warunków.

– Teraz – zakomunikowała mu – chcę z tobą porozmawiać na temat Marka. Istnieje kilka opcji. Pierwsza to szkoła specjalna w Winnipeg.

Czesne wynosi dwadzieścia dwa tysiące rocznie, ale podobno doskonale tam uczą. Jeśli nie chcesz tyle płacić, są inne, mniej atrakcyjne możliwości.

– Szkoła specjalna? O czym ty mówisz? – zaperzył się Dafydd. – Przecież chłopak ma umysł jak brzytwa.

– Jasne, ale nie mogę sobie poradzić z jego zachowaniem.

– Nie wspominałaś, że masz z nim jakiegokolwiek problemy.

– No to mówię ci o tym teraz.

– Nastolatki ulegają zmiennym nastrojom i bywają trudne. Tb normalne – zaprotestował Dafydd. – A czy Miranda wie o tym... zesłaniu?

Sheila spuściła wzrok, na jej policzkach wystąpiły rumieńce.

– Nie, nie wie. I masz jej o tym nie wspominać, nawet słówkiem, słyszysz?

– A zatem ona nie chciałaby, żeby został wygnany do jakiejś...

– Nie. Ale ja już mam dość jego bezczelnego zachowania. On ma w sobie ciemną stronę. I uważam, że to zaszkodzi Mirandzie. Ona za bardzo się nim przejmuje. Powinna przebywać w odpowiednim towarzystwie. Normalnych dzieci.

– Hm... ciemna strona. Ciekawe, po kim ją odziedziczył?

– Słuchaj – odezwała się podniesionym głosem. – Spędziłam większą część dzieciństwa w najróżniejszych szkołach z internatem, i to nawet w połowie nie tak porządnych jak ta, do której można oddać Marka. Co, do cholery, jest w tym złego? Wy, Brytyjczycy, wysyłacie swoje dzieci do takich szkół masami, pewnie sam skończyłeś podobną. – Potrząsnęła gniewnie głową. – Więc nie udzielaj mi zasranej lekcji moralności.

– I czego, twoim zdaniem, mieliby go nauczyć w takim miejscu? – spytał Dafydd.

– Przede wszystkim walki o siebie – odparła szorstkim tonem. – Ja musiałam się tego sama nauczyć, ze świetnymi rezultatami. Uczą się tam, jak zdobyć pierwszeństwo.

– I tu się z tobą całkowicie zgadzam – przyznał jej Dafydd. – To z pewnością potrafisz.

Sheila spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby za chwilę chciała go obrzucić stekiem wyzwisk, ale Dafydd zaśmiał się w duchu. Oto prawdziwa Sheila, taka, jaką znał. Dużo bardziej wolał w jej oczach błyskawice gniewu niż iskiereki seksu.

– Słuchaj. Musisz podjąć decyzję, i to naprawdę szybko, bo w

przeciwnym razie wylądujesz z masą rachunków od prawnika. Nie chcę, żebyś zostawał tu dłużej. Nie ma takiej potrzeby. Z pewnością twoja żona wyczekuje cię w domu?

– O nie, nie czeka – roześmiał się Dafydd. – O to już zadbałaś.

– Prawdę mówiąc, twoja sytuacja rodzinna głównie mnie obchodzi. Chcę jedynie załatwić konkretne sprawy. Żądam pierwszego przelewu bankowego pod koniec przyszłego tygodnia. Jak już mówiłam, dwa tysiące dolarów miesięcznie to przy twoich zarobkach rozsądna suma. A więc bierz się do roboty, albo będę musiała podjąć dalsze kroki.

– A cóż ty mi możesz jeszcze zrobić?

– Wysłać ci pozew z sądu, ot co.

Wstał, nie tknąwszy kawy i poszedł do holu, by zdjąć kurtkę z wieszaka. Sheila jednakże doskonale wiedziała, kiedy należy trochę popuścić. Zatrzymała go, kładąc mu rękę na piersi.

– Daj spokój, Dafydd, nie musimy rozstawać się w gniewie – rzekła łagodnym tonem. – Pomyśl o tym. Spróbujmy to załatwić na luzie... dla ich dobra. Przecież życzysz im jak najlepiej, prawda? Po prostu bądź rozsądny.

– Dla ich dobra? W tym celu wysłać chłopca do jakiejś koszarnej „szkoły specjalnej”?

Sam pomyślał, że Sheila zaplanowała sobie, aby go wykorzystać oraz wyciągnąć od niego pieniądze, żeby pozbyć się syna, doprowadził go do szału.

– Przyjadę po dzieciaki jutro rano o dziesiątej. Jeśli się nie zgadzasz, to odlatuję najbliższym samolotem i będziesz musiała płacić twemu pieprzonemu adwokatowi, żeby po całym świecie ścigał mnie i moją książeczkę czekową.

Jechał drogą prowadzącą w kierunku boiska. Ogromne wyrwy w jezdni pokryła gruba warstwa śniegu. Wpadłszy w jedną z nich, musiał stanąć. Wysiadł, zapadł się po kostki w lodowatej bryi, zaklął głośno i postanowił zajrzeć do bagażnika. Jak zauważył, zamek nie był zamknięty na klucz. Czy Sheila o tym wiedziała? Otworzył klapę i z początku nie dostrzegł tam niczego szczególnego, prócz pary zabłoconych kaloszy, sflaczałej opony zapasowej i zatłuszczonych szmat. Podnosił każdą rzecz z osobna, ale nadal niczego nie wykrył. W końcu uniósł rąbek nasiąkniętej wodą maty i wtedy spostrzegł to coś. Nie była to tykająca bomba, lecz paczka nie większa od

książki, owinięta folią z bąbelkami i oklejona taśmą. Pomacał ją. Zawierała wiele małych, podłużnych przedmiotów, twardych w dotyku i wydających szklisty dźwięk. Zastanowiło go, skąd się to tu wzięło i dla kogo jest przeznaczone. Zastanawiał się nawet, czy nie zajrzeć do środka, ale szacunek, jaki żywił dla cudzej własności, kazał mu odłożyć paczkę na miejsce. Udało mu się wyjechać ze zdradzieckiej dziury i ruszył prosto do pensjonatu Tillie, żeby zmienić skarpetki i zjeść u niej lunch, który według niej należał mu się zamiast nietkniętego śniadania.

Dafydd i bliźnięta, siedząc w kafeterii Beanie'ego, lokalu niecieszącym się zbyt dużą popularnością w zasadniczo proletariackiej dzielnicy, jedli hamburgery. Mając stolik z widokiem na ulicę, przyglądali się okutanym przechodniom, ostrożnie stąpającym po oblodzonych chodnikach. Półciężarówki na ogromnych oponach posuwały się wolno po jezdni, a kilka udekorowanych czapami śniegu samochodów, w których pewnie wysiadły akumulatory, stało na jezdni przed kafeterią.

Byli tu jedynymi klientami. Obsługiwał ich młody mężczyzna, zapewne Beanie we własnej osobie. Ten młodzieniec z długimi włosami był ubrany w kaftan, którego poły bez przerwy majtały mu się wokół długich nóg, co groziło mu upadkiem. Miranda odwróciła głowę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Pochyliła się nad talerzem, pałaszując hamburgera, aż nagle przypomniała sobie o czymś i zaczęła grzebać w małej czerwonej torebce. Wyciągnęła stamtąd kopertę i podała ją Dafyddowi.

– Mama prosiła, żeby ci ją dać. Jest adresowana na naszą skrytkę pocztową, ale to dla ciebie. Co tam jest?

– Czy twoja rodzina nie wie, gdzie się zatrzymałeś? – odezwał się ostrym tonem Mark, przerywając godzinne milczenie. Przez ten czas nie odrywał oczu od pisma poświęconego instrumentom muzycznym.

– Nie, nie wie – przyznał zakłopotany pytaniem Dafydd. Przed zaśnięciem stale rozmyślał o Isabel, przywoływał w pamięci jej twarz sprzed otrzymania feralnego listu od Mirandy i pieścił w wyobraźni jej smukłe ciało. Nie przyszło mu do głowy, żeby podać jej swój adres, ponieważ przed wyjazdem zapowiedziała mu, żeby nie odzywał się do niej aż do powrotu. Ale przecież mogła mu w razie potrzeby wysłać maila albo zadzwonić na komórkę, a tego z jakiegoś powodu nie zrobiła. Teraz uświadomił sobie, że powinien był zostawić jej jakieś namiary. *Zapragnął* nawiązać z nią kontakt,

choćby za pomocą kartki papieru.

– Nie macie nic przeciwko temu, żebym przeczytał od razu? – zwrócił się do bliźniąt.

– Nie! – odparły chórem. Gdy rozdzierał kopertę, Miranda przysunęła się do niego, żeby zerkać na list przez jego ramię.

*Dafydd. Wyjechałeś dwa tygodnie temu i od tego czasu nie usłyszałam od Ciebie ani słowa. Myślałam, że będziesz miał na tyle przyzwoitości, żeby się ze mną skontaktować i dać znać, co się dzieje. Wysłałam ci maila, ale wrócił, ten list więc wysyłam na numer skrytki pocztowej Sheili Hailey, ponieważ nie podałeś mi swego adresu.*

*Mam tutaj piekło, o czym powinieneś wiedzieć, ponieważ w zeszłym tygodniu było tu włamanie, wszystko zniszczone i pokradzione. Złodzieje bez trudu dostali się przez oranżerię. Szkody wynoszą tysiące funtów. Policja twierdzi, że to dzieło małolatów. Jak Ci wiadomo, nie było tu wiele wartościowych rzeczy do ukradzenia, ale gówniarze obeszlą cały dom z czerwoną i pomarańczową farbą w sprayu, spryskując nią meble, obrazy, ubrania w naszych garderobach, nawet wewnątrz lodówki, zasłony, ręczniki i – przykro mi donieść – twoją rosyjską ikonę. Niech to wszyscy diabli. Zniosłam ikonę do specjalisty od restaurowania obrazów, ale nie wiadomo jeszcze, czy uda mu się usunąć farbę. Nie mogę znaleźć Twojej gitary, więc jeśli nie wzięłaś jej ze sobą, także została skradziona.*

*Policja uważa, że ktoś tu musi mieszkać, bo w przeciwnym razie włamanie może się powtórzyć. Mogą się wprowadzić dzicy lokatorzy, należy się liczyć z wszelkimi innymi koszmarami. Prawdę powiedziawszy, czuję się strasznie zdołowana, a Paul potrzebuje mnie w Londynie do czasu skończenia projektu.*

*Zadzwoiłam do szpitala, gdzie się dowiedziałam, że wzięłaś miesiąc bezpłatnego urlopu bezpośrednio po trzytygodniowym płatnym (byłoby miło, gdybyś mnie o tym powiadomił, bo nie musiałabym wypytywać Twojej sekretarki o Twoje najbliższe plany).*

*W celu uniknięcia dalszych nieszczęść sugeruję, żebyśmy znaleźli kogoś, kto mógłby pomieszkać tu przez kilka tygodni. Paul ma siostrzenicę, która studiuje na tutejszym uniwersytecie i żyje w jakiejś norze. Byłaby zachwycona zmianą. Bądź tak uprzejmy i daj mi znać, co o tym sądzisz, żebym mogła przystąpić do działania. Mieszkanie trzeba odskrobać i po*

*części umeblować na nowo, a dziewczyna i jej kumple gotowi są pomalować ściany i pomóc w innych niezbędnych pracach.*

*Proszę, wyślij mi maila jak najszybciej.*

*Isabel* – O, mój Boże! – wykrzyknęła Miranda, przeczytawszy prawie cały list, chociaż Dafydd starał się zasłonić go ręką. – To straszne. Nie chcę odwiedzić ciebie w Anglii, skoro tam są takie okropne typy. Biedna ta twoja żona. Aż trudno sobie wyobrazić. – Zwróciła się do brata: – Ci dranie włamali się do domu żony tatusia i oblali farbą wszystkie jej ubrania. Następnie spojrzała na Dafydda, pytając: – Czy ta pani miała dużo sukienek?

– Nie, nie była tak bardzo zainteresowana strojeniem się – odparł zdławionym głosem. – Zawsze jednak świetnie wyglądała, nawet w prostych ubraniach.

– Jezu, ja chyba zaraz zemdleję – orzekła Miranda z przejęciem.

Mark głęboko westchnął i uniósł wzrok ku górze, ale w jego oczach zamigotał ogień zainteresowania na wieść o włamaniu i o kolosalnych stratach. Można było sądzić, że miał ochotę zadać kilka pytań w tej sprawie, ale postanowił trzymać dystans. Poklepał siostrę po głowie, potem wstał i podszedł do Beanie'go. Był najwyraźniej częstym gościem lokalu, w którym zaprzysięgły weganin mógł coś zjeść w trakcie oczekiwania na powrót matki do domu. Obaj mieli sobie dużo do powiedzenia. Miranda tymczasem gadała jak najęta, opowiadając Dafyddowi o jakichś drogich adidasach, które zauważyła na wystawie, i sposobach, do jakich gotowa jest się odwołać, żeby zdobyć niezbędne fundusze. Dafydd słuchał jej w odrętwieniu, nadstawiając ucha w stronę Marka. Był ciekaw, co ten milczek ma do powiedzenia facetowi w kaftanie. W duchu jednak dręczyło go poczucie totalnej klęski, kompletnej utraty resztek optymizmu i nadziei. Choć spotkanie z tymi skrajnie różniącymi się od siebie bliźniętami sprawiało mu radość, to teraz chciał się ich jak najszybciej pozbyć, żeby zatelefonować do domu... domu? Ten, który był mu znany, już nie istniał.



## Rozdział 16

*Moose Creek, rok 2006*

Drogi zamarzły na kość, a na lodzie leżała gruba warstwa suchego śniegu. Skutek był taki, jakby ktoś podrzucił skórkę od banana na wyfroterowaną podłogę. Dafydd wyciągnął łańcuchy z tylnego siedzenia starego forda i z trudem założył je na koła. Z ogłuszającym brzękiem wyruszył w odwiedzin do Iana.

Gdy jechał szosą, tuż przed skrętem do jego chaty przypomniał sobie o paczce w bagażniku. Mogła być przeznaczona wyłącznie dla Iana. Co takiego miała Sheila, czego chciał lub potrzebował Ian? Może zamówił coś przez pocztę, podając adres szpitala lub jej skrytkę pocztową. Ale z jakiego powodu Sheila włożyła tę przesyłkę ukradkiem? Dlaczego nie poprosiła jego, Dafydda, aby przekazał ją Ianowi? Szkło, kieliszki, jakieś szklane rurki... próbówki. Szklane fiolki! Bezwiednie nacisnął hamulec i mimo łańcuchów wpadł w boczny poślizg, zatrzymując się tuż przed rowem przydrożnym. Dopiero wtedy ujrzał przed sobą stado bawołów piżmowych, ciągnących wąską przecinką prowadzącą do chaty Iana. Siedział zaskoczony tym widokiem, ponieważ mówiono mu, że te zwierzęta rzadko zapuszczają się na południe od tundry, leżącej w odległości około stu kilometrów. Powiedziano mu, że gnają je w te strony stada wilków.

Oczarowany tą sceną posuwał się bardzo wolno, jednak na dźwięk brzęczących łańcuchów ogromny byk uskoczył w bok i całe stado zbiło się natychmiast w jedną wielką masę – grzbiet przy grzbiecie, zad przy zadzie, zamieniając się jakby w gigantyczne zwierzę. Gdy bawoły z niebywałą gracją ruszyły do galopu między drzewami, zsynchronizowany ruch ich długiej sierści sprawiał wrażenie ciemnej, sfalowanej powierzchni morza. Dafydd przypomniał sobie, jak Śpiący Niedźwiedź opowiadał mu kiedyś, że z dwudziestu dekagramów ich delikatnego podszerstka można utkać nic długą na szesnaście kilometrów.

– Widziałeś te zdumiewające zwierzęta? – spytał Iana, rozładowując codzienne zakupy.

Ian jak zwykle wręczył mu banknot dwudziestodolarowy, nigdy

niewystarczający na pokrycie wydatków, ale w końcu dawał Dafyddowi korzystać z samochodu.

– Bawoły piźmowe? Bóg jeden raczy wiedzieć, co tu robią. Thorn na ich punkcie oszalał.

Z torby na zakupy wyciągnął butelkę whisky, rozlał trunek do dwóch szklanek i jedną z nich podał Dafyddowi.

– Nie pojawiłeś się wczoraj. Nie mam twojego numeru telefonu, więc nie mogłem do ciebie zadzwonić.

– A dlaczego nie zajrzałeś do książki telefonicznej? Pamiętasz, pensjonat „Fartowny Poszukiwacz Złota”?

– Najpierw czekałem na ciebie, a potem się urznąłem i przestałem się czymkolwiek przejmować.

– Czy chciałeś, żebym kupił ci coś konkretnego?

– Nie, mniejsza o to. Po prostu przywykłem do twoich codziennych odwiedzin.

Dafydd zastanawiał się, jaką podać wymówkę, gdy tymczasem Ian grzebał w bagażniku auta.

– Jak tam zabawa w tatę?

– W porządku, dzięki. Miranda jest ogromnie sympatyczna i bystra. A co do Marka, to naprawdę nie wiem... Sheila twierdzi, że ma kłopoty z jego zachowaniem. Słyszałeś coś na ten temat?

– Do cholery, przecież to nastolatek. Oni wszyscy są tacy behawioralni. Ta kobieta sądzi, że zjadła wszystkie rozumy. Jest bez pudła, jeśli idzie o manipulowanie ludźmi i używanie ich do swoich celów, ale nie ma zielonego pojęcia o ludziach jako takich. Prawdziwy z niej padlinożerca. Czy wiesz, jak ją przezywają? „Rosomak”. Trafnie, co?

Dafydda zaskoczyła gorycz w jego głosie. Może i Ian miał powody, by nie znosić tej kobiety. Sobie tylko znane powody. Bez wątpienia, prowadzili ze sobą jakieś mętne interesy. Nie wytrzymał i spytał Iana wręcz:

– W bagażniku jest jakaś paczka. Pewnie przeznaczona dla ciebie.

Ian zadrzał gwałtownie, jakby przez ciało przepuszczono mu prąd.

– Co ona ci powiedziała? – zagadnął ostrym tonem.

– Nic mi nie mówiła. Widziałem, jak wkłada ją do bagażnika.

Ian z zaskakującą szybkością pobiegł do samochodu, otworzył klapę i wrócił z pakunkiem owiniętym plastikiem. Stojąc pośrodku izby, wyraźnie się wahał. Zerkał to na Dafydda, to na drzwi od łazienki, to na zawiniątko.

– Och, na miłość boską – wybuchł Dafydd. – Cóż to za substancję dostarczyłem w charakterze nieświadomego posłańca? Wyrzuć to z siebie!

– Demerol.

Dafydd wlepił w niego oczy.

– Demerol?

– Myślałem, że się domyśliłeś. Dawno temu. Jestem uzależniony od... lat.

– Ile tego bierzesz?

– Och, około tysiąca mililitrów dziennie.

– Tysiąca... mój Boże. W jaki sposób to sobie organizujesz? – Dafydd znał już podobne przypadki uzależnień wśród lekarzy, mówiono o dwóch czy trzech takich medykach w Cardiff, ale żeby od ponad dziesięciu lat... To bardzo długi czas, żeby nie wpaść.

– Daj spokój, gdzie twoje szare komórki? – W przypiływie irytacji Ian gotów był obrazić Dafydda, jednak nagle oklapł i powłókł się do najbliższego krzesła. – Jak sądzisz? – spytał z głębokim westchnieniem, zakrywając twarz rękami.

– Chyba nie masz na myśli Sheili?

Ian uniósł powieki.

– Czy widziałeś jej dom... utrzymywany z pensji pielęgniarki? Jej ubrania, samochód, meble? Nie wspominając o koncie bankowym. – Rozsiadł się na krześle i z pewną trudnością przystąpił do rozpakowywania przesyłki. – A teraz popatrz, jak ja mieszkam... żyjąc z pensji lekarza. Jeśli więc zrobisz w myślach równanie...

– Ale jak jej to uchodzi na sucho? Czy nikt nie liczy... ?

– Jasne. Ona sama. Ma całkowitą kontrolę nad zamawianiem leków, wydawaniem ich i rozliczaniem się. Nie zauważyłeś pęku kluczy u jej paska? Nikt prócz Sheili nie ma prawa wejść do magazynu leków. Nawet Hogg musi ją prosić o te, które są mu potrzebne. – Rozdarł plastik zębami. – Żyję w panicznym strachu na myśl o jej urlopie.

Wreszcie dobrał się do starannie opakowanych fiolek, które wysypały się z brzękiem na stół, tocząc się we wszystkich kierunkach. Jedną z nich złapał tuż na skraju blatu, zanim roztrzaskała się o podłogę. – Zauważ, że jest bardzo punktualna w dostawach. Gdy tylko płacę jej ekstra, daje mi spory zapas. Chociaż trudno to przewidzieć... – dodał z uśmiechem. – Właściwie to wolę, kiedy ona tym zawiaduje. Ja mam skłonność do przesadnego

kupowania.

Zacisnął fiolet w dłoni i machinalnie począł podwijać rękaw koszuli.

– Wracam za chwilę – rzucił, wstając z krzesła.

– Jeszcze jedna sprawą, zanim sobie pójdiesz – odparł Dafydd, próbując opanować sarkazm. – Czy z tego powodu dałeś mi swój samochód? Żeby oszczędzić na jeździe do miasta, albo okazać uprzejmość Sheili?

– O, nie, w ogóle coś takiego nie przyszło mi do głowy. Naprawdę. Normalnie dostawy nie stanowią problemu, ale odkąd siedzę w domu, trochę się pokomplikowały. Sheila nie znosi jeździć do mnie, no i ludzie mogą coś zauważyć. Wiedząc, że mnie odwiedzasz... no, to był jej pomysł. Głupi, jak się okazało. Sheila nie jest taka nieostrożna. – Wzruszył ramionami i ruszył do łazienki.

Wiedziony impulsem Dafydd wstał i wyszedł. Odjechał, grzmocąc łańcuchami po lodzie. We wstecznym lusterku dostrzegł biegnącego za nim Thorna, szczekającego wniebogłosy. Na ten widok gniew i niesmak przeszły mu jak ręką odjął. Staął, żeby pożegnać zrozpaczone psisko. Thorn patrzył na niego błagalnie, jakby prosząc, żeby nie opuszczał jego pana. Nie odchodź. On nie ma przyjaciół. Nie porzucaj go.

Dafydd pogłaskał psa, zanurzając twarz w ciepłej, puszystej sierści na jego karku. Nie miał prawa tak surowo oceniać Iana. Ten człowiek jest narkomanem, a nie demonem. Dafydd nigdy się nie dowiedział, dlaczego Ian w ogóle znalazł się w Moose Creek, jaki los go tu przygnał. W młodym wieku mógł być szalony, a nawet nieodpowiedzialny, ale był zarazem dobrym i troskliwym lekarzem, bez wahania wykonującym swoje obowiązki. Jednakże jego uzależnienie wiele pod tym względem zmieniło. Mimo to Dafydd postanowił w duchu, że nie będzie wtrącać się w jego sprawy. Szpital musi zdecydować, czy Ian potrafi się wywiązać z powierzonych mu zadań.

Zdawał sobie sprawę, że w Moose Creek pracowało wielu gorszych od niego medyków; Janie opowiedziała mu szokujące historie o niektórych z nich. Uczciwe CV wcale nie było bezwzględny wymogiem, więc zdarzało się, że alkoholik, lekoman lub były kryminalista, nie mówiąc już o człowieku bez odpowiednich kompetencji, niebezpieczny dla pacjentów lub z wątpliwymi kwalifikacjami, naciągał swój życiorys i bywał w tym miejscu przyjmowany z otwartymi rękami, bez wczytywania się w jego papiery, bo w takim miejscu o lekarza było nadzwyczaj trudno.

Dafydd zawrócił więc i postanowił ponownie zajrzeć do Iana, który teraz znajdował się w stanie totalnego zamroczenia.

*Przykro mi, że nie odebrałam twoich telefonów. Jestem bardzo zajęta. Zaproponowano mi nowy projekt. Paul zachęca mnie, żebym przyjęła z nim pracę nad wnętrzami do sieci hoteli w Dubaju. Będę się tym zajmowała w Londynie, ale wiąże się to z częstymi wyjazdami na plac budowy. Mam nadzieję, że jesteś ze mnie zadowolony. Oznacza to lata pracy, bo dotyczy wszystkiego – restauracji, foyer, otoczenia. To każe mi poruszyć następną kwestię. Thompsonowie mają przyjaciół, zainteresowanych naszym domem. Nie w celu wynajmu, lecz kupna. Zadzwonili do mnie znienacka i zaoferowali 290 tysięcy funtów. Marjorie musiała im opowiedzieć, co się tu wydarzyło (i co się stało z nami osobiście). Najwyraźniej doszła do wniosku, że chcemy się pozbyć domu. Na wszelki wypadek zatelefonowałam do agenta od nieruchomości, który przyszedł obejrzeć dom. Potwierdził cenę. Mogłabym domagać się więcej, gdyby nie był w takim stanie, jestem tym wszystkim dość zaskoczona, ale prawdę mówiąc, byłoby to najlepsze rozwiązanie. Daj mi znać, co o tym myślisz.*

*Serdeczności,*

Isabel Serdeczności, a jakże. Dafydd gapił się na ekran. Co się stało ze słowami miłości, dołączeniem pocałunków, uścisków etc? Co się stało z tęsknotą, wyczekiwaniem? Pieprzony Paul Deveraux, który śmiał odebrać mu żonę. Ogarnęła go rozpacz. Poczul tak silny ból w klatce piersiowej, że nie mógł złapać tchu. Ale cóż, siedział w pokoiku u Tillie, a ona krążyła w pobliżu, udając, że wkłada dokumenty do teczek.

Rozpaczliwie pragnął porozmawiać z Isabel, ale ona właśnie tego unikała. Może już do tego stopnia straciła do niego szacunek, że nie miała ochoty rozmawiać z nim przez telefon. Albo może był to cios wymierzony mu przez nią za karę, by wykazać, jaki jest prymitywny. Nacisnął ikonkę „odpowiedz”.

*Isabel. Ton twojego maila był dla mnie bolesny. Brzmiał on, jakbyśmy byli współnikami w, interesie, a nie partnerami w małżeństwie (ciągle jesteśmy małżonkami).*

*Gratuluję projektu w Dubaju. Bez wątpienia, dla Ciebie to świetnie, ale*

*może mi odpowiesz, jak widzisz naszą wspólną przyszłość, jeśli uważasz, że coś takiego w ogóle może jeszcze istnieć.*

*Co do domu, to szybko podjęłaś decyzję\* Wyjechałem zaledwie trzy tygodnie temu, a ty już zdemontowałaś całe nasze życie. Ten dom jest moją przystanią, twoją przystanią, naszą wspólną przystanią. Ale, oczywiście, pozbądź się go. I tak jest dla nas zbyt obszerny. Nowy start w nowym domu może okazać się dla nas korzystny. Zostawiam Ci wszelkie decyzje i w pełni zaakceptuję Twój wybór.*

*Jednakże proszę, miej na tyle taktu, żeby porozmawiać ze mną osobiście. Zadzwoń do mnie.*

*Twój Dafydd* Nacisnął ikonkę „Wyślij”, bez wczytywania się w tekst. Przekazał, co czuje, a ona powinna zdać sobie z tego sprawę.

Po dziesięciu sekundach wpadł w panikę, żałując, że przybrał taki zasadniczy, ostateczny ton. I dom... mieszkali tam zaledwie od sześciu lat, ale on sądził, że już na dobre. Praktycznie udzielił jej pozwolenia, żeby go sprzedała. Jeśli kiedykolwiek zapragnąłby, aby Mark i Miranda go odwiedzili, a może nawet zamieszkali z nim, gdzie by się podzieli? Cała sytuacja była surrealistyczna. Tillie kręciła się w pobliżu, obserwując jego rozedrgane emocje. Poczul na plecach jej rękę.

– Nic ci nie jest?

– Nie, Tillie, dzięki. – Westchnął i wstał. Idąc po schodach czuł się skrajnie przygnębiony. Znajdował się o tysiące kilometrów od Isabel, nie mając cienia szansy na intymną rozmowę, na próbę zrozumienia z jej strony. Ale co właściwie miałyby zrozumieć? Musiał przyznać, że nagłe ojcostwo było dlań niemalym wstrząsem, tyle że to doświadczenie nie napawało go ani radością, ani entuzjazmem. Prawdę mówiąc, sam pomysł, aby zbliżyć się do tych wrażliwych dzieci i następnie je opuścić, by radziły sobie same, budził w nim przerażenie. A jeśli dzielić je będzie taka ogromna odległość, w jaki sposób przyjdzie im z pomocą w razie potrzeby?

Znalazłszy się w swoim pokoju, rozejrzał się wokoło. Ilekroć otwierał drzwi, krzykliwie urządzone wewnątrz raziło go w oczy jak światła stroboskopowe w dyskotecie. Przez dwa ostatnie dni zakazał Tillie wchodzenia do siebie i sprzątania. Instynktownie zdawał sobie sprawę, że nie powinna składać jego ubrań, sortować rzeczy do prania, ścielić mu łóżka i wygładzać poduszek. Tłumaczył jej, że i tak zbyt wiele dla niego zrobiła.

Padł na fotel i zakrył twarz dłońmi, próbując wyobrazić sobie jakieś wyjście. Cokolwiek by wybrał, zapowiadało się fatalnie. Nie mógł tu zostać, mowy nie ma, ale co go czeka po powrocie do domu? Jak się będzie czuł, gdy Isabel rzuci go dla tego mydłka, Deveraux? Gdzie się podzieje?

Rozległo się głośne stukanie do drzwi. Dafydd zerwał się z różowego fotela i wepchnął koszulę do dzinsów. To natrętne pukanie było w stylu Sheili. Natychmiast zezłościła go własna reakcja. Ona nie ma prawa wkraczać do jego pokoju bez uprzedzenia. Usiadł z powrotem, postanawiając nie otwierać. Stukanie jednak nie ustawało, powtórzyło się z jeszcze większą natarczywością. Dafydd zaklął i podszedł do drzwi. Stał za nimi Hogg.

– Hogg! – wykrzyknął. Gość zmarszczył brwi. – To jest... Andrew, wchodź.

Przybysz wszedł i szybko rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na rozkopanej purpurowej pościeli i ogólnym bałaganie.

– Przepraszam, że cię nachodzę. Nie mogłem jednak się dodzwonić i pomyślałem, że zajrzę, żeby się z tobą zobaczyć. Ładna pogoda, ale te chodniki są zdradliwe. Tylko tego brakuje, żebym złamał sobie nogę.

– Powinieneś nosić *mukluks* – odezwał się Dafydd, widząc Hoggę obutego w eleganckie włoskie półbuty. – Trzymają się każdej nawierzchni. Akurat wybieram się po południu do Ośrodka Przyjaźni, żeby kupić parę takich na zapas.

– Zemdlejesz z wrażenia, jak zobaczysz ceny. Wyroby lokalnych rzemieślników stały się tak drogie, że zwykłych mieszkańców po prostu nie stać na takie zbytki. To skutek rozwoju turystyki.

Gdy tak stali pośrodku pokoju, Dafydd zganił siebie w duchu, że nie poprosił Tillie, by wstawiła tu kilka krzeseł. Wskazał na kanapkę, ale Hogg, okrążyła jak kulka, spojrzawszy niechętnym okiem na mebel, w którym by się zapadł jak w hamaku i nie mógłby się zeń wygramolić. Zapytał więc:

– A może wpadlibyśmy do knajpki w sąsiedztwie? Mają tam doskonały jabłecznik, pieczony według tradycyjnej receptury.

Dafydd szybko zasznurował buty i chwycił kurtkę puchową, zastanawiając się, jaki cel ma to najście. Hogg nie był człowiekiem, który składał wizyty towarzyskie, a zresztą obaj nie byli ze sobą do tego stopnia zaprzyjaźnieni. Hogg wydawał się dość płytkim indywiduum. Powszechnie było wiadomo, że kocha się w Sheili. Zapewne ta jego nieoczekiwana

wizyta ma z nią coś wspólnego. Może coś wyniuchał. A może ona sama mu powiedziała.

Przeszli na drugą stronę jezdni i usiedli przy stoliku z widokiem na ulicę. Hogg przywitał kelnerkę z przesadną uprzejmością, po czym dodał, puszczając oko:

– To co zwykle, razy dwa.

Następnie zwrócił się do Dafydd z udawaną pretensją:

– W zeszłym tygodniu zabrakło nam twojego towarzystwa w stołówce. Byłem bardzo zawiedziony. Powiedziano mi, że zamierzasz tu zostać na dłużej. Gzy to prawda? – Postukał w blat stołu krótkim palcem wskazującym, jakby pragnąc tym gestem zachęcić swego rozmówcę do wyjaśnień.

Dafydd nie był przygotowany na to pytanie. Sheila nie życzyła sobie, by ktokolwiek dowiedział się o faktach. Z drugiej strony, jak śmiała mu dyktować, z kim wolno mu rozmawiać? Zgoda, dobro dzieci należy stawiać na pierwszym miejscu, ale Hogg był ich pediatrą. Musiał coś wiedzieć. Pewnie on sam pobrał próbki krwi do testu DNA.

– No, to dość zawile... Andrew, czy możesz to zatrzymać dla siebie?

– Jasne, jasne. Strzelaj, strzelaj.

– Wygląda na to, że jestem ojcem dzieci Sheili. Nie, nawet więcej. W istocie jestem ich ojcem. Dlatego się tutaj znalazłem.

Hogg zareagował na tę wieść szokiem, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Wydawało się, że za moment zemdleje. Wlepił oczy w Dafydd, ale ze zdenerwowania chyba stracił ostrość widzenia. Wyglądało na to, że patrzył na swego rozmówcę jak przez gęstą mgłę.

– Nic ci nie dolega? – zaniepokoił się Dafydd. Nagle przypomniał sobie, co mu napomknął Ian. Hogg zachowywał się tak, jak ojciec tych dzieci. Może nawet sądził, że nim jest.

– W porządku – wykrztusił Hogg. – Tylko to wszystko wydaje się takie... nieprawdopodobne.

– Przykro mi, że ci się zwierzam, no, ale skoro sam prosiłeś...

– Jasne, jasne.

Zgrabna kelnerka, mówiąca z teksaskim akcentem, zbliżyła się do nich z dwoma talerzami. Wokół rozchodził się aromat gorącego jabłecznika. Dziewczyna podała też cafe latte w kubkach wielkich niczym wiadra i niemal białe od piany. Hogg wsypał ogromną ilość cukru, po czym długo



mieszał gorący napój, wpatrując się w wirujący środek. Chyba przeszedł mu apetyt.

– Może powinieneś przeprowadzić test DNA – odezwał się w końcu – póki całkowicie się nie poddasz.

– Ależ został zrobiony. W przeciwnym razie nie pojawiłbym się tutaj. Dla mnie i dla mojej żony był to cholernie ciężki okres. Nie miałem pojęcia, że jestem ojcem... okazało się to dopiero trzy miesiące temu.

Na czole Hogg wystąpiły krople potu, a śmiertelnie blada twarz spurpurowiała. Dafydd przestraszył się, że facet dostanie zawału serca albo wylewu. Wyglądał koszmarnie.

– Myślałem, że to ty pobrałeś krew od Sheili i Marka – rzekł. – Przepraszam, tak sobie zakładałem.

– Nie obawiaj się. Nie wspomnę nikomu ani słowa. – Hogg oddychał z wyraźnym trudem. Wyciągnął dużą chustkę do nosa i otarł sobie twarz. Chwycił cukiernicę i ponownie dosypał sobie cukru do przesłodzonej kawy, jakby – nie będąc w pełni władz umysłowych. Znowu zamieszał w kubku, a następnie postukał łyżeczką o krawędź i odłożył ją na spodeczek. Spojrzał na Dafydda. – Nie miałem o tym pojęcia – jęknął.

– No cóż, Sheila zażądała, żebym nikomu o tym nie mówił. Nie pytaj, dlaczego. – Dafydd łyknął trochę kawy i uszczknął kawałek ogromnej porcji ciasta. – Sądziłem, że z tego powodu chciałeś ze mną porozmawiać.

– Och, nie, bynajmniej – zaprotestował Hogg stanowczym tonem, machając ręką. – Chciałem cię zapytać, czy nie miałbyś ochoty trochę popracować z nami. Ian nie spieszy się z powrotem. W ciągu ostatnich paru lat często się zwalniał. – Nachylił się nad blatem i zniżył głos. – Nie najlepiej się czuje. Absolutnie nie mam powodu do narzekań, ale... – zamknął oczy i potrząsnął głową, najwyraźniej zastanawiając się w duchu, czy może sobie pozwolić na szczerłość.

– Pewnie na parę tygodni mógłbym podjąć się obowiązków, ale co z pozwoleniem na pracę i resztą papierków?

– O to już się nie martw. Ja się tym zajmę. Istnieją nadzwyczajne okoliczności, a to jest moim zdaniem jedna z nich. Mogę ci zaoferować pięć tysięcy dolarów za trzy tygodnie. Nie jest to ogromna suma, ale na więcej mnie nie stać.

– Trzy tygodnie... ?-Dafydd wykonał krótką kalkulację i doszedł do wniosku, że jego urlop bezpłatny kończy się nieco wcześniej. Ach, tydzień

czy dwa nie zrobi różnicy, choć trzeba przyznać, że nie będzie to lojalnością wobec jego macierzystej firmy. Nie zwolnią go za to, niemniej mógł sobie bez trudu wyobrazić wyniosłą minę niezadowolonego Payne-Lawsona oraz plotki w szpitalu. Nagle przestało go to obchodzić.

– Zgoda. Kiedy mam zacząć?

– Jutro z samego rana. Punktualnie o ósmej trzydzieści.

– Dafydd uśmiechnął się. Niektóre nawyki nigdy się nie zmieniają. Spojrzał na człowieka, który otrząsnąwszy się z niedawnej zapaści, jak zwykle tryskał energią i przedsiębiorczością. Jednakże chyba nie do końca doszedł do siebie, bo nie zjadł zamówionego deseru. Popatrzył tylko z zalem na jabłecznik. Spostrzegł, że Dafydd mu się przygląda.

– Naprawdę nie powinienem się opychać – mruknął, lekko zażenowany.

– Pouczam tych wszystkich otyłych pacjentów, żeby ograniczyli jedzenie i kierowali się zdrowym rozsądkiem. Nie warto marnować pieniędzy na takie rzeczy. – Roześmiał się sztucznie, dając do zrozumienia, że traktuje siebie z dystansem.

Wyszedłszy z kafeterii, Dafydd przystanął na chodniku i zwrócił się do Hogga:

– Obawiam się, że Sheila będzie się sprzeciwiała mojej pracy w szpitalu. Andrew, musisz ją przekonać.

– Spodziewałbym się raczej, że będzie z tego zadowolona – odparł Hogg z nieoczekiwaną goryczą. – Cóż mogłoby ją spotkać lepszego niż połączenie rodziny z przyszłym, to jest dawnym, no... ojcem jej dzieci, pracującym na miejscu.

– To nie takie proste.

– Aha. No to w czym problem?

– Nie nazwałbym tego harmonijnym układem. Tak czy inaczej, byłoby dobrze, gdybyś nie zdradzał się z tym, że wiesz, przynajmniej na razie – odparł Dafydd. – Osobiście nie bardzo rozumiem, dlaczego Sheili tak bardzo zależy na zachowaniu tajemnicy. Przecież utrzymujesz bliskie stosunki i z nią, i z dziećmi. Odnoszę wrażenie, że jesteś jej jedynym oddanym przyjacielem, a ona ci ufa. Tak przynajmniej twierdzi.

Wskutek tych uwag nastrój Hogga najwyraźniej się poprawił.

– Sheila jest upartą kobietą, jednak zrobię wszystko, by ją przekonać, że jesteś świetnym nabytkiem dla naszego szpitala... w każdym razie na jakiś czas.

Uścisnęli sobie ręce i rozeszli się.

Mam pracę – powiedział do siebie Dafydd i roześmiał się głośno. Następnie zrobił zabawną minę. *Deja vu*. I oto, dołączając do innych pomyleńców, znowu znalazł się w roli lekarza w Moose Creek, po kolejnym wykroczeniu popełnionym w swoim kraju rodzinnym.

## Rozdział 17

*Moose Creek, rok 2006*

Po przepłynięciu dwudziestu basenów odczuwał ból w karku i plecach. Połknął ze dwa litry wody z dużą zawartością dziecięcych siuszków i chloru. Oczy go paliły, czuł lekkie mdłości. Przerwał pływanie i usiłował zrobić parę ćwiczeń rozciągających, uświadamiając sobie, że w ciągu paru tygodni nie tylko stracił kondycję, ale na dodatek stał się sztywny jak deska. Postanowił, że zmusi swoje leniwe cielsko do pływania co najmniej trzy razy w tygodniu, z samego rana.

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Ten ktoś siedział na brzegu basenu. Był to jedyny prócz niego użytkownik, bo ośrodek rekreacyjny otwierano o siódmej, a była dopiero siódma piętnaście. Szczupłą postać rozpoznał głównie po masie intensywnie rudych włosów, zazwyczaj związanych w kitkę.

Dafydd podpłynął w jego kierunku.

– Mark, dzień dobry. Wcześniej zacząłeś, podobnie jak ja. – Przemawiał sztucznie wesołym głosem, dudniącym w pustej hali. Brodził w wodzie pod chłodnym, surowym wzrokiem chłopca.

– Mama powiedziała, że dostałeś pracę w szpitalu.

– Tak, do diabła. Mogę przynajmniej być użyteczny, gdy doktor Brannagan jest cho... jest na Urlopie.

– Wściekła się.

– Co przez to rozumiesz?

Po raz pierwszy usta chłopca rozchyliły się w uśmiechu.

– Nie to, że zapadła na wściekliznę, lecz że dostała napadu szału – wyjaśnił uprzejmie.

– No, no – odparł Dafydd, starając się zachować spokój. – Przypuszczalnie oswoi się z tym, nie sądzisz? Spróbuję trzymać się od niej z daleka.

– Dlaczego po prostu nie dasz jej pieniędzy i nie zwinięz się stąd?

– Przyjechałem tu, żeby bliżej poznać ciebie i twoją siostrę. – Dafydd poczuł, że ogarnia go rozpacz. Chwycił się skraju basenu i podciągnął na

rękach, by usiąść obok chłopca, swojego syna. – A ty nie chciałbyś mnie trochę lepiej poznać? Przyznaję, że trudno ci do tego przywyknąć, ale podobno jestem twoim ojcem, nawet jeśli uważasz, że sprawiam ci tym same kłopoty.

Mark nic na to nie odpowiedział, więc Dafydd machinalnie zerknął na ich nogi pluskające w wodzie. Stopy chłopca były długie i wąskie, w niczym nieprzypominające jego własnych, krótkich i szerokich jak łopata. W istocie trudno byłoby odnaleźć jakieś ich wspólne cechy. Ciało Marka było trupioblade, długie i chude, bez śladu mięśni, na dodatek pokryte piegami. Dafydd był również szczupły, ale mocno umięśniony. Patrząc na chłopca, nie rozpoznawał w nim swej mocnej, zwartej budowy – ani w tułowiu, ani w kończynach, no ale dzieciak ciągle się jeszcze rozwijał.

Mark dostrzegł, że Dafydd porównuje go ze sobą.

– Nie jesteś moim ojcem. Wiem to z całą pewnością – rzekł i wskoczył do basenu. Odplłynął zaskakująco stylowym crawllem. Ogłupiały Dafydd siedział bez ruchu, patrząc, jak chłopak pokonuje przestrzeń z dużo większą szybkością, niż on kiedykolwiek potrafił osiągnąć. Kiedy Mark w końcu wyszedł z wody, ruszył za nim do szatni. Tu również było pusto.

– Co dokładnie miałeś na myśli, twierdząc, że nie jestem twoim ojcem? – zapytał.

Mark szybko wytarł się ręcznikiem, a następnie wszedł do kabiny, żeby się przebrać.

– Już jestem spóźniony do szkoły! – krzyknął zza ścianki.

– Spoko – odpowiedział mu Dafydd. – Jest dopiero wpół do ósmej. Jeśli się pospieszysz, postawię ci śniadanie.

Usiedli w kafeterii hotelu Northern Holiday, oddalonego zaledwie o pięć minut drogi od ośrodka sportowego. Chociaż obaj biegli, uszy i nosy im zsiniały, bo wyszli na dwudziestostopniowy mróz z jeszcze wilgotnymi włosami.

– Pewnie nie ma tu nic, co mógłbym zjeść – orzekł Mark, wpatrując się w kartę dań.

– A co powiesz na talerz owsianki z cynamonem i miodem, a następnie porcję smażonych kartofli z zapiekanką z fasoli, z dodatkiem smażonych pomidorów i pieczarek, do tego tosty z margaryną i dżemem, i na koniec sałatkę owocową? – zaproponował Dafydd, wskazując palcem na

sfatygowany róg menu.

Zapewne istniała jakaś szczelina, przez którą można się było precyzyjnie przycisnąć do chłopca, zwłaszcza jeśli chodziło o jedzenie. Wskutek wyraźnego braku zainteresowania jego dietą ze strony matki i kompletnej obojętności w tej materii w miejscowych sklepach spożywczych, biedny chłopak miał nie lada problem, usiłując jeść zgodnie z nakazami diety wegańskiej. W jego jasnych oczach ukazał się błysk, ale w chwilę potem ramiona mu opadły. Odezwał się zrezygnowanym głosem:

– Wątpię, czy mają tu coś takiego.

A jednak mieli. Dafydd, którego też ciągnęło do jarzyn, przyłączył do tej uczty. Kiedy wreszcie skończyli się napychać, praktycznie nie odzywając się ani słowem, zagadnął chłopca na nowo:

– Wiem, że to wszystko spadło na ciebie wbrew twojej woli, niemniej jednak spróbujmy zostać przyjaciółmi.

Mark zerknął na swój zegarek z dużym cyferblatem.

– No, przyjrzyj się nam – odezwał się. – Przecież w ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. Absolutnie nie jesteś moim ojcem. Może mojej siostry, ale nie moim.

– Przecież to niemożliwe – zaprotestował Dafydd. – Wiem, że przynajmniej z tego zdajesz sobie sprawę.

– Nie jestem twoim synem. Po prostu jestem tego pewien. Idź sobie i zwracaj głowę komu innemu. – Odnosiło się wrażenie, że pożałował tych słów, więc dodał. – Ale się najadłem!

Dafydd spieszył się do szpitala. Teraz, po tygodniu pracy, doszedł do wniosku, że mądrze zrobił, przyjmując propozycję Hogga. Pięć tysięcy dolarów z pewnością nie chodzi piechotą. W miasteczku, chyba w jednym z najdroższych na świecie, nic nie dostaje się za friko. A ponadto musi zacząć dawać Sheili jakieś pieniądze. Nie odczuwał już potrzeby dochodzenia do prawdy. Przeciwnie, raczej pogodził się z faktem, że zmajstrował bliźnięta. Jednakże ilekroć sięgał pamięcią do chwili ich poczęcia, oczami wyobraźni widział jedynie białą plamę. Może dlatego, że tyle razy się nad tym zastanawiał. I nikt, z kim rozmawiał na ten temat, nie mógł mu wskazać żadnego sensownego tropu. Miranda pokazała mu swoje i brata świadectwa urodzenia, bez żadnego nacisku z jego strony (ale pewnie wskutek nalegań Sheili) i musiał przyznać w duchu, że daty zgadzały się bez pudła. Tak czy

inaczej, póki nie postanowi odjechać, praca nada sens jego pobytowi tutaj. Przynajmniej nie siedzi beczynnienie i nie rozmyśla o Bóg wie czym.

Mark miał rację, twierdząc, że Sheila jest wściekła. Nie chciała natykać się na niego w szpitalu, na tym to polegało. Ponieważ jednak to Hogg formalnie go zatrudnił, nie miała nic do gadania. Jej pogrożki, że złoży na niego skargę w Urzędzie Imigracji, były tylko na pokaz. Hogg wiedział, jak ominąć przepisy. Polegało to głównie na wykonaniu papierkowej roboty.

– Powiedziałeś Hoggowi – syknęła mu do ucha w trakcie przygotowań małego pacjenta do operacji na przepuklinę.

– Owszem, powiedziałem. Obiecał trzymać to w sekrecie.

– Właśnie umył ręce i zaczął nakładać lateksowe rękawice. – I co z tego? – dodał z irytacją. – Jest przecież lekarzem twoich dzieci. Jestem zdumiony, że sama go o tym nie poinformowałaś. A propos, kto pobrał od ciebie i od Marka krew na test?

Sheila spojrzała w bok, ale jej zaciśnięte szczęki zdradzały napięcie.

– A co za różnica? – warknęła. – Był nim jeden z tutejszych lekarzy i nie zadawał żadnych pytań.

– Aha, zatem jakiś on – orzekł Dafydd, wykluczając doktor Atilan, kobietę-położnika, i Nadję Kristoff, młodą internistkę świeżo po stażu. Nie robiło to żadnej różnicy, jednakże miał już serdecznie dość tych wszystkich tajemnic i wykrętów. Poza tym pragnął jej trochę dokuczyć.

– Boże, ależ z ciebie upierdliwy człowiek! – krzyknęła Sheila. – Jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, zrobił to Ian. Zostaw jednak biednego faceta w spokoju, dobrze? On jest umierający i nie potrzebuje twojego śledztwa.

Dafydd już miał dodać „ani twojej pomocy, żeby się przenieść na tamten świat”, ale ugryzł się w język. Nie chciał narażać Iana. Zapytał więc:

– Umierający? Dlaczego uważasz, że jest śmiertelnie chory?

– Ma zupełnie spieprzoną wątrobę, jeśli sam tego nie zauważyłeś.

Pomyślał: ty dziwko, jego śmierć oznaczać będzie dla ciebie stratę pieprzonych zysków, jednakże postanowił się opanować. Uprzytomnił sobie, że musi stłumić rosnący gniew. Wrogość wobec Sheili jeszcze bardziej zaogniała sytuację, w jakiej znalazł się po odkryciu głównego powodu ruiny Iana – fizycznej, duchowej, finansowej... Niepokoiły go własne uczucia wobec Sheili, zwłaszcza po tym, jak oskarżyła go o ojcostwo. Chciał sprawić jej ból. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek pragnął kogoś świadomie skrzywdzić. Zastanawiał się

czasami, czy nie kryje się za tym jakiś niejasny motyw seksualny, ale doszedł do wniosku, że nie – powodem była irytacja, niesmak, oburzenie. W jego oczach Sheila była uosobieniem zła. Nie znosił tego, co sobą reprezentuje i kim się stała.

W trakcie operacji panowała napięta atmosfera. Dafydd już przedtem prosił Hogga, aby tak układano dyżury, żeby nie musiał pracować z Sheilą, ale dowiedział się, że to ona układa grafik. I choć oboje nie mogli siebie znieść, ona najwyraźniej doszła do wniosku, że należy go mieć na oku. Gdyby nie Sheila, praca w tym szpitalu sprawiałaby mu zadowolenie, bo oznaczała zajmowanie się realnymi pacjentami z ich autentycznymi problemami. Stale musiał się spręzać, ale porównując sytuację sprzed czternastu lat, był świadom, że ciężko zasłużył na dojrzałość i doświadczenie w zawodzie. Wówczas nie dorósł jeszcze do powierzonych mu zadań. Zastanawiał się też nad swoją pracą w Cardiff. Tam ciągle sprowadzano nowe urządzenia diagnostyczne, których obsługi lekarze musieli stale się uczyć. Tu było inaczej. Aparatura była przestarzała, trzeba więc było umieć patrzeć na pacjenta, obserwować jego oddech, barwę skóry, wsłuchiwać się w puls, zamiast wpatrywać się w elektroniczne monitory i ekrany wideo, dehumanizujące medycynę i zmieniające pacjentów w narządy i systemy, które należy usunąć lub zreperować. Odkrył w sobie coś nowego: radość z powodu bliskiego kontaktu z pacjentami, nastawienie na jednostkę, powrót do tradycyjnej medycyny.

To zadanie często ryzykowne, czasami budzące lęk, ale niekiedy przynoszące ogromną satysfakcję. Tę umiejętność z pewnością warto kultywować po powrocie do kraju.

Jego ostatnim pacjentem tego wieczoru był Joseph, wnuk Niedźwiedzia, który ujrzawszy go w gabinecie, sprawiał wrażenie całkowicie zaskoczonego.

– Nie spodziewałem się tu pana spotkać. Sądziłem, że przyjechał pan w te strony na urlop – rzekł, wpatrując się w Dafyddą za biurkiem. – Zazwyczaj przyjmuje mnie ten wojskowy, Lezzard. On zna mój stan.

– Zastępuję tylko na krótko innego lekarza... – poinformował go Dafydd, zagłębiając się w jego kartę chorobową. Wyczytał w niej, że Joseph cierpi na cukrzycę wieku dojrzałego.

– Czy doktor Lezzard omawiał z panem dobroczynne skutki pozbycia się nadwagi? – spytał, mając w oczach potężną sylwetkę swego kolegi,



prawdziwego człowieka-góry – Nie, on tylko zapisuje mi zastrzyki.

– No właśnie. Gdyby pan schudł, pewnie nie musiałby pan robić sobie zastrzyków. Ale trzeba by się pozbyć naprawdę wielu kilogramów. – Doszedł do wniosku, że nie jest to zbyt realistyczna rada, więc zamilkł. Po dokładnym zbadaniu pacjenta zaskoczyło go, że ma on dopiero pięćdziesiąt osiem lat. Tutejszy klimat jest surowy, a średnia długość życia krótka. Wypisał więc recepty i wręczył je choremu. Joseph z lakonicznym „dzięki” ruszył w stronę drzwi.

– Czy ma pan jakąś rodzinę? – rzucił za nim Dafydd.

– Dlaczego pan pyta? – Joseph wypowiedział tę uwagę nieufnym tonem, ale zatrzymał się w progu i odwrócił w stronę lekarza.

– Bo praktycznie nic o panu nie wiem – odparł Dafydd, wzruszając ramionami.

– Pewnie, że pan nie wie, bo i skąd? – odparł Joseph – sarkastycznie. – Niech pan sobie da coś powiedzieć. Mój dziadek też nic o mnie nie wiedział. Nawet nie widział moich dzieci. A mam ich czwórkę. Jego to nie interesowało.

– No tak – odezwał się Dafydd, starając się skłonić go do powrotu. Był ciekaw, co sprawiło, że ten człowiek jest tak bardzo przepelnięty goryczą do świata, tak różny od Niedźwiedzia, którego cechowała sympatia do innych. – Pamiętam, jak mi wspominał, że pańska żona zdecydowanie go nie lubiła. Śpiący Niedźwiedź najwyraźniej nie był mile widziany w państwa domu.

– Śpiący Niedźwiedź! – wyśmiał go Joseph. Niespodziewanie zawrócił od drzwi i siadł z powrotem naprzeciwko lekarza. – Pan sobie pewnie wyobraża, że się pan przyjaźnił z autentycznym starym Indianinem, co? Ale on nie był miejscowy, nawet nie urodził się w Kanadzie. – Spojrzał z trumfem na Dafydda. – Założę się, że nie miał pan o tym pojęcia.

– Owszem, wiedziałem o tym – odparł Dafydd.

Na twarzy Josepha odmalował się cień zaskoczenia.

– No, nie wiem, jaki pan sobie stworzył obraz starego, ale powiadam panu, że nie był to człowiek, dla którego rodzina coś znaczyła.

– Domyślałem się tego – przyznał Dafydd. – Nie układało się między wami zbyt dobrze, prawda?

– Chwila, moment – Joseph położył pulchną dłoń na biurku. – Bardzo się nim zajmowałem. Troszczyłem się, jak tylko można. A on nigdy mi się nie

odwdzięczył. Był starym, egoistycznym dziadem.

– Był mu pan drogi. Sam mi to mówił.

– O, nie. Nigdy nie zajmował się swoimi bliskimi. Za to rozsiewał swoje nasienie tu i tam...

Tym razem to Dafydd poczuł się zaskoczony. Dobrze pamiętał opowieści starego o latach młodości: jak najpierw było mu bardzo ciężko w tej głuszy, jak zakochał się w pięknej dziewczynie indiańskiej, jak ciepło wspominał swoje długie i szczęśliwe małżeństwo. Często rozprawiał o swojej żonie – zahartowanej, pogodnej i czulej kobiecie, nieustannie dbającej o swoją rodzinę.

– Co ma pan na myśli? – spytał.

Joseph najwyraźniej był zły na siebie i z gniewną miną wpatrywał się w czubki swoich butów.

– No, do diabła. Myślałem, że pan o tym wiedział – odparł obrażonym tonem.

Dafydd roześmiał się, próbując go rozchmurzyć.

– Nie, ale chętnie wysłucham. Stary często wspominał żonę i dzieci, ale nigdy nie napomknął o innych osobach...

Joseph uniósł wzrok i spojrzał na Dafydda zapuchniętymi oczami.

– Przykładowo, musiał pan spotkać tego chłopaka w Black River. Z pewnością przypomina pan sobie polowanie na dzikie gęsi, kiedy pojechał pan tam ze starym.

– Nie pamiętam żadnego chłopca – odparł Dafydd zdziwiony.

– Na pewno pan pamięta. – Joseph najwyraźniej mu nie wierzył. – Mój ojciec zrobił tam jakiejś kobiecie dzieciaka – Przykro mi, ale nic mi o tym nie wiadomo.

– E, daj pan spokój. To było wtedy, kiedy razem wyjechaliście. On miał tam babę.

– Ależ nic podobnego, odwiedziliśmy jego dawnego przyjaciela – oświadczył Dafydd z przekonaniem. To stawało się wręcz komiczne. Wówczas Niedźwiedź miał już dziewięćdziesiątkę, a w tym wieku „rozsiewanie swojego nasienia tu i tam” miał już całkowicie za sobą. Dafydd przypominał sobie nawet, jak stary ubolewał nad brakiem życia seksualnego, twierdząc, że „jego rozkosze” skończyły się wraz ze śmiercią żony. Zapewne, Niedźwiedź nie był uosobieniem wierności, i on był kiedyś młody. Dafydd zrobił zakłopotaną minę. Któż by odgadł, że i on sam...

rozsiewał swoje nasienie tu i ówdzie.

Szorstki głos Josepha przywrócił go do rzeczywistości.

– Czy ma pan pojęcie, jak to przeżyliśmy z żoną? Zajmowałem się nim przez całe lata... a on zapisał temu dzieciakowi połowę swoich oszczędności. Połowę jednemu dzieciakowi. Pozostałą część podzielił między nas, moją siostrę i jej dzieci. – Joseph podkreślał swoje racje, waląc pięścią w blat biurka. – Ciągle mu powtarzałem, że chcę wysłać Maxa na uniwersytet. Jest najzdolniejszy ze wszystkich dzieci, chciał zostać prawnikiem. To on mógłby ciągnąć walkę o nasze prawa i nasze ziemie. Wart był, żeby w niego zainwestować. Tłumaczyłem to staremu wiele razy. Ale nie, kochane pieniążki przeznaczył dla kogoś innego. Owszem, dostałem chatę, ale ona nie jest warta funta kłaków...

– Bardzo mi przykro – wtrącił Dafydd bezradnym tonem. – Jestem zaskoczony, że Niedźwiedź nie wspomniał mi o tym ani słowem, o...

– Och, niech pan da spokój. Nawet gdyby pan o tym wiedział, nie sądzę, żeby się pan do tego przyznał – stwierdził Joseph, wstając raptownie. – A zresztą, po co sobie teraz strzępić język. Chciałem tylko wyjaśnić sprawę. Wszystkie te romantyczne uwagi na temat starego... Pan nie był jedyny, który miał go za prawdziwego syna tej ziemi. A wszystko to bujda.

– Przykro mi, że tak go pan ocenia.

– Uważam, że był mi to winny, winny Maxowi. Wiedział, jakie nadzieje w nim pokładaliśmy. Chłopak był naprawdę bystry. Ta sprawa odmieniła moje uczucia wobec starego, mówię to panu prosto w oczy.

– W takim razie tym bardziej jestem panu wdzięczny, że podszedł pan do mnie wtedy w barze i przekazał tamtą wiadomość. Bardzo dziękuję.

– No cóż, zawsze wykonywałem jego polecenia, nie? I widzi pan, dokąd mnie to zaprowadziło.

Kiedy Joseph w końcu wyszedł, trochę zbyt mocno trzaskając drzwiami, Dafydd odczekał chwilę, a następnie głośno się roześmiał. A to stary diabeł! Któż by pomyślał, że Niedźwiedź, krążąc po okolicy, miewał „swoje rozkosze z kobietami”, i na dodatek zostawił potomka? Zgoda, nie była to zbyt szlachetna cecha. Dafydd starał się wyobrazić sobie zgrzybiałego, niezbyt schludnego starca w trakcie zalecania się do kobiety, i ten widok doprowadził go do nowego paroksyzmu śmiechu. No cóż, powiedział sobie, zbierając karty pacjentów, dla wszystkich jest jeszcze nadzieja.

Nadal jeździł codziennie do Iana. Przesunął czas swych odwiedzin na późne popołudnie, zatrzymując się po drodze w supermarkecie, żeby zrobić mu zakupy. Dwukrotnie zauważył, jak Sheila wkładała coś do bagażnika samochodu Iana na parkingu dla personelu medycznego, ale nie zareagował. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał coś z tym zrobić, ale co i w jaki sposób? Byłoby czystym szaleństwem, gdyby w ten sposób wystawił się na ryzyko aresztowania i deportacji.

Niebo miało barwę smoły, nie widać było ani jednej gwiazdy, a światła w aucie były słabe. W ubiegłym tygodniu omal nie wpadł na kłepkę kroczącą środkiem drogi. Jednakże prócz tego incydentu i rzadkiego widoku bawołów pizmowych w lesie, wokół panowała cisza i ciemności, a gruba pokrywa śnieżna nie ujawniała żadnych śladów życia. W miarę jak śniegu przybywało, zapadał coraz głębszy mrok. Jazda ciągnęła się, rozpadająca się chata Iana wydawała się jeszcze bardziej odległa niż zazwyczaj.

– Powinieneś zastanowić się nad przeprowadzką do miasta – stwierdził Dafydd, wyładowując torby z zakupami. – I mógłbyś wtedy nająć sobie jakąś kobietę do sprzątania – wskazał ręką na izbę.

– Mnie się tu podoba.

– Posłuchaj. – Dafydd usiadł przy stole naprzeciwko Iana i wziął głęboki wdech. – Pozostały ci niecałe dwa ty–godnie... musisz wziąć się w garść. Po pierwsze, pragnę ci zakomunikować, że nie mam zamiaru przedłużać mego pobytu w nieskończoność. Jeśli chcesz, to ci pomogę. Możemy wynająć ci mieszkanie w Woodpark Manor. Mają tam wolne lokale. Są jasne i czyste, a w podziemiach urządzono salę do ćwiczeń. Gdybym miał w Moose Creek osiaść na stałe, sam bym się tam wprowadził. Załatwię ci wynajem ciężarówki, żeby przewieźć twoje rzeczy. W ten sposób zamieszkasz blisko szpitala i...

– Zaraz, zaraz – odwarknął z gniewem Ian. – Kim ty jesteś? Pieprzonym samarytaninem? Nigdzie się stąd nie ruszę.

– W porządku, w porządku – odparł Dafydd z ciężkim westchnieniem. – Moja umowa kończy się jednak siódmego grudnia. Czy uważasz, że będziesz w stanie wrócić wtedy do pracy? Muszę dodać, że krążą plotki o przyjęciu nowego wspólnika, na stałe.

– Świetnie – mruknął Ian. – Rozważam przejście na wcześniejszą emeryturę.

– Z czego jednak będziesz żył? – zaprotestował Dafydd. – Twoja renta

nie wystarczy, a nie sądzę, żeby Sheila zostawiła ci jakiegokolwiek oszczędności.

Thornowi nie spodobał się ton rozmowy, więc zaczął skomleć. Podeszedł do Dafydd i mocno oparł się o jego udo. Ian siedział na krześle jak kukła. Wyglądał okropnie.

– A dlaczego ty nie weźmiesz tego etatu? – spytał. – Wygląda na to, że jesteś bardzo zadowolony z pracy.

– Nie bądź głupi. Muszę wracać do Walii, bo w przeciwnym razie stracę tam etat. Muszę ocalić moje małżeństwo, jeśli jeszcze zostało coś do uratowania. Nie mogę tu tkwić, prawda? – Dafydd uprzątnął ze stołu resztki jedzenia. – Słuchaj uważnie. Nie traktuj mego zastępstwa jako wymówki, by nie wrócić do pracy. Możesz się wyleczyć, sam o tym wiesz. Potrzebujesz terapii. Do cholery, masz czterdzieści pięć lat...

– Czterdzieści cztery.

– Powtarzam, pomogę ci. Załatwię ci odwyk w Vancouver lub w Toronto, gdzieś, gdzie jest zapewniona dyskrecja. Pożyczę ci na to pieniądze. Mogę pomyśleć o przedłużeniu pobytu tutaj... Do diabła, wystarczy zatelefonować do Cardiff. Zrobię to jednak pod jednym warunkiem: że ty sam podejmiesz walkę z uzależnieniem. W ten sposób staniesz na nogi i wrócisz uzdrowiony. Obetnij zarobki Sheili i powiedz jej, żeby się odpieprzyła. Zadbaj o dom. Zrób sobie prawdziwe wakacje...

Dafydd zamilkł nagle, widząc, że Ianowi drżą ramiona. Thorn skakał na swego pana, próbując polizać mu twarz, Ian szlochał, wstrząsały nim drgawki. Chciał wszelkimi siłami opanować emocje, grożące totalnym załamaniem. Jeszcze chwila, a zacznie wyć. Dafydd wpatrywał się w niego wstrząśnięty tym aktem rozpacz. Szukał w myślach jakiegoś słowa pociechy, ale Ian nie był człowiekiem, który by zaakceptował banalne zwroty, a ponadto wyraźnie unikał jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Niemniej jednak Dafydd położył mu rękę na ramieniu i odczekał, aż atak minie, Ian, spuściwszy głowę na zapadniętą pierś, wziął zużytą chusteczkę papierową i wytarł sobie nos.

– Wiesz, na co się natknąłem dzisiaj rano? – zapytał drżącym głosem, śmiejąc się cicho. – Na twoje stare buty i narty. Przeniosłem je do szopy, żebyś mógł sobie pojeździć.

– To miłe z twojej strony, dziękuję, Ian, ale czy dotarło do ciebie, co przed chwilą powiedziałem? – Dafydd był bliski desperacji. – Nie możesz

chować głowy w piasek. Coś w końcu trzeba zrobić. A ja nie mogę wiecznie przymykać oka na to, że Sheila wkłada mi narkotyki do bagażnika. Gdyby się to wydało, skończyłoby się dla mnie katastrofą.

Ian potrząsnął głową, jakby chcąc się pozbyć nieprzyjemnych myśli. Wstał i nalał im obu po drinku. Dafydd chciał krzyknąć „Nie!” i wylać zawartość szklanek do brudnego, zardzewiałego kubła, który służył za zlew. Jednak się nie ruszył. Był wyczerpany, wypalony, wyzbyty wszelkich nadziei. Wybuch emocjonalny Iana doprowadził go na skraj wytrzymałości. W końcu jego sytuacja była też okropna. Kim był, by udzielać rad? Przez dłuższą chwilę siedzieli obaj w milczeniu. Dafydd machinalnie kartkował „Moose Greek News”, a Ian, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, między jedną dawką demerolu a drugą, nalewał sobie kolejne porcje whisky i ćmił papierosa za papierosem.

– Miałem kiedyś żonę – odezwał się zniecacka.

– Byłeś żonaty? – Dafydd odłożył gazetę i wlepił oczy w Iana. – Nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

– Miała na imię Lizzie. Kochałem ją. Kochałem dosłownie do śmierci.

– O, Boże, nie. Ian, co masz na myśli?

– Udławiła się na śmierć kawałkiem indyka, bożonarodzeniowego indyka, którego sam upiekłem. – Ian zaśmiał się ponuro. – A złożyła sobie zobowiązanie, że od pierwszego stycznia przejdzie na wegetarianizm. I naprawdę tego chciała.

– Ian, Boże mój. To takie straszne, że brak mi słów. – Dafydd położył mu rękę na kolanie. – Czy byłeś... przy tym, jak się to stało?

– Tak, byłem wtedy młodym lekarzem. Jednakże mimo doświadczenia nie udało mi się jej uratować. Próbowałem stosować metodę Heimlicha, która teraz wyszła z użycia, i – ^ jak myślę – tylko pogorszyłem sprawę. Usiłowałem wyjąć ten kawałek palcami, a potem, w desperacji, szczypczykami. Nie można było jej unieruchomić. Wreszcie za pomocą szwajcarskiego scyzoryka, najostrzejszego narzędzia w domu, zrobiłem tracheotomię. Wówczas jednak Lizzie była już sina, prawie nieżywa, a ja spanikowałem. Spieprzyłem to, krew była wszędzie. Nigdy nie zapomnę tego widoku. – Ian zaśmiał się znowu, a raczej – wydał z siebie jakiś skowyt. – Policja aresztowała mnie pod zarzutem morderstwa i trzymała w celi, póki nie przyszły wyniki sekcji zwłok. Trudno się im dziwić. Byłem w szoku, sądziłem, że zadźgałem ją własnymi rękami. I nawet kiedy ponad

wszelką wątpliwość ustalono przyczynę śmierci, gliniarze nie patrzyli mi w oczy. Z najwyższą niechęcią wypuścili mnie na wolność.

Dafydd aż zeszywniał z przerażenia. A więc taki był Ian. To tłumaczyło wszystko.

– Jak dawno to się zdarzyło?

– Jakies osiem miesięcy przed moim przyjazdem tutaj.

Boże, dlaczego nigdy mu się nie zwierzył? A przecież podobno byli przyjaciółmi! W porównaniu z tragedią Iana jakże banalne wydały mu się jego własne kłopoty. Po sprawie z Derkiem dostał zaledwie po łapach, a potem musiał sobie radzić z własnym sumieniem i z napadami lęku. Ale ta historia! Jak można było żyć po takim nieszczęściu? Odpowiedź była prosta: Nie dało się żyć.

– Zrobiłeś, co było w twojej mocy – odezwał się, zdając sobie sprawę, że była to całkowicie nieadekwatna uwaga. Położył rękę na ramieniu Iana. – Nie mogłeś zrobić nic więcej. Jesteś tylko człowiekiem.

– Człowiekiem? – Ian spojrzał na niego z pogardą. – Jestem przecież lekarzem.

Dafydd skulił się w fotelu.

– Wiem, co masz na myśli.

Ian odsunął szklankę z resztką trunku.

– Dafydd, stary kumplu. Wiem wszystko. Sheila opowiedziała mi, co ci się przydarzyło. Człowieku, cholera, dziecko...

Zapadli w milczenie.

– Ian, masz tam jakąś rodzinę?

– Już nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Co przez to rozumiesz?

– Moi rodzice spłonęli w pożarze domu. Myślałem, że kiedyś ci o tym mówiłem. Zostałem adoptowany. Po skończeniu studiów straciłem kontakt z przybranymi rodzicami. Więż się... rozpadła.

– I nigdy nie próbowałeś ich odnaleźć?

– O, Chryste, nie. Zawsze sprawiałem im zawód, nigdy nie spełniałem ich oczekiwań. Cholera, zrobiłem dyplom, odbyłem staż... – długo gasił papierosa, wciskając peta w popielniczkę. – Byli zresztą dość starzy. Jestem pewien, że już nie żyją.

Siedzieli bez słowa, zatopieni w myślach. Dafyddowi wydawało się, że nagle utracił kontakt z rzeczywistością. Opowieść Iana jeszcze bardziej

oddaliła go od poczucia wygody i bezpieczeństwa, od tamtego życia, które teraz legło w gruzach. Ale nie! Musi sobie stale przypominać, że nie wszystko jest stracone, że trzeba pozbierać stłuczone odłamki i je pozlepić. Jakie odłamki? Jego dom jest już pewnie sprzedany, tak po prostu. On sam wkrótce stanie przed sądem, oskarżony o jazdę po pijanemu. Jego małżeństwo się rozpadło. Czy to wszystko stało się naprawdę? Czy zdarzyło się na jawie?

– Dzisiaj rano spotkałem na basenie Marka – odezwał się w końcu, wracając do rzeczywistości. – Cóż to za dziwny chłopak. Upierał się, że nie jestem jego ojcem.

– On do nikogo nie jest podobny – odparł Ian, zaciągając się kolejnym papierosem.

– Nie wspomniałeś mi, że to ty pobrałeś im krew na testy DNA.

Ian odwrócił głowę, paląc jak smok.

– Nie miałem pojęcia, do czego ta krew miała służyć. Sheila odmówiła odpowiedzi. – Dokończył resztkę whisky i ponownie nalał im obu.

Drżąc z zimna, obserwował Mirandę i osiem innych dziewczynek, sporo mniejszych od niej, ćwiczących w ostrym świetle stroboskopowym jazdę figurową na lodowisku tuż za ośrodkiem rekreacyjnym. Takie zabawy cementowały jego związek z dziećmi. Dafydd zabierał je wieczorami na różne zajęcia, czekał, aż skończą i odwoził do domu. W ten sposób dawał Sheili chwilę wytchnienia od obowiązków rodzicielskich. Ona sama robiła wrażenie pogodzonej z pogłoskami krążącymi na ich temat, a Miranda nic sobie nie robiła z nakazu matki, żeby trzymać język za zębami. Tymczasem ludzie gadali. Dafydd dostrzegał spojrzenia, miny i kiwanie głowami u przechodniów, których nie znał, ale którzy jego znali – albo ze szpitala, albo z widzenia. Wszyscy sobie powtarzali: wrócił marnotrawny ojciec, by zająć się swoimi latoroślami.

– Popatrz, tato! – krzyknęła do niego Miranda. Ubrana w pomarańczowy dres, bezsensownie przyozdobiony tiulową spódniczką wokół pulchnych bioder, wykonała niezręczny piruet. Dafydd powstrzymał śmiech i bezgłośnie bił jej brawo rękami w futrzanych rękawicach. Była miłym dzieciakiem. Nie sprawiała żadnych kłopotów, jednakże uporem i pewnością siebie przypominała nieco matkę. Pod nieobecność Marka oboje napychali się śmieciowym jedzeniem, pochłaniając ogromne ilości kukurydzianych



chipsów oblanych śmietaną i stopionym serem.

– Powinnaś uważać na te straszne tłuszcze nasycone – próbował ją ostrzec. – Chyba nie chcesz zamienić się w grubasa.

– Daj mi się najęść tłuszczami nasyconymi – droczyła się z nim Miranda.

– Nie uwierzysz, jakie boje toczy się w domu o jedzenie. Mama jest równie okropna, jak ty. U nas każdy chce jeść coś innego. To koszmar. Czy mogę dostać koktajl czekoladowy?

– Lepiej uważaj, bo się nie zmieścisz w to – zadarł do góry mokrą, pogniecioną spódniczkę – nawet bez dresu.

– Tato, pamiętasz te adidas, o których ci mówiłam?

– Ile kosztują?

– Dwadzieścia osiem dolarów.

– No dobrze.

– Dzięki, tato... Tato?

– Co jeszcze?

– Czy nie moglibyście z mamą... pójść gdzieś?

– Och, Mirando, jesteś naprawdę inteligentną dziewczynką. Sama mogłaś zauważyć, że mama nie przepada za mną. A poza tym jestem przecież żonaty. Zapomniałaś o tym?

– Ale gdyby ona cię lubiła, a twoja żona odeszła od ciebie, to wtedy poszlibyście gdzieś razem, prawda?

– Drogie dziecko, będę z tobą szczery. Moja żona pewnie mnie opuści, ale nie z powodu was, nie przejmuj się, lecz wyłącznie z mojej winy. Myślisz pewnie, że jestem taki fajny, ale bywam bardzo głupi i popełniam różne błędy. Kiedyś sama się o tym przekonasz. Jednakże wychodzenie na miasto z twoją mamą byłoby błędem, którego ani ona, ani ja pewnie nie popełnimy. I nie bądź tym rozczarowana. Tak będzie lepiej. Uwierz mi.

– Mark i ja... Założę się, że też jesteśmy błędem, tak?

Dafydd spojrzał na jej ładną buzię. Dziewczynka zmrużyła oczy, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

– Nie, Mirando – odpowiedział. – Wy oboje jesteście kimś ważnym. Patrząc na was i zdumiewa mnie, że mam z wami tyle wspólnego. Nigdy nie sądziłem, że mam to coś w sobie. To jakiś cholerny cud.

## Rozdział 18

*Moose Creek, rok 2006*

*Dafydd. Dostałam Twoją wiadomość. Wiesz, co się stało? Przyjęłam ofertę. Państwo Jenkins obejrżeli dom i chcą go kupić. Nie potrzebują brać kredytu, pragną jak najszybciej załatwić transakcję. Gdy piszę te słowa, trwa inspekcja budowlana, a umowę wysyłam Ci do podpisu. Odeślij ją od razu. Wynajmuję boks w magazynie w Berry, więc jeśli nie wrócisz przed podpisaniem umowy, przewiozę tam Twoje rzeczy (czy raczej to, co z nich zostało).*

*Teraz jednak muszę Cię z przykrością poinformować o innej sprawie. Chciałabym od razu otrzymać moją część sumy ze sprzedaży domu, by wejść do spółki z Paulem. Nie chcę być jego podwładną, a to okazja, której nie wolno mi przegapić. Jemu wiedzie się doskonale. Za kilka tygodni ruszamy z tym projektem w Dubaju. Lecimy tam w przyszłym tygodniu, by poznać inwestorów i architektów.*

*Serdeczności, Isabel PS. Bardzo dobra wieść: Twoja rosyjska ikona została całkowicie odrestaurowana. Nie było to tanie, ale koszty biorę na siebie. Jak twierdzi specjalista, to bardzo rzadkie dzieło, warte „głupiej sumy”.*

Dafydd wydrukował maila, a następnie skasował wiadomość w komórce i szybko wbiegł na górę, żeby umknąć przed Tillie. Była wrażliwa na jego nastroje, a nie chciał, by wyczytała coś w jego oczach. Coraz trudniej było mu radzić sobie z przejawami jej troski i odpowiadać, żeby dała mu święty spokój, nie zadając żadnych pytań.

Trochę zbyt mocno zatrzęsął za sobą drzwi i rzucił się na łóżko. Jeszcze raz przeczytał mail. Sprzedany! Poczul się tak, jakby ktoś przehandlował jego własne życie. Nie, nie powinien był się na to zgodzić. Gdzie się podzieje? Dokąd weźmie dzieci, jeśli będą miały ochotę go odwiedzić? No cóż, istnieją przecież inne domy... albo mieszkania. Ona nie wspomniała ani słowem, gdzie zamieszka na stałe, lub z kim. Przeklęta baba, pieprzona

zdradziecka lafirynda. Durna, piękna, utalentowana, jedyna w swoim rodzaju Isabel... jego ukochana żona: Już nie żona, lecz utracona żona, eksżona, kobieta Paula Deveraux... Walnął pięścią w poduszkę i usilnie sobie powtarzał, że przecież nie ma na to żadnego dowodu. Może wszystko to sobie wyobraził. Do niczego się nie przyznała, prócz tego, że straciła do niego szacunek. Jak może istnieć miłość bez szacunku do partnera? Nie mogła jednak napisać tego maila i nadal go kochać. Romans czy nie, po prostu już go nie kocha.

Zgrzytając zębami, zmiął kartkę w dłoni. Wcisnął sobie do ust róg purpurowej narzuty, żeby Tillie nie usłyszała szlochów wyrrywających mu się z piersi;

To było jak żeglowanie, żeglowanie po śniegu. W żaden inny sposób nie można było opisać tego wrażenia. Wprawdzie wysmarował na nowo narty, ale i bez tego spisywały się równie dobrze, jak przed laty. Ponieważ warunki były idealne, bez najmniejszego wysiłku pokonywał przestrzeń, sunąc po wyżłobionych w śniegu koleinach. Systematyczne pływanie przyniosło rezultaty: czuł się wysportowany i pełen energii. Thorn przez jakiś czas z trudem biegł za nim, ale w końcu dał za wygraną i zawrócił do domu. Słońce stało się jedynie wąską kreską na horyzoncie, niemniej dzień był ciągle jasny i mroźny, a niebo błękitne. Tylko minus dwadzieścia dwa stopnie, nie tak zimno, żeby smar na nartach zamarzł, a w koniuszkach palców u rąk i nóg straciło się czucie. Dafydd ogarnęła pełnia szczęścia, które otwierało wszystkie zmysły i rozświetlało myśli. Słuch i wzrok miał ostre jak brzytwa. Słabe słońce błyszczało w kryształkach śniegu, ogrom bieli niemal oślepił. Teraz dopiero przypomniał sobie piękno i surowość tego pejzażu, zapamiętanego przed laty.

Nieco później, gdy oderwał wzrok od czubków nart, zauważył, że zapada zmrok. Jak szybko nadszedł. Z niemałym trudem podwinął rękaw, żeby zerknąć na zegarek. Za kwadrans druga. Cholera, było później, niż sądził. Natychmiast przestawił narty i ruszył w kierunku, z którego przybył, tym razem dużo prędzej. Czuł, jak się poci pod grubym ubraniem. Nadal jednak odczuwał radość, a zastrzyk adrenaliny wyzwolił w nim dodatkową energię, niezbędną do pokonania dystansu dzielącego go od chaty Iana.

Zdawało mu się, że zajechał dalej, niż należało. Ciemność zapadała szybko, ale ciągle mógł dostrzec ślady na śniegu. Wyraźne wyżłobienia powinny go doprowadzić do głównej drogi, niemniej były i inne, słabsze,

omijające łukiem pnie drzew. Przez głowę przebiegła mu myśl, czym by się skończyło obranie niewłaściwej trasy i zabłądzenie. Zagubienie się w ciemnościach, głęboko w lesie, przy temperaturze, w której jabłko zamarza na kość w ciągu paru sekund. Gnany strachem zwiększył tempo. Stawało się coraz zimniej, mknące słońce zabierało ze sobą resztki ciepła. Biegając wzdłuż szlaku, wpatrywał się w niebieskawą pokrywę przed sobą w poszukiwaniu śladów zostawionych przez skutery śnieżne traperów. Od nich zależy teraz jego życie. Drzewa stawały się coraz potężniejsze, groźne. Ogarnął go prawdziwy lęk. Zlewał się lepkiem potem.

Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się droga, a wraz z nią Światła chaty Iana. Z niewysłowioną ulgą zwolnił tempo, niemal stając w miejscu. Był skrajnie wyczerpany. Brwi i rzęsy miał pokryte szronem, nawet płyn ustrojowy w jego oczach był na granicy zamarznięcia. Znowu ruszył, czując ogromne osłabienie, bo szybka jazda pochłonęła wszelkie zasoby energii. Stłumione odgłosy szczekania Thorna w domu rozległy się jak najśłodsza muzyka. Stare psisko nadal dobrze słyszało i miało przenikliwą intuicję, jak przed laty, gdy wychodziło mu naprzeciw. Nawet Ian był przejęty, gdy Dafydd z trudem wtoczył się do izby.

– Czy ci odważyło... ty cholerny idioto? – ryknął. – Nawet nie wzięłeś ze sobą latarki.

– Straciłem poczucie czasu... a przy okazji i kierunku. – Dafydd padł na krzesło, próbując rozsznurować buty, żeby jak najszybciej ogrzać przemarznięte stopy.

– Wychył duszkiem – Ian wręczył mu szklankę whisky i schylił się, by pomóc mu rozsupłać sztywne od mrozu sznurowadła.

– To nie jest najlepsze remedium na hipotermię... albo na czystą głupotę – stwierdził Dafydd, biorąc szklankę. – Jeśli jednak nalegasz. – Wypił mocny trunek i przysunął krzesło do piecyka, zdejmując kolejne warstwy ubrania. Wraz z ustępowaniem paniki coraz bardziej czuł się jak wymięta ścierka. Zapomniał o środkach ostrożności, których każdy musi przestrzegać w czasie arktycznej zimy. Jak łatwo byłoby się unicestwić – wystarczyło nic nie robić, po prostu zostać na dworze, zabłądzić i zamarznąć.

– To się nazywa śmierć przez przeoczenie – odezwał się Ian, jakby czytając mu w myślach. Thorn sprawiał wrażenie podenerwowanego, krążył w tę i z powrotem na zreumatyzowanych łapach. Skomlał cicho, jakby w rozpacz, a w oczach miał melancholię.

– Taa, to mi każe zapytać – wtrącił ostrym tonem Dafydd – czy nakarmiłeś kundla? – Ian bez słowa podszedł do szafki i nasypał do miski nieco suchej karmy. Postawił ją na podłodze, ale Thorn nawet na nią nie zerknął. Począł mieszać jakiś gulasz w garnku na piecu. Potrawa wydawała z siebie silny aromat dziczyzny. Zanurzył w niej łyżkę, skosztował i napełnił dwa kubki gęstą mieszanką. Jeden z nich, ociekający sosem, podał Dafyddowi.

– Polej nią karmę Thorną – rzekł Dafydd. – Nie możesz się spodziewać, że biedna psina będzie jadła wyłącznie te trociny.

– Jesteś dzisiaj pełen dobrych rad – odparł Ian z irytacją.

Posilili się gulaszem bez pomocy sztućców. Dafydd czuł, że powinien poruszyć temat powrotu Iana do pracy, ale ten zdawał się nie dopuszczać do żadnej rozmowy na temat swojej przyszłości. Teraz, gdy Dafydd przejął jego obowiązki w szpitalu, nie odczuwał potrzeby wzięcia się w garść. Z pewnością liczył, że wszystko samo się rozwiąże, bez żadnej akcji z jego strony. Sam żył przez przeoczenie. Sugestie Dafydda, aby zgłosił się na odwyk, zlekceważył lub o nich zapomniał. Na dodatek znacznie zwiększył spożycie alkoholu. Przeprowadzka z odludzia do miasteczka w ogóle nie wchodziła w rachubę.

Cisza i milczenie stały się dla Dafydda nie do wytrzymania. Ta chata bywała niekiedy przyjazną przystanią, ale teraz, gdy Ian zrezygnował z resztek dyscypliny, pijąc na umór, atmosfera stała się nieznośna. Ogarniało przerażenie, gdy się patrzyło na tego człowieka, druha, który coraz bardziej poddawał się autodestrukcji. Dafydd zastanawiał się w duchu, czy aby on sam nie przyczynił się do tego. Niewątpliwie pogarszał stan Iana, dowożąc mu whisky i demerol, pracując za niego w szpitalu.

– Spotykam się z dziećmi o siódmej – rzekł w końcu, by przerwać ciszę.  
– Zabieram je do kina.

– A więc Sheili już nie przeszkadza, że pokazujesz się z nimi w miejscach publicznych?

– Sądzę, że dała sobie z tym spokój. Nawet personel szpitala jest chyba dość dobrze zorientowany – odparł sennym głosem Dafydd. Powieki opadały mu ze zmęczenia.

– Myślę, że powinienem ci opowiedzieć o tych próbkach krwi – rzekł zniechęca Ian.

Dafydd otworzył oczy.

– Masz na myśli te do testu DNA?

– Tak naprawdę to sam ich nie pobrałem. To znaczy, nie własnymi rękami.

– Nie? A kto to zrobił?

– Nie wiem. Chyba ona. Tak czy inaczej, kazała mi podpisać, że to są ich próbki krwi. – Ian zamilkł i zerknął do kubka. – Nie sądzę, żeby to było istotne, ale doszedłem do wniosku, że należy ci się wyjaśnienie.

Dafydd oparł się na krzesło i przysunął stopy do piecyka.

– To chyba nie ma znaczenia. Nie ma mowy o żadnym oszustwie, nie sposób podrobić mojej krwi. Same testy przeprowadzono w Anglii, w certyfikowanym laboratorium specjalistycznym, a krew dostarczyłem osobiście. Jakikolwiek przekręt planowała ta przeklęta kobieta, tego akurat nie mogła dokonać... niestety.

Ian kiwał głową, machinalnie głaszcząc Thornę po łbie.

– I nadal uważasz, że to... niefortunne?

– Nie wiem. Mąci mi się w głowie. Odnoszę wrażenie, że z mojego małżeństwa nici. Podejrzewam, że moja żona zakochała się w kimś innym. I sprzedała nasz dom. Jednocześnie zaczynam przyjmować do wiadomości, że Miranda – i Mark są moimi dziećmi. Dziwny paradoks, jednocześnie strata i zysk. Do diabła, to tak, jakbym nie miał wpływu na to, co mi się przytrafia. Ale jeśli jestem ojcem bliźniąt, to moim zadaniem jest dołożyć starań, żeby wiodło się im dobrze. Tak czy inaczej, tego pragnę.

– Jedyne, co naprawdę powinieneś zrobić, to zostać tutaj. Czy możesz zostawić te nieszczęsne dzieciaki z nią? To tak, jakby powierzyć owieczki opiece wilka.

Dafydd potrząsnął głową z zamkniętymi oczami.

– To silne dzieci. Mam nadzieję, że sobie poradzą. Jestem pewien, że Sheila na swój pieprzony sposób je kocha.

Ian spuścił głowę.

– Załóżmy, że tak jest, ale to kobieta bez sumienia. Powinieneś zostać.

Dafydd zasypiał na siedząco, kończyny bolały go z wysiłku.

– Wiem – wymamrotał wreszcie.

– Miranda nie chciała się z tobą zobaczyć – oznajmiła mu Sheila, uśmiechając się z triumfem. – Pozostaje ci Mark.

– Gdzie ona jest?

– Nocuje w domu u Cass.

Sheila miała na sobie opięte spodnie z czarnego zamszu i pąsowy sweter polo. Rudość jej włosów z czerwienią puloweru nieprzyjemnie się kłóciła. Dafydd był zaskoczony: zawsze taka staranna i poukładana, tym razem nie stanęła na wysokości zadania. Na jej twarzy wyraźnie widać było cienie pod oczami, na dodatek zrobiła sobie zbyt silny makijaż. Jej cera pod nim była bledsza niż zwykle. Stres uwidaczniał się ściągnięciem brwi i zaciśnięciem szczęk. Musiała zdawać sobie sprawę, że nie wygląda zbyt atrakcyjnie, bo zauważywszy, że Dafydd się jej przygląda, zrobiła obolałą minę.

– Wychodzę – oznajmiła lakonicznie – więc podrzuc go do domu, kiedy sobie życzysz. On ma klucze.

Dafydd, stojąc w drzwiach frontowych, nie odezwał się słowem. Wdawanie się w dyskusję z Sheilą nieodmiennie kończyło się ostrą wymianą zdań. Wręczył jej pierwszy czek z notą na odwrocie „Płatne Sheili Hailey”. Dwie młode urzędniczki w Banku Regal będą miały niezłą zabawę. Pewnie jednak bank nie przyjmie zagranicznego czeku, mimo że Sheila była w przyjaznych stosunkach z kierownikiem. Jednakże nawet próba przelewu zostanie przypuszczalnie tematem plotek. Wyglądało na to, że na dalekiej północy tajemnice zawodowe nie obowiązują. Dafydd uśmieł się w duchu. Stowarzyszenie Plotkarzy w Moose Creek. Taka wieść daje duże pole do manewru. Miał tylko nadzieję, że nie dotrze do dzieci, chociaż one nic sobie nie robią z plotek. Napatrzyły się na wiele kręctw w stosunkach między dorosłymi i zaznały ich dwuznacznej moralności. I to nie tylko we własnym domu.

Mark, ubrany w luźne dzinsy spadające mu z bioder, schodził, ciągnąc po schodach kurtkę. Miał ścięte włosy.

– Co? – wykrzyknął Dafydd. – Co się stało z twoją kitką?

Mark utkwiał gniewny wzrok w matce i zaczął nakładać kurtkę. Nie padło między nimi ani jedno słowo. Ruszył z Dafyddem do centrum.

– A więc masz ochotę obejrzeć *Jazdę do domu*?

– O tym gówniarzu, który zostaje czempionem jeździectwa? Jasne, czemu nie? – Mark wzruszył ramionami.

– A może wolisz pójść do kafeterii Beanie’go?

– Dlaczego nie masz domu, w którym moglibyśmy gapić się na telewizję?

– No cóż, możemy zamówić pizzę i włączyć telewizor w moim pokoju.

– Mnie tam wszystko jedno.

Godzinę później zasiedli na purpurowym łożu, oparli się plecami na zrolowanej kołdrze, mając pod ręką pizzę z karczochami i cebulą, ale bez sera, oraz popcorn, oliwki, miniaturowe pomidorki, winogrona, dużą paczkę mieszanki orzechów i dwulitrową butlę coca-coli. Przysunęli telewizor tuż do ramy łożka i ustawili na cały regulator stary film *Ostatnia fala* z Richardem Chamberlainem.

– Jestem pewien, że to pedał – zauważył Mark.

– Pierwsze słyszę – odparł Dafydd z pełnymi ustami. Po kilku minutach Mark odwrócił się w jego stronę i mruknął:

– Zamierzasz tu tkwić w nieskończoność?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co tu robię.

– Wiesz, mógłbyś sobie kupić dom. Albo przyczepę. Może też komputer i kuchenkę mikrofalową...

– Taa, to jedna z opcji, jakie biorę pod uwagę. Jak byś zareagował, gdybym zrobił coś takiego?

– To już zależy od ciebie, nie? – Mark wzruszył ramionami, udając obojętność. – Mógłbyś mieć samochód albo półciężarówkę, no i skuter śnieżny...

– Pozwolisz, że zadam ci pytanie? Odnoszę wrażenie, że nie macie żadnych krewnych, oczywiście prócz mnie. Czy twoja matka nie ma rodziny?

– Mama powiedziała, żeby ci nic nie mówić.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest twój zakichany interes.

– To są jej słowa?

Mark zastanowił się przez chwilę. Następnie spojrzał na Dafydda wodnistymi oczami.

– Mamy babcie. Matkę mamy. Ona mieszka na Florydzie. – Utkwił wzrok w ekranie, umieściwszy po pomidorku nad dziąsłami. – One się nienawidzą, mama i babcia. Spędziłem u niej rok. – Uderzył dłońmi w oba policzki, z ust wyleciała mu strużka soku z pestkami.

– Nie wiedziałem o tym. – Dafydd podał mu parę chusteczek. – Miranda też z tobą pojechała?

– Nie. Staruszka nie znosi dziewcząt.

– Aha. A jaka ona jest?

– Gówna warta, Mnie też nie trawi. Mama sobie wymyśliła, że babcia na



pewno lubi chłopców, bo uwielbia mężczyzn, ale to nie dotyczy mnie. – Zerknął na Dafydd i zachichotał: – Babcia odesłała mnie do domu. Mama stwierdziła, że stara więcej nie chce mnie widzieć. Była wściekła jak diabli.

Richard Chamberlain miał halucynacje, wokół unosiły się jakieś szczątki i zwłoki ludzkie, a samochód, w którym siedział, znajdował się pod wodą.

– Nie sądzę, żeby ten film był odpowiedni dla...

– Cicho, to jest najlepszy kawałek.

Skupili się na scenie, w której Chamberlain, po przejściu rytuału nadania mu tytułu Honorowego Aborygena w Australii, przewiduje nadejście tsunami. Kiedy film się skończył, zmienili kanał i zaczęli oglądać transmisję meczu hokejowego.

– A co z twoim dziadkiem? Nie żyje? – zapytał Dafydd w czasie przerwy na reklamówki.

– Nie wiem – mruknął Mark, skoncentrowany na wyrywaniu wieszaka ze ściany. – Myślę, że był, jak ty, Anglikiem. Zmył się, jak mama miała dziesięć lat. Był podobno niezadowolony z tego, że była ruda, więc mnie by też nie znosił. – Mark zrobił taką minę, jakby nienawiść do kogoś z powodu jego koloru włosów była całkowicie uzasadniona.

Dafydd spojrzał na chłopca z nagłym przyływem sympatii.

– I nigdy więcej się nie odezwał?

– Jasne, przysyłał czeki, więc mamę można było umieścić w internacie, bo babcia nie lubiła, jak jej przeszkadzała w domu. Ale pewnie też jej nie chciał. – Zaśmiał się nienaturalnie piskliwym głosem. – Ty jej też nie lubisz, prawda? W porządku, bo ja na ogół też nie. Biedna mama. Ale niektórym facetom się podoba. Jest dość ładna, mimo rudych włosów. – Spojrzał błagalnie na Dafydd. – Nie uważasz?

Dafydd wzdrygnął się, słysząc ból w głosie chłopca.

– Tak. Twoja mama jest bardzo ładna. Oraz inteligentna. Ty również. – Lekko uszczypnął go w ramię.

Zamilkli, bo wznowiono transmisję meczu hokejowego. Dafydd ujrzał w myślach pewną scenę – Sheilę i siebie sprzed wielu lat. Ona oświadczyła mu wówczas, że przypomina jej kogoś – zarozumiałego, pewnego siebie mężczyznę. Kogoś, kogo nigdy nie zdołała zadowolić...

– Ja tam sobie myślę, że Miranda jest twoim dzieckiem, ale ja nie – odezwał się Mark zniechęcony.

– Tak, mówiłeś mi o tym – Dafydd spojrzał na chłopca. – To jednak

niemożliwe.

Mark zaśmiał się drwiąco. – Zajrzałem do jednego z tych waszych podręczników medycyny. To się może zdarzyć, jeśli kobieta...

– Tak, wiem o tym – przerwał mu Dafydd. Irytowało go, jak ten chłopak potrafił go poniżyć, podobnie jak jego matka. – Jednakże, statystycznie rzecz biorąc, jest to szansa jedna na milion, a może nawet na dziesięć milionów. – Mówiąc to, poczuł się głupio. Mark popatrzył na niego z rezygnacją. Głośno westchnął i wzruszył ramionami. – Skoro tak ci na tym zależy, tato – powiedział i odwrócił głowę w stronę ekranu.

– Tak czy inaczej, to próbka twojej krwi, a nie Mirandy, dowiodła, że jesteś moim dzieckiem.

Mark nic nie odpowiedział, jedynie powtórzył trik z pomidorami, wręczając kolejne dwa Dafyddowi.

– Mama cię nienawidzi, wiesz o tym.

– Mark, mój Boże. Sposób, w jaki to mówisz, prowadzi – do wniosku, że całe to miejsce jest jednym wielkim kotłem bulgocącym jadem. Czy znasz kogoś, kto nie nienawidzi wszystkich wokół?

Mark zerknął na niego, lecz zignorował pytanie.

– Nie, to nie tak. Naciśnij je również mięśniami policzków. Mocno, aż pękną.

– Przyjechałbyś do Anglii, gdybym tam wrócił? Mark przestał żuć i spojrzał na swoje ręce.

– Ja sobie kombinowałem, że zostaniesz tutaj... Masz tu pracę i wszystko.

– Moja prawdziwa praca czeka na mnie w Walii. Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na dalszy pobyt w Moose Creek.

Mark myślał przez chwilę.

– No to pieprzyć to. – Odwrócił się i wtulił głowę w ramiona, rozpaczliwie obnażony w swoich emocjach. Przez resztę meczu nie sposób było do niego dotrzeć. Kiedy nastąpił finał, natychmiast zapadł w sen. Dafydda kusilo, żeby pogłaskać tego smutnego chłopca, okazać mu trochę ciepła. Mark był najbardziej ponurym, wyzbytym optymizmu dzieckiem, jakie kiedykolwiek napotkał. Jedyne pozytywne uczucia, jakich doznawał, wyzwały się w trakcie zabaw i przepychanek z Mirandą. Nigdy nie protestował, gdy dziewczynka okładała go piąstkami, szarpała za włosy lub z całych sił ścisnęła. Potrzebował siostry, tak jak ona potrzebowała brata.

Tillie pukała do drzwi, wykrzykując jego imię. Wskutek tego hałasu stopniowo wynurzał się z głębokiego, mrocznego snu. Jego mózg powoli rozpoznawał miejsce i czas. Dopiero po kilku sekundach Dafydd uzmysłowił sobie, że choć znajduje się w obcym miejscu, a z zawodu jest lekarzem, nie jest na dyżurze. Tu chodziło o coś innego. W końcu oprzytomniał i wyskoczył z łóżka.

– Zaraz otwieram! – krzyknął, rozglądając się za szlafrokiem.

– Dzwonią ze szpitala – powiedziała mu zdyszana Tillie. – Mają nagły przypadek i potrzebują twojej pomocy. Prosilili, żebyś natychmiast przyjeżdżał.

Dafydd wciągnął na siebie dżinsy i buty bez skarpetek, narzucił ciepłą koszulę i kurtkę puchową, a następnie pędem zbiegł ze schodów. Tillie siedziała już w samochodzie z zapalonym silnikiem i włączonym ogrzewaniem.

– Dziękuję, kochana – rzekł bez tchu. – Jeszcze pożałujesz, że masz takiego lokatora. Ze mną to same kłopoty.

– Ach, nie... dla mnie możesz tu zostać na zawsze. – Tillie, prowadząc samochód, obrzuciła go powłóczystym spojrzeniem. Dafydd wyczuł w jej głosie ów nieomylny ton zakochania, więc starał się unikać kontaktu wzrokowego. Krótkotrwałe małżeństwo Tillie z dziesięć lat starszym od niej mężczyzną skończyło się jego zgonem, a teraz wdowa odrodziła się jako zalotna kobieta – z kokonu tłuszczu wyswobodził się ładny motyl w średnim wieku. Przypuszczalnie niewiele wiedziała o namiętności, jaka może zrodzić się między mężczyzną i kobietą. Dafydd obserwował jej łagodny profil, delikatną twarzyczkę i małe rączki, którymi trzymała kierownicę. W tym mieście musiały być dziesiątki samotnych facetów, którzy z gotowością zakochaliby się w niej i w jej rentownym pensjonacie. Ale on musi za wszelką cenę odwieść ją od przekonania, że jest wybrańcem jej serca. Jeśli w jego życiu nastąpi jeszcze jedna komplikacja, to chyba załamie się nerwowo.

Podrzuciła go pod samo wejście do szpitala. Dafydd ruszył biegiem w kierunku sali operacyjnej. Tam natknął się na Janie.

– Traper, rozszarpany przez niedźwiedzia grizzly. Jest w stabilnym stanie, ale praktycznie w strzępach. Nie widać śladów obrażeń wewnętrznych. Kilka złamanych żeber, dyslokacja barku. Dzięki Bogu, że

miął na sobie wiele warstw ubrania. No i był z nim kolega. Ten człowiek z pewnością ma anioła stróża.

Gdy umył ręce, Janie pomogła mu naciągnąć lateksowe rękawiczki. Podeszła do niego i szepnęła na ucho:

– Lezzard pełni dyżur przy telefonie w domu, ale był na popijawie. Żona nie mogła go dobudzić. Nadja jest w drugiej kolejności, lecz zadzwoniłam do Hogga, żeby się poradzić, co robić w takiej sytuacji, a on powiedział, że trzeba wezwać ciebie. Ona jest taka... niedoświadczona. – Zrobiła krok do tyłu i spojrzała mu w oczy. – Nie masz nic przeciwko temu, co?

– Oczywiście, że nie. A zatem doktor Atilan będzie anestezjologiem?

Janie przytaknęła, a następnie dodała półgłosem:

– Sheili tu nie ma, na wypadek, gdybyś pytał.

– I dzięki Bogu.

Spojrzała na niego, ale nie odezwała się więcej.

W czasie długich godzin wypełnionych zszywaniem kawałków skóry, oderwanych z fragmentami ciała przez straszliwe pazury grizzly, Dafydd spytał Janie, jak to możliwe, że niedźwiedź wyruszył na polowanie w samym środku srogiej zimy.

– Niewykluczone, że wystraszył go jakiś dzieciak. Grizzly budzą się czasami bez powodu i są wówczas wyjątkowo groźne.

Doktor Atilan, spokojna kobieta pochodzenia węgierskiego, rozgadała się nagle głosem stłumionym przez maskę chirurgiczną. Z silnym obcym akcentem opowiedziała z najdrobniejszymi szczegółami historię pewnego hiszpańskiego rowerzysty, który latem 1998 roku został poszarpany przez niedźwiedzia czarnego. Hiszpan postanowił zostać pierwszym człowiekiem, który przejedzie cały nowy odcinek autostrady od Wolf Trail do Tuktoyaktuk. Miejscowy człowiek, jadąc jakieś sto kilometrów od Moose Creek, zauważył na poboczu rower z kręcącym się kołem. Zatrzymał się i usłyszał rozpaczliwe krzyki zza drzew. Tam niedźwiedź zaciągnął nieszczęśnika. Kierowca zdołał go odstraszyć, wrzeszcząc wniebogłosy, i w ten sposób udało się ocalić Hiszpana ryzykanta. Trzeba mu było nałożyć rekordową ilość około czterystu szwów. Co roku, szóstego lipca, w feralną rocznicę tego wydarzenia, nieszczęśnik przysyła kwiaty do szpitala z Bilbao, gdzie teraz pracuje jako nauczyciel.

– A ten dzieciak z Coppermine? – wtrąciła się do rozmowy Janie. – Ten był dopiero w strasznym stanie. – Zwróciła się do Dafyddda. – Chłopiec

inuicki został zaatakowany przez białego niedźwiedzia. Wyjątkowo dramatyczna sprawa, bo panowała wtedy zadymka – to się wydarzyło w marcu lub w kwietniu tego roku. Taka śnieżycą, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Mieli go przetransportować samolotem do Yellowknife, ale wskutek fatalnych warunków atmosferycznych dostarczono go tutaj, bo było najbliżej.

– Niedźwiedź polarny! – wykrzyknął Dafydd. – Sądziłem, że spotkanie z nim jest praktycznie bez szans dla człowieka.

– Powiadano, że uratował go pies.

– I co się z nim stało?

– Przebywał tu tylko kilka dni. Bardzo szybko przewieziono go do Edmonton. Wymagał wielu operacji, stracił nogę. Nadzwyczaj dzielny chłopiec. Ani razu nie zapłakał.

– Ile lat miał ten dzieciak? – spytał Dafydd, przystępując do skomplikowanego zszycia rany w pachwinie.

– Dwanaście lub trzynaście – odparła doktor Atilan, unosząc wzrok znad pisma medycznego. – Duży jak na swój wiek. Cóż to za piękne dziecko! Trzęśliśmy się tu nad nim, był dla nas specjalnym pacjentem.

– Dzieci często są o wiele lepszymi pacjentami niż dorośli – zauważył Dafydd. Wyprostował się, przeciągając – mięśnie pleców, obolałe wskutek pochylania się nad operowanym traperem. – Kiedy dochodzi do dramatu, są dużo bardziej opanowane. – Ukazał mu się w pamięci niewyraźny obraz Derka Rose'a. Szklistymi, wpadniętymi do środka oczami ten chłopczyk zadawał pytania, których jego młody umysł nie potrafił jeszcze sformułować.

Po czterech godzinach zespół operacyjny wyszedł z bloku wyczerpany, lecz podniesiony na duchu. Dafydd założył w sumie dwieście osiemdziesiąt siedem szwów i wszystko wskazywało na to, że wyszedł zwycięsko z powierzonego mu zadania. Ranny – młody Metys, żonaty i ojciec dwojga dzieci, będzie miał pewnie okropne szramy, ale chyba nie grozi mu trwałe kalectwo. Był pod równie dobrą opieką, co w wielkomijskim szpitalu, a przede wszystkim ocalał.

Patricia, córka Janie, podskoczyła do kafeterii, gdzie zajęła się przygotowywaniem śniadania i parzeniem kawy. Wkrótce nocną zmianę zwabił do ciemnej jadalni zapach smażonego bekonu. Posiłek jedzono w koleżeńskej atmosferze. Może dlatego, że nie było z nimi Sheili – pomyślał

Dafydd. Nie umknęło jego uwagi, że nie jest tu osobą popularną, choć z pewnością ma swoich sojuszników.

Na ogół stronił od mięsa, ale tym razem z apetytem spałaszował wielki talerz jajek na bekonie z przyrumienionymi kartofelkami. Jakaś dobra dusza usmażyła wszystkim racuszki. Też chętnie je zjadł.

Siedząc przy śniadaniu obok doktor Atilan, zwrócił się do niej między jednym kęsem a drugim:

– Wiesz, lata temu, odwiedziłem tamte strony, w pobliżu Coppermine, skąd pochodzi ten dzieciak, o którym nam opowiadałaś. To chyba najsurowsze miejsce na Ziemi, ale zarazem niebywale piękne. Czy przypominasz sobie, w jakiej osadzie mieszkał ten chłopiec? Jest ich tam zaledwie kilka, o ile pamiętam.

Atilan pokręciła głową.

– Jakaś wioseczka. Pewnie ma nazwę w miejscowym narzeczu.

– Black River! – krzyknęła Janie zza stolika.

Black River. Dafydd ujrzał w myślach tę nazwę na kopertach, wielokrotnie adresowanych własną ręką. Black River. Co za zbieg okoliczności. Taka mała miejscina. Może nawet zetknął się z rodzicami ранego chłopca, choć mieszkało tam zaledwie kilkoro młodych ludzi. Wrócił pamięcią do kobiety, którą miał szczęście pokochać. Ukazały mu się jej długie czarne włosy na nagim ciele, jej rzeźby w kamieniu, które trzymał w rękach, północne światło zabarwiające niebo nad jej skromnym domkiem. Czy nadal tam mieszka? Odgonił tę myśl. W jego życiu było już aż nadto chaosu.

## Rozdział 19

*Moose Creek, rok 2006*

*Dafydd. Nie wiem, co Ci odpowiedzieć. Dobrze się stało, że zrobiłeś takie postępy z dziećmi. To miłe. No i Twoja praca. Gratulacje. Nie pojawisz się więc na święta Bożego Narodzenia. Nie spodziewałam się tego, więc się nie przejmuj. Sprawa sprzedaży domu w toku. Ostateczny termin w styczniu. W Dubaju było świetnie, dzięki. A więc nie grożą nam troski.*

*Serdeczności, Isabel* Isabel odpływała jak statek znikający z pola widzenia – po wyjściu na pełne morze staje się coraz mniejszy, aż ginie z oczu na horyzoncie. Dafydd starał się myśleć o niej z obiektywizmem. Wspominał jej charyzmę, niecierpliwość, ostry i piękny profil, jej niezwykły urok osobisty, nawet zazdrość i wręcz ośli upór. Doszedł do wniosku, że poszczęściło mu się z nią. Poczuł wdzięczność do losu za to, że był jej mężem.

Jednakże dziwne było to, że już mu więcej na niej nie zależało. Czy był to dowód jego powierzchownych emocji, braku głębszych uczuć? Kobieta, którą – jak sądził – kochał tak namiętnie, wymykała mu się, najwyraźniej zwabiona innymi atrakcjami. I teraz, dostrzegłszy w sobie odmianę, nie odczuwał ani żalu, ani rozpacz. Ostatni atak bólu przeżył w trakcie nagłego i ostatecznego wybuchu płaczu. I znienacka doznał uczucia lekkości... niemal oczyszczenia. Zagłębiał się nieraz w rozważaniach nad swoimi emocjami, swoim rozumowaniem, a mimo to nie mógł pojąć nieobecności cierpienia i winy. Może przyczyną był gniew. Doszedł do wniosku, że Isabel, odchodząc, skazała go na samotne stawienie czoła skrajnym doświadczeniom, jeśli nie liczyć sprawy Derka Rose'a i jej skutków. Krótko mówiąc, nie udzieliła mu pomocy, nie zaufała. Nigdy nie przyjęła do wiadomości, że był niewinny zarzucanych mu czynów, naprawdę niewinny, aż jego błąd wyszedł czarno na białym w tym przeklętym teście potwierdzającym ojcostwo. Odniósł wrażenie, że Isabel zakwestionowała całe ich małżeństwo, przenosząc nadzieje i ambicje na zupełnie inne sprawy. Postanowiła dowieść, że jest niezbędna w świecie wielkich projektów. Chce

zostać bogata i potężna, może nawet sławna.

Tymczasem jego ambicje zmalały. Jeśli Isabel obawiała się, że jego nowo odnalezione dzieci odsuną go emocjonalnie od niej, nie myliła się tak bardzo. Obudziło się w nim poczucie odpowiedzialności i odtąd nie mógł go lekceważyć, bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Jego dalsze losy wiązały się z wewnętrznym pojęciem ojcostwa, co nawet dla niego samego okazało się zaskakującym odkryciem.

Dafydd podjechał do chaty Iana. W reflektorach ujrzał szeroki tył auta z napędem na cztery koła. Poznał pojazd Hogga. Samochód zastawiał wjazd na podwórko. Ogarnęła go gwałtowna irytacja. W rozmowach z Ianem już nie wracał do tematu potajemnych dostaw demerolu, w każdym razie podczas kilku inspekcji w bagażniku nie wykrył żadnej podejrzaney paczki. Jednakże wyrzucał sobie własną nonszalancję w podejściu do całej tej afery. Przecież nie było to coś, na co mógł zezwalać lub udawać, że o tym nie wie. Dostawy skradzionego towaru, a na dodatek narkotyków, były przestępstwem, co stawiało go na równi z Sheilą. Przysiągł sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

Zastanowiło go, co Hogg robi u Iana i w jakim stanie go znalazł. Było tuż po siódmej, czyli czas, gdy Ian wstrzykiwał sobie wieczorną dawkę. Postanowił wejść, tym bardziej że warkot silnika z pewnością dał znać im obu, iż ktoś zajechał pod dom.

– O, doskonale, doskonale – powitał go Hogg w progu. – Oto człowiek, z którym chcemy zamienić parę słów.

Ian siedział przy kuchennym stole i wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Thorn ułożył się na starej skórze łosia, postępując cicho.

– Właśnie usiłowałem przekazać Ianowi, że spodziewamy się jego powrotu w poniedziałek, skoro twoja umowa się kończy – rzekł Hogg oględnym tonem. – Zgadza się? – spojrzał pytająco na Dafydda. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, a jego gęsta czupryna kontrastowała z bladą, opuchniętą twarzą. Wyglądała jak krzywo nałożona peruka.

Trzej mężczyźni spoglądali na siebie niepewnie, czekając, aż któryś z nich odezwie się pierwszy. Obojętność Iana i podenerwowanie Hogga wskazywały na to, że wypadło na Dafydda. Ponieważ obaj nie otworzyli ust, łatwo się było domyślić, na co czekają. Dafydd jednak zdawał sobie sprawę, że jego zgoda okaże się dla Iana katastrofą, Ian musi wrócić do jakiejś formy



normalności. Dzięki pracy zdoła odzyskać nieco dyscypliny, choć z drugiej strony w tym stanie mógłby poważnie zaszkodzić pacjentom, którzy nic a nic by go nie obchodzili. Powierzenie mu obowiązków lekarza byłoby poważnym ryzykiem, teraz jeszcze większym niż kiedykolwiek przedtem.

Gdy usiłował ułożyć sensowną odpowiedź, Hogg zniecierpliwiony przerwał milczenie. Zwrócił się do Dafydd z desperacją i z nutą gniewu:

– No cóż, nie ma co owijać w bawełnę. Nie sądzę, żeby Ian był gotów do podjęcia pracy.

Zrobił krok w stronę Iana i położył pulchne ręce na biodrach.

– Posłuchaj, człowieku. Przepracowaliśmy razem wiele lat i z tego powodu winien ci jestem... nieco wyrozumiałości. Jako lekarz nie mogę cię obwiniać, ale w ciągu ostatniego roku czy dwóch... No cóż, dłużej tak nie można, prawda?

– Och, daj spokój – odparł Ian, patrząc mu w oczy. – Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możesz tak łatwo się mnie pozbyć, chyba że nawalę na całego. Nie masz mi nic do zarzucenia. Mam prawo do nieobecności z powodu choroby i tak właśnie zrobiłem. Nie jestem w odpowiednim stanie, żeby podjąć pracę w poniedziałek.

– To widać – rzekł Hogg z nieukrywanym sarkazmem.

– Daj mi wolne do Nowego Roku. Jestem pewien, że Dafydd zgodzi się przepracować jeszcze parę tygodni. Prawda, Dafydd? – W jego głosie znać było nowy ton. Ian bronił się, ale zarazem błagał o pomoc, żebrał o trochę więcej czasu. Jego prośba głęboko poruszyła Dafydd. Zaprzagnął pospieszyć przyjacielowi na ratunek, powstrzymać jego autodestrukcję, sprawić, by wziął się w garść. Nie mógł jednak apelować do niego w obecności Hogga. Obaj tymczasem nie spuszczaali z niego wzroku, licząc na jednoznaczną odpowiedź.

– Zgoda – odezwał się wreszcie. – Przepracuję do pierwszego, ale ani dnia dłużej. – Chciał spojrzeć Ianowi w oczy, ale ten uparcie patrzył w podłogę.

– Doskonale – powiedział Hogg i ruszył do drzwi.

– W ostatniej chwili się zawahał. Odwrócił się do Iana. – Obawiam się jednak, że musisz zwrócić się z tym do mnie na piśmie. Jak wiesz, to już naprawdę ostatnia szansa. Nie lubię zajmować się takimi sprawami. – Zerknął na Dafydd z niejasnym poczuciem winy. Dafydd zastanawiało, na ile Hogg zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Czy mógł nie zauważyć, co

się dzieje tuż pod jego nosem, i to od wielu lat? Może miłość do Sheili kazała mu patrzeć w inną stronę.

Zapiawszy palto, Hogg wyszedł wreszcie. Dafydd, zatraskując za nim drzwiami, usłyszał w lodowatych ciemnościach ryk zapuszczanego silnika, następnie wizg opon na podjeździe obok zaparkowanego auta Iana. Wrócił do kuchni, wyjął zakupy, otworzył puszkę z psią karmą.

– Sam widzisz, że dłużej nie mogę cię kryć – zaczął swoją przemowę. – Muszę zwrócić ci samochód, żebyś zaczął wreszcie zajmować się sobą. Myślę, że niechcący wyświadczyłem ci niedźwiedzią przysługę. To było bardzo głupie z mojej strony.

– Ustaliliśmy, że będziesz pracować do pierwszego stycznia. Może zgódźmy się, żeby do tego czasu wszystko zostało po staremu? To dobra data na nowy początek.

– Nie! – wykrzyknął Dafydd. – Nie widzisz, że nic dobrego z tego nie wychodzi? Będziesz w jeszcze gorszym stanie niż teraz. Dlaczego nie pójdziesz na odwyk? Skoro nie chcesz nigdzie pojechać, można to zrobić tutaj. Pomogę ci.

– Ograniczę picie, ale nie ma powodu, żebym przestał brać demerol. On mi nie szkodzi w pracy. Doskonale na nim funkcjonuję.

– Ian – Dafydd gotów był już wrzeszczeć. – Wiesz, że nie wolno ci pracować pod wpływem narkotyków. Zagrożasz życiu pacjentów.

– Nie uśmierciłem ani jednego – krzyknął w odpowiedzi Ian, zrywając się z krzesła. – Nie zabiłem nikogo, prócz własnej żony.

– Dafydd zaszedł go od tyłu i położył mu ręce na ramionach. Zmusił go, żeby z powrotem usiadł.

– Ian, posłuchaj. Kradzież środków narkotycznych jest przestępstwem. Igrasz z ogniem.

Ian opadł na krzesło.

– Ach, pieprzyć to wszystko. Nikomu nie robię krzywdy. A zresztą to Sheila je kradnie.

– W takim razie potrzebujesz samochodu, żeby załatwiać sobie dostawy.

Ian wstał i zniknął w łazience. Thorn obwąchał karmę w misce i nie tknąwszy jej, wrócił na swoje posłanie. Dafydd rozejrzał się wokół. Wnętrze chaty przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. W miejscach, gdzie bałe się skurczyły i wata ocieplająca wypadła, pojawiły się sople lodu. Powąta była zalana topniejącym śniegiem i niebezpiecznie się wybrzuszyła, grożąc

zawaleniem. Wykładzina na podłodze straciła wszelką barwę i fakturę, zamieniając się w zatłuszczoną, szerniałą szmatę, postrzępioną i brudną.

Ian stanął w drzwiach. Miał szkliste oczy.

– Dziwi mnie, że jeszcze zostały ci jakieś żyły – zauważył Dafydd z goryczą.

– Odwał się ode mnie, dobra?

– Słuchaj, dzwonię po taksówkę. – Dafydd położył kluczyki samochodowe na stole. – Nie przywiozę ci już zakupów – ani jedzenia, ani wody, ani żadnych narkotyków. Czegokolwiek potrzebujesz, załatwiasz sobie sam. Pomogę ci tylko pod jednym warunkiem: że zechcesz pomóc sobie. Zrobię wtedy wszystko, co w mojej mocy... ale decyzja zależy od ciebie.

– Przemyślę to.

Nie było nic więcej do dodania, Ian w odrętwieniu drzemał w fotelu, Dafydd czekał na taksówkę. Po dwudziestu minutach, usłyszawszy podjeżdżające auto, wstał. Nachylił się nad Ianem siedzącym z otępiłą twarzą i rzekł:

– Chcę, żebyś zrobił dla mnie jedną rzecz. Podaj mi swój kod dostępu do systemu komputerowego. Pracując w zastępstwie, nie dostałem go. A muszę coś pilnie sprawdzić.

Ian otworzył oczy, wstał i znalazłszy pióro wypisał na skrawku papieru serię liczb. Bez słowa wręczył karteluszek Dafyddowi. Obaj popatrzyli sobie w oczy.

– Ian, rzuć to. Po prostu podejmij ten wysiłek – rzekł Dafydd z naciskiem, kładąc koledze rękę na ramieniu. – To będzie trudne, ale stać cię na to. Przyjdę i zajmę się tobą. Wiesz, gdzie mnie szukać.

W gabinecie było ciemno, nie licząc lampy biurowej nad stołem. Dafydd zamknął za sobą drzwi, choć wydawało się mało prawdopodobne, aby któryś z pracowników szpitala miał potrzebę zaglądać tu późną nocą. Uruchomił komputer i odczekał chwilę. Kiedy na monitorze ukazało się pytanie o kod dostępu, wystukał numer zapisany na skrawku papieru i zaczął przeglądać różne pliki. Kliknął myszką w ten z hasłem „Oddział Intensywnej Opieki Medycznej”, wyświetliły się opcje. Wybrał „Powód przyjęcia na OIOM”, wystukał „zaatakowany przez niedźwiedzia”, pojawiła się lista nazwisk. Gdy je szybko odczytywał, poczuł, że serce zaczęło mu bić jak szalone. W sumie lista składała się z dwudziestu dwóch nazwisk,

wpisanych na przestrzeni wielu lat. W połowie lektury dostrzegł: „Charlie Ashoona, Black River, region Kugluktuk (Coppermine), Nunavut. Najbliższy krewny: Uyarasuq Ashoona, matka”.

Wyprostował się na krześle, zapatrzony w monitor. Blask bijący w ciemnym pokoju od ekranu sprawiał, że litery wręcz skakały mu do oczu. Przyszła mu do głowy dziwaczna myśl. Czy mógłby to być chłopiec, o którym mówił mu Joseph, twierdząc, że jest synem Niedźwiedzia? Czy to możliwe? Zerknął na datę urodzenia. Piątego grudnia 1993 roku. Był zbyt poruszony, by szybko skalkulować miesiące i lata. Nie mógł się w nich połapać. Chwycił pióro, zapisał je sobie w słupku. Wreszcie obliczył, że data poczęcia chłopca mniej więcej pokrywała się z czasem, gdy obaj z Niedźwiedziem odwiedzili Black River.

Czyżby Uyarasuq i Niedźwiedź... ? Nie, to niemożliwe. Jednakże Niedźwiedź zapisał połowę oszczędności swego życia temu właśnie dziecku. Joseph upierał się, że to on je spłodził. Co za okropny pomysł. Odtworzył w myślach oznaki serdecznej więzi dziewczyny i starego. Cóż mógł wiedzieć, co ich naprawdę łączyło? Co rozumiał z ich sposobu myślenia? Zapewne jego własne uprzedzenia kulturowe na temat wieku i seksu, a także zasad moralności, nie mają w tym świecie arktycznej dziczy żadnego zastosowania. O, Boże! Dafydd poczuł, jak ręce i nogi odmawiają mu posłuszeństwa, a w głowie zaczyna się kręcić, jakby znalazła się w niej wirująca non stop, obłąkana ruletka.

– Co tu, do cholery, robisz?

Gwałtowny ton głosu rozlegającego się w ciemnościach sprawił, że aż podskoczył. Obejrzawszy się za siebie, ujrzał Sheilę zbliżającą się szybkim krokiem. Zareagował bez chwili wahania – jednym szarpnięciem wyrwał wtyczkę z kontaktu. Komputer wydał jakiś pisk, monitor stał się czarny.

– Nie masz prawa wtrzywać nosa do danych pacjentów. Jak tu wlałeś?

– Pracuję tutaj. Jeśli potrzebuję zajrzeć do danych pacjentów, po prostu to robię.

– Masz prawo wglądu do akt na piśmie. Do swoich celów – tylko tyle ci wolno. Wiem doskonale, że nie dostałeś kodu dostępu do danych umieszczonych w komputerze. One nie są dla takich jak ty. Natychmiast składam skargę do Hogga.

– Składaj – odparł zimno Dafydd. – Cała nasza trójka będzie miała parę tematów do przegadania. Jestem gotów – to zorganizować. Uważam, że

istnieje wiele spraw wymagających złożenia raportu.

– Rzeczywiście? – Mina jej trochę zrzędła, choć agresywny ton się nie zmienił. – Na przykład jakich?

Dafydd nie odpowiedział, ale nie ruszył się z miejsca. Sheila podeszła bliżej, wymachując mu palcem przed oczami.

– Jeśli sądzisz, że Hogg wysłucha czegokolwiek, co zamierzasz mu donieść na mnie, to jesteś w grubym błędzie. – W jej wzroku widać było gniew, ale na twarzy odmalowywał się niepokój.

Dafydd pomyślał o Ianie i ogarnęła go wściekłość. Doszedł do punktu, w którym przestał się już przejmować, że go wsypie. Nadszedł czas, żeby przerwać tę spiralę destrukcji, w którą wdał się z pomocą Sheili. Zerknął na jej rękę tuż przy swojej twarzy.

– Przystań wkładać mi palec do oczu – warknął, odpychając jej dłoń. – Czy twoja demoralizacja nie zna kresu? Opiekujesz się dwójkiem bezbronnych dzieci. Należy je chronić przed...

– Uważaj, co mówisz – syknęła Sheila. – Jeśli zamierzasz mieć coś wspólnego z dziećmi, lepiej trzymaj język za zębami. Już ja cię załatwię, i nie będzie w tym nic niemoralnego. Tylko na to zasługujesz. Na to zasługują faceci twojego pokroju. Myślisz, że możesz sobie latać i wtykać śmierdzącą kutasinę, gdzie ci się żywnie podoba, i zawsze ci się upiecze...

– Nie o tym będziemy mówić – przerwał jej z furją Dafydd. – Porozmawiamy o tym, co robisz Ianowi.

Sheila zamilkła, wlepiając w niego oczy, ale błyskawicznie odzyskała butę.

– Gównu mnie obchodzi, o czym mówisz. Cokolwiek to jest, nie twój zasrany interes. Odpięrz się od mojego życia, albo nigdy więcej nie ujrzysz dzieci. Wszystko wyciągnę na jaw. Dowiodę, jak mnie potraktowałeś. Opowiem dzieciom w najdrobniejszych szczegółach.

– Zrobiłabyś to? Zrobiłabyś to własnym dzieciom?

– A jakże, i mam na to dowód. Uwierz mi, nie spodoba ci się. – Uśmiechnęła się jadowniczo, czując, że odzyskuje przewagę. Skrzyżowała ręce na brzuchu, patrząc na niego z pogardą. Zawsze szukała w innych słabego punktu i teraz doszła do wniosku, że użyje dzieci jako swojej broni, ale tym razem nie pójdzie jej łatwo. Już on do tego nie dopuści.

– Nie wierzę ci. Zmyślasz jakieś głupoty. – Dafydd tak mocno pchnął krzesło, że aż się przewróciło. – Ale dobrze. Rób, co uważasz, a ja zrobię

podobnie.

Zanim zdołała odpowiedzieć, obrócił się na pięcie i szybko wyszedł.

Punktualnie o ósmej pięćdziesiąt pięć rano stał przed agencją wynajmu samochodów przy bocznej uliczce na skraju miasta. Było jasne, że samochód jest tu niezbędny, a zakaz prowadzenia, jaki go obowiązywał, trzeba będzie ominąć w imię wyższej konieczności. Uśmiechnął się na myśl o pewnej rozmowie dawno temu. Usłyszał wtedy, że nigdy nie należy chodzić pieszo po Moose Creek, bo albo jest zbyt gorąco i zbyt wiele kurzu unosi się w powietrzu, albo jest zbyt zimno i ślisko, albo wreszcie jest się na to zbyt pijanym. Ktoś był bardzo przenikliwy. Twarz wydłużyła mu się ze zdumienia, gdy ujrzał przed sobą głosicielkę tych prawd we własnej osobie, kroczącą po ulicy z dużym pękiem kluczy w ręce. Martha Kusugaq mimo upływu lat niewiele się zmieniła. Na widok Dafyddda oczy jej zajaśniały.

– Seksowny młody doktorek – zaskrzeczała. – No nie!

– Doktor owszem. Ale czy młody i seksowny, to już dość wątpliwe – odparł Dafydd ze śmiechem.

– Tym razem jesteś tu na stałe, prawda, młody człowieku? Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebujemy kogoś twego pokroju – rzekła, energicznie ściskając mu dłoń. – Mam szczerą nadzieję, że przejmiesz interes po starym – Hoggu. On się do tego nigdy nie przyzna, ale powinien już przejść na emeryturę.

– Co ty... spokojnie, Martha. Przyjechałem tu tylko z wizytą. A co u ciebie?

– Daj mi otworzyć drzwi, to pogadamy.

Przebierała w pęku kluczy, próbując kilku, zanim odnalazła właściwy.

– Sądząc po ilości kluczy, masz tu mnóstwo biznesów – stwierdził Dafydd.

– Trafieś w dziesiątkę – odpowiedziała Martha. – Mój stary zostawił mnie dla jakiejś lafiryndy, ale chajtnęłam się za młodego, z ambicjami. – Stanęła za ladą i wzięła do ręki złote pióro. – Najpierw znajdziemy ci jakieś cztery kółka. Daję słowo, że są w porządku...

Nie mógł się skoncentrować na paplaninie dzieci. Mark szarpał go za ramię. Miranda znajdowała się za nimi, pchając sanki i krzycząc do nich, żeby mocniej ją ciągnęli. Zaśmiewając się, gadali o czymś ze sobą i wspinali

się ostro pod górę w śniegu sięgającym im po pachwiny.

– Co ci jest, Dafydd? – krzyknął Mark. – Jesteś w złym nastroju, czy co?

Dafydd zaskoczył niespodziewanie dobry humor Marka. Chwyił chłopca w pasie i chciał go powalić na ziemię, ale ten okazał się silniejszy i podciął mu nogi. Obaj stoczyli się kilka metrów w dół, nim zdołali wyhamować.

– No i coście zrobili? – krzyknęła Miranda. – Zanim z powrotem wleziecie na górę, minie cały dzień. Zjeżdżam sama. – Rzuciła się na sanki i na śledzia ruszyła zawadiacko w dół.

– Uważaj! – ostrzegł ją Dafydd, patrząc z przerażeniem, jak jego córka mija go w szaleńczym tempie. Taka szybkość grozi złamaniem nogi albo skręceniem karku. Tymczasem Mark zniemacka skoczył mu na plecy. W zwarciu obaj potoczyli się w miękkim śniegu, który wciskał się im za kołnierz – i w rękawy. Miranda, stojąc u podnóża góry, zaśmiewała się do rozpuku.

– Na tym koniec – zakomenderował Dafydd. – Uspokójcie się. Wasza matka dostanie napadu szału, kiedy się o tym dowie.

– Nie jej pieprzony interes – stwierdził Mark. – A zresztą, czy myślisz, że ją to obchodzi?

– Oczywiście.

– Jesteś trochę naiwny, co? – odparł Mark, spoglądając na niego z politowaniem. – Jak na dorosłego faceta.

Szczeniak ma trochę racji – pomyślał Dafydd, strzepując śnieg z włosów i z powrotem nakładając czapkę.

– Obejdzie ją, i to jeszcze jak, gdy przywiozę was do domu karetką, z połamanymi kośćmi i odmrożeniami.

Obaj spojrzeli na Mirandę, która nagle padła na śnieg. Mark podbiegł do niej, brodząc w miękkim puchu. Usiłował ją podnieść. Ponieważ ważyła z dziesięć kilo więcej od niego, akcja okazała się trudna do zrealizowania. Zawisła bezwładnie na rękach brata, wydając z siebie przeciągły jęk. Dafydd, patrząc na bliźnięta, uświadomił sobie, jak bardzo różnią się w rozwoju psychicznym. Na ogół bywa tak, że to siostra jest dojrzała od brata, ale tu było na odwrót. Mark zachowywał się jak kłótny staruszek, był ponury i zamknięty w sobie, podczas gdy Miranda w jednej chwili potrafiła się przeistoczyć w małą dziewczynkę.

Tak właśnie stało się i teraz. Reagowała histerycznie zarówno w trakcie

napadów niepohamowanego śmiechu, jak i udawanego cierpienia. Zachowywała się jak dwuletnie dziecko. Leżąc w śniegu, może się zaziębić, ale Dafyddowi zabrakło energii do interwencji. Na chwilę przysiadł na zboczu. W czasie długiej nocy nie zdrzemnął się nawet na godzinę, wierząc się i zastanawiając bez końca nad swoim odkryciem. Pomysł, że Śpiący Niedźwiedź mógł zapłodnić tę uroczą młodą kobietę, wydał mu się absurdalny. I choć w duchu beształ się za swoje uprzedzenia, nie mógł sobie wyobrazić tych dwojga w miłosnym uścisku. Niedźwiedź mógłby być jej dziadkiem, a nawet pradziadkiem. Jasne, dziewczyna mogła mieć innego faceta, choć sama mu wyznała, że od długiego czasu z nikim nie była. Czy grzeszył naiwnością, wierząc jej? Niby z jakiego powodu młoda kobieta nie miałyby prawa do kochanków? Pozostawała jeszcze jedna możliwość, od której Dafyddowi aż kręciło się w głowie: że to on jest ojcem tego chłopca. O, Boże, czy rzeczywiście istniała taka szansa? Daty ją potwierdzały.

Jak wiele razy w ciągu minionych lat, wszystkie ukryte w pamięci szczegóły kochania się z Uyarasuq wróciły doń z całą mocą. Ona powiedziała mu wtedy, że jest „bezpiecznie” w sensie jej cyklu menstruacyjnego. Dafydd dobrze jednak wiedział, że nie jest to niezawodna metoda, więc użył kondomu. Dokładnie pamiętał jej stłumiony śmiech i jego zakłopotanie w trakcie nieestetycznej czynności, jaką jest wciąganie gumki na sztywnego penisa. Jednakże kondomy też zawodzą – pękają, rozdzierają się. Nieczęsto, ale się zdarza. Zwłaszcza gdy są przeterminowane... a na dodatek jej ciasna pochwa, jego znacznych rozmiarów męskość... ona ściągnęła mu gumkę po ciemku...

Dafydd spuścił głowę, chowając twarz w zagięciu łokcia. Usiłował zapanować nad rosnącym zdenerwowaniem. Nie chciał myśleć o tym wszystkim teraz, w obecności dzieci. Uniósł wzrok, żeby popatrzeć, jak rzucają w siebie śnieżkami. Miranda krzyczała i śmiała się w głos, Mark w milczeniu koncentrował się na celności rzutu.

Dlaczego mu o tym nie powiedziała? I dlaczego nie wyjawiał mu tego Śpiący Niedźwiedź? Może próbował. Należy jak najszybciej skontaktować się z Josephem i wypytać go o ten list, który Niedźwiedź kazał mu napisać. Może właśnie to chciał w nim przekazać. Był jednak zbyt wiekowy i za bardzo schorowany, a na dodatek niepiśmienny. Joseph nie zwracał uwagi na prośby dziadka, więc stary zapisał część oszczędności tamtemu chłopcu. Albo dlatego, że czuł się odpowiedzialny za to, co się stało, albo z tego



powodu, że łączyła go silna więź z tamtymi ludźmi. A może po prostu nie lubił własnego wnuka. O, Boże, dokąd go to doprowadzi? Musi dowiedzieć się prawdy. Nie ma innego wyjścia. Poczul na ramieniu czyjąś dłoń.

– Co tak tu siedzisz? – Miranda przyglądała mu się bacznie. – Wiesz, czasami jesteś nudny. Nie, tylko żartowałam, żeby cię rozchmurzyć. Nie wzięłeś tego serio, co? – Bezlitośnie rozmasowała mu policzki sztywnymi od lodu rękawiczkami, a on chwycił ją w talii i próbował strzepnąć śnieg z kołnierza jej kombinezону.

– Taaaaato! – krzyknęła. Nigdy nie przepuściła okazji, żeby zwracać się do niego tato. Chyba bardzo jej zależało, by mieć ojca, chociaż Dafydd nie do końca wierzył, że kocha akurat jego. Jasne, zostaną przyjaciółmi, a mała już zdążyła dostrzec, że Dafydd jest odpowiedzialny, spolegliwy, hojny. Pewnie kiedyś obdarzy go uczuciem, jakby był jej prawdziwym ojcem, za którym tak tęskniła. Na szczęście ma łatwość dostosowania się do różnych sytuacji i jest zupełnie normalna, mimo takiej matki. Mark zamyka się w sobie i praktycznie nie można do niego dotrzeć. Jak oboje zareagowaliby na wieść, że przypuszczalnie mają brata?...

– O, Chryste! – jęknął Dafydd głośno.

– Chryste... co? – Miranda usiłowała się wyswobodzić z jego uścisku.

– Spóźnimy się...

– Spóźnimy się z czym? Głupi jesteś, nawet nie masz ze sobą zegarka.

– Do kogo mówisz „głupi”? – Dafydd wrzucił jej garść śniegu za kołnierz i krzyknął do Marka, żeby się pospieszył.

Ruszyli biegiem pod górę, żeby się rozgrzać i szybciej znaleźć w pozeraczu benzyny, wielkim buicku, który Martha wypożyczyła mu „z ogromną zniżką”. We trójkę odjechali do pensjonatu Tillie.

Tillie nie wpadła w osłupienie, kiedy jej wyznał, że Mark i Miranda są jego dziećmi. Miała swoje źródła, choć Dafydd nigdy nie wykrył, kto jest jej informatorem i kim jest z zawodu. W każdym razie wiedziała o tym od paru tygodni, jeszcze zanim przedstawił jej bliźnięta.

– Nie jesteś pierwszy, który dał się otumanić tej kobiecie – odparła pouczającym tonem. – Ktoś powinien był cię ostrzec, żebyś miał się przed nią na baczności. – Pokiwała głową, bez wątpienia czyniąc aluzję do sensownych środków zapobiegawczych, ale w jej oczach błysnęła iskierka nadziei. – A zatem zostajesz, tak?

Chociaż Dafyddowi w głębi duszy było wstyd, że tak wykorzystuje swoją gospodynię, ona sama z rozkoszą wcieliła się w rolę zastępczej matki. Ponieważ nie miała własnych dzieci, z upodobaniem przygotowywała posiłki dla Dafydd'a i bliźniaków i często dołączała do nich przy stole w pokoju śniadaniowym. Miranda natychmiast zapałała do niej sympatią i uwielbiała kręcić się w kuchni, pomagając przy pieczeniu ciast i bułeczek, czyli w zajęciach, którymi jej matka nigdy się nie zhańbiła. Salonik Tillie z wielkim ekranem telewizyjnym też pozostawał do użytku dla całej trójki. Nawet Mark chyba miał słabość do tej miłej kobiety. Niekiedy starał się ją rozśmieszyć zabawnymi uwagami na temat doli człowieczej, wygłaszającymi ze śmiertelną powagą.

Dafydd zastanawiał się nad różnymi sposobami zadośćuczynienia Tillie za jej serce. Jedno jednak wykluczył – pójście z nią do łóżka lub składanie obietnic, których i tak nie mógłby dotrzymać.

– Dafydd, sprawiasz wrażenie wykończonego – zauważyła Tillie z przejęciem, gdy siadł obok niej na kanapie, gapiąc się bezmyślnie na jakiś show, który dzieci uwielbiały oglądać. – Podam ci gin z tonikiem.

– Tillie, jesteś aniołem. Poproszę o dużą szklankę. I absolutnie dopisz to do mojego rachunku. Zanotuj... butelka ginu, dużymi literami.

Tillie roześmiała się, rozbawiona tą uwagą.

– Tak z tobą źle, co?

Miranda zrobiła nadętą minę.

– Jeśli się zamierzasz upić, to wychodzę – ostrzegła go. – Nie znoszę pijaków.

Mark, nie odrywając wzroku od ekranu, zakomunikował monotonnym głosem:

– Twój ukochany tatuś, gdy się wstawi, jest równie koszmarny, jak inni w takim stanie.

– Skąd o tym wiesz? – zaperzyła się Tillie. – Twój ojciec nie bywa pijany.

– Teraz widzicie go zaprawionego – odparł Dafydd apatycznym tonem. – I wtedy jestem takim samym nicponiem jak cała reszta.

Pół godziny później zerwał się z drzemki. Zegar w saloniku Tillie wskazywał czwartą trzydzieści po południu.

– Dzieciaki, zbierajcie się – krzyknął, przypominając sobie, że od siedemnastej musi dyżurować przy telefonie na wypadek wezwania ze

szpitala. – Szybko, szybko, muszę odprowadzić was do domu.

– Nie, zawieź nas – zapiszczała Miranda. – Nogi mnie bolą od tego wspinania się pod górę. I do tego ciągle pada śnieg.

– Jesteś nieprzygotowana do wysiłku fizycznego – wyśmiał ją Dafydd, nagle zmęczony obecnością dzieci, znużony koniecznością paplania i zachowywania się zgodnie z normami towarzyskimi, podczas gdy myślami był zupełnie gdzie indziej. – Nie będziemy brać tego ogromnego samochodu po to, żeby przejechać czterysta metrów do waszego domu. Bądź realistką!

– Tillie opatulila je, troszcząc się o dzieci jak kwoka o pisklęta. Ruszyli do domu Sheili. Zapadł już zmrok, ale lampy uliczne rzucały żółty blask na świeży śnieg, co nadawało miastu radosny, niemal odświętny wygląd. Dwa nowiutkie pługi śnieżne z silnymi reflektorami powoli sunęły w obu kierunkach główną ulicą, a ich gigantyczne ostrza kroili zamarznięte zwały jak masło, zostawiając za sobą zgrabne wzgórki pośrodku jezdni.

Dom Sheili był pogrążony w ciemnościach. Mark wymacał w kieszeni klucz i otworzył drzwi wejściowe. We troje weszli do środka.

– Czy będzie w porządku, jak zostanieiecie sami? – spytał Dafydd.

Mark zrobił minę, która miała zapewne wyrazić: „A gdzie twoim zdaniem byliśmy przez ostatnie pięć tysięcy lat?”.

– A więc do zobaczenia. – Dafydd nachylił się, żeby pocałować Mirandę w zimny policzek, ale dziewczynka umknęła, zatrzasnąwszy przed nim drzwi. Stał przez chwilę na progu, patrząc, jak w oknach zapalają się światła. Bliźnięta ledwie ukończyły trzynasty rok życia, ale często zachowywały się tak, jakby były starsze o dziesięć lat. Miały sporą praktykę w zajmowaniu się sobą. Dafydd musiał przyznać w duchu, że dobrze się złożyło, iż tak późno pojawił się w ich życiu. Oszczędziło mu to wielu lat bezustannych trosk i rozmyślań, co się z nimi dzieje, zwłaszcza żyjąc w oddaleniu tysięcy kilometrów i nie wiedząc, co począć na wieść, że własna matka źle je traktuje.

Skręcił w stronę centrum i trzymając ręce w kieszeniach kurtki puchowej, bezmyślnie kopał zwały śniegu na chodniku. Tillie będzie na niego czekała, nie może jej zlekceważyć i zamknąć się w swoim pokoju, a w każdym razie nie po tym miłym popołudniu spędzonym w jej saloniku. To nie było rozsądne z jego strony. Powinien wynająć sobie dom. Jakies miejsce, w którym dzieciaki mogłyby do woli brykać, a on, w zaciszu gabinetu, zapewniłby sobie wymarzony spokój. Ale jak długo miałyby to

trwać i czym się skończyć? Jego ostatnia rozmowa telefoniczna z władczym szefem w Cardiff nie była zbyt przyjemna.

„Woodruff, co się dzieje? Czy nie zamierza pan do nas wrócić? Pana zastępca szuka stałej posady. To dobry fachowiec, trzeba panu wiedzieć. Nie mielibyśmy nic naprzeciw zaproponowaniu mu etatu”.

Czy za tymi słowami kryła się zachęta do złożenia rezygnacji, czy też Dafydd ogarnęła już paranoja? „Z powodów osobistych muszę tu zostać jeszcze przez kilka tygodni. Dlatego bardzo proszę o przedłużenie mego bezpłatnego urlopu. Ma to związek z odkryciem, że jestem ojcem dzieci, o których istnieniu nie miałem pojęcia”.

„Dzieci? Na miłość boską, Woodruff. Od razu trzeba było tak powiedzieć. Proszę posłuchać, cenimy pana wysoko, ale nie może pan tkwić tam w nieskończoność. Daje pan zły przykład innym kolegom”.

Dafydd roześmiał się do siebie, skręciwszy na rogu ulicy. Na pryzmie śniegu wdepnął w psie gówno. Gdyby ten facet w Cardiff wiedział, o jaką liczbę dzieci może tu chodzić.

Machinalnie przystanął przy hotelu Northern Holiday. Krępy mężczyzna z furią rozbijał lód na chodniku i zgarniał go szuflą, żeby bogata klientela nie poślizgnęła się przy wejściu do holu. Dafydd skinął mu głową i wszedł do środka.

W głębi ducha ciągle rozmyślał o Ianie. Nie rozmawiał z nim od trzech dni i zaczął się już poważnie martwić. Przy eleganckiej recepcji stały kabiny telefoniczne. Dafydd zamknął się w jednej z nich, wyłożonej drewnem tekowym. Z kieszeni wyjął pióro, skrawek papieru i swoją kartę kredytową, po czym zaczął wykręcać znany na pamięć numer Iana. W trakcie telefonowania spojrzawszy nieprzytomnym wzrokiem na przybory do pisania, zastanawiając się, po co je sobie przygotował. Nogi się pod nim ugięły. Nacisnął palcem widelki, rozłączając się. Nagle uświadomił sobie, co tu robi, dlaczego się tu znalazł. Owszem, niepokoił się o Iana, ale nie był to zasadniczy powód, dla którego wszedł do kabiny.

Dopiero po trzech połączeniach zdobył potrzebny mu numer i zapisał go na kartce. Wpatrując się weń, przypomniał sobie, że ten sam numer już sobie zakonotował podczas przeglądania danych pacjentów w komputerze.

Drżącymi palcami powoli wybierał poszczególne cyfry. W ustach mu zaschło. W słuchawce rozległy się dwa dzwonki.

– Halo, tu Charlie – odezwał się chłopiec, najwyraźniej przechodzący

mutację.

– Cześć, Charlie. Nazywam się Dafydd Woodruff. Czy zastałem twoją mamę?

– Jasna sprawa... mamó! – Jego głos zdawał się bardzo odległy i zachrypnięty. – Jakiś David Walruss do ciebie.

– Halo? – Jej słodki głos, uroczy akcent. Jak dobrze go pamiętał.

– Uyarasuq, to ja, Dafydd... Dafydd z dawnych czasów. Sprzed czterech lat.

– Dafydd. – Ledwie ją słyszał, bo wymówiła jego imię z taką miękkością. Po dłuższej pauzie zapytała: – Gdzie jesteś? Skąd dzwonisz?

– Jestem w Moose Creek. Pragnę się z tobą spotkać. Wkrótce. Chciałbym przyjechać, zobaczyć się z tobą. Musimy porozmawiać. – Mówił bardzo szybko, brakło mu tchu. Usiłował powstrzymać potok wymowy, najpierw dowiedzieć się, jak się miewa, być uprzejmy i opanowany.

– To... ja... w jakim celu tam jesteś?

– Posłuchaj, Uyarasuq. Przepraszam, że zapytam wprost. Może strzelam kulą w płot, ale muszę się dowiedzieć. Twój syn, Charlie, nie jest moim dzieckiem, prawda? Proszę, powiedz mi prawdę.

Milczała, a on zganił się w myślach za kompletny brak taktu. Nie zamierzał zachowywać się tak niezręcznie, ale zupełnie stracił panowanie nad sobą i już nie warto było udawać, że jest inaczej. Ponownie uderzył w błagalny ton:

– Uyarasuq, proszę, odpowiedz.

– Tak, Dafydd... Charlie... jest twoim synem.

– O, Chryste, kobieto. – Dafydd poczuł gwałtowne pieczenie w karku, ciało miał złane lepkiem potem. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Uważałam, że nie należy zwać tego na ciebie. Może sobie nie przypominasz, ale starałam się zabezpieczyć przed takim skutkiem.

– Jasne, że pamiętam. – Wszelkimi siłami próbował opanować zdenerwowanie. – Zrobiłem to z myślą o tobie, jak i o mnie.

– No cóż, myślę, że powinnam cię przeprosić – odparła chłodnym głosem. – Ale mimo zabezpieczenia z twojej strony zaszłam w ciążę. I nie żałuję tego. Charlie to najlepsze, co mogło mi się przytrafić.

– Proszę... poczekaj. – Co chciał powiedzieć? W takiej sytuacji zabrakło mu słów. Przeraziło go, że Uyarasuq odłoży słuchawkę, zanim zdoła wykrztusić z siebie wyrazy troski, autentycznego zainteresowania losem

swego syna. Jakże odmiennie zareagował na tę wieść w porównaniu z wiadomością o dzieciach Sheili. Syn, którego spłodził, był owocem uczucia najbardziej zbliżonego do miłości.

– Słuchaj, teraz to wszystko nie ma znaczenia. Dowiedziałem się, że Charlie miał okropny... wypadek kilka miesięcy temu. I że stracił kończynę. Chciałbym...

– W jaki sposób to odkryłeś? – zapytała ostrym tonem.

– W szpitalu. – Dafydd przestąpił z nogi na nogę. Kolana odmawiały mu posłuszeństwa. W kabinie brakowało powietrza, wskutek panującej duchoty był bliski omdlenia. Bez względu na to, jak bardzo pragnął ciągnąć tę rozmowę, zadawać kolejne pytania, zdawał sobie sprawę, że musi ją – skończyć, bo inaczej straci przytomność. – Ktoś ze szpitala wspomniał mi o Charliem. Jak go przywieziono samolotem do Moose Creek, jaki był dzielny...

– Och, tak, ta pielęgniarka. Hailey. – Uyarasuq wymówiła to nazwisko dobitnie, powoli. – Zamilkła na moment. – Chcę, żebyś wiedział, że prócz mego ojca i Śpiącego Niedźwiedzia była ona jedyną osobą, której wyznałam, kto jest ojcem Charliego. Czułam się z tego powodu niezręcznie, bo przecież pamiętałam, że pracowałeś kiedyś w Moose Creek, ale ona twierdziła, że sobie ciebie nie przypomina. Wygląda na to, że jednak cię o tym poinformowała. A nie powinna. Prosiłam, żeby zachowała ten fakt w tajemnicy.

– Nie, to nie od niej się dowiedziałem – odparł Dafydd, zupełnie zbity z tropu tą wiadomością. – Usłyszałem o Charliem przypadkiem, w związku z jego traumą i strasznymi ranami. Ludzie w szpitalu ciągle go wspominają, przecież to się wydarzyło zaledwie kilka miesięcy temu. Nadal serdecznie się o nim wyrażają. Zainteresowało mnie, gdy usłyszałem, że pochodzi z Black River. Zajrzałem więc do danych pacjentów i w ten sposób odkryłem, że to twój syn. Kiedy sprawdziłem jego datę urodzenia, uzmysłowiłem sobie, że... mimo zabezpieczeń mógł być również moim dzieckiem. Nie przeczę, że to dla mnie szok...

Uyarasuq milczała, więc Dafydd postanowił dać jej trochę czasu do namysłu.

– A więc... to nie z powodu Charliego przyjechałeś do Kanady? Byłeś już tu, kiedy to wykryłeś? – Zrozumiałe, że była tym wszystkim zaskoczona.

– Nie. Tak. Słuchaj, to inna sprawa. Teraz zależy mi wyłącznie na tym,

żeby jak najszybciej zobaczyć się z tobą i z Charliem. Jak on sobie radzi? Jak przebiega jego rekonwalescencja?

– Całkiem dobrze. Właśnie wróciliśmy z wizyty u specjalisty w Toronto, gdzie założono mu najnowocześniejszą protezę. To jest prawdziwy gadżet, a on uwielbia cuda – techniki. Z tą nową nogą od razu się oswoił. – Zaśmiała się dźwięcznym, charakterystycznym głosem, a Dafydd jej zawtórował. Dzięki Bogu, że potrafi się śmiać po tym wszystkim, co przeszła.

– Jeśli się zgodzisz, natychmiast zarezerwuję bilet albo nawet wynajmę samolot, jak będzie trzeba... – Zamilkł, przerażony swoją śmiałością. – Ach... czy masz kogoś? Czy ktoś byłby niezadowolony z mego przyjazdu?

– Nie, nie masz powodu do obaw. – Wyczuł w jej głosie rozbawienie. – Był ktoś, przez jakiś czas, ale nie mógł sobie poradzić psychicznie z wypadkiem Charliego, tym, że byłam stale zajęta opieką nad synem...

– Przykro mi.

– Mnie nie.

– Zadzwoń, gdy tylko ustalę, kiedy będę mógł przylecieć.

– Jest taki samolot... z pocztą, przybywa do nas raz w tygodniu...

–

## Rozdział 20

*Moose Creek, rok 2006*

Dafydd odwiesił słuchawkę. Ręka ciągle mu drżała. Prawda o Charliem ścięła go z nóg. Syn. Nie, drugi syn. Objął dłońmi głowę i zacisnął powieki. Wziął głęboki wdech. Nie mógł otworzyć składających się w harmonijkę drzwi kabiny. Szamotał się z nimi, aż ogarnęła go panika, nie tyle z powodu klaustrofobii, ile wskutek wewnętrznego lęku – czegoś, co od dawna w nim narastało i groziło wybuchem. Wszystko stało się pokręcone, groteskowe, obłąkane. Przestał szarpać się z drzwiami i przez niewielkie okienko zerknął na ogromny zyrandol wiszący w holu. Bijące odeń światło wręcz go poraziło. Wpatrywał się w dziesiątki żarówek, gorączkowo myśląc. Oddech stopniowo się uspokajał... trzeba zastopować. Przyszło mu coś do głowy, ale nie mógł tego nazwać, bo wymykało się, jak słowo, które ma się na końcu języka. Coś drażyło jego podświadomość, migotało mu przed oczami. Gdyby tylko potrafił to dokładnie ujrzeć...

Sheila. Ona wiedziała. Co to oznacza? Była jedyną osobą, która... Czy to możliwe? Och, nie. Niemożliwe? Oddychając głęboko, doznał nagle olśnienia. Gdy wszystkie elementy tej szalonej układanki znalazły się na swoich miejscach, wreszcie pojął. Aż zatoczył się z wrażenia, czepiając się drewnianej ścianki.

Zostało mu jeszcze trochę czasu, może oddychać w kabinie resztkami powietrza. Nie udusi się tu. Macał się po kieszeniach w poszukiwaniu portfela, wreszcie wyciągnął zeń kartę kredytową, wsunął ją do szczeliny w automacie telefonicznym, ponownie rozprostował skrawek papieru. Krople potu spływały mu wprost do lewego oka. Przeklinając, wykręcał numer.

– To Ashoona.

– Uyarasuq, przepraszam, to znowu ja. Muszę cię zapytać o jeszcze jedną sprawę. Wiem, że zabrmi to dziwacznie, niemniej mi odpowiedz. Czy po przewiezieniu do szpitala Sheila Hailey pobrała próbki krwi od Charliego?

– Brano mu krew wielokrotnie – odparła Uyarasuq po chwili milczenia.

– Charlie wymagał transfuzji i...



– Jasne. Ponownie przepraszam, ale muszę ustalić jedno: czy Sheila Hailey osobiście wzięła krew od Charliego? I czy pobierała krew tobie?

– Och, tak. Kiedy tam dotarliśmy, praktycznie zajęła się wszystkim. Była niewiarygodnie szybka i fachowa. Byłam jej wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobiła. W istocie sprawiała wrażenie osoby dużo lepiej panującej nad sytuacją niż lekarz dyżurny. Dlaczego mnie o to wypytujesz?

– Posłuchaj. Wiem, że możesz mnie wziąć za jakiegoś porąbanego maniaka, ale twoja odpowiedź wyjaśniła mi coś bardzo istotnego. Nie ma to nic wspólnego z tobą czy z Charliem. Wszystko wytłumaczę, kiedy się zobaczymy.

– Dobrze, Dafydd.

– Przyjeżdżam wkrótce, trzymaj się.

Odwiesił słuchawkę i wtedy kolana już na dobre odmówiły mu posłuszeństwa. Po co stać, kiedy można usiąść? Oparłszy się plecami o ścianę, powoli zsunął się na podłogę, wdzięczny losowi za moment prywatności w kabinie. Poczul się w niej bezpieczny jak w łonie matki. Konsekwencje tego wszystkiego, o czym właśnie się dowiedział, były niemal nie do zniesienia.

Ktoś zastukał do drzwi, w okienku ukazała się kobieca twarz z zaniepokojoną miną, jej oczy zerknęły w dół. Drzwiczki zatrzęsły się, ale nie ustąpiły, zablokowane nogami siedzącego na podłodze Dafydd.

– Proszę pana! – krzyknęła kobieta. Dafydd rozpoznał w niej nieprzystępną recepcjonistkę z karminową szminką na ustach i upiętą do góry fryzurą. – Czy... nic panu nie jest? Mam zawołać lekarza?

– To ja jestem lekarzem – odrzyknął Dafydd, machając do niej ręką. – I pomyśleć, że na dodatek dyżurującym przy telefonie.

Pokrzepiwszy się szklanką wody, zażenowany nieprzejednaną postawą recepcjonistki, szybko zawrócił do kabiny.

– Proszę pana, niech pan tym razem nie zamyka drzwi – upomniała go surowym głosem, mierząc baczny wzrokiem znad okularów.

Dafydd połączył się ze szpitalem i poprosił do telefonu Janie.

– Słuchaj, nie zadawaj żadnych pytań – zapowiedział jej z góry. – W razie wezwania nie mogę przyjść na nocny dyżur. Nie zrobiłbym tego, gdybym nie musiał, czy mogłabyś więc zadzwonić do Hogga, Lezzarda lub innego z lekarzy? Ktoś musi mnie zastąpić.

– Dobrze... – odpowiedziała. Była rozsądną kobietą i zdawała sobie sprawę, że w takich razach nie należy się zbytnio dopytywać. – Nie przejmuj się. I tak jest tu doktor Atilan. Poproszę ją w twoim imieniu o zastępstwo.

Następnie Dafydd wykręcił numer Iana. Czekał na połączenie, wziął kilka głębokich wdechów, żeby rozmawiać swobodnie, po przyjacielsku.

– Brannagan.

– To ja, Dafydd.

– Co tam u ciebie?

– Świetnie. A u ciebie?

– W porządku.

– Co nowego?

– Niewiele.

– Karmisz swojego psa? Ian zamilkł na chwilę.

– Taa.

– Może skoczyłbyś do miasta? Jestem w hotelu Northern, w barze. Dołącz do mnie. Cicho tu i przyjemnie. Moglibyśmy się napić... coli lub czegoś innego.

Ian wybuchł głośnym śmiechem, jak niegdyś.

– A, co do cholery. Czemu nie? Jestem tu jak w grobie, odkąd do mnie nie zagładasz. Zaraz tam będę.

Pół godziny później pojawił się w barze. Chyba przed wyjściem z domu trochę się ogarnął. Miał na sobie obcisłe džinsy z czarnej skóry i pas ze srebrną klamrą, jak przed laty. Założył czystą koszulę, przyczesał włosy, które zwisały mu już do połowy pleców. Dafydd ujrzał przed sobą mężczyznę, jakiego zapamiętał dawno temu. Ian, stojąc w progu w przyćmionym świetle baru, nadal wyglądał na swój sposób atrakcyjnie: chudy jak nastolatek, z hardą miną, która dodawała uroku jego zniszczonej twarzy. Trzy kobiety przy sąsiednim stoliku trąciły się łokciami i posłały sobie znaczące spojrzenia.

Z bliska widać było na nim straszliwe ślady postępującej choroby: zapadnięte oczy, żółkła i pomarszczona cera, skutek rozwalonej wątroby. Z ust zwisał mu nieodłączny papieros. Zaciągał się nim bez używania rąk. Z pewnością nie był w dobrej formie. Natychmiast dał znać, że chce piwo, a kiedy mu je przyniesiono, zażądał także podwójnego jacka danielsa. Dafydd odstawił szklankę z colą i poprosił o to samo. Ta rozmowa wymagała czegoś mocniejszego.

W barze było ciemno i dość pusto, a Ian sprawiał wrażenie zrelaksowanego, niemal szczęśliwego człowieka. Usiedli naprzeciwko siebie na kanapkach krytych czerwonym pluszem i wdali się we wspomnienia o dawnych czasach. Dafydd starał się wszelkimi siłami nie myśleć zbyt wiele, cierpliwie czekać na odpowiedni moment. Stopniowo obaj coraz bardziej upajali się fałszywym przeświadczeniem, że są parą starych przyjaciół, która przyszła się upić. Jednakże gdy Ian zarżał swoim donośnym, szalonym śmiechem, Dafydd aż ścisnęło w gardle. Zawtórował mu równie głośno, żeby nie zdradzić się z przejmującym go smutkiem.

– Ian, chcę cię o coś zapytać – wtrącił w przerwie między pogawędkami o przeszłości. – Chodzi mi to po głowie i nie może przestać. Właśnie odkryłem, że kobieta... z którą się kiedyś przespałem, tam, w Black River, ma syna.

Ian nagle otrzeźwiał i wlepił w niego oczy.

– Ten dzieciak – ciągnął Dafydd – został strasznie poszarpany przez białego niedźwiedzia i przetransportowano go do tutejszego szpitala. – Pstryknął palcami, żeby wywołać jakąś reakcję u Iana, siedzącego ze zmartwiałą twarzą. – Halo... jesteś tam? Brannagan, kojarzysz? Sądziłem, że będziesz zachwycony... moim osiągnięciem. Wyobrażasz sobie, z tego wynika, że musiałem wylądować z kimś w łóżku. Nie licząc, rzecz jasna, mojej drogiej żony, czy raczej eksżony, która z pewnością mnie opuści, kiedy się dowie, że ilekroć znajdę się w pobliżu jakiejś kobiety, od razu ją zapylam.

Ian wcale się nie roześmiał.

– Czego chciałbyś się dowiedzieć?

– Co chciałbym wiedzieć o tym chłopcu? Przywieziono go tutaj pod koniec marca tego roku. Widziałeś go? Musiałeś o nim słyszeć.

– Tak, dobrze go sobie przypominam.

– No to gadaj... – Pijackim śmiechem Dafydd starał się – zamaskować absolutną trzeźwość umysłu. Dla zachęty trącił Iana łokciem. – Gadaj. Opowiedz wszystko, co o nim wiesz.

Ian zwiesił głowę, unikając przenikliwego wzroku przyjaciela, a w jego oczach zgasły iskierki rozbawienia.

– Wiedziałem, że w końcu będę musiał ci coś wyznać, ale liczyłem w duchu, że nastąpi to później niż prędej.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – nie ustępował Dafydd.

– To, co powiem, nie przypadnie ci do gustu. – Zamilkł i odłożył papierosa. – Owszem, ten chłopiec jest twoim synem. Jak myślisz, skąd Sheila wzięła krew na test DNA?

Dafydd chwycił go mocno za ramię.

– A więc wiedziałeś o tym?

Ian spojrział mu w oczy bez słowa. Po chwili wykrztusił:

– W jaki sposób do tego doszedłeś?

– Nieważne – warknął Dafydd. – Chcę ustalić, jaki był w tym twój udział. Naprawdę liczyłem, że nie maczałeś palców w tej aferze.

– Nie brałem w niej udziału. – Ian jeszcze niżej pochylił głowę i utkwiał wzrok w podłodze. – W każdym razie nie od początku.

– Jak Sheila tego dokonała? – Dafydd znowu złapał Iana za ramię i potrząsnął nim z całej siły. – Mów, do cholery!

– Och, Dafydd, daj spokój. To dziecinnie proste. Była pielęgniarką w czasie nagłego wypadku, po prostu pobrała krew od dzieciaka i jego matki. Nic w tym nadzwyczajnego... Przecież w takich razach zawsze to robimy, prawda? Ale nie cała krew trafiła do laboratorium. Gdzieś po drodze Sheili zaświtał w głowie ten niebywały pomysł, więc odlała trochę ich krwi i zabrała w probówkach do domu, a tam włożyła do lodówki... czy zamrażalnika, już nie pamiętam gdzie.

– Ale dlaczego to zrobiła? – Dafydd kręcił głową w osłupieniu. – Przecież nie mogła wiedzieć, że ten chłopiec jest moim synem.

– Z miejsca to wyniuchała. W ciągu zaledwie kilku minut od ich przybycia do szpitala. Zapytała matkę o najbliższego krewnego, ta odparła, że nie ma rodziny. Wobec tego Sheila, zgodnie z procedurą, zażądała, by kobieta podała jej dane ojca dziecka... a wiesz, jaka potrafi być namolna. Matka była w strasznym stanie i się wygadała. Dlaczego zresztą nie miałyby tego powiedzieć? Lękała się, że jej syn umrze, nic więcej jej nie obchodziło.

– A więc Sheila wykryła, że jestem ojcem tego chłopca. – Dafydd niemal przytknął twarz do twarzy Iana, cedząc słowa lodowatym tonem, na granicy wybuchu wściekłości. – I postanowiła ukraść krew mego syna oraz krew jego matki, żeby dać ją do badania DNA jako próbkę Marka... i swoją.

– Tak.

– Ale po jaką cholere? Dlaczego postanowiła załatwić właśnie mnie, mieszkającego tysiące kilometrów stąd?

– Ponieważ nadarzyła się jej taka okazja. Chciała się z tobą policzyć.

Miała do ciebie zadawnioną urazę. Chodziło jej o forszę. Nie wiem... ją o to zapytaj. Może chciała sprawdzić, czy uda się jej taki numer.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Ian zapalił papierosa i głęboko się nim zaciągnął. Ręce mu drżały, odsunął od siebie jacka danielsa.

– Sheila jest w tym niesamowita – orzekł niemal z podziwem w głosie. – Co by powiedzieć o tym przekręcie, trzeba przyznać, że był mistrzowski. Zawsze uważałem, że Sheila to wręcz podręcznikowy przypadek psychopatki, ale – o rany – jest w tym naprawdę dobra.

– Tak, jestem pełen podziwu – skwitował Dafydd z sarkazmem. – A więc od kiedy o tym wiedziałeś?

– Nie wtedy, kiedy podpisałem ten papierek, że osobiście pobrałem krew, ale dopiero później. Sheila wpadła we – wściekłość, kiedy tu przyjechałaś. Postanowiła kupić sobie moją współpracę. Wyjawiała mi, jak zamierza ostatecznie cię załatwić. Chciałem ci o tym powiedzieć, ale wówczas zorientowałem się, że zbliżyłeś się z bliźniakami... a ja z kolei lubiłem, jak do mnie wpadałeś. Ciągle to odkładałem. A Sheila tymczasem stale mi groziła. Znasz ją, byłem... z nią w zмовie... od lat. Chociaż nie z własnego wyboru.

– Pieprzysz! – wykrzyknął Dafydd. – Zawsze istnieje jakiś wybór. Jak mogłeś upaść tak nisko?

– No cóż, tak już jest. Nie napawa mnie to dumą.

– A co z Markiem i z Mirandą? – Dafydd poczuł, że na myśl o tym, co za chwilę usłyszy, w gardle rośnie mu gęź. – A więc te biedne dzieci nie są ze mną spokrewnione. Cała afera sprowadza się do tego faktu.

Ianowi bezwładnie opadła głowa. Dafydd znowu potrząsnął go za ramię.

– No tak, na to wygląda, nie?... przykro mi.

– O, Boże. – Dafydd starał się miarowo oddychać, żeby zapanować nad sprzecznymi emocjami. Zdążył się już przywiązać do tych dwojga nieszczęśnych dzieci. Niemal uwierzył, że jest ich ojcem.

– Ale, na miłość boską, czyje one są? Chyba nie twoje?

Ian uśmiechnął się blado.

– Nieee... wątpię. Nie kojarzysz? Ona już oskubała mnie z całej forsy. Nie byłaby moim dilerem, gdyby mogła zażądać ode mnie alimentów. To by nie miało sensu, prawda?

Dafydd nie miał ochoty przyznać mu racji, ale prócz furii, którą wzbudził w nim ten przekręt, poczuł również odrobinę ulgi. Jednakże jego

gniew był wielki, bo dotyczył nie jego samego, lecz Mirandy i Marka. Okrutny czyn, bezczelnie popełniony na dzieciach przez ich własną matkę w celu wyłudzenia pieniędzy. Albo próba odegrania się na nim za jakiś prawdziwy lub wykoncypowany postępek. Albo po prostu ordynarna gra, rezultat przebiegłości i sprytu. Trzasnął pięścią w stół, aż zadrżały szklanki.

Ludzie przy sąsiednich stolikach obrócili głowy, przyglądając mu się z życzliwym zainteresowaniem. Bar zappełnił się głośną i wesołą klientelą. Jego wybuch nie był tu czymś niecodziennym.

– Dlaczego jesteś taki zdziwiony? – spytał Ian, patrząc na Dafydd. – Przecież faktycznie nigdy się z nią nie pieprzyłeś, prawda?

Przez kilka sekund Dafydd był bliski wyrznięcia Iana pięścią w twarz. Nawet sobie wyobraził, jak miażdży mu chrząstkę nosową, a wybite zęby tamtego ranią mu do krwi skórę na knykciach.

– Ty skurwielu! – wycodził przez zaciśnięte szczęki, próbując mimo wszystko stłumić w sobie agresję. – Przez cały czas wiedziałeś, że nie mogłem zaprzeczyć wynikom testu DNA. Jak, do jasnej cholery, zatrzymałeś ten fakt dla siebie i dzień w dzień mogłeś patrzeć mi w oczy?

W barze wybuchł zgiełk. Niski, łysiejący mężczyzna w pogniecionym garniturze usiłował wszcząć bójkę z parą Indian. Goście poczęli stawiać to na jednego, to na drugiego z uczestników zajścia, zaśmiewając się do rozpuku. Gdy Dafydd i Ian utkwili wzrok w awanturnikach, ci od razu się uspokoili.

– Posłuchaj – odezwał się Ian już bardziej opanowanym tonem. – Przecież zdaję sobie sprawę, że to wszystko wyszłoby w końcu na jaw. Powiedziałbym ci o tym sam, uwierz mi. Nawet spisałem zeznanie i złożyłem pod nim swój podpis. Zostawiłem w chacie dwa listy, każdy z nich w trzech kopiach. Są w szafce przy moim łóżku. Trzymam je tam na wypadek... no wiesz.

– W razie jak któregoś dnia zapijesz się i zaćpasz na śmierć. Wówczas pośmiertnie oczyścisz sumienie, tak? – orzekł zimno Dafydd i spojrzał z irytacją w bok.

– Taa, coś w tym rodzaju. – Ian wstał. – Muszę już iść, bo za chwilę nie będę w stanie prowadzić. Wychodzę, Dafydd. Uwierz, bardzo mi przykro z tego powodu.

– Gdy Ian zmierzał do wyjścia, Dafydd nie uniósł głowy. Nie mógł na niego patrzeć. Pojawiła się kelnerka z kolejną porcją drinków, wziął od niej

tylko piwo. Siedział nad nim długo – godzinę, może dwie, kompletnie stracił poczucie czasu. Był jak sparaliżowany, więc jedynie wpatrywał się w zadymioną przestrzeń pod rustykalnym sklepieniem imitującym strop stodoły. Nie potrafił skupić się na niczym, jak gdyby ta bomba, która wybuchła, zniszczyła resztki jego rezerw emocjonalnych. Przed sobą miał całkowitą pustkę, a za sobą – same fałszy i oszustwa. Nie potrafił ani ruszyć do przodu, ani zawrócić. Utracił wszystko, co miał, wszystko zamieniło się w ruinę. Pomyślał o Isabel. Jeszcze kilka miesięcy temu uzyskana przed chwilą informacja znaczyłaby dla niego bardzo wiele. Mógłby powiedzieć żonie, że te zarzuty były nieprawdziwe. Że źle go oceniła. Że nie skłamał. Nie spłodził dzieci z tą przeklętą kobietą... Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Zwątpił, czy kiedykolwiek jej o tym powie. Pewnie i tak by mu nie uwierzyła, a zresztą jej opinia na jego temat przestała go interesować. Miał teraz inne zmartwienie: w jaki sposób powiedzieć o tym Markowi i Mirandzie... i jak bliźnięta zareagują na tę wieść.

I wtedy uzmysłowił sobie, że coś go poszturchuje, poczuł jakby silne drapanie w pierś. Próbował zlekceważyć to wrażenie, oddalić od siebie ponure myśli, ale to coś nie ustępowało. Rytmiczne drapanie, niczym nieustanny tykot zegara, stawało się coraz bardziej natrętne, głośniejsze. Przez chwilę sądził, że w ten sposób daje mu o sobie znać serce, ale zmierzwszy sobie puls, doszedł do wniosku, że nie ono jest tego przyczyną. Zamknął oczy, żeby skupić się na odgadnięciu przyczyn tego niepokojącego stanu. Natychmiast ujrzał liska, który przedzierał się w ciemnościach przez las. Jego łapki zapadały się w śniegu, ale on biegł i biegł, w sobie tylko wiadomym celu, dysząc z wysiłku... „Jeśli nauczysz się wewnętrznego spokoju, lisek przyjdzie do ciebie. Opowie ci o rzeczach, o których nie wie nikt inny”.

Dafydd wybałuszył oczy i rozejrzał się wokoło w oszołomieniu. W chwilę potem doznał olśnienia. Zerwał się raptownie, przewracając szklanki z drinkami na sąsiednich stolikach. Ludzie zaczęli za nim krzyżeć, a on biegł przed siebie, szukając po kieszeniach kluczyków. Dopiero gdy wypadł na skutą lodem ulicę, odzyskał świadomość.

Jechał tak szybko, jak szosa i samochód na to pozwalały. Pochylił się nad kierownicą, wpatrując w ciemność poza światłami reflektorów. Zupełnie nie czuł skutków wypitego alkoholu, lecz ze strachu bolał go brzuch. Chciał

się opróżnić i wyrzygać ostatnie piwo, wszystkie piwa, jakie wypił. Nie miał jednak ani chwili do stracenia. Wreszcie dotarł do dróżki prowadzącej do Iana, wpadł w boczny poślizg na lodzie i zarył maską w zaspie. Wyskoczył z samochodu, pobiegł w kierunku chaty. Dochodzące z daleka szczekanie Thorny – głośne i nieustępliwe, zupełnie inne od tego, do jakiego przywykł, napędziło mu jeszcze większego stracha. W chacie paliło się światło, a drzwi wejściowe były uchylone. Wślizgnął się do środka, drżąc na myśl, co tam zastanie. Kiedy upewnił się, że Iana nie ma w domu, wpadł do łazienki, pochylił się nad muszlą i długo wymiotował, jakby jego кишки chciały się pozbyć wszystkiego, co się w nich znalazło.

Thorn był strasznie podenerwowany. Dafydd usiłował go uspokoić, ale ponieważ pies nie reagował, postanowił nie marnować cennego czasu. Gorączkowo rozglądał się w poszukiwaniu latarki i wreszcie znalazł ją tam, gdzie Iana zawsze ją trzymał. Próbował zapanować nad sobą, bo panika w takich razach tylko szkodzi. Narzucił na siebie wszystkie ubrania, jakie znalazł, i z latarką w dłoni wyszedł na dwór. Thorn zaskomlał rozziewającym głosem, aż nagle zamilkł. Zerwał się z posłania i tak szybko pobiegł w głąb ciemnego lasu, że Dafydd z trudem za nim nadązał.

Po przebrnięciu jakichś pięćdziesięciu metrów krzyknął do Thorny, po czym zawrócił biegiem do chaty, żeby poszukać zapalek, gazet i drzazg na rozpałkę. W pośpiechu rozrzucał rzeczy, a gdy wreszcie zgromadził niezbędne przedmioty, wrzucił je do starego plecaka wiszącego na gwoździu przy drzwiach. Thorn już czekał, siedząc bez ruchu na śniegu. Pies i człowiek ruszyli ponownie do lasu. Nie widać było żadnych śladów, ale Dafydd polegał na węchu Thorny. Po chwili ujrzał wyraźne, świeże wyłobienia w puchu. A więc Iana wziął jego biegówki. Dopędzenie go było praktycznie niemożliwe. Dafydd nie miał pojęcia, ile czasu spędził w barze po odejściu Iana – dwie godziny, może więcej. Pod koronami drzew ciemność była intensywna, ale dzięki rozgwieżdżonemu niebu można było dojrzeć słabiutki odblask na polanach. Latarka ledwie świeciła. Chudy zad Thorny poruszał się z trudem kilka metrów przed nim. Z pewnością pies próbował towarzyszyć swemu panu, ale albo Iana nakazał mu, żeby wrócił do domu, albo stare psisko nie wytrzymało tempa.

Nagle przypomniał sobie tę połąć lasu sprzed wielu lat, gdy w upalny dzień którejs jesieni byli tu z Ianem. Thorn był wtedy podrośniętym szczeniakiem, rozrabiaką polującym na zające. Pchły na dzikim zwierzęciu,



niegdyś tak lojalne wobec gospodarza, który je karmił, porzuciły trupa i natychmiast obkoczyły żywy organizm. W świecie zwierząt nie istnieje lojalność względem zmarłych. Och, Boże... nie.

Ogarnął go lęk, poczuł okropne wyrzuty sumienia. Gdyby zwrócił uwagę na to, co przecież widział, co Ian mu wyznał, to byłby się domyślił, co tu się kroi. Teraz wszystko stało się jasne. W istocie wiedział o tym, ale nie chciał się do tego przyznać. Był zbyt pochłonięty swoimi pieprzonymi problemami. Żaden z nich nie był nawet w przybliżeniu tak straszny, jak udręka Iana. Żaden nie zagrażał jego życiu... Ian prosił go o trochę więcej czasu, stale o nieco więcej czasu, zanim nie dojdzie do ostateczności.

Thorn zwolnił, teraz już włókł się łapa za łapą. Dafydd minął go, nie oglądając się za siebie. W takiej chwili nie mógł jednocześnie troszczyć się o psa.

– Ian! – krzyknął co tchu w piersiach. Haust lodowatego powietrza podziałał wymiotnie. Wdech omal nie zamroził mu płuc. Nie warto krzyczeć. Najważniejsze, żeby nie przeoczyć śladów. Zaczął się obawiać o siebie. Nawet gdyby zdołał rozpałcić ognisko – a to mogło być nadzwyczaj trudne – musiał pamiętać o znalezieniu drogi powrotnej. Zatrzymał się na chwilę i zerknął za siebie. Zauważył swoje ślady na zmarzniętym śniegu. Jeśli Ian postanowił zjechać ze ścieżki, nie uda mu się go dogonić, mając na sobie tylko buty. Zaklął w duchu, że nie wziął rakiet śnieżnych, wiszących na ścianie w chacie. Histeria jest złym doradcą.

Był wdzięczny losowi, że szedł tą samą przecinką, po której biegł na nartach kilka tygodni przedtem. Kierując światło latarki w najciemniejsze miejsca pod drzewami, bacznie się rozglądał i rozważał w myślach, na jaki dystans Ian mógł się oddalić. Zauważył jakieś ślady na wyrębie. Grunt był tu nieco bardziej sfalowany. Minął granicę poręby, którą dobrze sobie przypominał – długą połąkę wyciętych drzew. Tuz za nią rozpoczynała się głusza, a w niej zasadzki, ciągnące się przez pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów. Rozmyślał, jak daleko Ian mógł się tam zapuścić. Jeśli nadal będzie go szukać, sam straci życie. Był bardzo grubo ubrany, jednak nie pomoże żadna ilość odzieży, gdy człowiek przystanie wyczerpany i zechce odpocząć albo się zdrzemnąć. To byłby długi sen. Już teraz wskutek dotkliwego mrozu kompletnie stracił czucie w rękach i stopach.

Z dala dobiegło go wycie wilków. Przyspieszył kroku, ale zaraz uświadomił sobie, że zmierza wprost w ich kierunku. Koszmarne sny stały

się faktem. Często go nawiedzały, zwłaszcza ostatnio. Noga uwięziona we wnykach, czerwona krew na białym śniegu... i wycie wilków. Albo przewidział dla siebie taki los, albo we śnie ujrzał swego syna... u progu śmierci, w szponach polarnego niedźwiedzia na dalekiej północy.

Zwolnił, zmęczenie nie pozwalało na dalszy wysiłek. Przyszło mu nagle do głowy, że bezsensownie podjął decyzję o samotnej akcji ratunkowej. Powinien był zaalarmować innych, zorganizować poszukiwania w grupie. Jednakże przy takim opóźnieniu Ian nie doczekałby pomocy żywy.

– Ian! – krzyknął z rozpaczą, natychmiast przykrywając usta rękawicą, żeby zmniejszyć ilość wdychanego powietrza. Wskutek wysiłku zawirowało mu w głowie. Odniosł wrażenie, że jednocześnie biegnie i upada. Dalej już nie mógł iść. Widoczne na śniegu wyżłobienia znikwały w oddali. Dafydd rzucił się na kolana.

– Ian, proszę... odpowiedz.

Znowu rozległo się wycie wilków. Tym razem dużo bliżej. Krzykiem nie powinien zwracać na siebie uwagi – Wyczytał gdzieś, że wilki zazwyczaj nie atakują ludzi, chyba że są wygłodzone, chore na wściekliznę lub gdy ich ofiara jest bliska śmierci. Zabijają i zżerają psy, nawet duże husky. Polują całą watahą i są bardzo przebiegłe. O, mój Boże... Dafydd zerwał się z kolan i ruszył przed siebie. Wyobraził sobie Iana rozdieranego kłami, pożeranego żywcem...

Nagle, w chwiejnym snopie światła latarki, zauważył ślady nart gwałtownie skręcające w prawo, wprost w gęstwinę lasu. Znowu obudziła się w nim nadzieja, Ian nie zdołał ujechać zbyt daleko, w kopnym śniegu było to niemożliwością. Gdy tylko Dafydd zszedł ze ścieżki, zapadł się po pas w zaspie. W miejscach, gdzie śnieg był na tyle zmarznięty, by utrzymać jego ciężar, przez jakieś dwadzieścia metrów posuwał się na czworakach.

Ian był oparty o drzewo. Z ust zwisał mu niedopałek. Siedział prosto, z zamkniętymi oczami, z gołymi rękoma skrzyżowanymi na brzuchu. Miał na sobie puchową kurtkę rozpiętą pod szyją, a kaptur częściowo zakrywał mu twarz. Starannie złożone narty i kijki leżały tuż obok.

– Ian, dzięki Bogu... Ian. – Dafydd przypadł do przyjaciela i objął go, kołysząc w ramionach. – Odezwij się, no, szybciej. Brannagan, mów coś. – Usiadł i począł uderzać Iana po twarzy. – Obudź się... obudź. – Mocno nim potrząsnął. Żadnej reakcji. Ogarnęła go rozpacz, Ian najwyraźniej był na granicy śmierci, a on niewiele mógł mu pomóc. Z obawą pomyślał o zdjęciu

rękawiczek ze zgrabiących dłoni, ale nie było innego wyjścia. Ściągnął je i czym prędzej wyciągnął z plecaka papier i zapalniczkę. Próba rozpalenia ognia na śniegu za pomocą kawałka papieru i paru drzazg wydawała się niedorzecznością, jednakże żar płomienia bywał ostatnim ratunkiem dla przemarzniętych do cna ludzi. Nie ustawał więc, rozglądając się w świetle latarki za gałązkami, które mogłyby podtrzymać ogienek. Wszystko wokół było jednak pokryte grubą warstwą śniegu, który Dafydd kiedyś tak polubił. Zaklął, tłumiąc w sobie szloch. Łzy w takich warunkach także stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo. W ciągu paru sekund stracił czucie w palcach. Pudełko wysunęło mu się z rąk, większość zapalek wypadła na śnieg. Znowu zaklął. Gdy próbował potrząsnąć zapalniczką, wypuścił pudełko. Zanurzył dłoń w śniegu, żeby je wymacać, i poczuł przeszywający ból, jakby włożył rękę do ognia. Zazgrzytał zębami, ogarnął go gniew i frustracja. Znowu próbował natrafić na pudełko, tym razem drugą ręką. Ból wskutek gmerania w śniegu na moment go oślepił, w gałkach ocznych poczuł lodowate igielki. Zupełnie stracił władzę w ręce, nie mógł nią poruszać. Zmarnował zapalniczkę, latarka świeciła coraz słabiej. Szybko naciągnął rękawice, podejrzewając, że odmroził sobie część palców.

Ian się nie ruszał. Dafydd zsunął mu kaptur z głowy i poświecił latarką w oczy. Ujrzał spokojną, niemal szczęśliwą twarz. Gołe ręce Iana były równie białe jak śnieg. Gdyby udało się go ocalić, trzeba by mu je amputować. Niełatwo jest żyć bez rąk, ale ludzie jakoś sobie z tym radzą. Nie jest to w Arktyce odosobniony przypadek.

Ujrzał z przerażeniem, że Ian ma pod puchową kurtką jedynie podkoszulek. A więc nie miał zamiaru ujść z życiem. Dafydd wyjął niedopałek z jego skutych lodem warg i począł masować mu policzki, krzycząc doń, a następnie bijąc po twarzy dłońmi w rękawicach. Za którymś razem Ian bezwładnie przewrócił się na bok. Nie można było dłużej się łudzić. Dafydd podejrzewał od dłuższego czasu, że jego przyjaciel nie żyje, ale nie chciał dopuścić do siebie tej myśli, podobnie jak tego, że sam igra ze śmiercią.

Siadł i spojrzał na druha, Ian umarł; W głębokim śniegu pozostała jedynie powłoka – zdewastowana, pusta, skurczona. Jak łatwo zamarzło jego wychudzone ciało. Znowu usłyszał wycie wilków, ale tym razem ich dręcząca pieśń dochodziła z daleka.

Należało zrobić tylko jedno: dostać się w bezpieczne miejsce. Przez

chwilę rozważał, czy nie należałoby ściągnąć butów z nóg Iana, przypiąć jego nart i pobiec do chaty, ale zdał sobie sprawę, że podczas tej czynności mogłyby mu odpaść palce u stóp i rąk. Wstał więc i oparł ciało o drzewo, zostawiając je w tej samej pozycji, w jakiej znalazł. Wnętrzem obu dłoni przytrzymał latarkę.

– Żegnaj, przyjacielu. Wreszcie odnalazłeś spokój – rzekł, przystanąwszy na moment naprzeciw zeszywniałych zwłok. Następnie odwrócił się i ruszył w drogę powrotną.

Biegł, potykał się, gorączkowo wymachiwał rękami, żeby przywrócić krążenie w pozbawionych czucia dłoniach. Zaciskał zęby, żeby wstrzymać płacz. Wskutek wypitego alkoholu zaschło mu w ustach; czuł w nich tylko wstrętny osad piwa i whisky. Jego organizm był odwodniony. Nie jadł niczego od wielu godzin. Pomyślał o podwieczorku u Tillie w towarzystwie dzieci. To się odbyło lata świetlne temu. Teraz wszystko się odmieniło, nic już nie będzie takie samo.

Staął na granicy wyręby i zawiesił plecak na gałęzi, by nazajutrz rano można było odnaleźć zwłoki Iana. Bateria w latarce była już prawie wyładowana, żarówka po kilkuminutowym mruganiu zgasła. W lesie zrobiło się czarno jak w grobie. Dafydd wypatrywał przed sobą jakiejś odrobiny poświaty na polanach. Nieporadnie biegnąc, obciążony zbyt grubą warstwą ubrań, wszelkimi siłami starał się nie stracić z oczu ledwie widocznego śladu nart. Wreszcie ujrzał w oddali światła chaty. Nie odczuł z tego powodu radości. Po części zaakceptował lodowy sen, jaki sobie wybrał Ian. Nie był to zły sposób odejścia.

W chatce zastał bałagan, jaki zostawił, rozrzucając w pośpiechu rzeczy Iana. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do piecyka. Nie było w nim nawet resztki żaru, pozwalającego rozniecić ogień na nowo. Zdjąwszy rękawice, ujrzał, że ma czerwone i spuchnięte palce. Na jego oczach pokrywały się wielkimi pęcherzami wypełnionymi płynem. Czuł przeszywający ból, ale zarazem i ulgę. Martwa tkanka nie daje takich reakcji.

Znowu zabrał się za szukanie zapalek, a kiedy je znalazł, zdołał podpalić zwitek papieru toaletowego. Dorzucił do paleniska całe pudełko płatków kukurydzianych i począł się rozglądać za innymi rzeczami do spalenia. W chacie było dużo drwa, ale rozpałka i gazety zostały w jego plecaku. Wobec tego wrzucił do pieca koperty z niezapłaconymi rachunkami, papierowe talerze i połamany koszyk wiklinowy. Kiedy wreszcie pojawił się płomień,

wsunął do piecyka najmniejsze bierwiono. Ogień znaczył bardzo wiele. Był drogocenny, wymagał doglądania. Bez niego pewnie nie przeżyje. Słaniał się z głodu. Zajrzał do szafek w poszukiwaniu herbaty i czegoś do zjedzenia. Postawił czajnik na blasze i stojąc w świetle otwartej lodówki wylizał resztki spleśniałego sera. Uśmieł się na jej widok. Lodówka w tym klimacie? W drzwiczkach dostrzegł butelkę białego wina opróżnioną do połowy. Wlał je sobie do gardła, trzymając naczynie wnętrzem obu dłoni. Chłodny płyn ściekał mu po policzkach, za kołnierz, na pierś. Woda zaczęła się gotować, odstawił czajnik. Wrzucił naręczę drew. Zajrzał do niedużej sypialni. Ku jego zaskoczeniu, panował tu porządek, Ian zasłał łóżko. Dafydd zsunął narzutę. Kładąc się do łóżka zmarłego przyjaciela, pomyślał, że zasłużył sobie na ten akt prywatności. Wsunął się pod kołdrę całkowicie ubrany, nakrył po uszy i zapadł w głęboki sen.

Kiedy się zbudził, było nadal ciemno. W pierwszej chwili nie mógł się zorientować, co tu robi, ale natychmiast wróciła mu pamięć. Wydarzenia poprzedniej nocy dosłownie powaliły go na plecy. Leżał na wznak, wpatrując się w sufit. Gdyby nawet chciał, nie mógł się ruszyć, a zresztą na nic nie miał ochoty. Pragnął jedynie leżeć bez ruchu. W głowie czuł pustkę, w rękach okropne mrowienie. Wreszcie zerknął w bok. Na szafce przy łóżku stał cyfrowy budzik i wskazywał 5.37 rano. Zaraz potem rozległ się stłumiony dźwięk, przypominający czyjś słaby oddech. Dafydd odrzucił kołdrę i skoczył na równe nogi, niemal tracąc przy tym równowagę. Objąwszy głowę rękami, pobiegł do głównej izby.

Thorn... gdzie jest Thorn? Biedne stare psisko. Jak mógł o nim zapomnieć? Okazało się, że Thorn był przez cały czas w chacie, skulony w kącie, nieruchomy z żalu lub z bólu. Dafydd ukląkł przy nim i począł głaskać go po głowie. Thorn nie reagował, ale jego mądre ślepia były szeroko otwarte, wpatrzone w przestrzeń. Ujrzały już wszystko. Oddech psa był lekki jak piórko. Gdy Dafydd zaczął masować jego zad, cicho zaskomlał. Dafydd przypomniał sobie, że Ian dawał mu pastylki na artretyzm, więc poszedł do łazienki, żeby ich poszukać. Nie znalazł, ale w szafce z lustrem natrafił na ampułki. Ampułki Iana. Wpatrywał się w nie jak sparaliżowany. Było ich ze dwadzieścia, z koszmarną zawartością. W odruchu gniewu chwycił nadgarstkami pudełko, chcąc je rozwalić o podłogę. Gdy uniósł je nad głowę, wstrzymując oddech z bólu, w ostatnim

momencie zmienił zdanie. Delikatnie postawił pudełko na klapie klozetu. Opuchniętymi palcami wyjął kilka ampułek. Poszukał wzrokiem strzykawki. Nie znalazł, więc począł grzebać w śmieciach, żeby wydostać choć zużytą. Nadal nic. Wreszcie zauważył teczkę Iana i tam, wśród recept i próbek leków, natrafił na dużą strzykawkę oraz na kilka igieł; Starał się opanować, lecz po policzkach spływały mu łzy. Palcami spuchniętymi teraz do rozmiaru piłek golfowych wciągał do strzykawki zawartość kolejnych ampułek, aż napełnił ją całą.

Położywszy sobie łeb Thorna na kolanach, wbił igłę w skórę na drżącym grzbiecie i wstrzyknął środek do ostatniej kropli. Pies, umierając, spojrział Dafyddowi w oczy, niemal niezauważalnie machając ogonem. Kilka sekund później wydał z siebie ostatnie tchnienie. Dopiero wtedy Dafydd puścił jego łeb, łkając bezradnie, jakby nie mogąc już więcej znieść.

Spośród trzech policjantów znał tylko Mike'a Dawsona, starszego rangą oficera w miasteczku. Leczył go niedawno na wrzód żołądka. Dawson zbliżał się do emerytury, a Dafydd radził mu, żeby z nią nie zwlekał, bo choroba jest poważna i stanowi powód wcześniejszego odejścia ze służby. Nie przekonał go. Dawson był człowiekiem z zasadami.

Policjanci przywieźli ze sobą dwa skutery śnieżne i tobogan z czarnym workiem przytroczonym do ramy sześcioma pasami z nylonu. Dafydd nie mógł z siebie wykrztusić, że zamarznęte w pozycji siedzącej ciało Iana niełatwo zmieści się na wąskich sankach i starał się nie myśleć, jak funkcjonariusze sobie poradzą. Zaoferował, że ich tam zaprowadzi, jednakże Dawson, wskazując wzrokiem jego ręce, powiedział, że Dafydd musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu, a nie włóczyć z nimi po lesie. Został więc w chacie, udzieliwszy policjantom jak najdokładniejszych wskazówek na temat miejsca zdarzenia. Na wyrębę można trafić bez większego trudu, a stamtąd dalszą drogę wskaże plecak zawieszony na gałęzi.

Zawinąwszy Thorna w kołdrę Iana, Dafydd wszedł do sypialni i otworzył szafkę przy łóżku. Wśród papierów i dokumentów znajdowało się sześć kopert podzielonych na dwie kupki ściągnięte gumką. Do jednej z nich dołączono jakiś drobny przedmiot. Na obu pakunkach wypisane było pewną ręką „Dafydd” dużymi literami. Adresat z niemałym trudem rozdarł kopertę i obolałymi dłońmi wyjął zapisaną kartkę. Powoli, dokładnie zapoznał się z jej treścią.

*Ja, niżej podpisany Ian Brannagan, oświadczam, że wspomagałem i kryłem Sheilę Hailey, przełożoną pielęgniarek szpitala w Moose Creek, w dokonaniu oszustwa, jakim było wysłanie próbek krwi, rzekomo pobranych od niej i jej syna Marka, w celu badań DNA, aby w ten sposób fałszywie dowieść, iż to doktor Dafydd Woodruff jest ojcem Marka i jego bliźniaczej siostry, Mirandy.*

*Krew została pobrana od pani U. Ashoona z Black River (Nunavut) i jej syna, Charliego Ashoona, bez ich wiedzy, do jakich dodatkowych celów miała zostać użyta. Doktor Dafydd Woodruff jest naturalnym ojcem Charliego Ashoona. O tym fakcie dowiedziała się pani Hailey, kiedy chłopiec przebywał w szpitalu w Moose Creek. Pozwoliło jej to na dokonanie powyższego oszustwa.*

*Moja rola polegała na umieszczeniu nalepek z nazwiskami pani Hailey i jej syna Marka na próbkach zawierających krew, której nie pobrałem od nich własnoręcznie. A zatem niezgodnie z procedurą potwierdziłem autentyczność próbek przeznaczonych do testów DNA. Dopiero później pani Hailey wyznała mi swoje oszustwo. Nowy test DNA z udziałem wszystkich zainteresowanych dowiedzie prawdziwości mojego oświadczenia.*

*Ian Brannagan* Dopisek do listu był przeznaczony tylko dla Dafyddda:

*Drogi Daffydzie, mam szczerą nadzieję, że w chwili, kiedy czytasz moje oświadczenie, ja już zdołałem zebrać się na odwagę i opowiedziałem Ci o tym wszystkim. Jeśli tak się nie stało, liczę, że mi wybaczysz. Jestem słabym człowiekiem, o wiele słabszym, niż myślisz.*

Dwie pozostałe koperty, zaadresowane „Do wiadomości zainteresowanych organów”, przypuszczalnie zawierały takie samo oświadczenie.

Dafydd rozdarł kopertę z drugiego pliku. Znalazł w niej następującą notatkę:

*Ja, niżej podpisany Ian Brannagan, stwierdzam, że w ciągu minionych trzynastu lat byłem osobiście wmieszany w kradzież demerolu i innych leków psychotropowych ze szpitala w Moose Creek. W ciągu tego czasu poważnie uzależniłem się od tych środków i często potrzebowałem znacznej ich*

ilości. , W tym procederze pomagała mi i kryła mnie Sheila Hailey, przełożona pielęgniarek powyższego szpitala. Była ona jedyną tam osobą odpowiedzialną za wydawanie i rozliczanie się z leków. Dostarczała mi je w zamian za pieniądze.

Pozostawiam jako dowód pudełka z kilkoma tysiącami pustych ampulek, w których znajdował się głównie demerol. Można je znaleźć w dwóch drewnianych kufrach na tyłach mojej szopy. Dalszy dowód stanowi kasetka zawierająca nagrania dwóch rozmów między mną a panią Hailey (dokonane bez jej wiedzy). Mówią same za siebie. Pani Hailey i moje wyciągi bankowe także wykażą równowagę sum przelewanych z mego konta z tymi, które zostały zdeponowane na jej koncie. Wypłacałem pani Hailey te pieniądze w zamian za jej udział w systematycznej kradzieży leków.

Powody, dla których piszę ten list, są następujące: uważam, że p. Hailey wykorzystywała swoje stanowisko służbowe oraz stosowała wymuszenie i groźby w celu zdobycia znacznych zysków. Przysięgam, że powyższe zeznanie jest co do słowa prawdziwe.

Doktor Ian Brannagan Przez dłuższą chwilę Dafydd siedział na łóżku bez ruchu. Teraz dopiero zaczęło do niego docierać, jaka ogromna odpowiedzialność ciąży na nim w związku z wejściem w posiadanie tych dwóch listów. W pierwszym z nich oskarżenie pod adresem Sheili o długotrwałe akty kradzieży i działanie w charakterze bezwzględного dealera narkotyków niemal z pewnością skończy się dla niej wieloletnią karą więzienia. To spowoduje, że jej dzieci zostaną pozbawione matki i staną się ofiarami bezdusznego systemu opieki socjalnej.

List, w którym Ian opisał wykradzenie przez nią próbek krwi i niesłychany szwindel, jakiego się dopuściła, doprowadzi do tego, że Dafydd nie będzie mógł w żaden sposób pomóc *tyra*. nieszczęsnym dzieciom. Gdy zostanie stwierdzone, że nie jest ich ojcem, nie będzie miał do nich żadnych praw. Stanie się całkowicie obcym im człowiekiem. Do tego się to wszystko sprowadza.

Wyrzął przez okno, zastanawiając się, jak dawno policjanci odjechali. Zaraz wróca, więc musi bardzo szybko pozbierać myśli. Teraz pojął, dlaczego Ian napisał dwa listy, a nie jeden. Zostawił mu wybór. I teraz, w ciągu zaledwie paru minut, będzie musiał postanowić, który list przekazać Dawsonowi – oba, jeden z nich, czy też żadnego. Może Ian przewidział całą



tę sytuację, decydującą o dalszych losach Dafydd, Marka i Mirandy.

Znowu zaczęło go gnębić pytanie, czy Ian mógłby być ojcem tych dzieci. Czy postanowił zabrać tajemnicę do grobu? Może z tego powodu pochwalał lojalność Dafydd w obecnym życiu. Zdawał sobie sprawę, że jest bliski śmierci i dostrzegł, jakim potencjalnie dobrym ojcem jest Dafydd, przynajmniej w sensie stałości i dobroci.

Usłyszał odległy warkot silnika. Teraz lub nigdy. Głos wewnętrzny mówił mu: niech z całą mocą prawa Sheila odpowie za wszystkie swoje przestępstwa. Inny głos radził: nie dopuść do procesu, w ten sposób dzieci będą miały zapewnioną opiekę macierzyńską, może nie najlepszą, ale nie zostaną pozbawione matki, a ty sam się od niej uwolnisz. A trzeci głos podpowiadał: niech Sheila zapłaci za oszustwa i dilerstwo, a ty pozwól wszystkim uwierzyć, że jesteś ojcem tych dzieci. To rola, którą będziesz musiał grać nie wiadomo jak długo...

Dafydd odczuwał coś w rodzaju paraliżu woli, wpatrując się w oba listy trzymane w rękach. Tymczasem warkot nadjeżdżającego samochodu stawał się coraz głośniejszy.

## Rozdział 21

*Moose Creek, rok 2006*

– Sądzę, że powinien pan na to spojrzeć – powiedział Dafydd do Dawsona. Obaj obserwowali, jak dwóch młodszych rangą policjantów umieszcza nieproporcjonalnie długi tobogan na platformie półciężarówki. Stali w śniegu przed chatą Iana, wyglądającą teraz jak zaniedbana, od lat niezamieszkała rudera. Dafydd, mając naprędce zabandażowane dłonie, wręczył szefowi policji tylko jedną kopertę.

– Brannagan zostawił ten list w trzech kopiach na szafce w swojej sypialni – poinformował. – Jeden z nich zaadresował do mnie. Jasno zeń wynika, dlaczego doszło do tragedii.

Dawson zdjął rękawiczki, żeby otworzyć kopertę, a następnie pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu okularów. Umieścił je wreszcie, nałożył sobie na nos. W miarę lektury coraz bardziej tężały mu rysy, a na czole ukazał się mars, dobitnie świadczący o powadze sprawy. Dokładnie wczytywał się w treść zeznania, rozważając w duchu ogrom przestępstw Sheili.

– Chryste Panie! – wykrzyknął, zrozumiałwszy w końcu znaczenie listu Iana. – Jeśli to prawda, byłoby nieprawdopodobieństwem, gdyby udało się jej wymknąć wymiarowi sprawiedliwości.

– Przypuszczałem, że z Ianem było coś nie tak – kłamał jak z nut Dafydd. – Robię sobie wyrzuty, że nie dotarło do mnie, iż zażywał znacznych ilości narkotyków. To tylko pokazuje, że od dłuższego czasu zarzuciłem internę.

Dawson potrząsał głową.

– Ta kobieta... Coś tam było na nią w ciągu paru ostatnich lat. Jasne, że nie powinienem o tym wspominać, ale miałem swoje podejrzenia....

– O? Jakże?

Dawson zawahał się.

– Może skupmy się teraz na doktorze Brannaganie? Słyszałem, że ostatnio często się pan z nim widywał. A więc pana zdaniem, doktorze Woodruff, jego zgon nie był przypadkowy? To znaczy, czy w pana opinii

jego uzależnienie było na tyle silne, by stało się powodem odebrania sobie życia?

Dafydd popatrzył Dawsonowi w oczy. Ujrzał ufną i otwartą twarz. Ten gliniarz musiał dobrze poznać ludzi i ich naturę. Biorąc pod uwagę fakt, że od wielu lat pełnił służbę w takiej małej miejscowości, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Tak czy inaczej, było to w pełni uzasadnione pytanie.

– Przypuszczalnie nie samo w sobie, lecz doktor Brannagan od dawna cierpiał również na depresję. Dlatego go odwiedzałem. Niestety, odmówił zaakceptowania tej diagnozy, nie pozwolił mi na jakąkolwiek pomoc. Być może, w obawie przed wykryciem jego uzależnienia.

– Czy nadużywał również alkoholu? – Dawson wykonał gest imitujący opróżnianie butelki do dna. – Moje źródła podały, że potrafił wypić dwie butelki dziennie.

– No cóż – odparł Dafydd, pragnąc uniknąć odpowiedzi wprost. – Pana źródła może nieco przesadziły, ale owszem.

– Nadal jednak jest zastanawiające – rozważał głośno Dawson – co sprawia, że człowiek chce zamarznąć na śmierć.

Dafydd zadrzał na myśl o drugim liście, tkwiącym w jego kieszeni. I znowu stał się winnym kolosalnego przekrętu. Nie bardzo wiedział, do czego go to zaprowadzi, jednakże zarazem zdawał sobie sprawę, że jeśli nie będzie postępował w myśl podjętej naprędce decyzji, to Sheila wyląduje w więzieniu na długie lata, a jej dzieci trafią do ośrodka opieki socjalnej.

Jak gdyby wyczuwając rozterkę Dafydda, Dawson oznajmił:

– Musimy dokładnie się tu rozejrzeć. W ten sposób z pewnością coś wyjdzie na jaw.

– Może zaczniecie panowie od miejsca, które Brannagan zasugerował? – Dafydd gestem wskazał szopę. Dawson nakazał podwładnym, aby się tam udali. W szopie znajdowało się wiele pamiątek. Większość z nich była umieszczona w dwóch wielkich kufrach. Dawson odsunął zasuwę w jednym z nich i otworzył wieko. W środku zamigotały niewielkie szklane pojemniki, świadczące o całych latach udręki Iana, a pewnie także o chwilach uniesienia. Dobitnie wyjaśniały powody jego upadku. Policjanci otworzyli następnie drugi kufer. Sporządzając notatki na temat jego zawartości, nie zdjęli rękawiczek ze świńskiej skóry, chroniących ich przed mrozem.

– Weźmiemy to wszystko ze sobą – orzekł Dawson.

Dwaj młodszy policjanci ruszyli z kuframi do półciężarówki. Dawson

chciał pójść do chaty, ale Dafydd wstrzymał go gestem.

– Nie jestem obznajmiony z prawem kanadyjskim, ale muszę wyznać, że niepokoi mnie los dzieci. Jakiej kary może się spodziewać pani Hailey za tego rodzaju przestępstwo? Oczywiście, bliźnięta mają mnie, ich ojca, niemniej jednak obawiam się, że ciężko to przeżyją.

Dawson ze smutkiem potrząsnął głową.

– Och. Całe lata za kratami. Powinna sobie znaleźć cholernie dobrego adwokata.

Dafydd mimo woli uśmiechnął się.

– Tak się złożyło, że już ma kogoś takiego. Prawdziwego rekina w swoim zawodzie.

– No cóż – rzekł Dawson, współczująco klepiąc Dafydda po ramieniu. – Teraz, kiedy sam pan o tym wspomniał, pewnie nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli powiem, że dobrze znałem pański powód przybycia w nasze strony. Takie sprawy szybko do mnie docierają. Kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem o panu z serdecznością. A więc nic pan przedtem nie wiedział o swoich dzieciach, tak?

– To prawda – odparł Dafydd z niepewną miną. Gorączkowo szukał innego tematu. – Jeszcze jedno. Dziś rano, wiedziony współczuciem, podałem psu Brannagana lek w dużej dawce. Zwierzę było dosłownie na ostatnich nogach. Bardzo stare i całkowicie oddane swojemu panu. Gdybym to ja mu nie pomógł, jestem pewien, że Brannagan zrobiłby to sam. Czy istnieje możliwość, aby panowie wzięli też jego ciało ze sobą? Może pies i jego pan powinni być razem...

Dawson wydał swoim ludziom polecenie, aby zajrzeli do chaty. Wynieśli stamtąd martwego psa zawiniętego w kołdrę i umieścili w półciężarówce. Dawson próbował bez skutku przekonać Dafydda, żeby w związku z odmrożeniem dłoni zabrał się z nimi do szpitala. Gdy policjanci odjechali, Dafydd po raz ostatni wrócił do chaty, zastanawiając się, czy Ian chciał, by wziął na pamiątkę którąś z jego rzeczy. Na koniec zabrał narty i kijki, bolesne wspomnienie ostatniej wyprawy przyjaciela. Wrzucił je na tylne siedzenie buicka. Zamknął drzwi od domku, modląc się w duchu, aby nigdy więcej nie musieć tam zaglądać.

Buick utknął w śniegu. Dafydd przeklął się w duchu; dlaczego nie poprosił o pomoc policjantów? Musiał zdjąć kurtkę, znaleźć rozrzucone na podwórku szpargały, podłożyć je pod koła i stopniowo wyjechać na

wstecznym biegu. Wreszcie ruszył, nie oglądając się za siebie.

Jadąc do szpitala, zastanawiał się nad teorią o wyższości umysłu nad ciałem. Przez cały ranek dzielnie się trzymał, ignorując ból w odmrożonych rękach. Teraz jednak cierpienie stało się nie do wytrzymania, było mu słabo, ogarniały go mdłości.

– Kto jest dziś na dyżurze? – zapytał Veronice, nową pielęgniarkę z Winnipeg, zmierzającą korytarzem w jego stronę.

Dziewczyna zbladła, w jej oczach widać było trwogę.

– Hogg, Lezzard, Kristoff – wyjąkała, wpatrując się w brudne bandaże na rękach Dafydd. – Atilan właśnie skończyła dyżur. – Podeszła bliżej i szepnęła: – Oni wszyscy wyszli właśnie z kostnicy. Pewnie pan nie wie... Ian Brannagan zamarł w nocy na śmierć.

Dafydd poklepał ją po ramieniu.

– Wiem.

– Praktycznie go nie znałam – załkała dziewczyna. – Ale to takie straszne.

– Przywykniesz do takich wypadków. Często się tu zdarzają. Dobrze znałem Iana i – uwierz mi – on teraz odpoczywa w spokoju.

Dziewczyna skinęła głową, otarła oczy i ruszyła w głąb korytarza.

Gdy blady, rozczochrany i półprzytomny Dafydd wszedł do gabinetu lekarskiego, Hogg spojrział na niego z przerażeniem.

– Tak, to ja odnalazłem Iana – postanowił uprzedzić pytania szefa. – Wszystko ci za chwilę opowiem, ale najpierw zajmij się moimi rękami.

Podczas gdy Hogg rozwijał bandaże, ich oczy spotkały się na moment.

– Oj, oj, oj, oj, wyglądają niedobrze, niedobrze. – Obaj wpatrywali się w dłonie, które przypominały kawał surowej wątroby u rzeźnika. Hogg badał wzrokiem ciemne, napełnione płynem pęcherze, kręcąc przy tym głową.

– A co z tym? – zapytał przestraszony Dafydd; poruszając palcem serdecznym lewej ręki, by zwrócić uwagę lekarza na szerniały koniuszek.

– Tak, przyglądam mu się, stary. Bardzo źle, bardzo źle. Naprawdę bardzo źle – odparł Hogg, pocierając ręką podbródek. – Sucha gangrena. Obawiam się, że trzeba będzie to usunąć.

Dafydd zadrżał.

– Chyba nie cały palec?

– Nie, tylko kawałeczek, tylko kawałeczek. – Klepnął go uspokajająco. – Sam koniuszek, do stawu. Od razu się tym zajmiemy. Im szybciej, tym

lepiej. To potrwa tylko chwilę.

Zadzwoił po pielęgniarkę, niezbędną mu do asysty. Pojawiła się Veronica, którą z miejsca odesłał po konieczne narzędzia.

Dafydd apatycznie przyglądał się zabiegowi. Czubek jego palca został błyskawicznie odcięty skalpelem, fragment kości usunięty za pomocą chirurgicznych szczypiec, a skóra zgrabnie zszyta. Hogg był mistrzem w tej dziedzinie; dzień w dzień przeprowadzał kilka podobnych operacji. Pacjent zerknął na zgangrenowany kawałek ciała, będący jeszcze przed chwilą koniuszkiem jego palca. Leżał teraz smętnie w stalowym naczyniu, resztką czegoś, czego nie tknąłby wygłodniały pies. Spokojnie pożegnał się z tą cząstką. Powinien był być głęboko poruszony stratą, ale przecież skradziono mu gitarę, a cała jego dotychczasowa przeszłość stała się nierealna. Będzie chyba mógł operować po amputacji, przecież jest praworęczny.

– Mam nadzieję, że reszta jest OK – stwierdził.

– Inne są w porządku, stary. Nie martw się, nie martw. Wygląda mi na to, że potrzebujesz odpoczynku. Chciałbym wypytać cię o Iana, ale odłożmy to na później. – Zabandażował Dafyddowi obie dłonie i wstrzyknął antybiotyk. – Veronica, czy mogłabyś wziąć moje auto i odwieźć doktora Woodruffa do domu?

– Chwileczkę – zwrócił się do niej Dafydd. – Czy mogę poprosić o podwiezienie mnie za jakiś czas?

Gdy obaj mężczyźni zostali w pokoju zabiegowym sami, spojrzeli sobie w oczy. Dafydd był wyczerpany, jednak postanowił sobie, że zanim uda się na spoczynek do swojej purpurowej groty, musi podjąć ostatni wysiłek. A potem naciągnie kołdrę na głowę i przez następne dwadzieścia cztery godziny nie odezwie się ani słowem.

– Andrew, wyjmij, proszę, kopertę z mojej lewej kieszeni i przeczytaj list – zwrócił się do szefa.

Hogg sprawiał wrażenie zaskoczonego prośbą, ale z pewną rezerwą ją wykonał. Wyciągnął list, zaczął go czytać i zbladł.

– Och, nie, Sheila nigdy... to wina Iana... – tyle zdołał wybełkotać i ukrył twarz w dłoniach.

– Daj spokój, Andrew, uważam, że dobrze o tym wiedziałeś. Sheila zaopatrywała Iana całymi latami. Nie próbuj mi wmawiać, że nie podejrzewałeś niczego.

Hogg nie odpowiedział, siedząc bez ruchu z twarzą zakrytą rękami.

Dafydd podniósł głos.

– Spójrz na mnie. Nie możesz temu zaprzeczać, Ian nie żyje po części z jej winy.

Hogg szybko opuścił ręce.

– Czy ktoś widział ten list? Koperta była zaklejona.

– Owszem. List istnieje w trzech kopiach, podpisanych przez Iana. Jedną z nich przekazałem Mike'owi Dawsonowi, – wraz z kasetą magnetofonową. Jak sądzę, dla Sheili gra jest skończona.

– Jak mogłeś? – wykrzyknął Hogg. – Jak śmiałeś zrobić to dzieciom, twoim dzieciom? Wiesz przecież *h* że zostaną bez matki, prawda? Sheila będzie skończona, trafi do więzienia...

Dafydd wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Po tym wszystkim Hogg chciał się pozbyć dowodu rzeczowego i rozgrzeszyć Sheilę.

– Jak długo jeszcze zamierzasz kryć tę kobietę? – rzekł surowym tonem.

– Po tym, jaką krzywdę wyrządziła wszystkim, zwłaszcza Ianowi, a nawet tobie. Ty możesz być pociągnięty do odpowiedzialności, nie pojmujesz?

– Wiem. – Hogg bezładnie osunął się na krzesło i znowu zasłonił twarz rękami. Wydał z siebie stłumiony szloch. Chyba się rozplakał. – Zdaję sobie sprawę, że ona jest... bywa... trudna. Musisz zrozumieć, że jest bardzo skomplikowaną osobą, głęboko pokrzywdzoną... ogromnie ją lubię.... – jęczał. Wyjął chusteczkę, wytarł nos. Jego żałosna mina doprowadzała do mdłości, ale zarazem wzbudzała współczucie. Dopiero teraz Dafydd uprzytomnił sobie, jak bardzo Hogg wielbił Sheilę, choć przecież nie ulegało wątpliwości, że się w niej kochał. Nic dziwnego, że Anita go rzuciła. W jego życiu istniała tylko jedna kobieta.

Podjął w duchu błyskawiczną decyzję. Czemu nie? Niech się Hogg dowie.

– Pokażę ci, co ona jeszcze zdołała. Sięgnij do wewnętrznej kieszeni kurtki, tam jest drugi list. Tego nie dałem Dawsonowi. Chcę ci go pokazać, żebyś wiedział, jak bardzo leży mi na sercu los dzieci. Robię to, by nie wpadły w łapy okropnych pracowników socjalnych albo, co gorsza, nie wylądowały w domu opieki.

Hogg gapił się na niego półprzytomnym wzrokiem. Odnosiło się wrażenie, że więcej już nie zniesie. Jednakże powoli uniósł się z krzesła i począł przeszukiwać kieszenie kurtki Dafydd'a. Wyciągnął zalepioną kopertę. Rozciął ją nożykiem leżącym na biurku.

Dafydd przyglądał się, jak Hogg czyta list, zmieniając się na twarzy i głęboko wzdychając. Minał mu gniew, popatrzył na Dafydd'a z autentyczną serdecznością.

– Dzięki – rzekł krótko.

– Dzięki? – Dafydd wykrzyknął z rozpaczą. – Przez jakiś czas będę zajmował się dziećmi, ale nie zamierzam okłamywać ich w nieskończoność. Nie mogę utrzymywać ich w przekonaniu, że jestem ich ojcem. Ta cała afera jest szaleństwem – nie zdajesz sobie z tego sprawy? Wszystko to jest dziełem Sheili. Rozwaliła mi małżeństwo, zniszczyła całe moje życie.

Hogg nadal pragnął okazać Dafyddowi wdzięczność.

– Źle mnie zrozumiałeś. Nie dziękuję ci za to, że chcesz nadal troszczyć się o dzieci. Dziękuję za... Dafydd, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. – Nachylił się nad biurkiem, podpierając się łokciami. Miał czerwone i zapuchnięte oczy. – Widzisz, Mark i Miranda są moimi dziećmi – wyrzekł powoli.

Dafydd przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego bez słowa, po czym wybuchnął głośnym śmiechem.

– Nie wierzę własnym uszom! Powiadasz, że i ty jesteś zamieszany w tę farsę? Dlaczego, na miłość boską, nie powiedziałeś mi o tym w kawiarni, kiedy zakomunikowałem ci, że to ja jestem ich ojcem?

Hogg zrobił urażoną minę.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Byłem w okropnym stanie. Kiedy podrzuciłeś mi tę bombę, doszedłem do wniosku, że przez te wszystkie lata Sheila okłamywała mnie, wyciągając forszę na utrzymanie dzieci. – Oparł się na krzesło z wyrazem wyczerpania. Na jego koszuli ukazały się smugi potu. – Powinienem być ci powiedzieć...

Sheila była związana z innym mężczyzną w czasie, gdy doszło do zapłodnienia. Moim zdaniem, liczyła, że to tamten jest ojcem bliźniąt, ale wkrótce potem wykryła, że to niemożliwe. – Hogg zaśmiał się ironicznie i potrząsnął głową. – Gdyby tylko spytała mnie, od razu bym ją poinformował. To ja skierowałem tego faceta na wasektomię. Kiedy dowiedziała się o tym, było już za późno na usunięcie ciąży. I dzięki Bogu. Unicestwiłaby moje własne dzieci. Ogromnie chciałem je mieć, gotów byłem zrobić dla nich wszystko. Zaproponowałem jej, że wezmę je na wychowanie, nawet sam, jeśli zajdzie taka potrzeba. W końcu zawarliśmy kompromis. Przynależałem Sheili, że będę je utrzymywał, pomagał w



potrzebie... kochał je... nawet jeśli ona będzie nadal się upierała, że wolno mi będzie robić to jedynie z daleka. Kiedy się tu znowu pojawiłeś... Jak mogłem się z tobą spierać, skoro powiedziałeś mi o wynikach testu DNA? – Hogg nieustannie wzruszał ramionami, jakby starając się zrzucić z siebie wspomnienie tamtej rozmowy w kawiarni. – To nie było przyjemne odkrycie.

Dafydd tak zdumiała kolejna rewelacja, że z trudem mógł zebrać myśli. Dotychczas był przekonany, że ojcem bliźniąt jest Ian, ale okazało się, że się mylił.

– A czy dzieci... wiedzą coś o tym?

– Ależ skąd! Sheila tak postanowiła. Najpierw z powodu mojej żony. To akurat mogłem zrozumieć. Wreszcie, kiedy... Anita ode mnie odeszła, pomyślałem, że zostaniemy rodziną, ale Sheila sobie tego nie życzyła. Mając za sobą takie okropne doświadczenia wyniesione z domu, obawiała się wszelkich więzów. Całkowicie to zaakceptowałem. Jednakże liczyłem w duchu, że któregoś dnia zmieni zdanie. Od dawien dawna byliśmy ze sobą... blisko.

Dafydd kręcił głową w osłupieniu.

– Zdajesz sobie sprawę, że doła nas wszystkich: ciebie na utrzymanie dzieci, od Iana wyciągała forszę za narkotyki, a teraz ja miałem stać się jej kolejną ofiarą? Nic dziwnego, że osiadła tu na dobre. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego kobieta jej pokroju marnuje życie w Moose Creek, ale to wszystko wyjaśnia. Uwiła tu sobie niezłe gniazdko, trzeba jej przyznać. Jest nie z tej ziemi aferzystką, wręcz zawodowcem od przekrętów i oszustw.

Obserwował z niemałą satysfakcją, jak Hogg wierci się w fotelu.

– Dafydd, proszę, zostaw mi ten list.

– I co zamierzasz z nim zrobić? – Dafydd uświadomił sobie, że biedny facet siedzący naprzeciwko musi mieć kompletny mętlik w głowie. Ten list był dalszym dowodem przestępczej działalności Sheili. Za sfałszowanie próbek krwi celem wyłudzenia alimentów groziła jej dodatkowa kara więzienia. Z drugiej strony, jeśli Hogg przekazałby list policji, mógłby wystąpić o uznanie go za ojca bliźniąt i dowieść tego czarno na białym.

– Jasne, weź go sobie i trzymaj, ale pamiętaj, mam kopie – ostrzegł go.

– Potrzebuję czasu – jęknął Hogg. – Musimy dokładnie zastanowić się nad tym wszystkim.

– Wiesz co? – odparł Dafydd. – To są twoje dzieci, a nie moje. Powinny

być dla ciebie priorytetem, zanim nawet pomyślisz o Sheili. Daj mi ten list, oddam go Dawsonowi.

Hogg westchnął, ale Dafydd zauważył, że następuje w nim pewna zmiana. Jego słowa najwyraźniej trafiły w czuły punkt. Kuł więc żelazo póki gorące – Andrew, te dzieciaki cię potrzebują. Znasz je od urodzenia, troszczysz się o nie. Idź... idź sam do Dawsona. Wyznaj mu prawdę.

Dafydd poczuł, że wyczerpał całą dostępną energię. Ogarnęło go skrajne znużenie, w głowie mu szumiało.

Wstał i ruszył do drzwi. Na korytarzu grzecznie czekała na niego Veronica.

– Teraz chętnie skorzystam z propozycji podwiezienia – powiedział do niej z uśmiechem. Dziewczyna kiwnęła głową.

– Dafydd, poczekaj – krzyknął za nim Hogg. W jego głosie brzmiała troska. – Kiedy ten zastrzyk przestanie działać, będzie cię bardzo bolało. Daj chociaż zrobić sobie iniekcję z demerolu.

Dafydd przystanął.

– W porządku – odparł, tłumiąc śmiech. – Jeśli coś jeszcze zostało w magazynie leków.

Na widok Dafydda wlokącego się w stronę schodów oczy stojącej w holu Tillie zrobiły się wielkie jak spodki.

– Dafydd! – krzyknęła. – Co się stało z twoimi rękami? Gdzie byłeś?

Z bólu nie potrafił nawet odpowiedzieć, więc idąc z trudem na górę, jednocześnie usiłował wymacać klucz do pokoju. Nie mógł jednak włożyć zabandażowanych rąk do kieszeni.

– Pomóż – wyjąkał. Tillie natychmiast do niego podbiegła.

– O, mój Boże! – wykrzyknęła. – Co ci jest?

– Klucz, w kieszeni – wymamrotał, unosząc ręce w górę, żeby Tillie mogła go obszukać. W końcu znalazła klucz w kieszeni spodni. Otworzywszy drzwi, podtrzymała jego bezwładne ciało i pomogła mu dojść do łóżka. Dafydd położył się i wydał z siebie przeciągły jęk. Gdy Tillie zaczęła rozsznurowywać mu buty, zapadł w rodzaj halucynacji. Wydawało mu się, że unosi się w górę, jak gdyby jego rozprostowane ręce zamieniły się w skrzydła. Poczul resztką świadomości, że Tillie rozpina mu spodnie. Nawet nie zaprotestował, gdy mu – je zdjęła. Sweter stanowił osobny problem. Dafydd musiał choćby na chwilę dojść do siebie, żeby dać swej

opiekunce szansę delikatnego ściągnięcia rękawów przez okaleczone dłonie.

– Boże kochany – jęknęła Tillie. – Kochany Dafyddzie, co się stało?

– Gdzie twoje źródło informacji? – mruknął. – Wymyka się.

– O czym ty mówisz? Powiedz, co się dzieje? – wypytywała Tillie, rozpinając mu koszulę.

– Mój przyjaciel nie żyje – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Moje małżeństwo się rozpadło. Moje dzieci nie są moimi dziećmi, a ja już nigdy nie zagram na gitarze, a zresztą została skradziona, mój dom sprzedano jakimś koszmarnym typom, a ja jestem na haju po demerolu. Świetny lek. Że też nigdy nie sięgnąłem po niego przez te wszystkie lata... Bach.

– O, Dafydd. – Tillie objęła rękami jego głowę i kilka razy pocałowała go w czoło. Te pocałunki sprawiały mu przyjemność, więc się uśmiechnął. Zaraz potem Tillie zaczęła całować go w usta. Składała delikatne całusy od jednego koniuszka warg do drugiego. Niezdarnie ją objął, a ona mocno przytuliła go do siebie. Wtedy Dafydd wcisnął twarz w jej miękkie włosy i znowu odjechał w niebyt.

Gdy oprzytomniał, uzmysłowił sobie, że oboje leżą pod purpurową kapą, Tillie nadal go całuje, a on te pocałunki odwzajemnia. Ogarnęło go miłe, wilgotne ciepło. Dotarło do niego, że jest prawie nagi, a może nawet zupełnie nagi. Mniejsza o to, Tillie jest przecież ubrana. Poczuł jej ręce głaszczące mu plecy, pośladki, biodra. Było to takie sympatyczne, że nie zamierzał jej powstrzymywać. W lędźwiach poczuł gwałtowne pulsowanie, więc przysunął się do niej, ściskając ją przedramionami. Tillie położyła się na nim, co wywołało jego erekcję gdzieś na wysokości jej kolan. Ta kobieta była taka niska, taka drobna. Poczuł się nieswojo. Było w tym coś obłąkanego, nieprawego, jak obściskiwanie dziecka. Ta sprzeczność – dziecięce niemal kształty Tillie i jej w pełni kobiece pożądanie – sprawiła, że Dafydd natychmiast otrzeźwiał. Uświadomił sobie, że dzieliły go sekundy od zerwania z niej ubrania zębami i wtargnięcia w nią resztami sił. I choć bardzo pragnął się zapomnieć, dać się ponieść w nieznane, rozpląnąć, zarazem zdawał sobie sprawę, że to szaleństwo. Nazajutrz obudziłby się... z Tillie. To byłoby niewłaściwe, wiedział, że bardzo by tego żałował.

– Tillie, nie – wymamrotał. – Nie możemy.

– Dlaczego nie? – Nie przestawała składać szybkich, gorących pocałunków na jego ciele.

– Wykorzystujesz mnie. Tak nie wolno. Jestem na strasznym haju.

Tillie zachichotała.

– To świetnie.

– Nie, naprawdę. – Dafydd, teraz już w pełni władz umysłowych, delikatnie odsunął ją od siebie. – Koszmarnie bolą mnie dłonie – skłamał. – Amputowano mi palec. Proszę, Tillie. Nie mogę tego zrobić. Bardzo mi przykro.

Spojrzała na niego z dreszczem trwogi.

– Amputowano? Och, Dafydd, to okropne. – Widać było, że Tillie odgadła jego intencje. On nie chce się z nią kochać, bo nie przewiduje dalszego ciągu romansu. Nie potrafiła ukryć rozczarowania. Zsunęła się z niego i zaczęła poprawiać sobie ubranie.

– Przyniosę ci herbaty – powiedziała cicho i wyszła z pokoju. Parę sekund później Dafydd znów przeniósł się w krainę fantazji.

– Szedł powoli ulicami miasta. Gdyby nie był tak zaabsorbowany wydarzeniami, jakie nastąpiły w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin i spotkaniem, które go czekało, poddałby się nastrojowi wesołości panującej w Dniu Pogranicza, dorocznym festynie przed Bożym Narodzeniem, składającym się z wyścigów psich zaprzęgów i innych konkursów. Zewsząd ścigały gromady szczekających, piszczących i niekiedy groźnie warczących psów, przywiązywanych następnie do palików, drzew, pojazdów na każdym skrawku wolnego terenu. Czworonożni uczestnicy aż się palili do rozpoczęcia wyścigu. Ich właściciele przybyli wraz z rodzinami z różnych zakątków Terytoriów Północno-Zachodnich, w tym z Jukonu, Alaski i z Alberty. Byli serdecznie witani gośćmi, a atmosferę wesołości, ducha sportowego i wszechobecnego luzu podkreślały na dodatek dekoracje świąteczne, które z dnia na dzień pojawiły się w całym mieście.

Dafydd przed czekającym go spotkaniem umacniał się w swoich postanowieniach. Gdy przybył, jak to było umówione, punktualnie o jedenastej przed dom Sheili, zauważył w zaparkowanym przed wejściem samochodzie Mike'a Dawsona. Skinął mu głową. Policjant ze śmiertelnie poważną miną dał mu znak, żeby usiadł na miejscu pasażera.

– Nie miałem wyboru – odezwał się do Dafydda lekko przepraszającym tonem. – Muszę ją aresztować. To nie jest drobiazg, lecz poważne przestępstwo. Zostanie oskarżona o kradzież mienia szpitalnego, handel kontrolowanymi farmaceutykami i oszustwo. Na dodatek Andrew Hogg przybył dziś rano na komisariat z nowymi dowodami. Sądzę, że pan już o

tym wie?

– Tak, i dlatego chcę porozmawiać z dziećmi. Muszę przyznać, że był to dla mnie wielki szok – odparł – szczerze Dafydd. – Przywykłem do myśli, że jestem ich ojcem.

– Współczuję, doktorze Woodruff. Cała ta afera musiała ogromnie pokrzyżować pańskie plany życiowe. Ta kobieta wykombinowała sobie szatański plan. – Dawson powiedział to z nutą podziwu. – Myślę, że byłoby dobrze, aby i pan zapewnił sobie pomoc adwokata. To tylko formalność. Ona wszystko wyznała. Będą panu potrzebne listy lub maile, które do pana wysłała, a także certyfikat DNA i wszelkie inne dowody, ale o tym powiadomi pana prawnik. Mówię to zawczasu, żeby mógł pan nadać bieg sprawie.

Dafydd westchnął głęboko i uchylił drzwiczki samochodu.

– Godzina – ostrzegł go Dawson. – Nie dłużej. I proszę powiedzieć to dzieciom. Może wspomni pan ich matce, żeby spakowała kilka niezbędnych rzeczy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... Ja będę tutaj, a Hopwood stanie na tyłach domu. Skoro nie ma pan jakichś pytań...

Dafydd zadzwonił do drzwi, Sheila wpuściła go do środka. Za nią stały bliźnięta z przerażonymi minami. Z pewnością oboje zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo poważnego. Gdy tylko Sheila zamknęła za Dafyddem drzwi, nakazała Markowi i Mirandzie pójść na górę, nie zważając na ich protesty. Najwyraźniej nie była w stanie zaoferować mu czegokolwiek do picia, jedynie wskazała ręką wejście do salonu. Usiedli naprzeciwko siebie na dwóch kanapach.

– Co im powiedziałaś? – spytał Dafydd cichym głosem.

Sheila z trudem przypominała dawną siebie. Miała zapuchnięte powieki, bladą i ściągniętą twarz bez śladu makijażu. Jej ubiór, zazwyczaj tak starannie dobrany i podkreślający zalety figury, składał się teraz z luźnej trykotowej kurtki i takich samych spodni ze spranej, bladoniebieskiej bawełny.

– Och, one już wiedzą, że nie jesteś ich ojcem. Powiedziałam im o tym dzisiaj rano. A zresztą czy sądzisz, że coś takiego dałoby się ukryć w Moose Creek choćby przez jeden dzień? Nie bądź idiotą.

Przełknął ślinę z żółcią, wzbierającą mu się w żołądku, starając się pohamować gniew, który tak łatwo było w sobie wzniecić. Przypomnił sobie nagle, jak wiele lat temu uderzył ją w ataku szału. Jakie byłoby to

proste, ile satysfakcji by mu to dało, ale postanowił, że zapanuje nad sobą podczas ostatniej konfrontacji z Sheilą. Jednocześnie był zdumiony jej całkowitym brakiem skruchy. Odnosiło się wrażenie, że Sheila bez cienia wstydu i żenady odnosi się do wszystkich czynów, jakich się dopuściła, i które tak nieoczekiwanie wyszły na jaw.

– Wiem, że Hogg jest ich ojcem – odezwał się Dafydd. – Nie zaprzeczasz temu, prawda?

– Nie twój interes – odpowiedziała suchym tonem. – A w ogóle co tu robisz? Dlaczego nie spierdalasz do swojego kraju? Już nie masz tu niczego do załatwienia. – Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. – Rozejść się!

– Nie, jeszcze nie wyjeżdżam – odparł opanowanym głosem. – Pragnę się upewnić, że Mark i Miranda zostaną otoczone właściwą opieką. Jestem pewien, że Hogg z radością się nimi zajmie, jeśli one tego zechcą. Mógłbym też sam ubiegać się o formalną opiekę nad nimi, bo zdążyły mnie już nieźle poznać. Zasięgnąłem opinii w kilku miejscach i dowiedziałem się, że są już w tym wieku, gdy ma się pewien wybór co do osoby opiekuna, u którego miałyby zamieszkać.

– Chyba żartujesz – krzyknęła Sheila z niedowierzaniem. – Masz tak litościwe serduszko, jak przypuszczałam. Teraz proponujesz zająć się moimi dziećmi, wiedząc, że nie są twoje.

– Owszem, a dlaczegóżby nie? Mogę przeprowadzić się do nich na jakiś czas. W ten sposób nie zaszkodziłoby im bardziej, niż jest to konieczne.

Sheila wpatrywała się w niego bez tchu.

– Odpieprz się – wycedziła. – Czy naprawdę myślisz, że pozwolę ci wprowadzić się do mojego domu i przejąć moje dzieci?

– Zgoda. Skreślmy taką możliwość. Jakie są inne opcje? Mają mieszkać z Hoggiem, swoim naturalnym ojcem, tu, w Moose Creek, albo gdzie indziej, czy też zajmie się nimi twoja matka na Florydzie?

Sheila wybuchła sarkastycznym śmiechem.

– Moja matka? A skąd ty wiesz, że w ogóle mam matkę? W piekle nastąpi mroźny dzień, kiedy ona zechce mieć dzieci przy sobie. Ona nienawidzi dzieci, mści się na nich. To masz jak w banku.

Dafydd nie odpowiedział. Wyrżał przez okno, dostrzegł na podwórku Hopwooda, młodszego kolegę Dawsona, patrolującego dom od tyłu. Chłopak miał za krótką kurtkę i pewnie odmrozi sobie tyłek. Dafydd uśmiechnął się, widząc jak tamten, nieświadom czyjegoś wzroku na sobie,

klepie się po pośladkach i tupie w miejscu, żeby się trochę rozgrzać.

– No dobrze – odezwała się Sheila po dłuższym milczeniu. – Wybór Hogga jest oczywisty, to w końcu ich ojciec. Nie rozmawiałam z nim jeszcze o tej sprawie, ale jestem pewna, że chętnie podejmie się tych obowiązków.

– Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Czy dzieci wiedzą?

– Że on jest ich ojcem? Jeszcze nie. Ktoś inny powinien im to zakomunikować. Ja już mam dosyć gadania – z nimi przez całe rano. Nie mam ochoty na dalsze rozmowy.

– Sheila, choćby raz, tylko raz – wybuchł Dafydd – mogłabyś odłożyć na bok ten swój narcyzm. Ta sprawa nie dotyczy ciebie i twoich potrzeb. Postarajmy się wymyślić coś, co jest najlepsze dla twoich dzieci, twoich własnych dzieci.

Roześmiała się z ironią.

– Nie pomyślałeś o nich, kiedy mnie zakablowałeś, co? Uważam, że teraz muszę się troszczyć o siebie, po tym, jak mnie w to wszystko wrobiłeś.

Dafydd nie odrywał od niej oczu. Jej egoizm był po prostu nie do uwierzenia.

– Jesteś odrażająca – krzyknął. – To, co zrobiłaś Ianowi, jest godne najwyższego potępienia. Jesteś najgorszym rodzajem kryminalistki. I pomyśleć, że rozważałem w duchu zniszczenie dowodów przeciwko tobie. – Popatrzył z goryczą na swoje obandażowane dłonie.

Sheila uniosła wzrok.

– Dosyć tego. Wypierdalaj z mojego domu.

Dafydd nie ruszył się z miejsca. Zrobił łagodną minę.

– Gdy tak sobie przyjaźnie rozmawiamy, w redakcji „Moose Creek News” piszą o tobie bardzo smakowity tekst... o mnie też, rzecz jasna. Próbowałem dzisiaj rano przekonać Jacobsa, żeby tego nie robił, dla dobra dzieci, ale odmówił. – Dafydd wzruszył ramionami, udając bezsilność. – Wiadomości to wiadomości.

Policjant na podwórku marzył dalej, ciągle zerkając na zegarek. Cichaczem zapalił papierosa i zaciągał się chciwie, jakby żarzący się tytoń mógł być jakimś źródłem ciepła.

– Nasz czas się kończy – oznajmił Dafydd, patrząc na skostniałego z zimna funkcjonariusza. – Chcę porozmawiać z dziećmi.

– One nie chcą z tobą rozmawiać – stwierdziła Sheila.

– Ja chcę – odezwał się Mark, wchodząc do salonu. Patrzył na matkę z nieukrywaną pogardą. – Siedzieliśmy na schodach. Słyszeliśmy wszystko, o czym oboje gadaliście. – Spojrzał na Dafydd i warknął: – Mówiłem ci, nie? Wiedziałem, że nie jesteś moim ojcem. Dlaczego, do cholery, mi nie uwierzyłeś?

– Naprawdę sądziłem, że nim jestem – odparł Dafydd. Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć dłoni chłopca. – Ale, Mark, posłuchaj, moje uczucia do was nie uległy zmianie.

Chłopak cofnął się, dygocząc. Wpatrywał się w Dafydd z twarzą wykrzywioną gniewem, z trudem hamował łzy.

– Nie chcę żadnego pieprzonego ojca! – wykrzyknął. – Teraz mamy przejść przez ten sam zasrany proces z Hoggiem.

Tymczasem w drzwiach stanęła Miranda, wpatrując się w nich wielkimi, przestraszonymi oczami. Dafydd podskoczył do niej.

– Kochanie, tak mi przykro. – Wziął dziewczynkę w ramiona, ale ona stała jak sparaliżowana tym, co przed chwilą usłyszała. Wybuchła płaczem, ledwie odwzajemniając uścisk. Nagle odepchnęła Dafydd i podbiegła do Sheili. Z zaciśniętymi pięściami nachyliła się nad matką i zaczęła wrzeszczeć:

– Nienawidzę cię... nienawidzę! Mam nadzieję, że odejdziesz na zawsze i że zostanę adoptowana. Jesteś zasraną matką. Liczę, że zgnijesz w więzieniu i nigdy cię stamtąd nie wypuszczą. Jesteś straszliwa, ohydna, wzbudzasz nienawiść...

Gdy dalej wykrzykiwała pod adresem wstrząśniętej matki przekleństwa i najstraszniejsze obelgi, Dafydd szybko podszedł do telefonu w holu.

– Tillie, mamy tu kryzys – szepnął do słuchawki, gdy tylko uzyskał połączenie. – Słyszysz, co się tu dzieje? Czy mogłabyś przyjąć dwoje dodatkowych gości na kilka dni? Dwoje bardzo wrażliwych, delikatnych gości... Świetnie. Dzięki, Tillie. Będziemy u ciebie za około pół godziny.



## Rozdział 22

*Moose Creek, rok 2006*

Dafydd stanął na poboczu drogi, obserwując zawodników gotowych do startu w blisko dwudziestopięciokilometrowym wyścigu psich zaprzęgów. Wyścig był poważną sprawą, wymagającą wielomiesięcznych przygotowań. Piękne, potężnie zbudowane zwierzęta podnosiły taki jazgot, że można było ogłuchnąć.

Przechodząc w tłumie ludzi, Dafydd od czasu do czasu unosił głowę, szukając twarzy, którą widział tylko raz przedtem. Mieszkaniec Kolumbii Brytyjskiej nazwiskiem Baptiste Sharkie, właściciel czteroosobowego cherokee i zarazem jego pilot, za umiarkowaną opłatą gotów był dowieźć pasażerów praktycznie w każde dostępne miejsce. Dafydd natknął się na niego kiedyś w ambulatorium, gdy Sharkie przyszedł odnowić receptę. Był wysokim, barczystym mężczyzną, mniej więcej w wieku Dafydda, czyli po czterdziestce, z wyraźnymi rysami indiańskimi i wydatnymi wargami, raczej nieskorymi do uśmiechu.

Przybyli na wyścigi kibice byli opatuleni po uszy, by ustrzec się przed mrozem, tym bardziej że po południu niebo poczęło szybko ciemnieć. Wrzawa, jaką czynili i zawodnicy, i ich psy, wzmagająca się jeszcze wskutek głośnych wystrzałów z broni skierowanej w górę. Pierwszy zaprzęg już ruszył, za nimi wystartowały kolejne, przy akompaniamencie dopingujących fanów. Dafydd, mijając ludzi, starał się dojrzeć ich ukryte w kapturach twarze. Kiedy nie udało mu się natrafić na pilota, poszedł w kierunku terenów sportowych przy ośrodku rekreacyjnym. Tam z kolei odbywał się konkurs ładowania mąki do worków. Potężnie zbudowani uczestnicy zarzucali sobie na plecy ciężar, począwszy od około dwustu pięćdziesięciu kilogramów. Patrząc ze zdumieniem na siłacza, uginającego się pod brzemieniem czterystukilogramowego worka z mąką, Dafydd zapomniał przez chwilę o swej misji.

– Witamy naszego doktora – krzyknęła Martha Kusugaq znad tłumu wiwatujących widzów. – Będę ci kibicować przy następnym konkursie. Niezły z ciebie aparat, dobrze zbudowany i przystojny jak cholera. Postawię

na ciebie parę dolców.

– Wzięłaś sobie wolne w firmie, Martho? – odciął się Dafydd. – A myślałem, że z ciebie taki wół roboczy.

– Nieee – odparła. – Przecież zbliża się Boże Narodzenie. Mąż się nią zajmuje. Ten mój facet to mięczak. Rozleniwia się przy mnie. Muszę się za niego wziąć. – Czknęła głośno.

– Martha, nie widziałaś czasem tego faceta, Baptiste’a Sharkiego z Fortu St John, no wiesz, tego od awionetki cherokee?

– Jasne, że go spotkałam, moje ty słoneczko. No, no... wybierasz się gdzieś?

– Owszem.

– To weź tego buicka, którego ci wypożyczyłam. Auto jest zupełnie w porządku.

– Tam, gdzie jadę, nie ma dróg.

– Do cholery, trzeba było od razu tak mówić. Ostatnio widziałam tego pilota w barze „Gawra”. Miał już sporo w czubie, weź to pod uwagę.

– Dafydd począł się przeciskać przez tłum. Martha krzyknęła za nim:

– Hej, chcę z tobą stanąć do konkursu piłowania drzewa. Popatrz, jaki ze mnie mocarz. – Dafydd posłał uśmiech tej małej, przysadzistej kobiecie, stojącej na rozstawionych nogach. Ani przez chwilę nie wątpił, że ma niezłą krzepę. – Zauważ, że twoje ręce niewiele tu zdziałają, jedynie nie pozwalają ci psocić – roześmiała się grubym głosem, wskazując postronnym jego zabandażowane dłonie.

W barze „Gawra” Dafydd znalazł pilota, który siedział tam i z ponurą miną patrzył na dwie kobiety. Trudno było odgadnąć, czy tam występowały, czy były klientkami. Tak czy inaczej, ubrane w falbaniaste sukienki i siatkowe pończochy, odstawiały kankana na stole. Gdy się bliżej przyjrzał, uznał, że chyba raczej były klientkami. Choć numer, który odtańczyły, nie był zły, a wręcz widowiskowy, można powiedzieć, panie były trochę za stare na takie tańce. Miały grube tyłki i potężne uda, a na dodatek były urżnięte. Jednak zgromadziły wokół siebie kółko mężczyzn, oklaskujących je z nieukrywaną żądzą.

– Przepraszam, panie Sharkie. Czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę?

Baptiste Sharkie powoli odwrócił się w stronę Dafydda. Próbował skoncentrować wzrok na twarzy przybysza, ale ponieważ zamiar mu się nie

powiódł, przymknął oczy.

– O co chodzi?

– Czy mógłby mnie pan zawieźć jutro do Black River?

– Cholera! To daleko – odparł Baptiste, wzdychając ze stoicką miną. – O której?

– Im wcześniej, tym lepiej – stwierdził Dafydd z nutą optymizmu. – Jak tylko pan wytrzeźwieje.

– Bliźnięta zostały umieszczone w pokoju obok. Dafydd zostawił je o dziewiątej rano, pochłonięte grą w scrabble przy stole kuchennym, wśród resztek obfitego śniadania. Żadne z nich nie przejawiało zainteresowania jego odejściem. Oboje ledwie zerknęli znad pasjonującej ich gry.

– Posłuchaj, Mark – zwrócił się Dafydd do chłopca, chwytając go za rękaw swetra. – Czy mogę wam przypomnieć, że dziś wieczorem przyjdzie tu Hogg? Chce tylko zobaczyć się z wami i pogadać. Wyjaśnić parę spraw. Wiecie oboje, że nie musicie podejmować żadnych decyzji. Jak wam obiecałem, możecie tu zostać tak długo, jak macie ochotę.

– No, ja nie jestem gotowa – odezwała się Miranda podenerwowanym tonem. – Chcę tu zostać z Tillie. Dojść do siebie...

– A ty, Mark? – Dafydd położył chłopcu rękę na ramieniu i lekko nim potrząsnął. – Tak będzie w porządku?

Mark obrócił się, by spojrzeć Dafyddowi w oczy.

– W porządku? Chyba sobie żartujesz. Ponieważ jesteśmy dziećmi, dorośli popychają nas, gdzie tylko im wygodnie. Przynajmniej moja pieprzona matka zeszła nam z drogi. Jedna z głowy – tu spojrzał wymownie na Dafydda – a za nią dziesięć tysięcy innych.

– Niech tu zostaną... na jakiś czas – odezwała się Tillie stanowczym głosem, unikając wzroku Dafydda.

Mark popatrzył na nią i odezwał się cichym głosem:

– Tillie, ciebie nie miałem na myśli, zgoda?

Tych dwoje wyraźnie poczuło coś do siebie. Dafydd uspokoił się w duchu, widząc, że Mark jest jednak zdolny do okazywania serdeczności innym istotom, nie tylko swojej siostrze. Jeśli diagnoza Iana co do Sheili jako psychopatki była trafna, może jej izolacja okaże się dla dzieci zbawienna, choć trudno odgadnąć, jaką krzywdę matka już im wyrządziła.

Tillie też żywo reagowała na nową sytuację, korzystną odmianę w jej samotnym życiu. Ich troje robiło wrażenie połączonych ze sobą przeciwko

okrutnemu światu. Dafydd spojrział na nich z przyływym czułości. Te dzieci zostały brutalnie odrzucone, pozbawione choćby pozorów normalnego życia rodzinnego. Okazały się jednak odporne na przeciwności losu. Zaledwie kilka godzin po upiornej scenie z matką zwyczajnie gadały ze sobą i zabrały się do jedzenia wykwintnej kolacji, którą Tillie im przygotowała. Już dowiedziały się wszystkiego o samobójstwie Iana, kryminalnej przeszłości matki i o Hoggu. Zostały poinformowane, że to on jest ich naturalnym ojcem i że będzie zabiegał, by zostać ich prawnym opiekunem.

A Tillie... cały jej byt polegał na trosce o swój pensjonat i obronie przed zakusami bezwzględnych mężczyzn. Była prawdziwą kobietą Północy – silną, wytrzymałą i przyzwyczajoną do ciężkiej pracy, ale w końcu tylko kobietą. Dafydd przypomniał sobie, nie bez poczucia winy, jak oparł się jej próbie uwiedzenia go. Nie chciał potraktować Tillie w ten sposób, ale był wtedy zbyt oszołomiony lekami, by reagować w bardziej subtelny sposób.

– Dzięki, Tillie. – Wiedziony impulsem podszedł do niej i mocno przywarł ustami do jej czoła. Ich oczy spotkały się na moment. Następnie Dafydd zbliżył się do Mirandy, która wystawiła policzek do pocałunku, nie odrywając wzroku od kostek z literami. Na koniec szybko położył dłonie na zgarbionych plecach Marka i ruszył do wyjścia. Miał przed sobą zadanie, nad którym rozmyślał przez całą bezsenłą noc.

Baptiste czekał na niego przed hotelem Northern, jak było umówione. Miał przekrwione oczy i czuć było od niego alkohol, który wydobywał się wszystkimi porami, mimo zabiegów higienicznych, które bez wątpienia zastosował. Był świeżo ogolony, a jeszcze wilgotne po kąpieli włosy gładko zaczesał do tyłu, odsłaniając szerokie, poryte zmarszczkami czoło.

– Gotów do odlotu? – spytał znużonym, monotonnym głosem. – Obaj mężczyźni podeszli do jego półciężarówki, żeby podjechać dziesięć kilometrów do lądowiska. – To będzie siedemset dolarów, jeśli się zgadzasz – zakomunikował. – W jedną stronę.

– Świetnie – przystał Dafydd, nie mając pojęcia, ile tamten zażąda. – Ale może będę się tam musiał zatrzymać na dzień lub dwa.

– Mogę zaczekać, jeśli zapewnisz mi dach nad głową – odparł pilot. – Czy tam obowiązuje prohibicja?

– Tak sądzę – stwierdził Dafydd, ciesząc się w duchu, że przynajmniej drogę powrotną odbędą na trzeźwo. – Obowiązywała, kiedy tam byłem. Ale

weź pod uwagę, że to było wiele lat temu.

Dostali pozwolenie na lot jeszcze za dnia. Podróż trwała dwie godziny, a pilot okazał się całkiem sprawny. Widać było, że ma duże doświadczenie. Dafyddowi przeszkadzało tylko jedno: gdy z nieukrywaną satysfakcją zabawiał go opowieściami, jak to zyskał sławę w całej zachodniej Arktyce za skasowanie trzech samolotów, bez uszczerbku na ciele.

Ponieważ utrzymywali się na bardzo niskim pułapie, widzieli jak na dłoni samotne niedźwiedzie, łosie i stada karibu. Zafascynowany nimi Dafydd całkiem zapomniał o swoim lęku przed lataniem, choć niemile zaskoczył go hałas panujący w kabinie. Las stawał się coraz rzadszy, drzewa rosnące wzdłuż skutych lodem rzek były coraz bardziej karłowate i coraz cieńsze, aż wreszcie otworzyła się pod nimi tundra, ciągnąca się setkami kilometrów kwadratowych, tak płaska i naga, jak chyba żaden inny obszar na Ziemi. Jedynymi widocznymi z góry zwierzętami były tu woły piżmowe, które, zbite w stado złożone z bodaj dziesięciu sztuk, pędziło poganiane jazgotem silników cherokee. Biegły wczepione w siebie, a ich długa sierść falowała jak na zwolnionym filmie. W oddali, tuż przy brzegu Morza Arktycznego, samotny biały niedźwiedź wędrował po ogromnej połaci oślepiającego śniegu.

Osada Black River wyglądała inaczej, niż ją zapamiętał. Część starych chat pozostała, jednak wzniesiono sporo nowych domów, połączonych ze sobą dziwną siecią rur, zapewne w celu dostarczania niezbędnych mediów. Wieża białego drewnianego kościółka pozostała najwyższym elementem zabudowy, ale dołączono do niej jakiś ohydny maszt, przypuszczalnie niezbędny do odbioru radia i telewizji. Baptiste okrążył osadę, kręcąc głową z niezadowoleniem.

– To jedyna miejscowość, jakiej jeszcze nie widziałem – zakomunikował Dafyddowi. Przedtem wyliczył mu wszystkie miasta i wioski, od Dawson City do Churchill, które zdążył już odwiedzić.

Gdy pilot fachowo przystąpił do lądowania, zniżając awionetkę nad dość prymitywnym pasem, Dafydda ogarnął straszliwy niepokój. Ta zawikłana podróż, której początek dał list od Mirandy, otrzymany z poranną pocztą dawno temu, zawiodła go w głąb własnej duszy, doprowadziła do sytuacji, których parę miesięcy przedtem nie potrafiłby sobie w ogóle wyobrazić. Tu, na skraju zamrożonego morza, otoczonego górami lodowymi barwy przejrzystego błękitu, gdzie zimą niemal nie docierało światło dnia, miał

dziecko – syna, który przeżył więcej niebezpieczeństw i bólu, niż on sam w całym swym dotychczasowym życiu. Ten syn był człowiekiem tutejszej dzikiej natury, inuickim myśliwym.

Uyarasuq i Charlie już na niego czekali. Spodziewali się go, dojrżeli lub usłyszeli nadlatującą awionetkę. Dafydd wyskoczył z kabiny i podbiegł do nich, ale nagle zabrakło mu słów. Stali we troje, spoglądając na siebie, jakby porównując swoje rysy i kształty. Nie było potrzeby spieszyć się z powitaniem i wyjaśnieniami. Wreszcie Dafydd zrobił krok w kierunku Uyarasuq i objął ją, a następnie uściśnął dłoń chłopca. Tamten był w rękawicach, a on sam miał nadal obandażowaną rękę. Charlie był dobrze zbudowanym nastolatkiem, wysokim na swój wiek. W jego nadzwyczaj przystojnej twarzy Dafydd natychmiast rozpoznał swoje cechy, trudne do zdefiniowania przejawy charakteru. Oczy natomiast chłopak odziedziczył po matce – czarne, lekko orientalne, podobnie jak silnie zarysowane kości policzkowe. Jednakże usta i czoło miał bez wątpienia po ojcu. Czarne jak skrzydło kruka włosy lekko kręciły mu się na skroniach, w sposób dobrze znany Dafyddowi. Kiedy Charlie się uśmiechnął, Dafydd natychmiast odwzajemnił mu uśmiech, nieomylnie rozpoznając w nim siebie. Nie było najmniejszych wątpliwości. To był jego syn.

Po udzieleniu pilotowi informacji, jak ma dojść do czekającej nań kwatery, wolno ruszyli w stronę domu. Charlie miał mocną budowę ciała swojego ludu, ale dość znaczny wzrost po ojcu. Prezentował się wspaniale, wzbudzał podziw swobodą, z jaką podchodził do swego straszliwego kalectwa, choć nieco utykał i podpierał się laską. Szedł ze skupioną miną, koncentrując się przede wszystkim na stawianiu kroków. Od czasu do czasu spoglądał na Dafydda i kiwał głową, jakby chcąc mu dać do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Dafydd odpowiadał tym samym gestem, starając się nie gapić na chłopca. Jednakże nie mógł opanować swej fascynacji i ukradkiem zerkał to na jedno, to na drugie z nich.

Zimowa bladeść Uyarasuq dobrze odzwierciedlała tę krainę skutą lodem i śniegiem. Na obu jej policzkach widniały czerwone plamki, ślady po odmrożeniu tych części twarzy, które były najbardziej wystające. Z bliska Dafydd dojrzał siateczkę popękanych naczyń krwionośnych, ale z daleka te odmrożenia wyglądały jak róż nałożony ręką dziecka. W świetle Dafydda takie przypadłości daje się usunąć za pomocą lasera, ale Uyarasuq pewnie nie miała pojęcia o możliwości takiego zabiegu, albo nie zwracała uwagi na

widome oznaki surowych warunków życia. Miała teraz bardzo długie włosy, gęste i szorstkie niczym końskie włosie, spadające spod jej wełnianej czapki aż do łądźwi jak czarna, połyskliwa rzeka. Poza tym w ogóle się nie zmieniła, była jakby ponadczasowa. Miała cerę gładką jak nastolatka, a jej błyszczące zęby były białe jak śnieg. Jedyne jej ubiór stanowił odmianę: dobrze skrojone spodnie i pięknie haftowana kurtka obszyta jasnym futrem – dzieło sztuki rękodzielniczej samo w sobie. Bez wątplenia kosztowne rękawice i buty, też ręczny wyrób, dopełniały całości.

Po drodze nie spotkali żywej duszy, choć przez okna identycznych domków z pewnością rzucano im spojrzenia zza firanek. Dafydd z przerażeniem pomyślał o życiu we trójkę w jednoizbowej chatce, miejscu jego najbardziej zmysłowego przeżycia, poczęcia syna. Ale chyba już tam Uyarasuq nie mieszka? Pewnie odziedziczyła domostwo po ojcu.

Żadna z tych hipotez nie okazała się prawdziwa. Na skraju osady znajdował się dom wzniesiony na stalowych palach, bez wątplenia wkopanych głęboko w ziemię. Miał dwa duże okna po bokach, a z wysokiego metalowego cylindra na dachu unosił się dym. Dafydd wspiał się po półkolistych schodach do drzwi wejściowych, zaintrygowany niecodzienną formą architektoniczną. Uyarasuq uśmiechnęła się do niego.

– Nie mów mi, że zapomniałeś, jak wygląda mój dom – zażartowała.

– Trochę go odremontowałaś – odparł, zastanawiając: się w duchu, jaką to fortunę zapisał w spadku Niedźwiedź jednemu wnukowi swojego przyjaciela, jednemu synowi swego nieszczęsnego doktora. Nie było tego zbyt wiele, jeśli wierzyć słowom Josepha. Połowa jakiejś bardzo nieznaczej sumy.

Kiedy Uyarasuq pomagała Charliemu zdjąć kurtkę i buty, Dafydd zajrzał do otwartego salonu, starając się nie być zbyt wścibski. Najwyraźniej obojgu mieszkańcom tego domu niczego nie brakowało. Umeblowanie było proste i minimalistyczne, ale za to najnowszych gadżetów znajdowało się tam co niemiara. Wszędzie stały rzeźby w kamieniu – większe i gwałtowniejsze w ekspresji niż te, które oglądał przed laty. Były też ciemniejsze niż dawne, niektóre niemal budzące lęk.

– Ten dom nie jest kupiony ze spadku po moim ojcu, jeśli nad tym się zastanawiasz – stwierdziła Uyarasuq z dumą w głosie, zauważywszy jego badawcze spojrzenie. – Ani nie z pieniędzy zapisanych Charliemu przez Niedźwiedzia. Te odłożyłam na jego studia.

Zdjął kurtkę i usiadł na rzeźbionym zydlu, wpatrując się w nią. Stała przed nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Chciał się uśmiechnąć, bo w jej postawie znać było dziecięcy upór, ale się powstrzymał.

– Mam ten dom dzięki pieniądzom za *kablunait* – oznajmiła mu, w końcu się rozpromieniając.

– Na miłość boską – odparł ze śmiechem. – Usiądź. To nie moja sprawa, ale tak czy inaczej opowiedz mi o tym.

Siedli na kanapie, mając przed sobą czajniczek herbaty i talerz z kanapkami. Uyarasuq zrelacjonowała mu pokrótce swoje sukcesy artystyczne. Biali kupują coraz więcej jej prac. Dwie galerie – w Vancouver i w Toronto – rywalizują o jej rzeźby. W sezonie zimowym pracuje w domostwie ojca, teraz przerobionym na atelier. Latem większe rzeźby wykonuje na betonowej platformie pod gołym niebem, z asystą Charliego i dwóch innych młodych mężczyzn. Zaproponowano jej wystawę indywidualną w małej, ale wybijającej się galerii w Nowym Jorku, jednak rekonwalescencja Charliego jeszcze nie pozwala jej zostawić go pod opieką przyjaciół.

Chłopak, który rzucił się na fotel w kształcie worka wypełnionego ziarnami fasoli, przysłuchiwał się uważnie ich rozmowie, w końcu jednak zaprotestował.

– Och, mam, to nie fair. Ja nie potrzebuję twojej opieki. Powtarzałem ci już setki razy, że Nowy Jork jest ważniejszy od mojej głupiej nogi. – Przejechał knykciem po swej endoprotezie, by udowodnić jej twardość i swoją niezależność.

Dafydd spojrzał na Charliego.

– Jeśli ta wystawa jest taka istotna, mogę zostać z tobą. Albo możemy pojechać tam we trójkę. – Obrócił się twarzą do Uyarasuq, zastanawiając się, czy nie brzmi to zbyt obcesowo. – Jeśli będzie to dla was pomocne.

Chłopiec z rozdrażnieniem wywrócił oczami.

– Za późno. Mama już odmówiła wzięcia udziału.

– Ach, daj spokój – odezwała się Uyarasuq. – Nie ta, to będą inne. Po co ten pośpiech? I tak z trudem nadążam z zamówieniami. Rzeźbienie pochłania dużo czasu i wszystko powstaje w jednym egzemplarzu.

Frustrację Charliego widać było jak na dłoni. Chłopak popatrzył na Dafydda, jakby prosząc go o poparcie.

– Moja mama ma fobię na punkcie techniki. Istnieją fantastyczne



urządzenia, które można kupić – młoty pneumatyczne, szybkoobrotowe szlifierki, wiertła, elektryczne dłuta. Mama jednak upiera się, żeby wszystko robić jak za dawnych czasów. Kiedy ja skończę się uczyć, jak to robić z mozołem, zamierzam zabrać się za rzeźbienie w inny sposób – kupić sobie odpowiedni sprzęt, który pomoże mi szybko zrealizować pewne idee.

– Słusznie – skomentował Dafydd ostrożnie, żeby nie zostać posądzonym o stroniczość.

– A mam wiele pomysłów, wiesz?

– Chciałbym o nich usłyszeć.

Dafydd przyglądał się chłopcu, próbując ocenić w myślach swój zachwyt, wręcz fascynację dzieckiem, którego jak sądził – nigdy nie miał posiadać. A teraz to dziecko, kość z jego kości, niemal jego kopia, siedzi obok. Ogarnęło go obezwładniająca pewność bycia jego ojcem. Charlie spoglądał na niego wyczekująco, pragnąc usłyszeć aprobatę dla swoich innowacji technologicznych. Dafydd natychmiast spostrzegł, jak bardzo dzieciak potrzebuje równowagi między pierwiastkiem męskim i żeńskim. Jemu samemu też tego brakowało, gdy dorastał z siostrą i owdowiałą matką. Przyszła mu na myśl okropna dola Marka. To też dzielny chłopiec, ale jakaż różnica istniała między tym odważnym i dynamicznym młodzieńcem, promieniejącym wolą przetrwania i osiągnięcia sukcesu w dorosłym życiu, a nieszczęsnym synem Sheili z jego podejściem „wszystko mi jedno”.

Poczuł się nagle winny wskutek tego porównania. Sympatia i poczucie obowiązku, jakie nadal odczuwał w stosunku do Mirandy i Marka, wywołały w nim furję na myśl o Sheili. Pod wpływem tłumionych emocji dłonie mimo woli zacisnęły mu się w pięści, ale gniew szybko ustąpił wraz z uzmysłowieniem sobie, że przecież dzięki podstępowi Sheili dokonał tego zdumiewającego odkrycia że ma syna.

Charlie przekrzywił głowę, patrząc na Dafydda spod półprzymkniętych powiek. Wyraźnie go obserwował, pewnie zastanawiając się nad targającymi nim uczuciami. Wreszcie uśmiechnął się, jakby na znak, że doszedł do własnych wniosków w tej sprawie.

– Chyba będzie dobrze, jak was zostawię, żebyście nadrobili stracony czas, co? – odezwał się do obojga. – W każdym razie mam coś do roboty.

– Nie. Nie odchodź – poprosił go Dafydd, przeklinając się w duchu za gonitwę myśli panującą w jego głowie. – Chcę cię zapytać... pragnę dowiedzieć się o tobie wszystkiego.

– Nie ma obaw, człowieku – odparł Charlie. – Jak już zacznę mówić, to pożałujesz, żeś mnie o to prosił. – Ściszył głos, dodając przekornym tonem: – Ja tu wrócę.

Harmonijnym ruchem wyciągnął przed siebie endoprotezę i przeniósł ciężar ciała, by wstać z fotela. Następnie zaśmiał się.

– Przynajmniej dobrze mi służy jako przeciwwaga, albo mogę nią zastawić drzwi, czy używać jako blatu do pisania notatek.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, w pokoju natychmiast zabrakło jego pulsującej energii. Nagle salon wydał się dużo większy, opustoszały. Dafydd spojrzął na Uyarasuq i roześmiał się, a ona zareagowała podobnie, odgadując jego myśli.

– W jaki sposób ktoś tak niezwykle jak on mógł wyrosnąć na takiej jałowej ziemi? – zapytał, potrząsając głową.

– Nie pojmujesz mnóstwa tajemnic tej ziemi.

– Masz rację – odparł skruszony. – Z pewnością wśród tych, co tu mieszkają, nie ma nic jałowego.

Wstał z krzesła i przysiadł obok Uyarasuq na kanapie. Przez dłuższą chwilę oboje przyglądali się sobie bez słowa. W pamięci Dafydda zaroilo się od scen sprzed lat. Powstrzymał w sobie pragnienie objęcia siedzącej obok kobiety, przytulenia jej do piersi. Chciał jej przekazać nieco sił, utraconych przez nią wskutek niemal śmiertelnego wypadku syna. Impulsywnie pragnął jej obiecać wszystko, oddać, co tylko ma, poświęcić jej całą troskę i cały swój czas, ale zarazem zdawał sobie sprawę, że musi się opanować, nie zalać jej tanim sentymentalizmem. Musiał jednak wyrazić to, co czuje.

– Myślę, że to ty. To nie ma nic wspólnego z taką czy inną ziemią. Ty stworzyłaś to nadzwyczajne dziecko. Nie potrafię przekazać, jak głęboko jestem tym poruszony. Wdzięczny ci za to, wzruszony, pod ogromnym wrażeniem...

Uyarasuq spuściła wzrok, zażenowana tymi deklaracjami.

– Hej – zachichotała. – Jeszcze go nie znasz. A nawet jeśli masz rację, sądzę, że i ty miałeś z tym coś wspólnego.

– Niewiele. – Kilkakrotnie głęboko odetchnął. Ręce mu drżały, pod mostkiem czuł bolesny ucisk. W obawie, że się kompletnie rozklei, oparł się na kanapie i gorączkowo rozmyślał nad zmianą tematu. – Opowiedz mi o tym – wskazał gestem pokój.

– A, o domu – rozpromieniła się z dumą. – Pewien młody architekt z

Vancouver zaprojektował mi go w zamian za jedną z moich rzeźb. Spotkaliśmy się na wernisażu, spodobały mu się moje prace. Sądzę, że dostałam od niego więcej, niż on zyskał na tej wymianie, zwłaszcza że na dodatek załatwił mi część funduszy na budowę. To jest prototyp domów stawianych na wiecznej zmarzlinie, teraz już w wielu miejscach.

Dafydd, patrząc na nią, zastanawiał się, ilu mężczyzn przewinęło się przez jej życie po narodzinach Charliego. Młody architekt z pewnością mógł zapalać do niej uczuciem. Na tę myśl poczuł ostre ukłucie zazdrości. Przez tyle lat nic nie wiedział ani o niej, ani o jej pięknym synu. Uprzytomnił sobie teraz, że Uyarasug jednak zmieniła się trochę. Stała się bardziej wyrafinowana, pewna siebie. Odwiedziła wiele miejsc, spotkała mnóstwo ludzi. A pieniądze dają władzę, niezależność, prawo wyboru. Mimo to pozostawała też dawną sobą. Jej zasadnicze cechy charakteru nie uległy zmianie. Nadal łatwo się czerwieniła, wybuchała krótkim, wesołym chichotem, podobnie jak jej ojciec, i miała w sobie tę kobiecą rezerwę, która tak mu się kiedyś spodobała.

Nie odczuwała lęku przed ciszą, często spotykanym u kobiet żyjących w świecie pełnym pośpiechu. Gdy zapadał zmierzch, oboje siedzieli zatopieni w swoich myślach. Ogień płonący na otwartym palenisku niemal go hipnotyzował. Wyczerpany wydarzeniami ostatnich kilku dni, chyba się zdrzemnął na chwilę. Kiedy otworzył oczy, zauważył, że Uyarasug przykryła go wyprawioną skórą, a sama zaczęła ostrzyć na owalnym kamieniu jedno ze swych narzędzi rzeźbiarskich. Z głębi domu dobiegało amatorskie brzdąkanie gitary i głos Charliego śpiewającego starą balladę Dylana. Dafydd siedział nieruchomo, wsłuchując się w pieśń. Sam ją kiedyś śpiewał, akompaniując sobie na gitarze, zanim jeszcze stracił koniuszek palca i skradziono mu instrument. Wtedy przysiągł sobie, że więcej nie będzie grać. Charlie przechodził właśnie mutację, więc śpiewał na przemian to dudniącym basem, to piskliwym falsetem. Dafydd omal nie wybuchł histerycznym śmiechem, ale zwyciężyła w nim aż niebezpieczna czułość.

– Czy kiedykolwiek wspominałem ci, że gram na gitarze?

Spojrzała na niego znad rzeźby.

– Nie, nie mówiłeś. – Potrząsnęła głową.

– Co za zbieg okoliczności, prawda?

Z rozbawioną miną wróciła do swego zajęcia. Oboje przysłuchiwali się pieśni – niekiedy z uśmiechem, niekiedy lekko się krzywiąc. Wreszcie z

pokoju Charliego dotarł do nich odgłos wyraźnego niezadowolenia. Gitara znienacka zamilkła. Ach, frustracja... jak dobrze Dafydd znał to uczucie.

Gdy ponownie zapadła cisza, Dafydd począł znowu przyglądać się pracy rzeźbiarki. Uyarasuq, trzymając dłuto, wykonywała nim drobne, koliste ruchy na powierzchni owalnego kamienia. Jej doświadczone palce posuwały się z ogromną cierpliwością, jak gdyby ich właścicielka straciła rachubę czasu i nie zauważała, ile czasu zajmuje nadanie kamieniowi odpowiedniej formy. Dafydd marzył, żeby pójść do syna, pogadać z nim, zobaczyć jego pokój, zagrać na gitarze, wsłuchać się w jego na poły dziecięcy, na poły męski głos, ale należało najpierw zadać kluczowe pytania, uzyskać na nie odpowiedź. Przerywając milczenie, odezwał się ostrzejszym tonem, niż zamierzał, czym wystraszył Uyarasuq.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wysłałem do ciebie wiele listów. A ty nigdy nawet nie potwierdziłaś, że do ciebie dotarły.

Uyarasuq bez słowa odłożyła dłuto i nakryła kamień wyprawioną skórą. Wstała, przez dłuższy czas wpatrując się w okno. Na czarnym firmamencie błyszcząły miliardy gwiazd.

– Uważałam, że nie należy. Nie planowałam takiego rezultatu naszego zbliżenia – odezwała się wreszcie, obracając twarzą do niego. – Pamiętaj, byłeś zabezpieczony. – Zaczerwieniła się, próbując ukryć uśmiech. Najwyraźniej przypomniła sobie, jak się wtedy przygotowywał.

– Naprawdę powinienem się był o tym dowiedzieć. Trzeba się było ze mną podzielić tą nowiną. Pomógłbym ci, zrobił wszystko, co w mojej mocy, coś bym załatwił...

– Daj spokój – przerwała mu, marszcząc czoło. – Nie chciałam, żeby cokolwiek załatwiano. Kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, moje życie się odmieniło. Pragnęłam tego dziecka. Ono było celem mojego życia tutaj, gdy ojciec dożywał swych dni. Miał jeszcze okazję ujrzeć, jak jego wnuk zaczyna chodzić i gaworzyć. Dzięki temu jego ostatnie lata – były wypełnione radością. Choćby z tego powodu warto było tak postąpić.

– Nie to miałem na myśli – odparł Dafydd stanowczym głosem. – Mógłbym ci wtedy pomóc w taki sposób, jaki by ci odpowiadał. Ja także byłbym zachwycony, gdybym mógł obserwować, jak to nadzwyczajne dziecko rośnie. – Poczul w piersi rozrywający ból, kilkakrotnie przełknął wzbierającą się w ustach ślinę. Nie potrafił opanować emocji, które wzbudziło w nim to spotkanie. Gorączkowo rozważał w myślach, czy

potrafiłby rzucić wszystko i wrócić do kobiety, która urodziła mu syna. Pewnie nie – byłoby to wielkie ryzyko, na dodatek na kompletnie obcym mu terytorium. Nie sposób byłoby przewidzieć, jak by się tu czuł. Ale przecież prawdą było, że kochał Uyarusuq. Tęsknił do niej całym latami.

Widząc jego rozdarcie, usiadła obok niego. Musnęła palcami jego policzek i rzekła:

– Dafydd, tak mi przykro. Sądziłam, że byłoby bardzo nie fair, gdybym usiłowała wyrzucić na tobie jakieś naciski. Uważałam, że powinnam wziąć na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało.

– Jestem przekonany, że mogłaś korzystać z mojej pomocy.

– Mój ojciec był już stary, ale był tu, i okazywał mi wszelką pomoc. Nadal nam pomaga, z zaświatów.

Zerknęła na Dafydda, jakby w obawie, że ujrzy w jego oczach oznaki sceptycyzmu, a po chwili milczenia dodała zdecydowanym tonem:

– Muszę ci powiedzieć, że mój ojciec ocalił Charliego. On wiedział, zarówno za życia, jak i po śmierci, jak wnikać w ciało zwierząt. Jego duch wstąpił w psa, który odstraszył niedźwiedzia. On i pies stali się jedną istotą. Przypuszczam, że Charlie sam ci o tym opowie. Kiedy ojciec doszedł do wniosku, że nie uda mu się go uratować, próbował mu pomóc przejść na drugą stronę, ale Charlie zmienił zdanie. Wybrał życie. Może dlatego wiedział, że do nas przybywasz.

Dafydd wpatrywał się w nią z napięciem.

– To jest jeszcze bardziej skomplikowane – ciągnęła Uyarusuq. – Tej nocy, kiedy zatelefonowałeś, mój ojciec ukazał mi się we śnie. Powiedział mi, że Charlie poszedł nad morze celowo, żeby spotkać się oko w oko z niedźwiedziem. W ten sposób duchowo cię wzywał. Wołał do swego ojca przez morza i oceany, a ty wyruszyłeś na jego poszukiwanie. Dopiero jego stan bliski agonii okazał się na tyle silny, żeby do ciebie dotrzeć i ściągnąć cię tutaj.

Dafydd był wstrząśnięty. To była niewiarygodna idea. Może Sheila była tylko pionkiem w wielkiej grze. Mimowolnie potrząsnął głową.

Uyarusuq, mylnie odczytawszy ten gest, spojrzała na niego z ogniem w oczach.

– Mój ojciec żyje w świecie duchów i dobrze zna takie sprawy. On był autentycznym *angatkuq*. Ty, spośród wszystkich ludzi, powinieneś w to wierzyć. Dzięki niemu sam zyskałeś trochę wiedzy tajemnej.

– Czy nie próbowałaś mnie odnaleźć? – wykrzyknął Dafydd. – Mogłaś chociaż dołożyć starań. Jeśli wierzysz w ten sen, w słowa swego ojca, oznacza to, że cierpienia Charliego były nadaremne, strata nogi...

Nagle zamilkł, widząc, że Uyarasuq wybucha płaczem.

– Jak mogłam o tym wiedzieć? Ja nie jestem *angatkuq* – szlochała. – Długo czekałam, aż Charlie zapyta mnie, kto jest jego ojcem. Obawiałam się tego pytania, bo musiałabym mu odpowiedzieć, że dawno temu odjechałeś bardzo, bardzo daleko, że żyjesz tam swoim życiem i nie wiesz o jego istnieniu. To nie było tak, że on nie chciał znać prawdy. To bardzo wrażliwe dziecko... On czekał, aż ja podejmę decyzję i mu o tym powiem. O, Boże, jak ja żałuję mego milczenia.

Najpierw ze względu na Charliego... a teraz na ciebie. – Wytarła nos w chusteczkę, którą Dafydd wyjął z kieszeni. – Mój ojciec powinien był mi o tym powiedzieć. Jednak on zawsze twierdził, że każdy z nas musi obrać taką drogę, jaka jest dla niego przeznaczona. Niektórzy wybierają tę najbardziej bolesną i trudną. Moja była chyba rezultatem skrajnej głupoty.

Dafydd pragnął wybuchnąć gniewem – miał do tego wszelkie prawo – ale czy potrafił zrozumieć jej dylemat? Wpatrywał się w ogień na kominku, w trzaskające drewno. Ten widok zniecka wywołał w jego pamięci postać starca, Angutitaq. Przypomniał sobie transformację, jaką przeszedł dzięki sile szamana. Angutitaq poskromił prześladowającego go ducha dziecka i sprawił, że lisek stał się Dafydda sprzymierzeńcem. Starł się go nauczyć, żeby stać się jednością z liskiem, ale Dafydd nie był do tego gotów. Jednakże ten duch stale mu towarzyszył, był niemal w polu jego wewnętrznego widzenia, radząc, żeby zachował spokój. Może gdyby zaufał liskowi, wyciszył się i nadstawił ucha, dobiegłby do niego głos wzywający go zza oceanów.

Ale może nie jest jeszcze za późno na naukę. W tym otoczeniu nie ma miejsca na gniew. Trzeba pokonać rozgoryczenie. Dafydd, wpatrując się w ogień, poczuł, jak żal Ustępuje, zamienia się w popiół.

– Tak, twój ojciec był prawdziwym *angatkuq* – odezwał się wreszcie. – Zyskałem nieco jego wiedzy, ale myślę, że byłem za młody, żeby to zrozumieć... a może nie miałem odpowiednich kwalifikacji duchowych.

– Ale czy czcisz tę wiedzę? Wierzysz w nią? – spytała Uyarasuq surowym mimo łez tonem.

– Wierzę – odpowiedział. – Pragnę ją odnaleźć w głębi siebie. Bycie tu

jest pomocne. Przynajmniej pozwala mi uświadomić sobie, co jest w mojej mocy, a co nie.

Uyarasuq roześmiała się łagodnie.

– Ja również powinnam sobie o tym przypominać.

– Owszem. – Ujął jej prawą rękę i przyglądając się jej bacznie, przesuwał swymi obolałymi palcami po odciskach i zacięciach – Popatrz na tę dłoń. Jest spracowana. W o wiele gorszym stanie niż moja.

– Dafydd, nie miej do mnie urazy za moje milczenie. Zapłaciłam za nie ogromną cenę.

Spojrzał na nią uważnie. W jej niewinnej twarzy czaił się lęk i ogromny niepokój. Jego żal za straconymi latami już należał do przeszłości, podobnie jak troska na myśl o cierpieniu Charliego... teraz był tu z nimi.

– Zgoda – odparł z uśmiechem. – Ale nigdy nie rób tego więcej.

Mężczyzna i chłopiec stali w oknie. Było przedpołudnie jednego z najciemniejszych dni w roku. Obaj patrzyli bez słowa, jak światło powoli znika znad nieba na wschodzie. Niewidoczne słońce przesuwało się poniżej linii horyzontu na południu. W temperaturze minus pięćdziesięciu stopni panowała wszechobecna cisza i bezruch.

– Mam nadzieję, że będziesz tu, kiedy słońce wróci nad naszą ziemię – odezwał się Charlie.

– Kiedy to nastąpi? – spytał Dafydd.

– Pod koniec stycznia.

– Myślę, że będzie ci trudno pozbyć się mnie stąd.

Charlie chciał coś dodać, ale wstrzymał się, widząc niepewną minę Dafydda. Chociaż przyszłość wydawała się bezkresna, pełna obietnic, było jeszcze zbyt wcześnie, żeby o niej mówić. Dafydd jedynie liczył w duchu, że Charlie mu zaufa. Chłopak mądrze kiwnął głową, uśmiechnął się dokładnie w ten sam sposób, co ojciec i obaj powrócili do obserwowania arktycznego poranka.

– Czy to się stało tam? – spytał Dafydd, przypatrując się połaci zamrożonego morza.

– Chciałbym ci pokazać to miejsce – odparł chłopiec. Nie odrywał oczu od panoramy za oknem, lecz jego głos zdrzął na wspomnienie tamtego przeżycia. – Tylko w przybliżeniu. Mama i ja ustawiliśmy w tym miejscu rzeźbę, ale lód się załamał i rzeźba zatoneła. Nazwałem ją „Lodowa

pułapka”. To była najlepsza jej praca, budząca jednak jakiś lęk. Dobrze ją zapamiętałem, więc kiedyś wyrzeźbię taką samą.

– Bardzo bym chciał ją ujrzeć. A jeszcze bardziej – mieć na własność.

Charlie odwrócił się, by spojrzeć mu w twarz. W jego ciemnych oczach malowała się powaga. Dafydd dostrzegł w nich głębię i siłę, niespotykane w tak młodym wieku. Wskutek otarcia się o śmierć dzieciak wydorósł, stał się mężczyzną.

– Wkrótce ją wykonam i ofiaruję ci w prezencie – oznajmił. – Za to, że mnie odnalazłeś.

– Będzie dla mnie skarbem – odparł Dafydd, kładąc chłopcu rękę na ramieniu.

– Mniej więcej zmierzyłem dystans dzielący nas od tego miejsca. A zresztą dobrze je pamiętam.

– Jeśli chcesz mi je pokazać – odezwał się Dafydd solennym tonem – to musimy się tam wybrać.

– Dzisiaj? – zapytał Charlie. – Zróbmy to od razu.

– Jesteś tego pewien? – Dafydd zauważył, że chłopcu lekko drży podbródek, a oczy świecą nienaturalnym blaskiem.

– Tak. – Na jego twarzy ukazał się ni to uśmiech, ni grymas. – Skoro przyjechałeś, powinienem to zrobić, nie?

– Czy chcesz, żeby twoja matka poszła z nami?

– Nie, nie budźmy jej. Słyszałem, jak przez całą noc wykuwała „Starego myśliwego wymachującego siekierą”. Czasami się zastanawiam, czy w ogóle śpi. Powiedziałem jej, żeby trzymała się z dala od kuchni, ale tam codziennie – rano jest jak w jakichś przeklętych kamieniołomach. Na śniadanie jemy stale pył z kamienia. Dafydd zachichotał.

– Lepiej się zbierajmy, zanim nie stanie się zupełnie ciemno. Zostawmy mamie kartkę.

– Mów o niej Uyarasuq. Jestem już dorosły.

Ledwie widoczne światło nie rzucało cienia, gdy obaj przedzierali się z trudem przez poszarpane bloki lodu, tarasujące brzeg morza. Ostre szpiculce przezroczystego lodu wystrzeliwały w niebo pod niespodziewanym kątem. Charlie kuśtykał na swojej endoprotezie, mrużąc pod nosem wyzwiska w niezrozumiałym języku. Tylko raz nie odmówił pomocnej dłoni Dafyddowi. Chciał dotrzeć do celu bez niczyjego wsparcia. Miał silne ręce, które



kompensowały kalectwo dolnej kończyny. Często podnosił się na nich, ciągnąc w górę resztę ciała, albo zarzucając nogi na bryłę lodu. Dafydd podpierał się kijem, niosąc na ramieniu strzelbę. Nawet dla w pełni sprawnego człowieka była to droga przez mękę, w niektórych miejscach wręcz niebezpieczna, bo pod pokrywą śniegu znajdowały się głębokie ustępy, a warstwa lodu była tak śliska, jakby polana olejem. Zarazem ten wysiłek fizyczny chronił ich przed zbytnim wyziębieniem.

Kiedy już dotarli do zamrożonej tafli morza, marsz po gładzi stał się łatwiejszy. Posuwali się powoli, w milczeniu. Charlie szedł pierwszy, a jego utykanie stawało się coraz silniejsze. Był z pewnością bardzo zmęczony. Po jakichś ośmiuset metrach marszu po lodzie stanął, żeby zlokalizować miejsce wypadku, następnie pod kątem czterdziestu stopni skrzył na zachód i przeszedł z Dafyddem jeszcze niespełna kilometr.

– To tu – odezwał się nagle. – Tu mnie znaleźli.

Dafydd przesunął wzrokiem po ponurej panoramie. Czuł się całkiem nieswojo na tej bezkresnej połąci zamrożonych wód arktycznych. Co chwila rozlegał się ogłuszający huk, niczym grzmot, lód zapadał się lub unosił pod działaniem pływu, stale zmieniając pozycję. Trzask o sile wystrzału przeraził go, podobnie jak syk wydobywający się ze szczelin, które pojawiały się na lodzie niczym płonący lont. Charlie nie zwracał uwagi na te dźwięki, i Dafydd próbował go naśladować, ale gigantyczna otwarta przestrzeń, brak jakichkolwiek granic w zasięgu wzroku, śladu kryjówki, w której można by się schronić, tylko pogłębiały jego lęk.

Nieopodal błyszczała wyspa całkowicie skuta lodem, a dalej strzelały w górę skały lodowe, przytwierdzone na stałe do zamrożonych wód. Mimo swego przejrzystego piękna wyglądały nadzwyczaj groźnie. Za nimi mogły się czać niedźwiedzie polarne, wygłodzone wskutek długiej, mrocznej zimy. Nagle dotarł doń z całą siłą straszny los Charliego. Miał ochotę porwać go w ramiona i rzucić się do ucieczki przez lód.

– Miałbyś ochotę opowiedzieć mi o tym? – spytał, usiłując powstrzymać ogarniającą go panikę. Chciał, żeby chłopiec czuł się tu przewodnikiem. Przecież to ten dzieciak miał być upolowaną zdobyczą, to jego ciało rozorały potężne szczęki białego niedźwiedzia. Musiał tego wysłuchać. Zarazem jednak obawiał się tej opowieści o walce na śmierć i życie.

– Chcę ci o tym opowiedzieć – rzekł Charlie – ale nie dzisiaj. Dziś tylko popatrzymy sobie na to miejsce, dobrze?

– Jasne, Charlie. To dobry pomysł. Jak dojdiesz do wniosku, że jesteś gotów, wysłucham wszystkiego, co się tu wydarzyło, do najdrobniejszego szczegółu.

– Nie boję się – zapewnił go Charlie. – Ani rozmowy – o tym, ani polowania w pojedynkę, na które wkrótce się wybiorę. Chcę się tylko upewnić, że moja noga mnie nie zawiedzie.

– Naprawdę? – Dafydd nie krył niepokoju. – Jak zamierzasz się bronić... jeśli znowu doszłoby do czegoś takiego?

– Z pomocą psów – odparł Charlie. – Mam zamiar sprawić sobie dobre stado syberyjskich husky, najtwardszych psów na świecie.

– To sensowne – przyznał Dafydd. W końcu jeden ranny pies odstraszył potężnego niedźwiedzia i ocalił Charliego od zjedzenia go żywcem. Tamta suka być może miała, a być może nie miała w sobie ducha Angutitaqa, jednak odwlekła chwilę swojej śmierci aż do czasu, gdy niedźwiedź dał za wygraną. Poświęciła życie dla swego pana. Niedźwiedź z pewnością gdzieś nadal kręci się w pobliżu, bez wątpienia pamiętając, że suka husky rozerwała mu ścięgna na tylnych łapach.

– Jednakże żaden pies nie zastąpi mi tego, który uratował mnie od niechybnej śmierci – odezwał się Charlie. – Oddałbym drugą nogę, gdybym mógł sprawić, żeby wrócił.

Dafydd skinął głową ze zrozumieniem. Pomyślał o Thornie, który starał się go zaprowadzić do miejsca, gdzie umierał jego pan. Najlepszy przyjaciel człowieka, niezastąpiony w tej lodowej i niebezpiecznej krainie.

– Nigdy jednak nie zapoluję na niedźwiedzia – stwierdził Charlie. – Właściwie nie sądzę, żebym chciał zabić jakieś zwierzę. Chyba że umierałbym z głodu. Jak tamten niedźwiedź. Kiedy musisz jeść, to musisz. – Roześmiał się. – Wierz mi lub nie, ale przyznam, że nie mam do niego urazy.

Zerwał się wiatr, wokół ich nóg zawirowały drobne płatki śniegu. Stali tak jeszcze przez chwilę. Dafydd położył rękę na ramieniu syna. Jednakże wskutek wiatru stawało się dotkliwie zimno, nawet ochronna odzież nie była zbytnią pomocą.

Najlepiej byłoby udać się wprost w kierunku brzegu. Tym razem Charlie pozwolił Dafyddowi, aby pomógł mu przedrzeć się przez najgorsze bloki lodowe. Pokonywali przeszkody w milczeniu. Charlie, z wyrazem koncentracji na twarzy, trzymał za rękę ojca, co wcale nie było łatwe, biorąc

pod uwagę ich grube rękawice. Szybko zapadała ciemność, a wiatr wzmagał się z każdą minutą, wzbijając tumany suchego, drobnego śniegu. Zmarznięci na kość, oślepieni zlodowaciałymi drobinami, wlekli się w kierunku pracowni Uyarasuq. Dźwięki młotka rytmicznie uderzającego w dłuto dały im znać, że dotarli do domu – cali i zdrowi.

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę w tym miejscu wyrazić wdzięczność mojemu wydawcy, firmie Simon & Schuster, oraz mojej agentce literackiej, Sheili Crowley, a także wielu pisarzom, przyjaciołom i krewnym, którzy służyli mi wsparciem w czasie pisania *Lodowej pułapki*.

Mam dług wdzięczności wobec Helen Thayer, pierwszej kobiety, która samotnie dotarła do magnetycznego bieguna północnego. Jej niezwykła książka, *Polar Dream*, dostarczyła mi mnóstwa nieocenionych faktów na temat niedźwiedzi polarnych, psów arktycznych i umiejętności przeżycia w skrajnych warunkach. Jej opowieść stała się dla mnie inspiracją do wykazania się odwagą i podjęcia zupełnie innej podróży na własną rękę.

Laboratorium Cell-Mate Diagnostics cierpliwie odpowiedziało mi na temat wszelkich pytań związanych z tajemnicami DNA. Pragnę też wyrazić podziękowanie wszystkim, którzy z entuzjazmem udzielili mi odpowiedzi na pytania dotyczące rozmaitych spraw, takich jak stare motocykle brytyjskie, uzależnienie od demerolu, włoskie likiery, zachowanie się pcheł i jazda taksówką w północnej Kanadzie.

Największe podziękowania składam Johnowi Sewellowi, który ze stoickim spokojem wspierał mnie moralnie i finansowo w moich pragnieniach zostania pisarką.